

Drapieżcy

Graham Masterton



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Drapieźcy

Mały chłopczyk — śliwkę zjadł: zaraził się cholera, trupem padł.

Chłopiec większy — gniazdo mewy: urwała się lina, żalobne śpiewy.

Pudło z farbami — dziewczynka mała: polizała pędzel, aniołkiem się stała.

Dzieci piszczą wniebogłosy: Jenkin wszystkie pożre w nocy.

Wiktoriańska rymowanka ostrzegawcza, 1887

Relacje o tym obiekcie — nie większym od dużego szczura i obdarzonym przez mieszkańców miasteczka osobliwym mianem „Brązowego Jenkina” — wydają się przedziwnym przykładem zbiorowego złudzenia.

W roku 1692 widziało go nie mniej niż jedenaście osób. Ostatnio pojawił się ponownie, co poświadcza niepokojąco duża liczba świadków. Twierdzą oni, że ma długie włosy, ostre zęby i szczurze ciało, ale jego brodaty złośliwy pysk przypomina twarz człowieka, a łapy — drobne ludzkie ręce. Wydaje z siebie rodzaj ohydneho chichotu i potrafi mówić wszystkimi językami. Ze wszystkich potwornych istot, które nawiedzały Gilmana we śnie, żadna nie przyprawiała go o większe mdłości i przerażenie niż ta bluźniercza karłowata hybryda. Jej obraz pojawiał się przed jego oczyma w formie tysiącrotnie bardziej okropnej od wszystkiego, co będąc przy zdrowych

zmysłach mógł wyobrazić sobie na podstawie starych relacji i niedawnych plotek.

H.P. Lovecraft, *Zmory w Domu Czarownic*

ROZDZIAŁ I

Fortyfoot House

Tuż przed świtem obudziło mnie ciche chrobotanie. Leżałem nieruchomo, nasłuchując. Chrobot.

A potem znowu chrobot-chrobot-chrobot. I cisza.

Zawieszona w oknie cienkie, malowane w kwiecisty wzór zasłony poruszała słaba, wiejąca od morza bryza. Frędzle abażura kołysały się niczym kończyny jakiegoś dziwnego, zawieszzonego u sufitu krocionoga.

Wyteżyłem słuch, ale przez dłuższy czas słyszałem tylko szum morza, znużonego jak diabli, znużonego jak wszyscy diabli morza; i ciche szeptanie dębów.

Kolejny chrobot; ale tak stłumiony i szybki, że to mogło być cokolwiek. Wiewiórka na strychu, jaskółka pod okapem.

Przewróciłem się na drugi bok i owinąłem obleczoną w atlasową poszwę kołdrą. Nigdy nie spałem dobrze w cudzych domach. W gruncie rzeczy od czasu, kiedy opuściła mnie Janie, nie spałem dobrze nigdzie.

Byłem zmordowany jak pies wczorajszą jazdą z Brighton, podróżą promem z Portsmouth, a później rozpakowywaniem i sprzątaniami, które zajęło mi całe popołudnie.

Danny także budził się w ciągu nocy. Dwukrotnie: za pierwszym razem chciało mu się pić, za drugim czegoś się przestraszył. Widział ponoć, jak coś przesuwano się przez jego sypialnię, coś zgarbionego i ciemnego, ale okazało się, że był to po prostu zawieszony na oparciu krzesła jego szlafrok.

Opadły mi powieki. Gdybym tylko mógł zasnąć. Naprawdę zasnąć, tak żeby przespać całą noc, dzień i następną noc. Zapadłem w drzemkę i przez dłuższą chwilę śniło mi się, że jestem z powrotem w Brighton i przechadzam się pod szarym niebem jak z fotografii — pomiędzy edwardiańskimi tarasami z czerwonej cegły, po krzyżujących się pod ostrym kątem podmiejskich uliczkach Preston Park. Śniłem, że ktoś wymyka się po schodkach z mojego położonego w suterynie mieszkania, ktoś wysoki i długonogi, ktoś, kto odwraca w moją stronę spiczastą białą twarz, a potem w pośpiechu ucieka. Człowiek-Nożyce z długimi czerwonymi nogami — szepnął mi ktoś do ucha. — On naprawdę istnieje!

Próbowałem go gonić, ale w jakiś sposób znalazł się nagle w środku parku, za wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. Jaskrawozielona trawa; zawodzące niczym porzucone dzieci pawie. Mogłem tylko biec równolegle do niego, po drugiej stronie ogrodzenia, w nadziei że nie zniknie mi z oczu, kiedy w końcu dotrę do bramy.

W płucach waliło mi jak młotem. Podeszwy butów klapały błazeńsko po asfaltowej ścieżce.

Widziałem podskakujące obok mnie nadmuchane twarze, białe, wykrzywione w ludzkim uśmiechu balony.

I znowu usłyszałem odgłosy drapania i chrobot, tak jakby tuż za mną biegł, uderzając pazurami o asfalt, jakiś pies. Obróciłem się: obróciłem pod kołdrą i nagle obudziłem, słysząc wściekłe hałaśliwe skrobanie, o wiele głośniejsze od chrobotu ptaka albo wiewiórki.

Ściągnąłem z siebie kołdrę i usiadłem na łóżku. Noc była gorąca; prześcieradło, na którym spałem, wilgotne i poskręcane. Usłyszałem jeszcze jeden cichy, niepewny chrobot, a potem zapadła cisza.

Wziąłem do ręki leżący na nocnym stoliku zegarek. Nie miał fluoryzujących wskazówek, ale w pokoju było dosyć światła, żebym zobaczył, że jest pięć po piątej. Jezus.

Wstałem z łóżka, podeszedłem do okna i odsunąłem zasłony zawieszane na tanich, powleczonech plastikiem drutach.

Niebo było blade jak mleko; za dębami falowało tak samo mlecznobiałe morze. Okno mojej mansardy wychodziło na południe i widziałem przez nie większą część opadającego zwodniczo w dół ogrodu, zaniedbaną pergolę z różami, trawnik z zegarem słonecznym i schody, które prowadziły do stawu rybnego i opadały zygzakiem między drzewami aż do tylnej furtki.

Danny odkrył już, że ledwie kilkadziesiąt metrów dalej, za rzędem przytulnych małych domków z pelargoniami w oknach, zaczyna się morze. Skały, spienione przybrzeżne fale, upstrzone przez muchy sterty brązowych wodorostów i chłodny, wiejący od Francji słony wiatr. Wczoraj wieczorem przespacerowałem się z Dannym na plażę: oglądaliśmy zachód słońca i rozmawialiśmy z miejscowymi rybakami, którzy wyładowywali na brzeg płastugi i halibuty.

Na lewo za ogrodem, po drugiej stronie wąskiego zarośniętego krzakami strumienia ciągnął się pokryty ciemnymi plamami mchu pokruszony kamienny mur. W jego cieniu stało sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt ciasno stłoczonych grobów, prawie stąd niewidocznych — krzyże, iglice i płaczące anioły — a dalej mała gotycka kaplica z pozbawionymi szyb oknami i zwalonym dawno dachem.

Według państwa Tarrantów kaplica służyła kiedyś mieszkańcom Fortyfoot House i położonej niżej wioski Bonchurch, ale obecnie wieśniacy, jeśli w ogóle odczuwali potrzebę wzięcia udziału w nabożeństwie, jeździli do Ventnor; a Fortyfoot House stał oczywiście pusty, odkąd Tarrantowie sprzedali swoją firmę wykładzin ceramicznych i dywanowych i przenieśli się na Majorcę.

Cmentarz nie wywarł na mnie jakiegoś szczególnie nieprzyjemnego wrażenia. Jeżeli już, to smutne — z powodu swego zaniedbania. Za kaplicą wznosił się na tle białych cirrusów ciemny zarys olbrzymiego starego cedru, jednego z największych, jakie w życiu widziałem, i było coś w tym drzewie, co sprawiało, że z całego pejzażu emanowała atmosfera zmęczenia i żalu, świadomość tego, że stare czasy nigdy już nie wrócą. Ale chyba również poczucie trwałości.

O tej porze dnia ogród kompletnie pozbawiony był kolorów. Fortyfoot House wyglądał jak swoja własna, zawieszona w holu, czarno-biała fotografia z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego

ósmeo. Przedstawiała ona stojącego w ogrodzie mężczyznę w wysokim cylindrze i czarnym fraku; i nieomal uwierzyłem, że za chwilę pojawi się ponownie, dokładnie taki, jak na zdjęciu: bezbarwny, surowy, z okoloną bokobrodami twarzą; pojawi się, podniesie głowę i spojrzy prosto na mnie.

Doszedłem do wniosku, że mogę sobie zrobić filiżankę kawy. Nie miało sensu dalej próbować zasnąć.

Ptaki zaczynały gwizdać i ćwierkać, a niebo rozjaśniało się tak szybko, że widziałem już zwisające smętnie za ogrodem różanym tenisowe siatki, a także pokryte plamami porostów szybki szklarni i zachwaszczone grządki truskawek przy zachodnim skraju posiadłości.

— Mam nadzieję, panie Williams, że sprawi panu przyjemność uporządkowanie tego chaosu — powiedziała pani Tarrant, spoglądając na ogród przez swoje małe ciemne okulary. Choć bez przerwy powtarzała, że będzie „strasznie, ale to strasznie tęsknić za tym miejscem, wie pan?”, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nie znosi Fortyfoot House z całego serca.

Otworzyłem delikatnie, żeby nie budzić śpiącego obok Danny’ego, drzwi sypialni i ruszyłem cicho wąskim korytarzem. Gdziekolwiek spojrzałem — czekała mnie robota. Bładozieloną tapetę pokrywały wilgotne zacieki, sufit się łuszczył, drewniane parapety przegniły. Kaloryfery przeciekały, a ich zawory inkrustowane były plamami wapna. W całym domu unosiła się woń rozkładu.

Doszedłem do stromych wąskich schodów. Już miałem zejść na dół, kiedy ponownie usłyszałem ten chrobot — właściwie raczej szybkie kroki niż chrobot. Zawahałem się. Odgłosy dochodziły ze strychu.

Nie spod okapu, czego bym się spodziewał, gdyby chodziło o wiercącego się w gnieździe ptaka, ale z samego środka strychu, tak jakby coś przebiegało na ukos po podłodze.

Pomyślałem, że to na pewno wiewiórki. Nie znoszę wiewiórek. Niszczą wszystko, co napotkają, i zjadają swoje potomstwo. Zawładnęły prawdopodobnie całym strychem i zamieniły go w jedno wielkie śmierzące rojowisko.

Przy podeście schodów znajdowały się małe drzwiczki, oklejone, żeby nie rzucać się w oczy, tą samą co ściany zieloną tapetą. Pani Tarrant poinformowała mnie, że na strych można się dostać tylko przez nie i że dlatego właśnie wynieśli tam tak mało mebli.

Otworzyłem tani, zardzewiały zatrask, uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka. Ciemno choć oko wykol, a idący z góry przeciąg zalaatywał stęchlizną i zbutwiałym drewnem. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale doszedł mnie tylko odgłos uderzanych wiatrem dachówek i ciche ciurkanie nieszczelnego zaworu cysterny.

Żadnego chrobotu.

Wewnątrz, tuż przy framudze, wymacałem stary plastikowy kontakt. Przekręciłem go kilka razy, ale albo skorodował, albo w lampie nie było żarówki, albo wiewiórki poprzegryzały przewody. Mój wzrok spoczął na wiszącym po drugiej stronie schodów dużym lustrze. Przez okienko przy podeście

padają już dosyć porannego światła, abym opierając lustro o balustradę zdołał oświetlić kilka pierwszych prowadzących na strych stopni. Przyszło mi do głowy, że chyba nie od rzeczy będzie wejść na górę i trochę się rozejrzeć.

Nabiorę przynajmniej jakiegoś pojęcia, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Nie znośm wiewiórek, ale jednak wolałem je od szczurów.

Podwinąłem dywan na podeście, żeby zabezpieczyć drzwi przed zatrzaśnięciem, a potem wspiałem się ostrożnie po trzech pierwszych schodkach. Były wyjątkowo strome i pokryte jedynie surowym brązowym filcem z gatunku, jakiego nie widziałem od dobrych dwudziestu lat. Wciąż owiewał mnie przeciąg, ale z całą pewnością niezbyt świeży. Przypominał czyjś zepsuty oddech: tak jakby to sam strych wydychał z płuc powietrze.

Przystanąłem na chwilę na czwartym schodku, żeby ponownie nadstawić ucha i przyzwycząić oczy do panującej ciemności. To dziwne, ale między dachówkami nie dostrzegłem żadnych szpar, przez które padłby zablakany choćby promień; dach musiał być wyjątkowo solidnie położony. Mizerna smuga odbitego przez lustro światła nie na wiele się przydała, ale zdołałem dostrzec kilka kształtów. Coś, co wyglądało jak fotel. Coś, co wyglądało jak małe przysadziste biurko. A potem w samym kącie, pomiędzy dachem a podłogą strychu coś, co mogło być stertą starych ubrań; albo jakimś innym, przykrytym prześcieradłem, dziwnie powykręcany meblem.

W powietrzu unosiła się woń zbutwiałego drewna, czułem ją bardzo wyraźnie. Ale także inny zapach.

Niewyraźny słodkawy odór, coś jakby gaz ziemny albo smród rozkładającego się w kominie ptaka — nie potrafiłem określić go dokładnie, ale wiedziałem, że wcale mi się nie podoba. Postanowiłem wrócić tutaj później z latarką i sprawdzić, co to, do diabła, jest.

Właśnie miałem zamiar się wycofać, kiedy chrobotanie rozległo się ponownie. Dochodziło z najodleglejszego kąta, stamtąd gdzie dach opadał dość płasko i panował najgęstszy mrok. Tu na górze dźwięk brzmiał donośniej, jakby wywołany przez coś bardziej masywnego — z całą pewnością nie wydawała go lekka wiewiórka albo trzepoczący skrzydłami ptak. Jeżeli już, to duży kocur, bardzo duży szczur, a nawet pies, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jaki sposób pies mógł się dostać na strych.

— Psssstt! — syknąłem, żeby go przepłoszyć.

Chrobot nagle umilkł. Ale hałasujące stworzenie zupełnie się nie przestraszyło i nie rzuciło do ucieczki — nie, raczej zatrzymało, żeby zobaczyć, co mam zamiar zrobić dalej. Natężyłem słuch i przez chwilę wydawało mi się, że słyszę wysoki chrapliwy oddech; ale może to był tylko szum wiatru.

— Psssstt! — powtórzyłem energicznie.

Nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Nie boję się ciemności i w zasadzie nie boję się zwierząt, nawet szczurów. Mam przyjaciela, który zwalcza gryzonie w Islington, w Londynie. Zabrał

mnie kiedyś na wycieczkę kanałami, pokazując pływające wśród ludzkich ekskrementów tłuste, szare szczury i nie sędzę, żeby po tym widoku mogło mnie coś łatwo przestraszyć.

— Szkolą nas przez tydzień w Chigwell Reservoir — zwierzył mi się wtedy — żebyśmy nauczyli się od pierwszego spojrzenia rozpoznawać ludzkie gówno.

— Potrzebujecie na to aż tygodniowego szkolenia? — odparłem zdumiony.

Wspiąłem się na ostatni stopień i wpatrując w mrok postąpiłem do przodu. Trwało dłuższą chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wydawało mi się, że widzę w kącie jakiś kształt, ale nie miałem pewności. Nie był wielkości człowieka. To nie mógł być człowiek, skoro stał tam, gdzie stał, pod nisko opadającym dachem. Ale również i nie dziecko — zbyt dziwnie powykręcane, zbyt pękate. Z drugiej strony żaden kot nie mógł być tak wysoki.

Nie, to wszystko sobie po prostu uroiłem. Prawdopodobnie na krześle wisiało jakieś stare futro. Strych pogrążony był w takich egipskich ciemnościach, że oczy zaczęły mi płatać figle i dostrzegałem poruszające się kształty i cienie tam, gdzie żadne kształty i cienie nie mogły się poruszać. Widziałem sunące przed gałkami ocznymi małe punkciki — drobiny kurzu, łyzy albo rysy.

Dałem jeszcze krok do przodu i zaczepiłem nogą o skraj twardego, prostokątnego przedmiotu — skrzyni albo pudła. Nasłuchiwałem, cicho oddychając; i chociaż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że coś jest na tym strychu, coś, co mnie obserwuje i czeka, żebym podszedł bliżej, uznałem w końcu, że nie powinienem posuwać się dalej.

Byłem przekonany, że to widzę. Coś intensywnie ciemnego, małego i napiętego — nie poruszającego się, lecz czekającego na mój ruch. Sam wstydzilem się swojej pewności; logika bowiem podpowiadała mi, że w najgorszym wypadku mam do czynienia z dużym szczurem.

Nie boję się szczurów. Albo żeby ująć to precyzyjniej, nie boję się tak bardzo szczurów. Próbowałem przeczytać kiedyś horror o inwazji tych stworzeń, ale zasnąłem słodko podczas lektury. W końcu to tylko zwierzęta: bardziej boją się nas niż my ich.

— Psssstt — syknąłem o wiele ostrożniej. W tej samej chwili wydało mi się, że słyszę skrobanie o podłogę i jakiś ruch. — Psssstt!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Nawet wiatr jakby wstrzymywał oddech; powietrze na strychu zrobiło się nieruchome i duszne. Dałem krok do tyłu, a potem następny, wyciągając za siebie rękę, żeby chwycić się balustrady; wycofując się tak spokojnie, jak mogłem, w stronę bladej smugi odbitego światła.

Złapałem za poręcz. I wtedy usłyszałem, że to coś podnosi się, drapie pazurami o podłogę i zaczyna się poruszać. Nie ucieka jednak przede mną, żeby tak jak to czynią szczury, wślizgnąć się do jakiejś ciemnej szpary. Nie, zbliża się w moją stronę. Bardzo powoli, wydając trudny do opisu dźwięk, na który składa się chrobotanie pazurów i szelest sierści, ale również coś jeszcze: coś, co przestraszyło mnie po raz pierwszy, odkąd wyszedłem przez właz z kanałów w Islington.

— Pssstt, uciekaj, sio! — krzyknąłem.

Czułem, że robię z siebie pośmiewisko. Przypuśćmy, że w ogóle nic tam nie ma. Sterta starych gratów, spacerujący po dachu gołąb. I w gruncie rzeczy, cóż to mogło być, oprócz ptaka albo jakiegoś małego gryzonia? Nietoperz? Możliwe. Ale nietoperze, jeśli tylko nie są wściekłe, nie stanowią żadnego zagrożenia.

A szczury, jeśli nie są wygłodzone albo skrajnie przerażone, o wiele bardziej interesuje własne bezpieczeństwo niż atak na kogoś, kto mógłby w odpowiedzi zetrzeć je na miazgę. Są tchórzliwe.

Dotknąłem plecami poręczy. Ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie, żeby stąd jak najszybciej uciec.

Kiedy jednak postawiłem nogę na najwyższym schodku, dywan, który przytrzymał drzwi, nagle się odwinął i drzwi cicho się zamknęły. Usłyszałem stuknięcie zatrzasku i znalazłem się w kompletnej ciemności.

Opuściłem w dół nogę, próbując wymacać następny stopień. Dziwne, ale chociaż sięgałem bardzo nisko, nie mogłem go wyczuć. Klatka schodowa wydawała się gładka jak szyb windy. Mimo że zaczęła mnie ogarniać panika, nie mogłem przecież dać kroku w pustkę.

— Danny! — krzyknąłem. — Danny! To tato! Jestem na strychu!

Nasłuchiwałem. Żadnej odpowiedzi. Danny był tak samo zmęczony jak ja i na ogół nic nie potrafi go obudzić. Wałące pioruny, głośna muzyka, nawet jego awanturujący się rodzice.

— Danny! Jestem na strychu i zatrzasnęły się za mną drzwi!

Ponownie żadnej odpowiedzi. Obróciłem się bokiem do schodów, nie wypuszczając z ręki poręczy, która stanowiła mój jedyny punkt orientacyjny. Próbowałem otworzyć szerzej oczy i natężyć maksymalnie wzrok, ale na strych nie wpadała najmniejsza smuga światła. Było ciemniej niż pod grubą warstwą koców.

— Danny! — zawołałem, nie mając wielkiej nadziei, że mnie usłyszy. Dlaczego, do diabła, nie mogłem zlokalizować tych schodów? Widziałem, że są strome, ale przecież nie aż tak... Wysunąłem ponownie w dół stopę, ale wciąż natrafiałem na pustkę.

I wtedy właśnie usłyszałem ponownie ten chrobot. Rozlegał się o wiele bliżej — tak blisko, że nie wypuszczając z ręki poręczy, odsunąłem się instynktownie najdalej, jak mogłem, do tyłu.

— Danny — powtórzyłem cicho. — Danny, to tato.

Chrobot.

Serce biło mi wolno i nierówno. Usta miałem wyschnięte niczym leżąca na brzegu pustej wanny gąbka.

Po raz pierwszy w moim dorosłym życiu nie wiedziałem, co robić; i sądzę, że właśnie to poczucie kompletnej bezradności przerażało mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Chrobot.

A potem wysoki jazgot: tak jakby ktoś mówił w obcym języku, którego sam dobrze nie rozumiem. Nie sposób było rozróżnić ani jednego słowa. To mógł być człowiek mówiący po birmańsku albo tajsku. Ale równie dobrze mógł to być chichot podnieconego zwierzęcia, zwierzęcia, które poczuło krew.

— Psssstt! — syknąłem w odpowiedzi. Ale jazgot nie umilkł. Stał się nawet szybszy i bardziej wysoki.

Ogarnęło mnie przerażające przeczucie, że za chwilę umrę.

DANNY. Czy to ja krzyknąłem? Wypowiedziane tak cicho albo tak głośno, że nie byłem w stanie tego usłyszeć. DANNY, TO TATO.

Coś musnęło mnie w ciemności. Coś szkaradnego, zimnego i kosmatego, wielkości dziesięcioletniego dziecka — ciężkiego, otyłego dziecka. Zadrapało moje ramię pazurami albo szponami. Wrzasnąłem głośno, potknąłem się, puściłem poręcz i upadłem. Uderzając ramieniem o skrzynię usłyszałem, jak napastnik przemyka kilka centymetrów ode mnie, wydając triumfalny, świszczący chichot.

— Chi, chi, chi, chi, chi!

Przetoczyłem się, kalecząc bok, przez skrzynię i runąłem w dół schodów. W ciemności przypominało to upadek z pięciopiętrowego budynku. Jeszcze przed chwilą nie potrafiłem wymacać stopni, poczułem je za to teraz. W drodze na dół zahaczałem o skraj każdego schodka. Głowa-ramię-łokieć-biodro. Kiedy walnąłem w końcu kolanem w drzwi, otwierając je na oścież, czułem się, jakby ktoś złożył mi skórę kijem do krykieta.

Oślepiło mnie światło dnia.

— O Chryste! — jęknąłem.

Na podeście czekał na mnie Danny, ubrany w swoją pasiastą pizamę od Marksa i Spencera.

— Tato! — oświadczył przejęty. — Spadłeś ze schodów!

Leżałem na plecach na dywanie, z nogami wciąż na stopniach.

— Nic się nie stało — uspokoiłem go, choć tak naprawdę chciałem uspokoić przede wszystkim samego siebie. — Nie było tam światła i potknąłem się.

— Wołałeś mnie — upierał się Danny.

— Tak — odparłem, podnosząc się na nogi. Zamknąłem drzwi na strych i szybko przesunąłem zatrząsk.

Czy to złudzenie, czy znowu usłyszałem ten chrobot, ciche pojedyncze skrobanie?

— Dlaczego wołałeś?

Spojrzałem na niego i wzruszyłem ramionami.

— Zatrzasnęły się drzwi. Nic nie widziałem.

— Ale czegoś się bałeś.

— Kto powiedział, że się bałem? Niczego się nie bałem.

Danny nie spuszczał ze mnie poważnego wzroku.

— Bałeś się.

Gapiałem się na drzwi na strych naprawdę dłużej, niż powinienem.

— Nie, nie bałem się — odparłem. — Tam nic nie ma. Było ciemno, to wszystko. Nic nie widziałem.

ROZDZIAŁ II

Okno kaplicy

Zjedliśmy razem śniadanie w wielkiej staroświeckiej kuchni. Podłoga wyłożona była chłodną czerwoną terakotą, pomalowane na kremowo i zielono szafki mogły uchodzić za szczyt nowoczesności w latach trzydziestych, a płytki biały zlew wyglądał, jakby korzystano z niego przy sekcji zwłok. Przez okno widziałem pokruszoną szczytową ścianę zrujnowanej kaplicy. Danny siedział, kiwając nogami, nad miską płatków Weetabix. Jego oświetlone promieniami słońca włosy przypominały błyszczącą koronę mlecza.

Był taki podobny do swojej matki. Duże piwne oczy, chude ręce i chude nogi. I tak samo jak ona rozumował w sposób prosty i praktyczny. Przypuszczam, że powinienem od początku zdawać sobie sprawę, że nigdy nie uda mi się przez dłuższy okres żyć z prostą i praktyczną kobietą. Zawsze byłem w zbyt dużym stopniu teoretykiem — gotowym opierać się bardziej na inspiracji niż na trzeźwym osądzie.

Janie i ja poznaliśmy się w Brighton Art College; ja studiowałem na ostatnim roku, ona na pierwszym.

Bez przerwy chichotała i chowała twarz za kosmykami włosów, ale była tak uderzająco ładna, że zawsze zbaczałem z drogi, żeby z nią porozmawiać. Spotkaliśmy się ponownie pewnego letniego wieczoru trzy lata później, na przyjęciu w Hastings. Miała wtedy na sobie długą biało-czerwoną suknię z cienkiej indyjskiej bawełny i purpurową szarfę na głowie. Zakochałem się w niej nieodwołalnie i od pierwszego wejrzenia.

I kochałem ją nadal, choć z czasem już wyłącznie w bolesny i zrezygnowany sposób. Niezliczone kłótnie i awantury doprowadziły mnie do przekonania, że nigdy już nie wrócimy do siebie.

Któregoś lutowego mokrego ranka weszła w końcu do biura firmy projektowania wnętrz, którą prowadziłem przy North Street w Brighton, i oświadczyła, że ode mnie odchodzi. Miała przynajmniej odwagę powiedzieć mi to w twarz. Chciała wyjechać do Durham z facetem o imieniu Raymond i pracować tam w miejscowej radzie gminnej. Czy mógłbym przez kilka miesięcy zaopiekować się Dannyem? „Życzę wam obojgu cholernie dużo szczęścia — powiedziałem. — Mam nadzieję, że razem z Raymondem będziecie tańczyć z radości”.

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach i już jej nie było. Na zewnątrz czekał na nią brodaty, opiekuńczy facet w mokrym wełnianym płaszczu koloru wielbłądziej sierści. Cholerny Raymond.

Po tym pożegnaniu zupełnie przestały mnie interesować sprawy firmy. Zabierałem Danny'ego na długie spacery brzegiem morza i nie odbierałem żadnych telefonów. Po trzech miesiącach takiego trybu życia musiałem sprzedać swoje tapety i próbki wykładzin i rozejrzeć się za jakąś stałą posadą, co jak się okazało, wcale nie było łatwe. Nie chciałem pracować jako pomywacz w knajpie i nie miałem prawa jazdy na ciężarówkę.

Ale na początku lata, idąc Duke Street w King's Head, wpadłem na Chrisa Perta, mojego kumpla od kielicha jeszcze ze studenckich czasów. Odludek i trochę dziwak, miał bladą twarz i tkwił głęboko w filozofii Zen i brązowych sztruksowych spodniach. Zamówiliśmy obaj po kilka kolejek gorzkiego tetley'sa i zwierzyliśmy się sobie wzajemnie ze swoich kłopotów. Chrisowi umarła właśnie matka i nie byłem w stanie na to nic poradzić — mogłem mu co najwyżej powiedzieć, żeby poszedł do Madame Tzigane przy Brighton Pier, położył jej na dłoni srebrną monetę i poprosił, żeby przywołała mamę z zaświatów.

Za to Chris okazał się bardzo pomocny. Był przyrodnim siostrzeńcem państwa Tarrantów, milionerów z branży dywanowej i glazurniczej, właścicieli położonego na wyspie Wight Fortyfoot House. Wspomniał, że Tarrantowie noszą się z zamiarem sprzedaży posiadłości i chcą niedrogo odnowić i wyremontować dom oraz wypielić ogród — „zrobić generalne porządki”, tak się wyraził. Praca wydawała się cicha i spokojna — dokładnie taka, jakiej szukałem. Mogłem spędzić całe lato razem z Dannym i przez jakiś czas nie zastanawiać się nad przyszłością.

Poprzedniego dnia po południu przybyliśmy na Wight promem z Portsmouth i natychmiast ruszyliśmy na południe do Bonchurch, nadmorskiej wioski jakby żywcem wyjętej z brytyjskiego kalendarza dla dzieci, ze schludnymi kamiennymi domkami, ocienionymi alejkami i skąpanymi w bieli gorącymi ogrodami, w których brzęczą trzmielce i różowią się malwy.

Nigdy przedtem nie byłem na wyspie Wight. Jeśli nie chce się zafundować dzieciom tanich wakacji albo nie studiuje historii okresu wiktoriańskiego i nie ma się ochoty na spacer po domu królowej Wiktorii w Osborne — trudno wyobrazić sobie powód, żeby tu przyjeżdżać. Płynący przez osłonięte wody Spithead samochodowy prom dociera tu zaledwie w dwadzieścia minut; przylutona do południowego wybrzeża Anglii, przypominająca diament mała wyspa mierzy z zachodu na wschód niewiele więcej jak trzydzieści kilometrów, a z północy na południe dwadzieścia — zagubiony fragment Hampshire Downs, któremu Rzymianie nadali nazwę Vectis.

Większość miasteczek i wiosek to typowe pułapki na turystów — z krytymi strzechą domami, muzeami lalek, miniaturowymi parowozami i parkami flamingów. Ale w miarę posuwania się na zachód stopniowo znikają ogrody, cedry i murki — teren wznosi się coraz wyżej i staje bardziej dziki, aż w końcu dociera się do wiszących nad Alum Bay klifów i stromych, podobnych do kościelnych wież iglic Needles.

Tam właśnie, na klifach, z dala od zgiełku, można odczuć, czym naprawdę jest Wight. Malowniczą wyspą, na której ogarnia człowieka dziwne poczucie beczasowości: świadomość, że lądowali tutaj kiedyś Rzymianie; że na zboczach tutejszych wzgórz wypasali swoje owce Anglosasi; że po tutejszych przyszczyżonych ogrodach spacerowali pogrążeni w rozmowie Wiktorja i Albert; i że po tutejszych okolonych żywopłotami uliczkach jeździły w latach dwudziestych autobusy z płaskimi przednimi szybami i balonowymi oponami.

Właśnie dlatego spodobała mi się wyspa Wight; i dlatego, że była taka przytulna. Co ważniejsze, spodobała się także i Danny'emu. Być może obydwaj czuliśmy, że chroniąc się na bezkresnej złotej plaży z jej rozgwiazdami, skalistymi bajorkami i babkami z piasku, uciekamy przed prawdziwym światem zbankrutowanych firm i utraconych mam.

Zaraz po przyjeździe zadzwoniłem do Janie do Durham, żeby podać jej nasz numer telefonu i powiedzieć, iż Danny czuje się dobrze.

— Mam nadzieję, że nie nastawiasz go przeciwko mnie, Davidzie?

— Dlaczego miałbym to robić? Potrzebuje mamy, jak każdy.

— Ale nie dajesz mu odczuć, że go porzuciłam?

— Na miłość boską, wcale nie muszę mu tego dawać odczuć. On i tak to czuje.

Usłyszałem jej zniecierpliwione sapnięcie.

— Obiecałeś, że nie będziesz go nastawiał przeciwko mnie.

— Czuje się dobrze — zapewniłem ją. Nie chciałem wszczynać kolejnej kłótni, nie przez telefon, nie w tej chwili. — Staram się, jak mogę, żeby wspominać o tobie jak najczęściej.

— To znaczy jak często?

— Janie, proszę cię. Powtarzam ciągle rzeczy w rodzaju: „zastanawiam się, co teraz robi twoja mama?” albo „założę się, że spodobałbyś się mamie w tych spodniach”. Czego chcesz więcej?

Zapadło długie milczenie.

— Tak za nim tęsknię — odezwała się w końcu łamiącym się głosem.

Zrobiłem minę, której oczywiście nie mogła widzieć. Wcale nie złośliwą, ale jedną z tych, jakie przybiera człowiek, który wie, że zrobił, co mógł, lecz to i tak nie wystarczyło; i wie, że przez resztę swojego życia będzie cierpiał bolesne konsekwencje swoich czynów.

— Wiem, że tęsknisz — powiedziałem. — Zrobię jutro na plaży parę zdjęć i ci wyślę.

Odłożyła bez słowa słuchawkę.

— No więc co dzisiaj robimy? — zapytałem Danny'ego.

Stojąc na porośniętym mchem ceglany patio z tyłu domu mój syn rozstawił szeroko nogi, oparł ręce na biodrach i wysunął do przodu dolną wargę. Przybierał taką pozę, kiedy chciał wyglądać jak dorosły.

Miał na sobie koszulkę z Mothercare w czerwone i zielone pasy oraz czerwone szorty z elastycznym paskiem.

— Zbadajmy okolicę — zasugerował.

Rozejrzałem się wokół siebie, zasłaniając oczy przed słońcem.

— Chyba masz rację. Przejdziemy się naokoło domu i zobaczymy, ile nas czeka roboty.

— Masz przeciętą skórę — powiedział, wskazując mój lewy policzek.

— Wiem. Skaleczyłem się, spadając ze schodów. Jestem cały posiniaczony.

— Potrzebujemy latarki — stwierdził.

— Masz absolutną rację. Najpierw zbadamy teren, a potem pójdziemy kupić sobie najbardziej niewiarygodnie silną latarkę, jaką wynaleziono.

Danny ruszył pierwszy w dół schodów. Między płytami rosła trawa, a w niektórych miejscach mech był tak gęsty, że wyglądał jak zielony wilgotny dywan. Przypomniałem sobie, że widziałem podobny dywan, wynoszony z domu w Brighton po pożarze, w którym spaliły się na śmierć dwie dziewczynki.

Danny szedł wzdłuż zamykającego patio murku, śpiewając „The Grand Old Duke of York”.

— Kiedy poszedłeś wczoraj spać, rozmawiałem z mamą przez telefon — powiedziałem.

Danny nie przestawał wymachiwać ramionami.

Dziesięć tysięcy pieszych miał stary książę Yorku...

— Nie chcesz się dowiedzieć, co powiedziała?

Kazał im wejść pod górę...

— Powiedziała, że cię kocha. Powiedziała, że za tobą tęskni. Powiedziała, że chce jak najszybciej przyjechać się z tobą zobaczyć...i zbiec w pełnym rynsztunku.

— Danny...

Zatrzymał się przy samym końcu ściany. Nad jego głową krążyła, kwiląc jak dziecko, samotna mewa.

Zrobiło się ciepło, po niebie sunęły pogodne białe obłoki.

— Mówiła, że cię kocha i że za tobą tęskni.

Na jego policzku pojawiła się pojedyncza łza. Zbliżyłem się, żeby go przytulić, ale dał krok do tyłu.

Nie chciał, żeby go ktoś tulił.

— Wiem, co czujesz, Danny.

Przemawiałem jak postać z nędznego australijskiego serialu. Skąd, do diabła, miałem wiedzieć,

co czuje siedmioletni chłopiec, którego opuściła matka?

Czując, jak ogarnia mnie bezradność, obróciłem się i spojrzałem na Fortyfoot House — na tylną elewację Fortyfoot House, która wychodziła na ogród i morze. Ponieważ teren opadał tu dość stromo, ściany wydawały się nienaturalnie wysokie. Zostały wzniesione z ciemnoczerwonej cegły, tak ciemnej, że miejscami przybierała kolor brunatny. Wielki, dziwacznie położony dach kryły omszałe brązowe dachówki.

Pierwotnie wszystkie framugi zrobiono z dębowego drewna, tak przynajmniej poinformowała mnie pani Tarrant, ale w latach dwudziestych zastąpiono je metalem. Czarne błyszczące ramy nadawały oknom martwy, zaniedbany wygląd i jedną z pierwszych decyzji, jakie podjąłem oglądając Fortyfoot House, była ta, że pomaluję je z powrotem na biało.

Kominy zachowały się oryginalne: wysokie i szerokie, ze skomplikowanym systemem ceglanych stopni; zaprojektowane tak, aby wytrzymać potężny gorący cug z opalanych węglem kominków. Chociaż obecnie panowała niemal podzwrotnikowa pogoda, domyślałem się, że zimy w Bonchurch są prawdopodobnie surowe.

W przeszłości cały tył domu musiał obrastać powój; ale już dawno temu zwiądł i odpadł, pozostawiając tylko kilka świeżych uwięzionych w spoinach pędów.

W proporcjach całego domu było coś, co nie dawało mi spokoju. Z jakiegoś powodu nie pasowały do siebie kąty, pod którymi stykały się płaszczyzny dachu. Dach wydawał się zbyt duży; nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że z jednej strony nachylony jest zdecydowanie zbyt ostro. Cofnąłem się krok do tyłu, ale i tak wszystkie kąty wydawały się nienaturalne. Dałem krok w bok i znowu się zmieniły, ale w dalszym ciągu zupełnie nie pasowały do siebie. Fortyfoot House — chyba jeden z najbardziej perwersyjnych budynków, jakie zdarzyło mi się oglądać. Niezależnie z której strony się na niego spojrzało, zawsze wydawał się niezgrabny, brzydki i pozbawiony proporcji.

Jego niezgrabność była tak konsekwentna, że zacząłem podejrzewać, że architekt umyślnie zaprojektował go w ten sposób. Z każdego punktu widziało się tylko fasadę, płaską płaszczyznę bez żadnej głębi.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że za ścianami, które właśnie oglądam, nie ma nic oprócz zaniedbanego pustego ogrodu. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że poza ścianami, które właśnie oglądam, Fortyfoot House po prostu nie istnieje.

Danny odsunął moją rękę, stanął na murku i zeskoczył w dół. Stawiając ciężko kroki ruszył skrajem ogrodu obok splątanych, pozbawionych liści różanych krzewów, a ja szedłem za nim, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Jak mogliśmy razem z Janie tak go skrzywdzić? Czasami wydawało mi się, że byłoby lepiej, gdybyśmy go w ogóle nie spłodzili. Przypominało to hodowlę przeznaczonych do odstrzału dzikich kaczek.

— Myślę, że na strychu jest szczur — powiedziałem, kiedy stąpając po wysypanej żwirem ścieżce mijaliśmy stajnię.

Nie odpowiedział.

— Kiedy kupimy tę latarkę, pójdziemy go poszukać, dobrze?

Zatrzymał się, obrócił i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

— Szczury gryzą.

— Zgadza się. Ale jeśli założysz grube spodnie i rękawice, nic prawdopodobnie ci się nie stanie. Na ogół zresztą one bardziej boją się nas niż my ich. Widziałem je w kanałach.

— Mógłbym zabrać mój pistolet na wodę — zaproponował Danny.

Wzięłem go za rękę.

— Tak, mógłbyś — powiedziałem. — Być może mógłbyś napełnić go czerwonym atramentem, tak jak to robią w komiksach. Wtedy, gdybyś trafił, wyglądałoby to jak krew; i gdybyśmy zobaczyli jeszcze raz tego szczura, wiedzielibyśmy, że to ten sam.

Spodobał mu się ten pomysł. Towarzyszył mi w drodze dookoła domu, oceniając wraz ze mną stan krzaków rododendronów, a także wypowiadając kilka rozsądnych uwag na temat dużej ilości żwiru na podjeździe i stanu, w jakim znajdował się dach.

Boże, jak ja go kochałem.

Opowiadał, jak to będzie, kiedy pójdzie do szkoły, a potem o telewizyjnym serialu „Button Moon” i o tym, dlaczego zdecydował się zmienić komiks na „Beano”, który jest bardziej poważny. Zapytał mnie, czy mógłby rzucić swojego misia tak wysoko, żeby ten wszedł na orbitę. To znaczy, gdyby zakręciłby nim bardzo szybko i potem wypuścił z ręki? Bał się spróbować, żeby nie stracić przypadkiem na zawsze swojego misia, tym bardziej że dostał go przecież od mamy. Na pewno byłaby załamana, gdyby go stracił.

Usiedliśmy na pomalowanej na biało ławce z lanego żelaza i popatrzyliśmy przez ogród w stronę morza.

Trawa i chwasty sięgały nam aż do kolan, a ciepły wiatr owiewał twarze i targał włosy.

— Czasami ludzie nie mogą ze sobą żyć — powiedziałem. — Kochają się, ale po prostu nie mogą ze sobą żyć.

— To głupie — stwierdził Danny.

— Tak — zgodziłem się. — To głupie. — Po dłuższej chwili powiedziałem: — Pięciu krasnoludków dostało po śledziu, ale tylko czterech po szklance kefiru. Czego nie dostał piąty krasnoludek?

— Szklanki kefiru.

— Nie, gapo. Rozwolnienia.

Danny spojrział na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

— To bzdury.

— Oczywiście. Wszystkie żarty to bzdury. Ale rozśmieszają ludzi i tylko to się liczy.

Podczas gdy Danny nucił pod nosem i kiwał nogami, ja przyglądałem się z zaciekawieniem Fortyfoot House. Nawet stąd, od frontu, kształt dachu wydawał się przedziwny. Widziałem wychodzące na południe okno mojej mansardy i opadające ukosem po jego obu stronach dachówki; dziwne, ale wbrew moim oczekiwaniom zachodnia ściana domu wznosiła się całkowicie pionowo, aż do szczytu dachu — mimo że z tej strony sufit mojego pokoju był pochyły.

Innymi słowy między pochyłym sufitem a pionową ścianą domu musiała istnieć dziwaczna zamurowana przestrzeń w kształcie odwróconej piramidy.

Najbardziej jednak zagadkowy w całej koncepcji zamurowanej przestrzeni był fakt, że gdy osłoniłem dłonią oczy, zobaczyłem pod warstwą białej zaprawy niewyraźny prostokątny zarys — tak jakby kiedyś znajdowało się tam okno, które bardzo dawno temu zostało zamurowane i otynkowane. W przeszłości zatem mój pokój musiał mieć pionową zachodnią ścianę, z osadzonym w niej oknem, wychodzącym na rosnące za grządkami truskawek wysokie jodły.

Nie mogłem sobie wyobrazić żadnej logicznej przyczyny, dla której to okno zostało zamurowane, a sufit nachylony, tak jakby znajdował się pod opadającym dachem. Może okazało się, że belki spróchniały albo zamokły, może stwierdzono jakąś wadę konstrukcyjną. Ale skasowanie okna nie wydawało się sensownym sposobem rozwiązania żadnego z tych problemów. Siedziałem przez dłuższy czas, wpatrując się ponurym wzrokiem w dach. W końcu Danny przestał śpiewać.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — odparłem.

On także przyjrzał się dachowi.

— Kiedyś było tam okno — stwierdził.

— Masz rację. Zamurowali je.

— Dlaczego?

— Właśnie się nad tym zastanawiam.

— Może nie chcieli, żeby ktoś wyszedł na zewnątrz.

— Może nie chcieli — zgodziłem się machinalnie. — Dlaczego na zewnątrz? — zapytałem po chwili.

— Okno jest za wysoko, żeby ktoś wszedł przez nie od zewnątrz — wytłumaczył mi Danny.

Kiwnąłem głową. Zawsze imponował mi analityczny umysł dzieci. Obalają wszelkie wykręty i kompromisy, które gotowi są zaakceptować dorośli, i widzą wszystko w wyraźnym świetle, niczym w książce z obrazkami. Mają także coś jeszcze. Szósty zmysł: bliski kontakt z naturą. Potrafią rozmawiać z drzewami, zwierzętami i żabami i czasami doczekują się nawet odpowiedzi.

— Zastanawiam się, kto mieszkał w tym pokoju — oznajmił Danny.

— Co masz na myśli?

— Zastanawiam się, kim był, skoro nie chcieli go wypuścić.

— Aha — powiedziałem. — No tak.

Ruszyliśmy z powrotem w stronę patio, ojciec i syn, obaj ze splecionymi dostojnie z tyłu dłońmi.

— Czy mama nas odwiedzi? — zapytał Danny.

— Nie wiem — odparłem. — Chyba nie. W każdym razie nie teraz. Ma dużo do roboty tam w Durham, razem z tym Raymondem.

— Możesz się zawsze jeszcze raz ożenić — stwierdził.

Uśmiechnąłem się do niego i potrząsnąłem głową.

— Nawet o tym nie myślałem. Jeszcze nie.

— Ale inaczej będziesz samotny.

— Jak mogę być samotny? Mam przecież ciebie.

Danny wyciągnął rękę i zdecydowanym ruchem ujął moją dłoń.

— Może pójdziemy obejrzeć cmentarz? — zapytałem.

Wszystko było lepsze od chodzenia wokół tego domu. Jego kształty wyprowadzały mnie z równowagi, a poza tym nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Fortyfoot House istnieje nie tylko tutaj, ale także gdzie indziej: w ten sam sposób jak patyk, który wsadzony w wodę wydaje się nam złamany. Który kąt jest prawdziwy? Który świat?

Przecieliśmy ogród i zesłiśmy w dół, docierając do brzegu strumienia. Był jasny, głośny i bardzo zimny; skryty w zielonym cieniu paproci płynął o wiele bystrzej, niż się spodziewałem. Balansując rękoma przeszliśmy po omszałych kamieniach na drugą stronę i wspięliśmy się na stromy zaokrąglony pagórek, za którym widać było bramę cmentarza. Niesiony przez wiatr intensywny zapach dzikiego tymianku przypominał mi jakąś osobę albo rzecz, którą znałem bardzo, bardzo

dawno temu. Dziwne, trudne do określenia uczucie. Im usilniej próbowałem sobie przypomnieć, kto lub co to może być, tym bardziej ulotne stawało się wspomnienie. Danny przelazł przez pokruszony, porośnięty mchem mur, ale ja poszedłem dalej i otworzyłem skrzypiącą bramę.

Na cmentarzu wiatr nie wiał tak mocno i było o wiele cieplej. Szliśmy ramię przy ramieniu przez wysoką suchą trawę, a do naszych uszu dochodziło monotonne skrzypienie i pojękiwanie cedru. Wokół nas tańczyły bielinki. Całe miejsce tchnęło wszechobejmującym poczuciem spokoju i beczasowości. Mogliśmy tu spacerować któregokolwiek letniego dnia; albo nawet równocześnie w ciągu kilku letnich dni. Nie istniał tutaj żaden kalendarz. Przeszłość mieszała się z przyszłością.

Podeszliśmy do pierwszego grobu, przechylnego białego kamienia, na którym wyryto ślepą twarz anioła. GERALD WILLIAMS, ZASNAŁ W PANU 7 LISTOPADA 1886, PRZEŻYŁ 7 LAT.

— Nie był zbyt stary, prawda? — stwierdził Danny, dotykając koniuszkami palców napisu.

— Nie. Miał tyle samo lat, co ty. Ale w tamtych czasach dzieci umierały na choroby, na które dzisiaj nie umierają. Na przykład na świnkę, szkarlatynę albo koklusz. Nie było lekarstw, które by im pomogły.

— Biedny Gerald Williams — powiedział Danny, najwyraźniej autentycznie poruszony.

Położyłem mu rękę na ramieniu i przeszliśmy do następnego nagrobka. Był marmurowy i przypominał kształtem otwartą Biblię. SUSANNA GOSLING, NIECHAJ SPOCZYWA W POKOJU. ZMARŁA 11 LISTOPADA 1886 W WIEKU PIĘCIU LAT.

— Znowu dziecko — stwierdził Danny.

— Może mieli tu jakąś epidemię — powiedziałem. — Wiesz, kiedy wszyscy w całym miasteczku albo wiosce zarażają się tą samą chorobą.

Podeszliśmy do następnego grobu, a potem do następnych. Anioł trzymający gałązkę oliwną. Wysoki celtycki krzyż. Zwykły prostopadłościan. I wszędzie epitafia dzieci. Dwunastoletni Henry Pierce. Sześćioletnia Jocasta Warren. Dziewięcioletni George Herbert.

Łącznie, obchodząc cały zarośnięty zielskiem cmentarz, naliczyliśmy sześćdziesiąt siedem grobów.

We wszystkich spoczywały dzieci. Żadne z nich nie miało mniej niż cztery i więcej niż trzynaście lat.

I wszystkie zmarły w ciągu dwóch tygodni w listopadzie tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku.

Zatrzymałem się przy na pół zwalonej ścianie kaplicy, pod pozbawionym szyb gotyckim oknem i rozejrzałem wokół siebie.

— Musiało tu się zdarzyć coś naprawdę dziwnego, skoro zmarły prawie jednocześnie.

— To musiało być to, co mówisz — powiedział, kiwając poważnie głową Danny. — Epidemia.

— Ale nie ma tu w ogóle dorosłych. Ani jednego. Jeśli wszystkie te dzieci zmarły na jakąś chorobę, wydawałoby się, że powinien się nią zarazić przynajmniej jeden dorosły.

— Może to był pożar — zasugerował Danny. — Kiedyś paliło się na przyjęciu urodzinowym Lawrence'a.

Jego mama wniosła tort i zapaliły się zasłony. W takim pożarze mogły zginąć wszystkie dzieci.

— Może masz rację. Ale gdyby to był pożar albo jakaś podobna katastrofa, wydawałoby się, że powinna się o nim znaleźć wzmianka na paru grobach.

— Gdyby przejechał mnie autobus, wcale nie chciałbym, żebyś o tym informował na moim nagrobku. Tu leży Danny, przejechany przez autobus.

— To co innego.

— Nie, to to samo.

— W porządku, to to samo. Zajrzyjmy do środka kaplicy.

— Do kościoła?...

— Coś w tym rodzaju. Kaplica to taki mały kościół.

Oba skrzydła wyblakłych drewnianych wrót wypadły z zardzewiałych zawiasów i zaklinowały się o siebie. Popchnąwszy jednak ramieniem drzwi z prawej strony zdołałem przesunąć je o jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów i razem z Dannym wślizgnąłem się do środka.

— Nie zaczep koszulką o ten gwóźdź.

Kaplica nie miała dachu. To, co z niego zostało, leżało u naszych stóp: setki potłuczonych dachówek, pomiędzy których wyrastała trawa, podbiał i oset. Ściany wciąż pokrywał biały tynk, choć tu i tam znaczyły go czarne zacieki, a całą zachodnią ścianę obrósł szeleszczący bluszcz. Stąpając po dachówkach dotarliśmy do wysokiego ołtarza z piaskowca i rozejrzeliśmy się dookoła. Miejsce nie sprawiało wrażenia świętego; raczej zapomnianego przez Boga i ludzi. Jedyne wiernymi były tu ptaki, a zamiast hymnów słyszało się pojękiwanie cedrów.

— Trochę tutaj strasznie — zawyrokował Danny.

— Nie ma się czego bać. To dlatego, że cała kaplica jest taka zrujnowana.

Ruszyliśmy wolno z powrotem w stronę drzwi.

— Popatrz tam. Nogi — powiedział nagle Danny.

— Nogi? O czym ty mówisz?

— Tam, zobacz. — Podszedł do zachodniej ściany i pokazał palcem miejsce pod powojem. Rzeczywiście spod liści wystawała para namalowanych na murze nagich stóp.

— To malowidło ściennie — stwierdziłem. — Prawdopodobnie jedna ze stacji krzyżowych.

— Jaki tam jest obraz? — zapytał.

— Zaraz ci pokażę. — Złapałem obiema rękami za bluszcz i powoli zacząłem odrywać go od muru.

Wydawał dźwięk przypominający rozdierane płótno i czepiał się ściany, jakby miał tysiące palców. Ale stopniowo udało mi się odsłonić namalowaną na tynku białą szatę, a potem rękę, szarfę i drugą rękę.

— Zobacz, to chyba Pan Jezus — powiedziałem Danny'emu. Ale kiedy pociągnąłem bluszcz po raz ostatni w dół i na ziemię spadła z szumem wielka sterta liści, ujrzeliśmy prerafaelicki obraz, przedstawiający kobietę ze splątanymi rudymi włosami, czerwoną opaską na głowie i niezwykłą, przepojoną dramatyzmem twarzą. Większość kolorów wyblakła pod wpływem pogody i wysuszającego działania bluszczu, a jednak cały obraz wciąż przyciągał wzrok i był tak żywy, że wydawało się nieomal, jakby miał zaraz do nas przemówić.

Najbardziej jednak uderzył mnie nie przejmujący realizm malowidła, ale coś, co wiło się wokół szyi kobiety. Farba w tym miejscu wyblakła i zniszczyła się, więc początkowo wydawało mi się, że to ciemny, futrzany kołnierz. Kiedy jednak przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem, że to olbrzymi szczur, a w każdym razie stworzenie, które bardzo przypomina szcura. Miało białe zbrodniczy pysk i skośne oczy, a ich spojrzenie było bardziej ludzkie niż zwierzęce. Kpiące, wyrachowane i chytne.

— To nie jest Pan Jezus — stwierdził stanowczym głosem Danny.

— Nie, to nie Pan Jezus.

— Więc kto?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia.

— Co to za straszna rzecz na jej ramionach?

— Chyba szczur...

— Jest straszny.

— Masz rację. Zasłońmy ją z powrotem.

Próbowałem zakryć malowidło bluszczem, ale oderwane od muru pędy nie chciały teraz wrócić na stare miejsce. W końcu musiałem zostawić obraz odsłonięty — złowieszczą kobietę i szcura,

który nie był szczurem. Z jakiegoś powodu oboje wywarli na mnie bardzo nieprzyjemne i denerwujące wrażenie.

Jeszcze bardziej denerwująca wydała mi się zawarta w malowidle sugestia, że oboje pozostają w stanie jakiejś tajemnej symbiozy, a kobieta potrzebuje tego szczura tak samo mocno, jak on jej.

— Możemy już iść? — zapytał Danny. Kiwnąłem głową, zdając sobie jednocześnie sprawę, że trudno mi oderwać wzrok od rysunku.

Danny wyprzedził mnie i wdrapał się na stos połamanych dachówek i kamieni, żeby wyrzeć przez gotyckie okno.

— Widać stąd plażę! — zawołał. — Zobacz, tam jest tylna furтка do naszego ogrodu.

Stałem obok niego i oparłem się łokciami o kamienny parapet. Roztaczał się stąd wspaniały widok — dojrzałe drzewa, ogrody, ścieżka biegnąca w dół w stronę morza. Z tej odległości ogrody wydawały się zadziwiająco dobrze utrzymane. Nawet krzaki truskawek były elegancko wypielone, a przez siatkę błyszczały pojedyncze czerwone owoce. Staw rybny połyskiwał w porannym słońcu, odbijając sunące wolno po niebie chmury.

— Tam płynie rybak — powiedział Danny. Nad koronami drzew zobaczyłem trójkątny rdzawy żagiel halsującej powoli do brzegu łodzi.

— Któregoś dnia wybierzemy się na przejażdżkę łódką — obiecałem. — Jeżeli przyrzekniesz, że nauczysz się pływać.

— Mógłbym założyć na ramiona nadmuchiwane skrzydełka — zasugerował Danny.

Spojrzałem na Fortyfoot House. Skąpane w promieniach słońca tynki wydawały się o wiele jaśniejsze.

Nawet okna błyszczały o wiele jaśniej. I dziwna rzecz: przysięgłbym, że wszędzie wiszą franki, chociaż na razie zawiesiłem je wyłącznie w mojej sypialni i w pokoiku Danny'ego.

Zmarszczyłem brwi i zmrużyłem oczy. Coś tutaj było zdecydowanie nie tak. Oglądany z tego miejsca Fortyfoot House nie był zniszczonym, pokrytym zaciekami domem, który kazano mi odnowić. Oglądane stąd ogrody nie tworzyły zarośniętego chwastami gąszczu, który miałem uporządkować i wypielić. Fortyfoot House wydawał się prawie nowy, a ogrody starannie wypielęgowane.

Wszystko wyglądało dokładnie tak jak na starej fotografii, która wisiała na dole w holu... i przedstawiała Fortyfoot House w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym.

Przeszedł mnie długi powolny dreszcz; miałem wrażenie, jakby ktoś polał mi plecy lodowatą wodą.

Spojrzałem z powrotem na domki przy plaży. Nie różniły się specjalnie od tych, które oglądałem wcześniej, tyle że zniknęły gdzieś anteny telewizyjne. Widziałem je także o wiele wyraźniej, mniej

bowiem rosło po drodze drzew i żywopłotów.

Spojrzałem w dół na cmentarz. Równo skoszona trawa, na okrągłych rabatkach kwitły pelargonie.

Groby zniknęły. Nie było ani jednego.

— Danny — powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu. — Myślę, że powinniśmy już wracać.

— Chcę tylko zobaczyć, jak łódź zarzuca kotwicę.

— Możesz pobiec na plażę i zobaczyć to z bliska.

Ale zanim zszedłem ze sterty gruzu, zobaczyłem, jak jakiś mężczyzna wychodzi przez kuchenne drzwi Fortyfoot House i przecina pewnym, spokojnym krokiem zalane słońcem patio. Miał na sobie czarny frak i czarny wysoki cylinder. Idąc trzymał się za klapy i rozglądał na lewo i prawo, tak jakby przeprowadzał inspekcję.

Znalazłszy się na środku trawnika zatrzymał się i założył ręce do tyłu, najwyraźniej rozkoszując się morską bryzą.

W tej samej chwili moją uwagę przyciągnęło coś innego. W jednym z górnych okien błysnęła przez mgnienie oka czyjaś blada twarz. Natężyłem wzrok i przez krótką chwilę wydawało mi się, że poznaję charakterystyczny kształt gryzonia, który spoczywał na ramionach kobiety ze ściennego malowidła.

A potem zarys zniknął; okno było z powrotem ciemne.

— Hej! — zawołałem do mężczyzny na trawniku. Jeśli istniał naprawdę, jeśli nie był złudzeniem, powinien mnie usłyszeć. — Hej, proszę pana! — wrzasnąłem. — Tak, do pana mówię!

— Kto to jest? — zapytał Danny.

— Ty też go widzisz?

— Oczywiście. Ma na głowie taki śmieszny kapelusz.

— Hej, proszę pana! — krzyknąłem ponownie, machając ręką.

Odwrócił się i spojrzał z ponurym, niezadowolonym wyrazem twarzy w stronę kaplicy. Przez chwilę się wahał, tak jakby zastanawiał się, czy wyjść nam na spotkanie. Ale potem odwrócił się z powrotem i ruszył szybkim krokiem w kierunku domu.

— Hej! — zawołałem. — Hej, niech pan poczeka!

Ale mężczyzna nie zwracał już uwagi na moje krzyki i stawiając długie kroki zmierzał w stronę kuchennych drzwi.

Drzwi otwierają się na oścież i wpada do środka — wielki Człowiek-Nożyce z długimi czerwonymi nogami!

— Chodź, Danny! — powiedziałem. — Musimy go dogonić.

Zbiegliśmy na dół i prześlizgnęliśmy się przez uchylone drzwi kaplicy. Na zewnątrz uświadomiłem sobie z zaskoczeniem, że cmentarz znowu jest zarosnięty i że nagrobki stoją tam, gdzie stały poprzednio — przechylone i zaniedbane, ale prawdziwe, istniejące tu i teraz. Puściliśmy się pędem po trawiastym zboczu, balansując rękoma przeszliśmy strumień i ciężko dysząc wdrapaliśmy się na porośniętą trawą wzgórze. Stąpając po wyłożonym ceglami patio zobaczyłem, że drzwi do kuchni są lekko uchylone. Wiedziałem z całą pewnością, że wychodząc z domu zamknąłem je za sobą.

Dałem znak Danny'emu, żeby trzymał się za mną z tyłu, i jak tylko mogłem najostrożniej i najciszej, podszedłem do drzwi. Uchyliłem je trochę szerzej, a potem pchnąłem mocno do środka. Walnęły o ścianę, zadrżały i znieruchomiały.

— Kto tam? — zawołałem. — Ostrzegam, że to własność prywatna!

Żadnej odpowiedzi. Doleciał mnie zapach stęchlizny: odór zapchanych rur, zbyt długo nie otwieranych szafek i proszku Domestos. Padające przez metalowe ramy promienie słońca dzieliły kuchnię na osobne kwadraty.

Przez chwilę nasłuchiwałem.

— Wiem, że pan tu jest — krzyknąłem ponownie. — Chcę, żeby pan stąd wyszedł.

Naprawdę chcesz, żeby wyszedł? Ten ponury mężczyzna w wysokim cylindrze?

— To własność prywatna. Chcę, żeby pan stąd wyszedł, i to natychmiast.

— Czy ktoś tam jest, tato? — zapytał Danny.

— Nie wiem — odparłem. — Nikogo nie słyszę, a ty?

Danny zwinął dłoń wokół ucha i zmarszczył brwi.

— Tylko morze.

Dałem dwa albo trzy kroki do środka. Ze wszystkich domowych pomieszczeń kuchnia jest zawsze najbardziej żywa, kiedy w domu mieszka rodzina; i najbardziej martwa, kiedy miejsce jest opuszczone.

Na wbitych w ścianę hakach wisiały kuchenne przybory: wyżłobiona łyżka, ubijak do kartofli i duży widelec.

Przypalona i popękana emalia na ich rączkach najlepiej świadczyła, jak długo musiały być

używane.

Ale teraz były zimne i czyste, teraz nikt ich nie dotykał. Utensylia pamięci, z których dawno wywietrzała miłość, troska i smak ostatniej kolacji.

— Jeśli ktoś tu jest, niech lepiej wyjdzie — ostrzegłem. — Mam zamiar wezwać policję.

Przez dłuższy czas trwała cisza, a potem usłyszałem szybkie szuranie stóp w holu i odgłos otwieranych frontowych drzwi. Bez chwili wahania (chyba postradałem zmysły) przebiegłem przez kuchnię i otworzyłem drzwi do holu, w sam raz żeby zobaczyć ciemny zarys postaci, która wyskoczyła z domu i pognąła jak szalona stromym żwirowanym podjazdem.

Rzuciłem się za nią w pogoń, ale już po chwili zdałem sobie sprawę, że wcale nie ścigam mężczyzny z bokobrodami i w wysokim cylindrze. Wybiegając na drogę, która prowadziła do Bonchurch, zobaczyłem, że ucieka przede mną ubrana w czarną bluzę i płócienne szorty niska blondynka, z zawieszoną na ramieniu, objającą się o plecy, brezentową wypchaną torbą.

— Niech się pani zatrzyma! — zawołałem zdyszany. — Na litość boską, wcale nie zamierzam wzywać policji.

Zatrzymała się i oparłszy dłonie na kolanach próbowała złapać oddech.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiedziałam, że ktoś tu mieszka.

Zastygliśmy oboje, ciężko dysząc, w głębokim cieniu wiązów. Danny wyszedł przez frontowe drzwi i stojąc w słońcu bacznie się nam przyglądał.

— Przepraszam — powtórzyła dziewczyna. Zgarnęła do tyłu włosy i podniosła głowę. — Naprawdę nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Przyjrzałem się jej od stóp do głów. Nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście albo dwadzieścia lat.

W owalnej angielskiej twarzy tkwiły bardzo szerokie oczy o błękitnofioletowej tęczę. Nosiła tanią srebrną biżuterię, jaką z upodobaniem obwieszają się studentki: kolczyki w kształcie kółek i pierścionki z półszlachetnymi kamieniami. Mówiła literackim angielskim, ale można się w nim było doszukać lekkich naleciałości pochodzących, jak mi się wydawało, z Home Counties: Hampshire, względnie środkowe Sussex. Właściwie była bardzo ładna, choć jej uroda wydawała się jeszcze trochę nieuformowana. Takie przynajmniej wrażenie mógł odnieść trzydziestotrzyletni facet z siedmioletnim synem i rozbitym małżeństwem na karku. Była poza tym niska, od czego prawdę mówiąc odwykłem u kobiet: w czarnej bluzie

Knebworth Rock Concert wyglądała na całkiem dobrze zbudowaną, nie mogła jednak mieć więcej jak metr sześćdziesiąt wzrostu.

— Czego pani tam szukała? — zapytałem.

— Niczego nie szukałam. Przyjaciół powiedział mi, że dom jest pusty.

— I co z tego?

— Chciałam tutaj zamieszkać przez lato. Nie stać mnie na pokój. To znaczy, mogłabym coś wynająć, ale wtedy nie opłacałoby mi się tu pracować.

— Rozumiem — odparłem, rozglądając się. — Nie widziała pani przypadkiem w domu żadnego mężczyzny?

— Mężczyzny?

— Wszedł do domu. Był ubrany w coś w rodzaju ciemnej marynarki i wysoki cylinder. Wyglądał trochę staroświecko.

Pociągnęła nosem i potrząsnęła głową.

— Nie. Nie widziałam nikogo takiego.

— Przepraszam, że panią goniłem. Zobaczyłem go w ogrodzie i myślałem, że to pani. Mam opiekować się tym domem i doprowadzić go do porządku.

— Rozumiem — powiedziała.

— Cholernie tu dużo roboty — dodałem.

— Ale dom jest taki uroczy, prawda? — zauważyła.

Kiwnąłem głową i wzruszyłem ramionami. W tej chwili nie wiedziałem dokładnie, jaki jest mój stosunek do Fortyfoot House. Po spotkaniu z tym stworzeniem na strychu i po tym, jak zobaczyłem przez okno kaplicy ubranego na czarno mężczyznę, wcale nie byłem taki pewien, czy chcę zostać.

Dziewczyna poprawiła na ramieniu torbę.

— Chyba lepiej już pójdę.

— Dokąd się pani wybiera?

— Słyszałam, że w Ventnor jest pusta gręplarnia. Może tam mi się uda...

— Niech pani posłucha... — zacząłem, spoglądając na Danny'ego, który ruszył sztywnym krokiem w naszą stronę. — Właśnie wybieraliśmy się na plażę, żeby się czegoś napić. Może ma pani ochotę pójść z nami? Mogłaby pani zostawić torbę tutaj.

— Wspaniały pomysł — odparła. — Jeżeli oczywiście nie pogniewa się pańska żona.

— Moja żona odeszła. Jestem teraz sam z Danny'm.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko do małego.

— Cześć, Danny. Jestem Elizabeth. Możesz mówić do mnie Liz, ale nie Lizzie. Nienawidzę, jak ktoś mówi do mnie Lizzie.

— Cześć — odpowiedział podejrzliwie Danny.

Myślę czasami, że gdyby mój syn miał karabin maszynowy zamiast oczu, skosiłby ogniem ciągłym każdą dziewczynę, do której się odezwę. Jego mama odeszła, ale on wciąż zaciekle pilnował jej praw.

— Elizabeth idzie z nami na drinka — poinformowałem go. — Może masz ochotę na loda?

Danny kiwnął głową.

— Załatwiłam sobie wakacyjną pracę w Parku Ptaków Tropikalnych — powiedziała. — Możecie tam mnie odwiedzić. Załatwię wam darmowe wejście. Pan też — zwróciła się do mnie — może mi mówić Liz.

— No dobrze — zgodził się Danny.

— Proszę tędy. — Wziąłem jej torbę i ruszyliśmy razem z powrotem w stronę domu.

— Zajmujesz się ptakami zawodowo? — zapytałem. — Jesteś ornitologiem czy kimś w tym rodzaju?

— Nie, jestem studentką. Studiuję na trzecim roku nauk społecznych w Essex. I wcale nie będę się zajmować ptakami. Nienawidzę ptaków. Nie mogę znieść tych ich paciorkowatych małych oczu. Będę piekła hamburgery.

Weszliśmy do domu. Danny wyprzedził nas i pobiegł do kuchni.

— Jest jakaś szczególna przyczyna, dla której wybrałaś właśnie Wight? — zapytałem Liz.

— Nie wiem. To wyspa. Wyspy są zawsze inne. Jakby zawieszane w czasie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Tak — odparłem. — Rozumiem, co masz na myśli. — Z jakiejś przyczyny jej obecność naprawdę podnosiła mnie na duchu. — Możesz zostawić tutaj swoją torbę. Kafajka jest już na pewno otwarta.

Rozejrzała się dookoła.

— Z przyjemnością bym tu zamieszkała. Całkiem luksusowe warunki w porównaniu z tym, do czego jestem przyzwyczajona.

Wyszła w ślad za Danny'm na patio. Ja zostałem w kuchni i obserwowałem, jak stoją obok

siebie w słońcu. Danny powiedział coś i Liz kiwnęła głową, a potem energicznie gestykulując zaczęła mu z poważną miną coś wyjaśniać. Danny wpatrywał się w nią, tak samo poważny, i patrząc na nich wiedziałem, że się polubią. Liz była młoda i serdeczna, a Danny rozpaczliwie potrzebował kobiecego ciepła w swoim życiu. Ja się nie liczyłem. Ja potrzebowałem tylko trochę równowagi.

Z miejsca, w którym stałem, widziałem wiszącą na ścianie w holu fotografię Fortyfoot House. Po krótkim wahaniu wyszedłem z kuchni, żeby jej się przyjrzeć.

Na ścianie wisiało jeszcze kilka innych obrazków. Zakurzony, przedstawiający góry Kaszmiru olejny pejzaż, który według pani Tarrant, namalował z pamięci emerytowany oficer indyjskiej armii. Staloryt uwieczniający Regent Street w Londynie oraz fotografia „panicza Denisa Lithgowa, pierwszego chłopca, który poleciał do Egiptu i wylądował w Aleksandrii na pokładzie latającej łodzi Imperialnych Linii Powietrznych”.

I w końcu FORTYFOOT HOUSE, 1888. Ten sam dom i ten sam stojący w ogrodzie mężczyzna w czarnym fraku i wysokim czarnym cylindrze. Przyjrzałem się bacznie ilustracji; nie było żadnej wątpliwości, że ogród wyglądał dokładnie tak samo, jak z pustego okna kaplicy.

Gdyby Danny nie zobaczył go także, doszedłbym zapewne do przekonania, że cierpiałem na halucynacje, wywołane zmęczeniem, stresem, nagłą zmianą miejsc. Ale Danny widział go także. Fortyfoot House, dokładnie taki sam jak przed przeszło stu laty.

— Idziesz, tato? — zawołał Danny.

Przyjrzałem się po raz ostatni fotografii i ruszyłem z powrotem. Jednak wchodząc do kuchni, usłyszałem nagle, byłem tego pewien, odgłos drapania; tak jakby coś skradało się za ścianą, za listwami boazerii.

Zatrzymałem się i nadstawiłem ucha.

— Tato? No chodź już! — popędzał mnie Danny.

— Zaczekaj chwilę! — odkrzyknąłem nasłuchując.

To stworzenie wciąż było gdzieś w domu. Słyszałem to i czułem. Przebiegało zamurowane pomieszczenia, przestrzenie między ścianami i tunele. Nie mogłem się oprzeć straszliwemu wrażeniu, iż zdaniem tego stworu do niego właśnie należy cały dom, a ja i Danny jesteśmy tu tylko irytującymi intruzami.

Miałem również straszliwe przecucie, że to wcale nie szczur. Lecz coś o wiele, wiele bardziej przerażającego.

ROZDZIAŁ III

Beach Cafe

Przeszliśmy przez ogród, między drzewami, a potem przez prowizoryczny, przerzucony nad strumieniem drewniany mostek i przez tylną furtkę na zewnątrz. Przy biegnącej za ogrodzeniem alejce stały domki dla wczasowiczów; wszystkie co do jednego były pootwierane i mogliśmy bez przeszkód zaglądać do środka. Umebłowanie każdego składało się z ciemnych dębowych stołów i krzeseł, błyszczących mosiężnych ozdób i nieskazitelnie wyprasowanych lnianych obrusów — czysta parodia przytulnego nadmorskiego domku. Rudy kocur ziewał na parapecie jednego z nich między stojącymi w doniczkach pelargoniami.

Za ostatnim zakrętem, który Danny przebiegł, klapiąc sandałami po gorącym asfalcie, alejka opadała stromo w stronę morza. Plaża nie nadawała się zbytnio do kąpieli, brzeg był bowiem usiany skałami, a w wodzie unosiły się sterty brunatnozielonych wodorostów; ale na płyciźnie znajdowało się wiele bajerek, które Danny mógł penetrować podczas odpływu, a także mnóstwo małych zielonych krabów, które mógł łapać.

Weszliśmy do kafejki i usiedliśmy pod pomalowaną w biało-czerwone pasy markizą w okolonym kamiennym murkiem niewielkim ogródku. Starsza matrona w białym fartuchu podała nam dwie pół kwarty jasnego piwa i rożek lodów dla Danny'ego.

— Okropnie tu cicho w tym sezonie — powiedziała. — Przyjemnie jest zobaczyć nowe twarze.

— Wydaje mi się, że wszystkie zbiorowe wycieczki poleciały w tym roku na Korfu — odparłem.

— Proszę się nie martwić, wrócą w przyszłym roku, kiedy zorientują się, że nie ma tam nic ciekawego oprócz souvlaków z chipsami i wiecznego kaca po tequili.

— Na jak długo się tutaj państwo zatrzymali? — zapytała.

— Na całe lato — powiedziałem. — Będę remontował Fortyfoot House.

— To pan tam teraz mieszka? Tarrantowie nie zamierzają chyba sprowadzić się z powrotem?

— Nie, nie. Sprzedają dom.

— No tak. Czas już, żeby ktoś się tam sprowadził. Choć ja nie zamieszkałabym w nim za nic w życiu.

— Nie?

Potrząsnęła głową. Przypominała mi babcię z „Waltonów”.

— Po zmierzchu nie przekroczyłabym nawet bramy ogrodu. Liz się roześmiała.

— Nie wierzy pani chyba w duchy?

— Nie, nie wierzę — odparła kobieta. — Ale są tam światła i hałasy, a mnie nie interesują światła i hałasy.

— Jakiego rodzaju światła i hałasy? — zapytałem ją ostrożnie.

Liz parsknęła śmiechem.

— Nie próbuje mnie pan przypadkiem podpuścić? — dopytywała się nieufnie kobieta.

— Skądże znowu — zaprzeczyłem. — Musi pani wybaczyć mojej towarzyszce. Dopiero co przybyła z Uniwersytetu Essex. Należy do tych sceptycznych intelektualistek, które nie wierzą w nic, czego nie mogą dotknąć ręką.

— A pan? Kim pan jest? — naciskała kobieta.

Nie byłem przyzwyczajony, żeby ktoś zwracał się do mnie tak bezpośrednio.

— Ja... sam nie wiem... jestem po prostu facetem, który podejmuje się różnych dziwnych prac. Tu coś otynkuję, tam coś pomaluję. To wszystko.

— Spędził pan noc w Fortyfoot House?

— Tak — odparłem zaciekawiony.

— I nie słyszał pan żadnych hałasów?

— To zależy, co pani uważa za hałas. W każdym starym domu słyszać jakieś hałasy.

Kobieta potrząsnęła głową.

— W żadnym starym domu... żadnym starym domu na całym świecie nie słyszać takich hałasów jak w Fortyfoot House.

— No dobrze — przyznałem. — Coś było słyszać. Głównie na górze, na strychu. Przeciekające krany, jaskółki, wiewiórki.

— Jakies drapanie. Chrobotanie szczurzych pazurów. Dźwięki, których nie potrafi pan sobie wytłumaczyć.

Kobieta przypatrywała mi się uważnie przez dwuogniskowe okulary; jej oczy wyglądały, jakby pływały w kulistych akwariach. Było oczywiste, że próbuje mnie sprowokować.

— Nie, prawdę mówiąc, nie było żadnych niepokojących dźwięków. Wydaje mi się, że mówimy o dwóch różnych rzeczach.

— No tak — stwierdziła. — Więc może widział pan jakieś światła?

— Żadnych świateł. Tylko hałasy.

— Niech pan mi opowie, jak brzmiały — nalegała.

— Normalne dla zwierząt hałasy. Takie, jakie wydają szczury albo wiewiórki.

Wpatrywała się we mnie bacznie przez refrakcyjne szkła okularów.

— Nie słyszał pan, żeby ktoś płakał albo krzyczał?

Byłem autentycznie wstrząśnięty.

— Oczywiście, że nie. Nic z tych rzeczy.

— Przestańcie — wtrąciła z udawanym przerażeniem Liz. — Jestem śmiertelnie przerażona!

— I powiada pan, że nie widział żadnych świateł — powtórzyła kobieta, całkowicie ignorując moją towarzyszkę.

Potrząsałem głową.

— No tak. Może jeszcze przyjdzie pana kolej — oświadczyła, po czym zabrała szklanki i ruszyła z powrotem do kuchni.

— Proszę zaczekać — powiedziałem.

— Tak? — zapytała.

Miała pociągłą, naznaczoną czasem twarz, ostrożną i drobną.

— Niech pani mi opowie o tych płaczach i krzykach — poprosiłem.

Przez chwilę się zastanawiała, a potem potrząsnęła głową.

— To tylko moje urojenia — odcięła się.

— Niech pani mi opowie — nalegałem, ale ona ponownie potrząsnęła głową i wiedziałem, że nic już nie wskóram.

— To jakieś dziwactwa, prawda? — zapytała Liz, ujmując w swoje upierścienione palce kufel z piwem.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, robi to, żeby zabawić turystów — orzekłem. — Każdy lubi posłuchać opowieści o duchach.

— Ale ty słyszałeś jakieś hałasy?

Kiwnąłem głową.

— Tak, słyszałem. Nawet coś widziałem. Prawdopodobnie wiewiórkę albo szczura. Kiedy wrócę, mam zamiar poszukać w książce telefonicznej numeru rady gminnej i poprosić ich, żeby kogoś przysłali.

W jasnym świetle poranka ta rzecz, która przebiegła obok mnie na strychu, nie wydawała się już taka straszna. W końcu było tam kompletnie ciemno. Mogłem dotknąć starego płaszcza albo zasłony i też bym się śmiertelnie wystraszył. Człowiek ogarnięty przerażeniem wyobraża sobie najokropniejsze rzeczy.

Nie rozumiałem jeszcze, skąd wzięły się obrazy, które oglądałem przez okno kaplicy, ale zaczynałem skłaniać się ku podejrzeniu, że wszystko to było rodzajem iluzji, wynikłej ze zmęczenia i stresu. Liz wyszła do ogrodu, a ja natychmiast doszedłem do przekonania, że to mężczyzna z fotografii. Mój umysł wysnuwał przedwczesne wnioski.

Wszedłem do środka kafejki, żeby zapłacić. Stara kobieta siedziała przy jednym z plastikowych stolików, licząc pięcio- i dziesięciopensówki. Stałem przy niej, czekając, aż skończy. Na ścianie wisiała jaskrawo pomalowana gipsowa płastuga i ręcznie sporządzony napis: SMAŻONE RYBY I FRYTKI.

— Naprawdę widziała pani jakieś światła? — zapytałem.

Podniosła wzrok. W jej okularach odbijał się zakrzywiony obraz plaży.

— Tak — odparła. — Widziałam światła i słyszałam hałasy. Nie przesłabym obok tego domu w nocy, żeby nie wiem kto mnie prosił.

— Gdyby mogła pani powiedzieć coś więcej... jak pani godność?

— Kemble — przedstawiła się. — Ale jeśli pan chce, może się pan do mnie zwracać Doris. Wszyscy tak mówią. Właściwie mam na imię Dorothy, ale wszyscy nazywają mnie Doris.

— W porządku, Doris. Mam na imię David.

— Miło cię poznać — rzekła, układając monety w jednofuntowe stosy.

— Opowiedz mi o Fortyfoot House — poprosiłem. Wydęła wargi.

— Jeśli masz zamiar tutaj zostać, lepiej żebyś nie wiedział.

— Dom nie jest chyba aż tak niebezpieczny?

— Zależy, co rozumiesz przez słowo „niebezpieczny”.

— Słyszałem jakieś hałasy na strychu. Widziałem tam coś. Wydaje mi się, że to był szczur... Mam nadzieję, że to był szczur. Ale jest coś jeszcze.

Wyczuła w moim głosie powagę i uniosła wzrok.

— Dziś rano widziałem w ogrodzie mężczyznę.

— Tak? Jakiego mężczyznę? Może to był pan Brough? Przychodzi czasami, żeby oczyścić z rzęsy staw.

— Jak wygląda?

— Ma sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat; nosi na ogół oklapły letni kapelusz i szorty khaki.

— Nie, to nie on. Tamten był o wiele młodszy, ubrany na czarno i miał na głowie wysoki czarny cylinder. To zabawne, ale w holu domu wisi stara fotografia Fortyfoot House i widać na niej mężczyznę, który wygląda kubek w kubek tak samo jak ten, którego widziałem dziś rano.

— Młody pan Billings — oświadczyła z przekonaniem Doris.

— Zna go pani? — zapytałem zdumiony.

— Tak i nie. Słyszałam o nim. Ale nigdy z nim nie rozmawiałam. Człowiek nie może zbyt dobrze znać kogoś, kto umarł przed jego urodzeniem. Ale to był młody pan Billings, na pewno.

W tym momencie do kafejki weszła Liz. Oświetlona z tyłu promieniami słońca wydawała się jeszcze mniejsza i jaśniejsza.

— Danny mówi, że chce się czegoś napić — powiedziała.

— Wracamy już. Może wypić szklankę soku pomarańczowego w domu.

— Wyglądasz, jakbyś coś zgubił — stwierdziła.

— Pewnie moje szare komórki. Doris sądzi, że facet, którego widziałem dziś rano w ogrodzie, nazywa się Billings i że zmarł jeszcze przed jej narodzeniem.

— Co takiego? — parsknęła śmiechem Liz. — Twierdziła pani, zdaje się, że nie wierzy w duchy

— zwróciła się do pani Kemble.

— To nie był pan Brough — odparła Doris.

— Pan Brough czyści stawy rybne — wyjaśniłem.

— To był młody pan Billings — powtórzyła Doris. Wstała, wzięła z lady tacki z solą i pieprzem i zaczęła je hałaśliwie stawiać na stolikach. — W tym domu mieszkał stary pan Billings i młody pan Billings.

Pan widział młodego.

— Ale kim oni są? — zapytałem. — Albo raczej kim byli?

Doris walnęła ostatnim słoiczkiem o blat stołu i zaczęła pobrzękiwać plastikowym koszykiem z nierdzewnymi sztućcami.

— Stary pan Billings zaczął budować Fortyfoot House. Kiedy zmarł, budowę kontynuował młody pan Billings. Opowiadała mi o tym moja matka, która sprzątała w tym domu; było to oczywiście długo po śmierci młodego pana Billingsa. Ale w tamtych czasach mieszkało tu wciąż wielu ludzi, którzy wiedzieli, co się stało. Niedawno na temat Fortyfoot House ukazał się artykuł w gazecie. Na temat starego i młodego pana Billingsa. Ale to młody pan Billings napisał całą biedę.

— Jakiej biedy? — chciałem wiedzieć.

Do środka wszedł Danny.

— Tato... mogę iść na plażę? — zapytał.

— Skończ najpierw loda. I zdejmij skarpetki. Swoją drogą, nie wiem po co w ogóle nosisz skarpetki.

— Mama powiedziała, że muszę je nosić, żeby nie śmierdziały mi nogi. Jeśli będę nosił same sandały, będą śmierdzieć.

— W porządku — westchnąłem. — Ale zdejmij je, zanim wejdiesz do morza, dobrze?

Doris stanęła tuż przy naszym stoliku. Mówiąc kręciła bez przerwy na palcu swoją ślubną obrączkę, tak jakby to był różaniec, a ona odmawiała modlitwę. Ciepły, wiejący od plaży wiatr niósł cierpki zapach wodorostów. Słońce błyszczało w skalistych bajorkach niczym w okruchach stłuczonego lustra.

— Stary pan Billings zbił fortunę na cukrze, tak mi się wydaje. Był przyjacielem doktora Barnardo, jeszcze w czasach, kiedy ten pracował w londyńskim szpitalu. Kiedy doktor Barnardo otworzył pierwsze schroniska dla bezdomnych chłopców, stary pan Billings tak się zapalił do tego pomysłu, że szybko zbudował Fortyfoot House. To był sierociniec. Biedne dzieci z londyńskiego East Endu mogły zamieszkać tu nad brzegiem morza.

— Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, wydaje mi się, że coś mi się obilo o uszy — powiedziałem. — Czy nie nazywano go przypadkiem na początku Domem Billingsa?

Doris kiwnęła głową.

— Zgadza się. I miał bardzo dobrą opinię. Przyjechała tutaj z wizytą nawet królowa Wiktorja. Ale po dwu albo trzech latach stary pan Billings zmarł... albo został zabity, nikt nie wie na pewno. Ludzie mówią, że zginął w naprawdę straszny sposób. Sierociniec przejął młody pan Billings i od tego czasu wszystko się zmieniło. Przychodzili tu i odchodzili bardzo dziwni ludzie; był podobno

wśród nich facet z twarzą pokrytą brązowymi naroślami, na które nikt nie miał odwagi spojrzeć. Tak przynajmniej mówiła moja matka.

Kiedy byłam mała, o mało nie umarłam ze strachu, słuchając jej opowieści... A potem któregoś roku... nie pamiętam dokładnie kiedy... wszystkie sieroty zmarły w ciągu dwóch, trzech tygodni i nikt nigdy nie odkrył dlaczego. Podobno którejś nocy w domu widać było dziwne światła i najróżniejsze hałasy. Ludzkie głosy wykrzykiwały straszliwie głośno rzeczy, których nikt nie mógł zrozumieć. Następnego ranka odnaleziono młodego pana Billingsa, który całkiem postradał zmysły, tak przynajmniej mówią. Całkiem postradał zmysły. Twierdził, że odwiedził inny świat i widział rzeczy straszniejsze od tego, co kiedykolwiek dane było oglądać człowiekowi. Jego stan pogarszał się coraz bardziej i w końcu oszalał na dobre. Trzy lata później zamknęli go w Newport, ale udało mu się powiesić w celi i taki był jego koniec.

Posłałem Liz długie porozumiewawcze spojrzenie. Z każdą minutą cała opowieść coraz bardziej upodobniała się do historii o Starym Żeglarzu. Coś w sam raz dla turystów. W sam raz do opowiadania w późne letnie wieczory, kiedy wydłużają się cienie. Wszystko to upewniało mnie w przekonaniu, że jeżeli rzeczywiście jest coś dziwnego w Fortyfoot House, to wynika wyłącznie z otaczającej go atmosfery, silnego powiązania z tym, co działo się w przeszłości, a także z faktu, że jest taki zaniedbany. Nie ma natomiast nic wspólnego z duchami, światłami ani rzeczami „straszniejszymi od tego, co dane było kiedykolwiek oglądać człowiekowi”.

Dałem Doris pięć funtów i poprosiłem, żeby zatrzymała resztę.

Kiedy wychodziliśmy z kafejki, odprowadziła nas aż do osadzonej w kamiennym murku furtki.

— Trzymaj oczy szeroko otwarte i uważaj na wszystko — powiedziała. — A kiedy zobaczysz jaskrawe światło, uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

— Dziękuję za dobrą radę — odparłem i wziąłem Liz za rękę.

Wdrapaliśmy się stromą ścieżką z powrotem do furtki. Dzień był gorący i w powietrzu unosił się mocny zapach pokrzyw i topiącego się asfaltu. Przeszliśmy między drzewami, przez mostek i z powrotem przez ogród. W falującym upale dom wyglądał jeszcze dziwniej, jakby nie bardziej realny od oświetlonego silnym światłem obrazu.

Liz zatrzymała się i spojrzała pod słońce, osłaniając dłonią oczy.

— Wynajmujesz pokoje letnikom? — zapytała.

— No nie wiem. Nie wiem nawet, czy mi wolno.

— Nie chodzi o mnie. Po prostu kogoś zobaczyłam. Wygląda przez okno na górze.

Zatrzymałem się i także osłoniłem oczy. Jeśli nie zawodził mnie wzrok, wszystkie okna były ciemne i puste.

— W którym oknie? — zapytałem.

— Tam pod dachem.

— Jak wyglądał ten ktoś?

— Nie wiem. Jakiś taki blady.

— Blady?

— Dokładnie rzecz biorąc: biały. Naprawdę biały. To mogło być odbicie. — Rozejrzała się dookoła.

— Albo mewa.

Doszliśmy do domu. Liz podała mi rękę.

— No to na razie. Dziękuję za piwo i opowieści o duchach. Musze się pośpieszyć, żeby ktoś nie zajął mi tej gręplarni.

Otarłem wierzchem dłoni pot z czoła.

— Jeśli chcesz, możesz tutaj zostać — powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

— Masz swoje własne problemy. Nie potrzebujesz na dodatek moich.

— No nie wiem. Wydaje mi się, że cieszyłbym się, mając jakieś towarzystwo.

Liz wzruszyła ramionami.

— W zasadzie nie szukam teraz żadnej znajomości — stwierdziła. — Nie w tej chwili.

— Naturalnie. Ja też nie. Absolutnie bez żadnych zobowiązań. Tylko ty, ja, Danny i młody pan Billings.

— Och, przestań! — powiedziała, wzdrygając się. Ale potem się uśmiechnęła. — No dobrze, to bardzo miło z twojej strony. Bez żadnych zobowiązań. Mogę jednak gotować. Jeśli zapłacisz za produkty, wcale mi to nie będzie przeszkadzać. Powinieneś spróbować mojego chili.

— Nareszcie jakaś odmiana. Od czasu, kiedy rozstaliśmy się z Janie, odżywiam się wyłącznie hinduskimi daniami na wynos. Nawet moi najlepsi przyjaciele twierdzą, że mam ognisty oddech.

Danny wypadł z domu, kręcąc wściekle ubijakiem do piany. To była albo dwusilnikowa motorówka, albo zaopatrzony w dwie lufy karabin maszynowy Gatlinga.

— Danny — zawołałem. — Co byś powiedział, gdyby Liz zamieszkała razem z nami? Przeszkadzałoby ci to?

Danny przestał kręcić ubijakiem i przez chwilę się namyślał.

— W porządku — odparł w końcu i pobiegł dalej.

Weszliśmy na górę i ruszyliśmy korytarzem. Na piętrze znajdowało się siedem pustych sypialni, ale tylko w trzech stały łóżka, a tylko na dwóch z nich leżały materace. Liz podskoczyła kilka razy na obydwu i postanowiła, że zajmie pokój naprzeciwko mojego. Oprócz łóżka stał tu tani lakierowany nocny stolik i niechlujnie wyglądający fotel, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Pomyślałem, że wszystko było lepsze od opuszczonej gręplarni.

— Możemy zrobić porządki, pomalować ściany i znaleźć ci jakieś zasłony — powiedziałem. — Zobacz, masz tutaj całkiem przyzwoity widok na podjazd.

Rzuciła na łóżko swoją brezentową torbę.

— Wspaniały pokój. Mogłabym zawiesić na ścianach parę plakatów.

Wyszliśmy razem na korytarz.

— Nie musisz tego wcale robić — rzuciła przez ramię. — I jeśli będziesz miał mnie dosyć, nie cierp w milczeniu. Powiedz po prostu „do widzenia” albo nawet „spływaj”. Wcale się nie obrażę.

Wyprzedzając mnie i wciąż mówiąc zeszła na dół. Kiedy jednak mijiałem drzwi na strych, byłem pewien, że słyszę odgłos skrobania: tak jakby jakieś ciężkie zwierzę opierało się o nie z drugiej strony, ale słysząc, jak się zbliżamy, uciekło szybko i cicho w górę schodów.

Uciekło w absolutną ciemność, gdzie czekało i nasłuchiwało. Zawahałem się u szczytu schodów, trzymając rękę na poręczy. Ten odgłos budził we mnie zimny dreszcz irracjonalnej, straszliwej odrazy. Przypominał mi szczury, które oglądałem w kanałach w Islington. Ale wydające go zwierzę musiało być jeszcze większe i jeśli to możliwe, brudniejsze.

Liz zatrzymała się na narożnym schodku i spojrzała na mnie.

— Coś nie w porządku? — zapytała. — Masz taką ponurą minę.

— Wydaje mi się, że powinienem się jeszcze czegoś napić — powiedziałem, ruszając w ślad za nią do kuchni.

ROZDZIAŁ IV

Szczurolap

Liz i Danny poszli przed lunchem do sklepiku, żeby kupić chleb, szynkę i pomidory. Po ich wyjściu zasiadłem w wielkim pustym salonie i wykręciłem numer rady gminnej wyspy Wight. W blasku słońca tańczyły drobiny kurzu.

— Mam szczura. Albo wiewiórki. Ale sądząc po hałasie to szczur.

— Cóż, bardzo nam przykro. Nie zajmujemy się już zwalczaniem gryzoni. Wszystko w ramach cięć.

Będzie pan to musiał załatwić we własnym zakresie.

— Mogłaby pani mi kogoś zaproponować?

— W okolicy Bonchurch? Może pan spróbować u Harry’ego Martina. Mieszka w Old Shanklin Village, to niedaleko.

— Nie ma pani przypadkiem jego numeru telefonu?

— Nie... prawdę mówiąc, nie sędzę, żeby w ogóle miał telefon.

Liz zrobiła kanapki z szynką i serem cheddar i urządziliśmy sobie piknik na trawniku pod gorącym zamglonym niebem. Mówiła głównie ona: była otwarta, bezpośrednia i autentycznie zabawna. Chciała pracować w samorządzie. Nie była marksistką-leninistką, choć z drugiej strony trudno by ją uznać za drugą Margaret Thatcher. Uważała, że potrafi być inna.

— Naprawdę wierzę, że potrafię coś zmienić — powtarzała z zapałem.

Pomyślałem, że to oczywiste. Być może z pewną dozą cynizmu, ale nie złośliwie. Wszyscy w tym wieku wierzą, że potrafią coś zmienić.

— Chcę być po prostu kimś, to wszystko — mówiła Liz. — Kimś sławnym. Chcę występować w telewizji i rozprawiać z fałszywym niemieckim akcentem o społecznych uwarunkowaniach.

— A jakie są te społeczne uwarunkowania?

Położyła się na plecach na starej brązowej zasłonie, którą zabrałem z domu w charakterze koca, i pociągnęła prosto z butelki zimne frascati.

— Takie, że mężczyźni traktują kobiety jak boginie, dopóki nie złapią ich w swoje sidła. A wtedy eksploatują je, znieważają, biją i oczerniają. I im bardziej je eksploatują, znieważają, biją i oczerniają, tym bardziej się to kobietom podoba.

— Tobie też? — zapytałem.

— Nie. W żadnym wypadku. Ale mnie nikt jeszcze nie złapał w swoje sidła.

— Nie wszyscy mężczyźni są prostytutkami i damskimi bokserami.

— Ci, których warto mieć, są tacy. Na tym polega straszliwy paradoks.

Usiadłem, żeby zerknąć na Danny'ego, który bawił się przy brzegu stawu.

— Uważaj, Danny! Woda jest głębsza, niż na to wygląda!

— Uwielbiasz go, prawda? — zapytała mnie, przymykając jedno oko przed słońcem.

— Naturalnie.

— Ale nie kochasz już jego mamy?

— W pewien sposób nadal ją kocham. Ale jakie to ma znaczenie? Mieszka teraz w Durham z jakimś brodatym gnojkiem, który nazywa się Raymond.

Liz pokiwała głową.

— Wiem, co masz na myśli. Znałam kiedyś faceta o imieniu Raymond. Był do niczego. Jeszcze w szkole oddawał na biednych wszystkie pieniądze, które starzy dawali mu na lunch, a potem podkradał cudze kanapki. Uważał się za świętego.

— Może i był święty.

Liz się roześmiała.

— Niezły święty. Kiedy skończył szkołę, złapano go na dachu magazynu w South Croydon, podczas kradzieży telewizorów.

Skończyłem kanapkę, wziąłem do ręki butelkę i pociągnąłem porządny łyk chłodnego wina.

— Po południu muszę pojechać do Shanklin Village, żeby porozmawiać ze szcurołapem. Czy może raczej z „pracownikiem pionu odszczurzenia”, jak nazywają ich dzisiaj.

— Mogę z tobą pojechać?

— Wolałbym raczej, żebyś popilnowała Danny'ego. Nie masz nic przeciwko temu?

Liz uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Z przyjemnością. Jest naprawdę słodki. Zapytał mnie, czy cię kocham. Wydaje mi się, że się zaprzyjaźnimy.

— Masz jakichś młodszych braci albo siostry?

Uśmiech spełził jej z twarzy i odgarnęła do tyłu włosy.

— Miałam młodszego brata o imieniu Marty. Ale był u nas pożar. Wiesz, jeden z tych starych parafinowych prymusów. Przewrócił się i Marty zajął się cały ogniem. Miał tylko cztery latka. Mama i tata o mało nie oszaleli ze zmartwienia.

— Przykro mi — powiedziałem tak łagodnie, jak mogłem.

Wydęła wargi.

— Nic nie można było poradzić.

— Co sądzisz o opowieści Doris? — zapytałem.

— O starym panu Billingsie i młodym panu Billingsie? Moim zdaniem wspaniała. Ale o starych domach zawsze słyszy się takie historie. Przy końcu naszej ulicy też stała rudera. Ludzie nazywali ją domem Laurelów. Stara kobieta, która tam mieszkała, zmarła na raka i wszystkie dzieciaki wmawiały sobie potem, że widzą jej przyciśniętą do okna na piętrze białą twarz; naprawdę białą z białymi włosami; i że stara krzyczy na nie, żeby wynosiły się z ogrodu, tak jak to robiła za życia, ale nic nie słysząc przez szybę. Straszylśmy się wzajemnie aż do oglupienia.

— Dzisiaj rano kogoś tu widziałem — stwierdziłem. — Wyglądałem przez okno kaplicy, tam na górze, i zobaczyłem, że ktoś stoi na środku trawnika.

Liz zamknęła oczy.

— Daj spokój, Davidzie, to mógł być ktokolwiek.

Przyjemnie było usłyszeć wypowiedziane przez kogoś innego własne imię. To jeden z luksusów, których naprawdę brakuje, kiedy człowiek jest sam.

Danny zawsze mówi do mnie „tato” i „tato” jest w porządku. Ale to nie było to samo, co „David” w ustach Liz.

— Lepiej już pójde — powiedziałem. — Dziękuję za kanapki.

Położyła się na starej brązowej zasłonie i przyjrzała mi się przez zmrużone oczy.

— Cała przyjemność po mojej stronie, monsieur. Co pan sobie życzy na kolację?

— A co powiesz na to chili, o którym wspominałaś?

— W porządku. Możesz kupić po drodze puszkę fasolki, kminek i przyprawę chili.

— Nic więcej? Nie sądzisz, że przydałoby się trochę mięsa?

Roześmiała się; i spoglądając wstecz sędzę, że w tym właśnie momencie zaczęły się pojawiać rysy na mojej miłości do Janie. Zrozumiałem, że są na świecie inne kobiety. Niekoniecznie Liz, ale w ogóle inne kobiety, które potrafią się śmiać i być urocze; i mogą się zaopiekować Dannym.

— Kup trochę mielonego — powiedziała. — Niezbyt tłustego.

Zostawiłem ją i ruszyłem przez ogród w stronę domu. Idąc uświadomiłem sobie, że w jednym z górnych okien tkwi blady zarys twarzy; twarzy, która mnie obserwuje.

Nie zamierzałem wcale podnosić wzroku i tam patrzeć. Fortyfoot House wymagał przede wszystkim silnej dozy sceptycyzmu i zdrowego rozsądku — nie należało po prostu przyjmować do wiadomości, że ludzie we frakach i cylindrach mogą spacerować po ogrodzie sto lat po swojej śmierci. Nie należało przyjmować do wiadomości, że po strychu mogą biegać kosmate chichoczące stworzenia ani że w oknach ukazują się blade twarze.

Jeśli o mnie chodziło, Fortyfoot House nie był niczym więcej jak starą rudera, wokół której nagromadziło się przez wszystkie te lata mnóstwo żalu, wspomnień i halucynacji. Być może nie było to dla mnie najlepsze miejsce do pracy, zważywszy rozstanie z Janie i mój raczej chwiejny charakter. Ale z całą pewnością nie nawiedzały tego domu żadne złe moce ani duchy. Nie wierzyłem, do diabła, w żadne „złe moce” i nie wierzyłem w duchy. Widziałem mego ojca, jak zamknięty w trumnie zniknął przy dźwiękach „The Old Rugged Cross” za czerwonymi pluszowymi kotarami krematorium w Worthing; i chociaż modliłem się, żeby do mnie wrócił, od tego czasu ani razu go nie oglądałem. Nie wpadłem na niego w bibliotece w Brighton ani nie widziałem, żeby tak jak to miał w zwyczaju wyprowadzał na spacer po plaży swojego bulteriera. Quod erat demonstrandum, przynajmniej dla mnie.

Wchodząc jednak w promieniach południowego słońca na patio zerknąłem ponownie w górę i zobaczyłem, że w oknie wciąż majaczy ten blady kształt — odbicie firanki, lustro czy jakieś inne diabelstwo.

Wszedłem do domu i wziąłem portfel i kluczyki. Ale czułem się tu jak intruz. Prawie jak włamywacz.

Fortyfoot House należał do kogoś innego. Nie do mnie i nie do Danny’ego. Nawet nie do Tarrantów.

Rozejrzałem się dookoła, wdychając kurz, wilgoć i zapach piwnicznego grzyba.

— Jest tu kto? — zawołałem. A potem głośniejszym głosem: — Jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi. I wtedy odmówiłem krótką modlitwę, której nauczyła nas w szkółce niedzielnej miss Harpole, stara panna z błyszczącym od pomady kokiem i specjalnymi przeciwsłonecznymi zasłonkami przy okularach.

Panie Jezu, uchron mnie przed kłami

Potworów, które wynurzają się spod ziemi.

Panie Jezu, strzeż mnie podczas snu

Przed bezkształtnymi stworzeniami i przed głębia...

Były jeszcze dalsze linijki, ale nie mogłem albo nie chciałem ich sobie przypomnieć. Szczerze mówiąc, ta modlitwa zawsze przerażała mnie jak wszyscy diabli. Myślę, że dosyć napędzały mi stracha normalne koszmary, które miewa pięcioletni chłopiec, żeby wysłuchiwać na dodatek opowieści kobiety o twarzy białej jak papier, która twierdziła, że rozerwą mnie na strzępy gromadzące się pod moim łóżkiem zmyry.

Wychodząc z domu i nie zamykając za sobą drzwi byłem pewien, że słyszę dobiegający z jednego z okien na piętrze przenikliwy odgłos drapania o szkło, ale nie odwróciłem się i ruszyłem zdecydowanym krokiem do samochodu.

Wsiadłem do środka i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Moje wyblakłe brązowe audi miało jedenaście lat i zanim zapaliło, za każdym razem rżało jak koń. Zwalniając ręczny hamulec rzuciłem szybkie spojrzenie do tyłu. Boże wszechmogący, istne bohaterstwo z mojej strony. Ale zobaczyłem wyłącznie ciemne okna i dziwnie powykrzywiany dach. Odczekałem jeszcze parę sekund, a potem hałaśliwie wycofałem samochód na wysypany żwirem podjazd i wyjechałem na drogę.

Jadąc wąskimi ocienionymi alejkami, które prowadziły do Shanklin Village, włączyłem samochodowe radio. Nadawali właśnie piosenkę Cata Stevensa „I'm Being Followed By A Moonshadow” i zacząłem śpiewać z nim w duecie.

Spomiędzy liści błyskało i mrugało jaskrawe słońce.

Szczurołap mieszkał na samym skraju Old Shanklin Village w małym, stojącym na wzniesieniu, oślepiająco białym domu z ogródkiem, który zaludniały ustawione wśród fluoryzujących pelargonii i żółtych i czerwonych chryzantem liczne odlane w betonie rzeźby. Były tu spoglądające bursztynowymi szklanymi oczyma, pomalowane na brązowo betonowe wiewiórki, betonowe gnomy, betonowy spaniel i betonowe koty; a także betonowy miniaturowy młyn, miniaturowa studnia życzeń i betonowy zamek.

Żona szczurołapa siedziała na leżaku na werandzie, robiąc na drutach coś brązowego i nieokreślonego.

Dość tęga, miała na głowie plastikowe lokówki i nosiła bawełnianą sukienkę z wymalowanymi na materiale kotwicami. Na podłodze obok leżaka stała pusta filiżanka i talerzyk z poprawiającymi trawienie biskwitami. Ogródek był tak mały, że kiedy zatrzymałem się przy furtce, mogłem niemal pochylić się i wyrwać jej z rąk robótkę. Nagle podniosła głowę.

— Słucham pana? — zapytała tak, jakby dopiero teraz mnie zauważyła.

— Szukam pana Harry'ego Martina.

— Tak? Kto ma do niego sprawę?

— W radzie gminnej powiedziano mi, że wciąż łapie szczury.

— Czyżby? Już dawno przeszedł na emeryturę.

— Czy jest w domu?

— Uderzył w kimono.

— Słucham?

— Uciął sobie popołudniową drzemkę. Ma sześćdziesiąt siedem lat. Potrzebuje snu.

— Naturalnie. Czy mam przyjść później?

W tym momencie rozmowę przerwało nam pojawienie się w drzwiach potężnego białowłosego mężczyzny, wpychającego do obszernych spodni poły koszuli. Cała jego twarz upstrzona była popękkanymi żyłkami, a powykęcany na wszystkie strony nos wyglądał, jakby przyciśnięto go mocno do szyby.

Harry Martin we własnej osobie.

— Usłyszałem, że pan o mnie pyta — powiedział. — Okno mojej sypialni jest tuż nad pana głową.

— Przepraszam. Nie miałem zamiaru pana budzić.

Otworzył furtkę.

— Proszę wejść. To nic nie kosztuje.

Pani Martin usunęła się z drogi, a jej mąż wprowadził mnie, popychając, do salonu. W wyklejonym welwetopodobnymi tapetami, tragicznie małym pokoiku stały wyściełane fotele i kredens, zastawiony mosiężnymi rybkami i porcelanowymi baletnicami. Jedną ścianę wypełniał olbrzymi telewizor; pochodził z lat sześćdziesiątych, podobnie jak stolik, który ugiął się pod stosami starych egzemplarzy „TV Timesa”.

— Niech pan się rozsiądzie — polecił mi, co też zrobiłem.

— Mam szczury — powiedziałem. — Albo raczej jednego szczura. Bardzo dużego.

— Hmmm — mruknął. — Pewnie przysłali tu pana z rady?

— Zgadza się.

— Nie zatrudniają już mnie na pełny etat; nie mają pieniędzy. To wszystko skutki tego nowego podatku pogłównego. Powiedziałem im, że nie będę więcej łapał szczurów, ale wciąż podsyłają mi ludzi. Zajmuję się teraz ogrodnictwem, to bardziej pewna robota.

— Mogę panu zapłacić uczciwą cenę — zaproponowałem.

— Dwanaście pięćdziesiąt. Tyle biorę. Plus wszystkie dodatkowe wydatki, takie jak wymiana pękniętej rury albo zamurowanie ściany.

— Cena wydaje się rozsądna.

Harry Martin wziął ze stojącego przy fotelu stolika puszkę z tytoniem, otworzył ją i nie patrząc w ogóle na palce skręcił sobie papierosa.

— Gdzie zagnieździł się ten pański szczur?

— Na strychu.

— Tak, ale gdzie? Na jakim strychu?

— Ach, przepraszam. W Fortyfoot House.

Harry Martin zapalał właśnie swojego skręta, ale kiedy wypowiedziałem „Fortyfoot House”, zamarł w bezruchu i wlepił we mnie wzrok. W jego palcach wciąż paliła się zapalka, a w ustach tkwił nie zapalony krzywy papieros.

— Niech pan uważa! — zawołałem i dopiero wtedy zamrugał, machnął zapalką i otworzył pudełko, żeby zapalić następną.

— Będę mieszkać w Fortyfoot House przez całe lato — wyjaśniłem. — Państwo Tarrantowie chcą go sprzedać, a ja mam się zająć remontem.

— Rozumiem — powiedział Harry Martin. — Słyszałem, że noszą się z takim zamiarem. Jeśli chce pan znać moje zdanie, powinni go zburzyć aż do fundamentów.

— Cóż... nie jestem pewien, czy się z panem nie zgadzam. Ale na razie mam go wysprzątać i odmalować, a zanim się do tego zabiorę, chcę się pozbyć tego szczura.

Harry Martin zapalił skręta i wypuścił na środek pokoju potężny kłęb aromatycznego dymu.

— Więc pan go widział?

Potrząsnąłem głową.

— Tylko bardzo niewyraźnie. Wyglądał na całkiem dużego.

— To duży szczur — zapewnił mnie.

— Już pan o nim słyszał?

— Oczywiście. Wiedzą o nim wszyscy w Bonchurch i Old Shanklin Village. Naturalnie z

wyjątkiem przybyszy.

Byłem zdumiony.

— Wszyscy?

— Wiedzą, ale nic nie mówią, ot co.

— Dlaczego?

— Bo gdyby mówili, musieliby o nim myśleć, a wcale nie mają na to ochoty.

— Jak długo już tam jest? — zapytałem oszołomiony.

Harry Martin wzruszył ramionami.

— Odkąd sięgam pamięcią.

— To znaczy odkąd?

— Ten szczur gnieździł się tam, kiedy byłem chłopcem. Teraz mam sześćdziesiąt siedem lat. Mocny pan w rachunkach?

Zacząłem podejrzewać, że Harry Martin po prostu mnie podpuszcza. W rozmowie z niektórymi z tych wiejskich dziwaków trzeba przez cały czas mieć się na baczności. Uwielbiają wprowadzać w błąd; ich opowieści stają się coraz bardziej mrozące krew w żyłach, aż do chwili kiedy przymrużają znacząco oko, a ich rozmówca zdaje sobie sprawę, że nabili go w butelkę.

— Szczury nie żyją na ogół tak długo, prawda? Zwiedzałem kiedyś razem z przyjacielem londyńskie kanały. Powiedział, że dożywają co najwyżej trzech, czterech lat.

— Ale Fortyfoot House to nie są londyńskie kanały, prawda? — odparł Harry Martin. — A ten szczur nie jest podobny do innych. Prawdę mówiąc, wiele osób twierdzi, że to w ogóle nie szczur.

Banalne, normalne umeblowanie zagraconego saloniku Harry'ego Martina sprawiało, że w jakiś sposób jego słowa brzmiały jeszcze bardziej niepokojąco. Światło słońca padało na telewizor, oświetlając stojące na nim ozdobne koło sterowe z osadzoną pośrodku imitacją akwarium; przez otwarte okno wlatywały i wylatywały pszczoły. W ogóle nie szczur? Co on przez to rozumie? Mógł oczywiście żartować. Ale jego głęboko porysowana bruzdami twarz wydawała się śmiertelnie poważna i jeśli to miał być żart, nie wiedziałem, na czym polega jego pointa.

— Jeżeli nie szczur, to co?

Harry Martin pokręcił głową.

— Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Nigdy mi nie zależało, żeby się dowiedzieć.

— Czy Tarrantowie nie prosili pana wcześniej, żeby pan się nim zajął?

— Tarrantowie nie mieszkali tutaj dostatecznie długo. Kupili dom za psie pieniądze, bo przez tyle czasu stał pusty, i mieli w związku z nim mnóstwo planów. Basen, dodatkowe skrzydło, co pan chce. A potem spędzili tam kilka złych nocy i nie bywali już w nim tak często. Na koniec przyszła naprawdę zła noc i od tego czasu nie pojawili się ani razu.

— Co pan rozumie przez „naprawdę złą noc”?

Harry Martin wypuścił z ust niewielki kłęb dymu. Trudno było coś poznać po jego twarzy.

— Światła i hałasy. Z tego co mówili, bardzo jaskrawe światła; a także hałasy, jakich pan nigdy nie słyszał; i krzyki o wiele głośniejsze niż te wydawane przez normalnych ludzi.

Odchyliłem się do tyłu.

— Ktoś mi już o tym opowiadał. Kobieta o imieniu Doris. Prowadzi bar przy plaży.

— A tak. Biedna stara Doris. Wie pan, zanim wżeniła się w Randallów, nazywała się Belcher.

— Obawiam się, że to mi niewiele mówi.

— Mówiłoby, gdyby się pan tu urodził i wychował. Niezła rodzinka z tych Belcherów. Pan Belcher, ojciec Doris, był dyrektorem miejscowej szkoły; a George Belcher, jej brat, zarobił kupę forsy za jakiś patent na lakier do łodzi, ale i tak był zawsze jakiś szurnięty. Twierdził, że widział szczura w świetle dnia, choć nikt mu oczywiście nie wierzył.

— Wciąż tutaj gdzieś mieszka?

— George? Nie, już nie mieszka. Whisky i prochy, oto co go wykończyło. Whisky i prochy.

Pani Martin opuściła swój posterunek na werandzie i zapytała, czy nie napijemy się po filiżance herbaty.

Pan Martin, nie pytając mnie wcale o zdanie, odparł, że owszem, napijemy się; w związku z czym pani Martin przyniosła nam półmisek z biskwitami i ciastem, a także dwie filiżanki z posłodzoną i zamieszaną herbatą Ty-phoo.

— Więc co pan proponuje w sprawie tego szczura? — zapytałem pana Martina. — Zakładając oczywiście, że to szczur. Albo nawet, że nie.

Harry Martin wydał w zamyśleniu policzki.

— Powinienem chyba dać się namówić i rzucić chociaż na niego okiem — stwierdził.

W tej samej chwili w drzwiach kuchni pojawiła się pani Martin.

— Jesteś na emeryturze — zajazgotała. — Zajmujesz się teraz ogrodnictwem. Mam już powyżej dziurek w uszach tego podsyłania ci ludzi przez radę gminną.

Harry Martin rzucił mi porozumiewawcze męskie spojrzenie znad skraju filiżanki.

— Może i masz rację — odezwał się pojednawczo.

— Oczywiście, że mam rację — poinformowała go żona. — Masz sześćdziesiąt siedem lat. Nie chcę, żebyś włóczył się po strychach, uganiając się za szczurami, i na tym kropka.

— Tak, może i masz rację — powtórzył Harry Martin. Spojrzenie, które rzucał w moją stronę, stało się jeszcze bardziej porozumiewawcze i jeszcze bardziej męskie.

Dopiłem do końca herbatę. Na dnie została warstwa cukru.

— W takim razie chyba już sobie pójdę — powiedziałem. — Może uda mi się znaleźć do tej roboty kogoś w Portsmouth.

— Niech pan spróbuje porozmawiać z firmą Rentokil w Ryde — poradziła pani Martin.

— W porządku, dziękuję — odparłem. — I dziękuję za ciasto.

— Domowej roboty — oznajmiła, wypychając mnie na werandę.

Harry Martin pozostał tam, gdzie siedział, w fotelu, uniósł jednak na pożegnanie rękę.

— No to do zobaczenia — rzucił.

W ogródku pani Martin nieoczekiwanie chwyciła mnie za rękaw.

— Niech pan słucha — zaczęła. — Nie chcę, żeby Harry polował na to coś, i to wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

— W porządku, w porządku, rozumiem — zapewniłem ją.

— To coś chce, żeby zostawiono je w spokoju, tego właśnie chce — oznajmiła. Pod wpływem upału roztopił się jej makijaż i twarz błyszczała jak u plastikowej lalki. Miała zwężone źrenice.

— Muszę się go jakoś pozbyć — powiedziałem. — Mam tam dokonać niezbędnych napraw i odnowić dom, po to żeby Tarrantowie mogli go sprzedać.

Zacisnęła jeszcze mocniej palce na moim rękawie.

— Może pan naprawić dom dzisiaj, ale nie może pan naprawić go wczoraj.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Zrozumie pan, jeśli pomieszka tam dostatecznie długo. Ten dom był i będzie. Nie powinni go

nigdy zbudować, ale skoro już się tak stało, nic nie można na to poradzić; i nic nie poradzi na to Harry. Ta historia nie daje mu spokoju, traktuje ją bardzo osobiście, ale proszę nawet nie pytać dlaczego. Niech pan nie prosi, żeby do pana przyszedł, i niech pan go w ogóle do siebie nie wpuszcza.

— Dobrze, obiecuję. Nie będę się już do niego z tym zwracał.

— Mógłbym dostać jeszcze trochę herbaty? — zawołał z salonu Harry.

— Nie bądź taki niecierpliwy — odkrzyknęła pani Martin. — Niech pan się przeżegna i powie „żebym tak trupem padł” — zwróciła się do mnie.

— Obiecuję. Chciałbym po prostu wiedzieć, co to jest.

— Moim zdaniem, szczur.

— Szczur, który żyje sześćdziesiąt lat?

— Zdarzają się przecież różne wynaturzenia. Psy z trzema nogami, żółwie, które żyją dwieście lat.

— Wie pani, co to jest? — zapytałem.

Jej oczy uciekły w bok. Puściła mój rękaw i wytarła ręce o swój kwiecisty fartuch.

— Pani wie, prawda? — naciskałem.

— Niedokładnie. Znam jego imię.

— Ma jakieś imię?

Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Słyszałam je od dzieciństwa. Moja mama opowiadała mi o nim, zanim poszłam spać, żeby mnie nastraszyć. Powtarzała, że jeśli zwędzę jakieś rzeczy, które nie należą do mnie, albo będę okłamywała starszych, wtedy on przyjdzie po mnie którejś nocy i zabierze w miejsce, gdzie nie dogoni mnie nawet zegar; a to, co ze mną tam zrobi, będzie tak okropne, że nikogo nie powinno obchodzić.

— Matka powiedziała pani, jak się nazywa?

— Wszyscy wiedzą, jak się nazywa. Jego imię znała nawet moja babcia. To po prostu jedna z tych rzeczy, o których wiedzą wszyscy; dlatego właśnie nikt z nas nie bawił się w pobliżu Fortyfoot House. Może pan zapytać wszystkich w Bonchurch, nawet dzisiaj.

— Więc jak się nazywa to stworzenie?

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

— Nie mam ochoty wymieniać jego imienia, dziękuję.

— Chyba nie jest pani aż tak przesadna? — próbowałem ją zawstydzić.

— Och, wcale nie. Mogę, jeśli pan chce, przejść pod dwudziestoma drabinami, rozsypać całą syberyjską sól, codziennie tłuc lusterka i nic się nie przejmować. Ale jeśli to panu nie przeszkadza, wolę nie wymawiać na głos tego imienia.

W tym samym momencie na werandzie pojawił się, zapalając kolejnego skręta, Harry Martin.

— Nazywają go Brązowym Jenkinem, ot co — poinformował mnie.

Pani Martin spojrzała na mnie z wyrazem twarzy, którego nie mógłbym określić inaczej jak czystą desperacją.

Nie przestawała przy tym potrząsać lekko głową, tak jakby dawała mi po cichu do zrozumienia, żebym nie słuchał i nie powtarzał nikomu tego, co usłyszałem od jej męża; i żebym obiecał na wszystkie świętości, że nie wpuszczę go do Fortyfoot House.

— Nazywa się Brązowy Jenkin, ot co — powiedział Harry Martin, tak jakby czerpał wyjątkową przyjemność z głośnego powtarzania zakazanego imienia.

Pani Martin zakryła dłonią usta. Słońce schowało się za dużą chmurą i nagle w ogrodzie zrobiło się całkiem szaro.

ROZDZIAŁ V

Noc świateł

Liz przygotowała tego wieczoru swoje słynne chili. Danny'emu nie smakowało za bardzo, bo było zbyt pieprzne, a poza tym uznał, że fasola to coś niejadalnego i powtarzając słowa wyliczanki odsunął wszystkie ziarna na skraj talerza.

— Druciarz, krawiec, żołnierz, marynarz, czarny szczur, brązowy szczur, żebrak, złodziej.

Dla mnie był to jednak jeden z najlepszych posiłków, jakie jadłem od wielu miesięcy, i to nie tylko dlatego, że nie musiałem go sam przyrządzać. Jedliśmy w salonie, trzymając talerze na kolanach i oglądając w telewizji „Most na rzece Kwai”.

— Co powiedział ten facet od szczurów? — zapytała Liz. Miała na sobie luźną, podobną do kaftana bawełnianą sukienkę, a na głowie ciasno zawiązaną szarfę. Spod wystrzępionego skraju sukni wystawały palce stóp z pomalowanymi paznokciami.

— Szczerze mówiąc, zachowywał się trochę tajemniczo. Powiedział, że zna tego konkretnego szczura.

W gruncie rzeczy znają go wszyscy mieszkańcy wioski. Twierdził, że gnieździ się na tym strychu, jak pamięć ludzka sięga.

— Szczury nie żyją chyba tak długo?

Wzruszyłem ramionami.

— Ja w każdym razie o czymś takim nie słyszałem. Tak czy owak stwierdził, że przeszedł na emeryturę i nie jest zainteresowany. — Nie powiedziałem nic więcej, nie chciałem bowiem wystraszyć Danny'ego opowieściami o jaskrawych światłach, potwornych głosach i stworzeniach, które porwą go tam, gdzie nawet zegary nie zdołają go dogonić.

Liz podeszła bliżej i zabrała mój talerz.

— Może napijemy się jeszcze trochę wina? — zaproponowała.

— Chętnie.

Przeszliśmy do kuchni, zostawiając Danny'ego zapatrzonego w Aleca Guinnessa, który wy dostał się właśnie, utykając na jedną nogę, z klatki, w której zamknęli go Japończycy.

Liz zrzuciła resztki jedzenia do otwieranego pedałem kosza na śmieci, a ja napełniłem kieliszki.

— Chili było wspaniałe, dziękuję.

— Nie wydaje mi się, żeby za bardzo smakowało Danny'emu.

— Danny jest całkowicie i totalnie wierny spaghetti Heinza.

— To dziwne, co opowiedziałeś o tym szczurze. Co zamierzasz z nim teraz zrobić?

— Zadzwoń do agencji Rentokil w Ryde. Mają tutaj kogoś przysłać jutro po południu. Ale to było rzeczywiście dziwne. Żona szczurołapa powiedziała, że ludzie w Bonchurch tak dobrze znają tego szczura, że nadali mu nawet imię. Ale najwyraźniej strasznie się bała je wymienić. Prosiłem ją i błagałem, wszystko na próżno. W końcu dopiero szczurołap powiedział mi, jak on się nazywa.

Liz umyła talerze, a ja wytarłem je i wstawiłem do szafki.

— No to jak? — zapytała.

— Co jak?

— Jak on się nazywa?

— Aha. Brązowy jakiś tam. Brązowy Johnson albo coś w tym rodzaju.

Liz zmarszczyła brwi.

— To śmieszne. Jestem pewna, że gdzieś już słyszałam to nazwisko.

— Jasne, mnóstwo ludzi nosi nazwisko Johnson.

Wróciliśmy do salonu i popijaliśmy wino, obserwując, jak William Holden wysadza most na rzece Kwai. Danny był tak zmęczony, że musiałem zanieść go na barana na górę i rozebrać do snu. Uniosłem na chwilę wzrok, kiedy mył zęby w łazience, i zobaczyłem swoją twarz, która odbijała się w czerni okiennej szyby. Wyglądałem szczuplej i poważniej, niż się spodziewałem.

— Śpij dobrze, Zacko McWhacko — powiedziałem, opatulając go kołdrą.

— Opowiedz mi szkocką rymowanekę — poprosił.

— Nie, jest już za późno. Musisz iść spać.

— Proszę, opowiedz mi szkocką rymowanekę.

— Nie bądź taki zasadniczy — odezwała się od drzwi Liz. — Opowiedz mu szkocką rymowanekę. Ja też chcę usłyszeć.

— Jest bardzo głupia. Sam ją wymyśliłem.

Wzięła mnie za rękę i oparła się o mój bark.

— Powiesz, jak cię ładnie poproszę?

— W porządku — odparłem, ulegając przeważającej sile przeciwnika.

Kochamy nasz kozuch na mleku, nie damy go zdjąć nikomu,

I co dzień rano biegniemy na dwór sprawdzić, czy nie ma nas w domu,

Aj, wybiegamy rano na dwór sprawdzić, czy nie ma nas w domu.

— To wszystko — stwierdziłem zakłopotany.

— Nie, nieprawda — zaprotestował Danny. — Są jeszcze dwie linijki.

Pukamy i wołamy: jest tam kto?; ale zawsze jesteśmy na dworze,

I dlatego łysy Szkot żadnego kuku nam zrobić nie może.

— Choćby chciał — dodał jak zwykle Danny.

Zgasiliśmy światło w jego sypialni i zesliśmy we dwójkę na dół. Otworzyłem kolejną butelkę wina Piat D'Or i rozsiedliśmy się na miękkiej brązowej sofie, słuchając mojej porysowanej płyty z cyklem „Moja ojczyzna” Bedricha Smetany. Muzyka idealnie trafiała w nastrój, w jakim się znajdowałem — uczuciowa, poruszająca, lekko pompatyczna i obca.

Liz opowiedziała mi, że urodziła się w Burgess Hill, małym brzydkim miasteczku w środkowym Sussex.

Jej ojciec był dyrektorem firmy budowlanej, matka prowadziła mały sklepik ze szkłem i porcelaną.

Sześć lat temu matka zadurzyła się w dobrodusznym komiwojazerze z małym przyciętym wąsikiem i fordem granadą, który stanowił jedyną jego radość i dumę. Rodzice rozwiedli się z wielkim hukiem. Liz dopiero niedawno pogodziła się z faktem, że pochodzi z rozbitej rodziny.

— Tak wiele moich koleżanek opowiadało o „tacie”, „mamie” i „moich starych”. Trwało dwa lata, zanim znalazłam w sobie odwagę, by powiedzieć, że moi rodzice się rozeszli. To boli, nie potrafię ci powiedzieć jak bardzo. Najgorsze było, kiedy obrzucali się takimi strasznymi wyzwiskami.

— Masz jakiegoś chłopaka? — zapytałem.

— Miałam. Ale był dla mnie zbyt spokojny. Wstydził się, kiedy chodziłam po murkach albo tańczyłam na ulicy. Zresztą mam już dosyć seksu. Postanowiłam przez jakiś czas żyć w cnotcie. Święta Elżbieta Niedotykańska.

— Co cię zniechęciło do seksu? — zapytałem z uśmiechem.

— Nie wiem. Chyba Robert. Tak nazywał się mój chłopak. W jego wykonaniu to wszystko wydawało się takie skomplikowane i mechaniczne. Tak jakby próbowało się naprawić cudzy samochód.

Roześmiałem się.

— Nie uda ci się chyba długo wytrwać w cnocie.

— A tobie brakuje małżeńskiego życia? — zapytała.

— Tak i nie. Brakuje mi towarzystwa. Brakuje kogoś, z kim mógłbym pogadać.

— A co z obsługą samochodu?

Uniosłem w górę kieliszek. Widziałem w nim twarz Liz, zniekształconą przez zaokrąglone szkło.

— Tak, brakuje mi obsługi samochodu.

Noc była wilgotna i prawie bezwietrzna. Dobiegający zza drzew szum morza przypominał kroki nieboszczki, która przechadza się w szeleszczącej sukni z ta.y po wyfroterowanej marmurowej posadzce.

Stojąc przy oknie wysłuchałem ostatnich taktów Smetany, a potem gdzieś niedaleko zabrzmiał krzyk sowy. Zastanawiałem się, czy słyszy go także tych siedemdziesięcioro dzieci leżących w swoich twardych posłaniach z ziemi i piaskowca. W oddali zamigotała błyskawica. Elektryczna noc. Noc wysokiego napięcia.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę chyba do łóżka — powiedziała Liz.

Kiwnąłem głową.

— Naturalnie, że nie mam. Chcę, żebyś czuła się jak w domu. Chodź spać, kiedy chcesz, i wstawaj, kiedy chcesz. Jutro zaczynasz pracę w tym parku?

— Pojutrze.

Podeszła i położyła mi rękę na ramieniu.

— Dziękuję, Davidzie. Zapowiada się przyjemny pobyt. Pocałowałem ją w czoło.

— Ja też tak myślę.

Usiadłem w fotelu, żeby skończyć wino i wysłuchać drugiej strony płyty, na której znajdowały się preludia Liszta, ale w pojedynkę to już nie było to samo. Przeszedłem do kuchni, znalazłem w połowie zapisany blok z nagłówkiem firmy E. Gibson Family Butchers z High Street w Ventnor i

zaczęłam pisać list do Janie. Poinformowałam ją, że Danny ma się dobrze, że ja mam się dobrze i że lato spędzimy prawdopodobnie razem z Liz. „Dziewczyna o imieniu Liz zatrzyma się u nas na lato”, napisałam. Zawahałam się przez chwilę, a potem skreśliłam całe zdanie, po czym zmiąłem list i wrzuciłem go do wiadra na węgiel.

Dopóki naprawdę nie musiałem, nie było sensu palić za sobą mostów. Nie miałem w końcu pewności, czy Janie i Brodaty Raymond nie są wyłącznie dobrymi przyjaciółmi. Po czym zaraz pomyślałem, że są to tylko moje pobożne życzenia.

Zegar w holu wybił północ, a ja wciąż siedziałem w kuchni, wpatrzony w pustą kartkę. Następnego dnia musiałem wstać wcześniej rano, zacząłem więc powoli zamykać drzwi i gasić światła. W salonie okno stukało o framugę — niezbyt gwałtownie, bo prawie nie było bryzy, ale całkiem głośno, w regularnych odstępach czasu. Kiedy podszedłem, żeby je zamknąć, zobaczyłem na horyzoncie łamany taniec błyskawic i poczułem zapach ozonu.

Wydawało mi się, że słyszę dochodzące z góry ciche drapanie, tak jakby coś przebiegało, drobiazgi szybko i lekko pazurkami, pod klepkami sypialni. „Jeśli nie będzie panu to przeszkadzać, wolę nie wymawiać na głos tego imienia”.

Nasłuchiwałem przez chwilę, ale drapanie się nie powtórzyło. Zamknąłem okno. Nie wyjrzałem do ogrodu. Chociaż wiedziałem, że go tam nie będzie — chociaż wiedziałem, że nie może go tam być — wolałem nie zobaczyć stojącego na trawniku mężczyzny w czarnym kapeluszu. On po prostu nie istniał. Nie był niczym więcej jak optycznym złudzeniem, cieniem przelatującej mewy, niesionym przez wiatr kawałkiem czarnego papieru.

Macając przed sobą rękoma, wróciłem po ciemku do holu, który oświetlała blada smuga światła, padającego przez świetlik nad drzwiami. Nie zapalając lampy, podszedłem, skrzypiąc podszwami tenisówek, do końca korytarza, tam, gdzie przy wejściu do piwnicy wisiała fotografia Fortyfoot House z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. Był tam wciąż, choć w półmroku ledwie widziałem jego twarz.

Spoglądał na mnie z odległości ponad stu lat. W dniu, kiedy stanął w ogrodzie, żeby pozować do tej fotografii, królowa Wiktorja przebywała ledwie parę kilometrów stąd, w Osborne, Oscar Wilde opublikował dopiero co „Szczęśliwego księcia”, a w Niemczech odbył się pierwszy lot napędzanego silnikiem balonu.

Przypuszczam, że sprawdzanie, czy facet w cylindrze wciąż znajduje się na zdjęciu, było z mojej strony całkowicie irracjonalne. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób udało mu się umknąć z fotografii i ukrywa się teraz gdzieś w środku albo na zewnątrz Fortyfoot House. Ubrany w czarny frak, blady, zdenerwowany i dwuwymiarowy.

Odwróciłem w końcu wzrok od zdjęcia, ale w tejże sekundzie postać mężczyzny chyba lekko się poruszyła.

Stał w tej samej pozycji co poprzednio, z nie zmienionym wyrazem twarzy, ale przysiągłbym, że jego noga znajdowała się teraz bliżej rabatki z różami.

Za dużo wina. Za dużo stresów, za dużo zmartwień. Zaczynałem się zupełnie rozklejać. Stuletnia fotografia nie mogła się w żaden sposób poruszyć ani przemówić. Młody pan Billings nie mógł w żaden sposób spacerować po ogrodach Fortyfoot House. Nie ma takiej możliwości.

Wdrapałem się po schodach, mając za plecami bladą smugę światła. Na górze zatrzymałem się na chwilę przy drzwiach prowadzących na strych. Zobaczyłem zamknięty zatrzask i nie usłyszałem żadnych szelestów ani chrobotów. Brązowy Johnson, czy jak tam nazywali go dobrzy ludzie z Bonchurch, albo był nieobecny, albo spał. Zapukałem lekko kłyciami w drzwi, po to tylko, by się przekonać, że się nie boję.

Kto się boi wielkiego brązowego szczura?

Zajrzałem do Danny'ego. Pograżony był w głębokim śnie. Cały gorący, włosy miał przyklepione do czoła.

Do czego to przyrównał śpiące dziecko Louis Macneice? „Przypomina piekące się ciasto”. Kiedy go pocałowałem, poruszył się na łóżku.

— Mama... — szepnął.

Mama, mój ty mały biedaku. Mama jest za górami i za lasami, razem z Raymondem Brodatym. Mamie już na tobie nie zależy.

Drzwi do sypialni Liz były zamknięte. Przez ułamek sekundy kusił mnie, żeby je otworzyć i powiedzieć dobranoc, ale potem zmieniłem zdanie. Mogłaby to całkiem opacznie zrozumieć. Była, moim zdaniem, ładna i seksowna, a poza tym podobały mi się jej nagie palce u nóg i zapach dziewiętnastolatki, ale za nic w świecie nie chciałem jej do siebie zniechęcić. Zbyt zależało mi na jej towarzystwie, nie mówiąc już o jej chili. Myśl, że mógłbym spędzić bez niej całe wakacje, wydała mi się nagle trudna do wyobrażenia.

Rozebrałem się, umyłem zęby i twarz i wsunąłem zmęczony do łóżka. Natychmiast zacząłem żałować, że nie zadałem sobie trochę trudu, aby je porządnie posłać. Prześcieradło było pomarszczone niczym plaża podczas odpływu i w każdym możliwym załamaniu tkwiły okruszki tostów. Próbowałem je strzepnąć, ale w końcu uznałem, że muszę wstać i wygładzić płótno.

Wpychałem je pod materac, kiedy rozległo się nerwowe pukanie do drzwi.

— David? To ja, Liz.

— Poczekaj chwilę — powiedziałem. Wskoczyłem nagi do łóżka i przykryłem się kołdrą. — W porządku, możesz wejść.

Wsunęła się do pokoju i zamknęła za sobą szybko drzwi — tak jakby bała się, że coś ją ściga. Na głowie wciąż miała zawiązaną te czerwona jedwabną szarfę, lecz poza tym ubrana była wyłącznie w krótką białą koszulkę i wąskie koronkowe białe majtki. Usiadła na skraju łóżka, ale na jej twarzy malował się raczej niepokój niż zmysłowość.

— Coś biega po strychu. Wyraźnie to słyszę. To musi być ten szczur.

— Dziś w nocy nic nie słyszałem — skłamałem.

— Jestem pewna, że to szczur — powtórzyła z naciskiem. — Biega z jednej strony strychu na drugą, dokładnie nad moim pokojem.

— Nie mogę na to nic poradzić, nie dziś w nocy. Jutro przyjedzie tutaj facet z Rentokilu.

— W porządku — odparła. — Przepraszam, że ci zawracani głowę. Po prostu nie znoszę szczurów.

Naprawdę trzęsę się, kiedy o nich pomyślę.

— Jasne, tak samo jak ja. Daj mi znać, jeśli go znowu usłyszysz. Może pójdę na górę i trzasnę go pogrzebaczem.

Doszedłem do wniosku, że to wspaniały pomysł. Zwłaszcza po porannym fiasku. Byłem święcie przekonany, że im dalej się będę trzymał od Brązowego Johnsona, tym dla mnie lepiej.

Liz stanęła niezdecydowana w drzwiach.

— Słuchaj... wiem, że to brzmi, jakbym ci się narzucała, ale ja naprawdę boję się szczurów. Może mogłabym zostać tu u ciebie na noc? Będę trzymała między nami poduszkę.

— Tak, oczywiście. — Wcale mi to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, cały pomysł bardzo mi się spodobał. Od miesiący nie leżałem w łóżku razem z dziewczyną, choć bardziej od obsługi samochodu brakowało mi zwyczajnej rozmowy. Zadziwiające, jak szybko potrafi się człowiekowi znudzić samotny śmiech, samotne czytanie książek, samotne puszczenie płyt i samotne jedzenie. Równie dobrze mógłby leżeć z wyszczerzonymi zębami w trumnie, bawiąc się w oczekiwaniu na Pana Boga własnym samotnym członkiem.

— Proszę bardzo — dodałem. — Jeżeli tak się boisz.

— Obiecuję, że wyjdę stąd wczesnym rankiem. Zanim obudzi się Danny.

Ponownie zamknęła drzwi, a potem podeszła do łóżka, podniosła kołdrę i położyła się obok mnie.

Przycisnąłem sztywno ręce do tułowia i odsunąłem się na bok, tak że dzieliło nas co najmniej piętnaście centymetrów, lecz wszystko to — jej bliskość i ciepło, zapach perfum i w ogóle obecność młodego wierzącego się dziewczęcego ciała — trochę wytrącało mnie z równowagi.

— Kiedy go usłyszałaś? — zapytałem.

— Jak wchodziłeś po schodach. Przebiegł na ukos po podłodze strychu. Tupotał tak, jakby był niewiarygodnie duży i ciężki, ale szczury zawsze wydają się głośniejsze w nocy, prawda?

Wbiłem wzrok w sufit.

— Wydaje mi się, że on naprawdę jest duży i ciężki.

— Przestań. Straszysz mnie.

Leżeliśmy ramię przy ramieniu, nateżając słuch. Usłyszałem, jak zegar na dole wybija wpół do pierwszej, a na dworze zaczyna się zrywać wiatr — morska bryza, która owionęła cały dom i od której podmuchów drzwi zatrzeszczały w zawiasach.

— Powinniśmy chyba zgasić światło i spróbować zasnąć — zasugerowałem.

Teraz leżeliśmy w ciemności. W Bonchurch nie było żadnych latarni i żadnych świateł w ogrodzie, a tej nocy na niebie nie pokazał się księżyc. Otaczająca nas ciemność przypominała założony na głowę czarny welwetowy kaptur. Nie dawała mi spokoju dotykająca mojego ramienia pierś dziewczyny. Mimo że Liz miała na sobie koszulkę, czułem doskonale jej miękkiego ciężaru. Teraz, kiedy nie nosiła jednej ze swoich luźnych bawełnianych sukni, stało się oczywiste, że jak na swój wzrost i budowę ma zadziwiająco duży biust. W porównaniu z nim piersi obdarzonej piękną buzią Janie wydawały się nie większe od ukąszeń komara, nic więc dziwnego, że ten fragment anatomii Liz przyciągał moją uwagę.

— Uważam, że los zawsze daje nam drugą szansę — powiedziała. — Czasami tylko jesteśmy zbyt krótkowzroczni albo zajęci, żeby ją zauważyć. Nie sądzisz, że to tragedia, jeśli dwoje ludzi, którzy mogliby być ze sobą naprawdę szczęśliwi, mija się na ulicy, o centymetry od siebie i nigdy się o tym nie dowie?

Albo jeżeli dwie osoby coraz bardziej zbliżają się do siebie, a potem nagle jedna z nich spóźnia się na pociąg, bo upuściła na przykład gazetę i wróciła, żeby ją podnieść... i przez to nigdy się już nie spotka z tą drugą.

— Takie rzeczy wydarzają się bez przerwy. Na tym polega rachunek prawdopodobieństwa.

— Weźmy na przykład nas. Ilu trzeba było rzeczy, żebyśmy się spotkali? — kontynuowała Liz.

— Mógłbyś znaleźć sobie robotę na lato zupełnie gdzie indziej. Mógłbyś dalej prowadzić swoją firmę.

Mógłbyś zostać razem z Janie. A ja dostałam adres tego domu pełnym fuksem.

— Tak widać chciało przeznaczenie. — Uśmiechnąłem się, mimo że nie mogła mnie widzieć. — I ta jedyna rzecz, która utrzymuje nas w ruchu... te rzadkie wspaniałe chwile, kiedy wydaje nam się, że świat nie jest jednak aż taki zły.

Wyciągnęła w ciemności rękę i dotknęła koniuszkami palców mojego policzka. Dotykała moich oczu, nosa i ust, zupełnie tak jakby była ociemniała.

— Lubię dotykać ludzi w ciemności — stwierdziła. — Wydają się zupełnie inni. W zależności

od tego, gdzie ich dotknąć, zmieniają się ich proporcje. A może rzeczywiście stają się inni, trudno powiedzieć. Wcale nie wiem, czy nie zmieniasz się w mroku w jakiegoś dziwnego powykręcane potwora. Trzeba naprawdę szybko zapalić światło, żeby zobaczyć ciemną twarz danej osoby. Ciemną w przeciwieństwie do jasnej, czyli takiej, która ma upewnić otoczenie, że ktoś jest zwyczajny i normalny.

— Myślisz, że mogę się zamienić w potwora? — zapytałem.

— Możesz. Ale z drugiej strony, co zrobisz, jeśli ja też się zamienię?

— Będę wiał, gdzie pieprz rośnie, zostawiając za sobą gorący ślad biegunki.

Pocałowała mnie.

— Nie bądź obrzydliwy.

— Zgadzam się nie być obrzydliwy — powiedziałem, odwzajemniając pocałunek — jeśli ty zgodzisz się nie zamieniać w potwora. Mam na myśli potwora jakiegokolwiek rodzaju.

Pocałowała mnie ponownie, ale tym razem nie zrewanżowałem się jej tym samym.

— Może jednak spróbujemy zasnąć — powiedziałem. — Obiecałaś, że będziesz świętą Elżbietą Niedotykałką. A ja mam być świętym boskim Dawidem.

— To zależy, w czym jesteś boski.

Tak czy owak, udało nam się po dłuższej walce wewnętrznej i zmaganiu z pościelą przybrać w miarę rozsądne pozycje, zamknąć oczy i przez blisko trzy kwadransy udawać pogrążonych we śnie. Słuchałem skrzypienia domu, szeleszczącego w gałęziach dębów wiatru i równomiernego szumu morza. Słuchałem wiejącego po domu przeciągu, przeciągu, który pukał do okien i otwierał zamki. Słuchałem równego, regularnego oddechu Liz — oddechu osoby, która próbuje od dłuższego czasu zasnąć, ale nie może i zastanawia się, czy nie zejść na dół i nie zrobić sobie filiżanki herbaty.

— Liz? — odezwałem się w końcu. — Nie śpisz?

Zsunęła z twarzy poszwę kołdry.

— Myśli kłębią mi się po głowie.

— O czym rozmyślasz? O czymś konkretnym?

— Nie... o niczym konkretnym. O pracy, o college'u. Zastanawiałam się, czy uda mi się odłożyć dosyć pieniędzy, żeby kupić sobie samochód. Mam już powyżej uszu proszenia ludzi o podwiezienie.

Zapadło długie milczenie.

— Ja też nie mogę zasnąć — powiedziałem w końcu.

— Może nie jesteś przyzwyczajony, żeby ktoś leżał z tobą w łóżku?

— Chyba masz rację.

Usłyszałem w ciemności wilgotne cmoknięcie jej ust.

— Możesz mnie pocałować, jeśli chcesz — zaproponowała. — Rozgniewany Pan Bóg nie porazi nas chyba z tego powodu gromem.

— No nie wiem. Nie chciałbym zaczynać czegoś, czego nie potrafię skończyć.

— A kto tu mówi o zaczynaniu czegokolwiek? Kto mówi o kończeniu?

Objąłem jej ramię dłonią.

— Wiesz, o co spytał mnie któregoś dnia Danny? Czy Pan Bóg stworzył samego siebie?

— I co mu odpowiedziałeś?

— Żeby nie mówił głupstw. A potem zdałem sobie sprawę, że sam nie wiem, czy Bóg stworzył samego siebie, czy nie. Rozmyślałem o tym całą noc.

— Bóg był tutaj, zanim pojawiło się cokolwiek innego. Bóg był tutaj zawsze.

— Co to za odpowiedź? To chowanie głowy w piasek.

Liz uniosła się na łokciu i pocałowała mnie w policzek, a potem w usta. Jej język myszkował między moimi zębami niczym ciepły morświn. Próbowaliśmy nie odwzajemniać pocałunków, ale smakowały dokładnie tak, jak powinna smakować dziewczyna — lekko słodko i lekko słono; czułem ślinę, perfumy i wino, a jej schowany pod koszulką biust naciskał na moje gołe ramię. Wpiliśmy się w siebie ustami.

Ścisnąłem jej piersi, ogromne w porównaniu z biustem Janie; stanowiły spełnioną fantazję z „Penthouse’a”.

Członek stwardniał mi i nie był gotów do żadnych kompromisów, nie mogłem na to nic poradzić, a Liz chwyciła go prawą dłonią, zrobiła to całkiem mocno, tak jak dziewczyna, która ma już pewne doświadczenie w ściskaniu członków. Masowała go powoli w górę i w dół, w górę i w dół, aż zrobił się śliski i spuchł prawie nie do zniesienia.

Ja w tym samym czasie wsunąłem ręce pod jej koszulkę, zważyłem w dłoniach nagie piersi i zacząłem obracać między palcami brodawki, które zmarszczyły się i stwardniały.

Całując mnie i masując, Liz bez przerwy nuciła cicho pod nosem dziwną, jękliwą melodię. Nie słyszałem jej całej, ale przypominała jedną z owych sprośnych ludowych piosenek, które śpiewają w pubach Norfolk, posyłając przy tym twojej żonie spojrzenie, od którego ciarki przechodzą ci po grzbiecie.

Węglarz, brudny stary węglarz, z workiem pełnym węgla...

Przekręciła się i zdjęła majtki.

— Założę kondom — powiedziałem stłumionym głosem.

— Biorę tabletki.

— Wszystko jedno... powinniśmy.

— Nie mam AIDS, jeśli o to ci chodzi.

Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, wspięła się na mnie. Wciąż trzymając silnie w dłoni mój członek, wsunęła go między swoje uda. Drażniła się przez chwilę, przesuwając jego czubkiem po wargach sromowych i nie wpuszczając go do środka — a potem nagle usiadła na mnie i wsunąłem się w nią tak głęboko, jak mogłem. Zamknąłem oczy. Po miesiącach abstynencji, po miesiącach powtarzania sobie, że wcale mi tego nie brakuje, to było niczym olśnienie. Nie wiem, czy z ust nie wydarł mi się głośny jęk, Liz w każdym razie pochyliła się do przodu i pocałowała mnie w usta.

— Ćśśś, to jest piękne — powiedziała.

Poruszała się w górę i w dół z powolną płynnością, która sprawiała, że czułem się coraz bardziej podniecony, ale wzbierało to niezbyt szybko i wydawało mi się, że minęły całe godziny, zanim poczułem to niemożliwe do opanowania stężenie między nogami, które oznaczało zbliżanie się do szczytu. Liz zaczęła dyszeć, a koszulka przylgnęła do jej spoconych piersi. Złapałem obiema dłońmi jej nagie pośladki i pociągnąłem je mocniej w dół.

W tej samej chwili usłyszeliśmy nad głowami ciężki łomot, tak jakby ktoś wywrócił stojący na strychu fotel.

Liz wyprostowała się, nasłuchując, z wciąż tkwiącym w niej głęboko moim członkiem.

— Co to takiego? — szepnęła. — To nie mógł być szczur.

— Powiedziałem ci, jest całkiem duży.

— Duży? — W jej głosie zabrzmiał strach. — Chyba olbrzymi.

Czekaliśmy przez chwilę, nasłuchując i już mieliśmy kochać się dalej, kiedy rozległ się kolejny hałas: szybkie, mrozące krew w żyłach szuranie, po którym nastąpił ostry stukot, tak jakby ktoś wywrócił na podłogę kolekcję lasek albo kijów do zasłon.

Liz zsunęła się ze mnie. Wilgotny przyrząd między moimi udami owionął zimny przeciąg.

— To nie szczur — oświadczyła. — Ktoś tam jest na górze.

— Daj spokój — zaprotestowałem. — Po co ktoś miałby tuc się w nocy po strychu? To szczur.

Wydaje nam się głośniejszy niż normalnie, bo hałasuje dokładnie nad naszymi głowami.

— Może ktoś tam mieszka, ktoś, o kim nie masz najmniejszego pojęcia. Widziałam kiedyś taki film.

Facet przychodził w nocy, kiedy cała rodzina pogrążona była we śnie, i włóczył się po domu. Coś straszego, naprawdę.

— Dlaczego ktoś chciałby mieszkać na ciemnym strychu?

— Nie wiem. Może zamieszkali tam przed twoim przyjazdem, a teraz ukrywają się i czekają, aż sobie pójdziesz.

Zapaliłem lampkę przy łóżku.

— Ludzie, którzy się ukrywają, nie robią na ogół tyle hałasu.

— Może próbują cię nastraszyć? — zasugerowała.

— Poszedłem tam na górę — stwierdziłem. — Widziałem coś podobnego do szczura, co z całą pewnością nie przypominało człowieka.

— No nie wiem. Sądząc po hałasie to człowiek.

Odczekaliśmy jeszcze parę chwil. Byłem w równym stopniu sfrustrowany, co przestraszony. Miałem ochotę wziąć pogrzebacz lub kij do krykieta i zatłuc tego głupiego Brązowego Johnsona na śmierć. Zacząłem się zastanawiać, czy starczy mi odwagi, kiedy stanę z nim twarzą w twarz. A jeśli to wcale nie szczur?

A jeśli to jakiś dziki lokator, włóczęga albo psychopata, kryjący się przed światłem dnia i przedstawicielami prawa i porządku? A jeśli to wcale nie szczur ani psychopata, ale jakaś zupełnie inna istota — tak straszna, że nikt nie potrafi jej opisać?

Cokolwiek to było, musiało się stąd wynieść; ale ja nie byłem wcale pewien, czy zdołam się owego czegoś pozbyć. Jeżeli mieszkańcy Bonchurch wiedzieli o tym od tak dawna, dlaczego nikt nie próbował się tego pozbyć wcześniej? Dlaczego nie pozbyli się tego Tarrantowie?

Przez ponad pięć minut nie doszły nas żadne dalsze hałasy.

— Kładźmy się z powrotem — powiedziałem w końcu, biorąc Liz za rękę. — Powinniśmy spróbować się trochę zdrzemnąć.

— Wrócę lepiej do mojego pokoju — orzekła. — Nie chcemy przecież, żeby znalazł mnie tutaj nad ranem Danny.

— Nie sądzę, żeby Danny miał coś przeciwko temu.

— Ale ja bym miała. Nie jestem jego mamą i nie jestem twoją dziewczyną. Mieliśmy po prostu przerwany stosunek, to wszystko.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Miałem nadzieję, że podejmiemy z powrotem to, co nam przerwano, cofając się być może kilka ruchów wcześniej; ale Liz nie była już najwyraźniej w nastroju. Przyszło mi na myśl co najmniej pięć ostrych odżywek, ale w końcu ugryzłem się w język. Łatwiej wszystko zepsuć, niż naprawić i tak dalej. Może jutro w nocy znowu będzie w lepszym humorze, kto wie?

Wstała z łóżka i obciągnęła koszulkę, nie na tyle szybko jednak, by przez krótką chwilę nie mignęły mi przed oczyma lśniące wilgocią, różowe wargi jej sromu. Był to jeden z owych intensywnych, trwających ułamek sekundy obrazów, które człowiek ogląda potem przez resztę życia w magicznej latarni pamięci.

— Twoje majtki — powiedziałem, podając je jej.

— Dziękuję — odparła z uśmiechem. — Śpij dobrze.

Dała mi szybkiego całusa, po czym otworzyła drzwi sypialni, wyszła i zamknęła je cicho za sobą. Ja zostałem tam, gdzie byłem, oparty na łokciu, i rozmyślałem, że chyba nigdy nie zrozumie młodych dziewczyn.

Mój przyjaciel, Chris Pert, powiedział kiedyś, że dziewczyny są jedynym nie dającym się rozwiązać problemem, który potrafi człowieka podniecić.

Miałem właśnie zgasić światło, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju weszła z powrotem Liz.

— Co się stało? — zapytałem.

Miała szeroko otwarte oczy i wydawała się dziwnie zaniepokojona.

— Na strychu świeci się światło. Naprawdę jaskrawe światło.

— Nie ma tam żadnego światła. Wszystkie kable są przegniłe.

— Chodź sam i zobacz.

Wyskoczyłem z łóżka i wydobyłem spod niego moje pochłapane pastą do zębów szorty.

— Zamykałam właśnie drzwi do swojego pokoju — powiedziała Liz — kiedy zobaczyłam dobiegające stamtąd błyski. Wygląda, jakby coś się stało z elektrycznością.

Wyszedłem na korytarz razem z depczącą mi po piętach Liz. Panowała tu kompletna ciemność. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, zasłony były szczelnie zasunięte.

— Nic niewidzę — stwierdziłem. — To prawdopodobnie jakieś odbicie. No wiesz, kiedy

otworzyłaś drzwi do swojej sypialni. Przy schodach wisi lustro.

— Żadne odbicie — upierała się. — Było niebieskie jak wyładowanie elektryczne.

Ruszyłem po omacku korytarzem, tak ciemnym, że wolałem zamknąć oczy i macać przed sobą drogę niczym ślepiec. Liz szła tuż za mną, trzymając dłoń na moim ramieniu.

— Paliło się tylko przez kilka sekund. Ale bardzo jasno.

Doszliśmy prawie do schodów, kiedy rozległ się przenikliwy pisk, przypominający krzyk śmiertelnie przerażonego małego dziecka. Włosy stanęły mi dęba.

— Co to jest, do jasnej cholery? — mruknąłem. Liz złapała mnie przerażona za rękę, a ja z równą siłą zacisnąłem palce na jej dłoni.

Krzyk przybliżał się i stawał coraz bardziej wysoki; rozdzierał bębunki niczym gwizd nadjeżdżającego pociągu; a potem jego ton zmienił się z wysokiego na niski i odpłynął.

Natychmiast potem usłyszeliśmy dźwięk, który brzmiał jak głęboki, odbijający się echem ryk. A może zresztą wcale nie ryk. Nie był w każdym razie podobny do żadnego słyszanego przeze mnie w ogrodzie zoologicznym i w telewizji wydawanego przez zwierzę odgłosu. Przypominał bardziej puszczonej w wolniejszym tempie i odpowiednio wzmocniony ludzki głos. Niski, bełkotliwy — i tak donośny, że szyby brzęczały w okiennych ramach.

A potem przez szpary między drzwiami a framugą błysnęło światło. Ostre, oślepiające błękitne światło, które na krótką chwilę zalało cały korytarz i schody. Ujrzałem pobladłą i przestraszoną twarz Liz, a obok niej na ścianie obraz przedstawiający ukrzyżowanego Jezusa.

— Boże wszechmogący — szepnęła. — Co to twoim zdaniem może być?

Zrobiłem mądrą minę i poklepałem ją po ręce.

— Wszystko to można całkowicie racjonalnie wytłumaczyć — oświadczyłem. Drżałem cały i wciąż widziałem tańczące pod powiekami trójkątne snopy światła. — To coś w rodzaju krótkiego spięcia. Albo statyczna elektryczność. Jesteśmy niedaleko morza. Mogą to być także ognie świętego Elma.

— Co takiego?

— No wiesz, ognie świętego Elma. Czasami widuje się je na szczytach masztów albo na końcach skrzydeł samolotu. Marynarze nazywają je tak od patrona śródziemnomorskich żeglarzy, świętego Erazma...

— Przerwałem i rzuciłem jej szybkie spojrzenie. Zastanawiała się z pewnością, skąd, u diabła, o tym wszystkim wiem. — Czytałem coś na ten temat w roczniku „Eagle”, kiedy miałem dwanaście lat.

— Aha. — Była za młoda, żeby pamiętać, co wypisywali kiedyś w takich rocznikach. — A te krzyki, w takim razie?

— Nie pytaj mnie. Może zapowietrzona rury. Może zaatakowany przez szczura, uwięziony na strychu gołąb.

— Gołębie nie wydają podobnych odgłosów.

— Wiem. Ale może ten wydał.

Czekaliśmy, stojąc w ciemnościach. Nigdy przedtem nie czułem się taki przestraszony i taki bezbronny.

Liz ścisnęła moją rękę i ja ścisnąłem jej, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym poza tym zrobić. Ani przez moment nie przyszło mi do głowy, że w tym, co dzieje się na strychu, może być coś niesamowitego i nierealnego. Błysk wywołało krótkie spięcie; hałasował, ryczał i piszczał olbrzymi szczur. Wciąż nie sądziłem, że trzeba szukać dla tych zjawisk nadprzyrodzonego wytłumaczenia. Cała sprawa wydawała się wystarczająco przerażająca, nawet jeśli można ją było wyjaśnić w racjonalny i naturalny sposób.

— Może powinieneś tam zajrzeć — zasugerowała Liz.

— Może powinienem tam zajrzeć?!

— Jesteś przecież mężczyzną.

— Dobre sobie — odparłem, wciąż trzęsąc się ze strachu. — Nie różnisz się wcale od innych kobiet, które znam. Domagają się równości tylko wtedy, kiedy im to odpowiada.

Mimo to wiedziałem, że będę musiał wejść na strych i stawić czoło temu, co tam szalało. Po tych wszystkich błyskach, krzykach i łomotach nie mogłem ot tak sobie wrócić do łóżka — nie dlatego że może bym nie zasnął, ale dlatego że przez tego olbrzymiego szczura straciłbym wakacyjną pracę, a także całą moją męską atrakcyjność, całą męską wiarygodność. Nie mogłem dopuścić, aby Liz pomyślała, że się go boję.

Nie mogłem dopuścić, aby Liz pomyślała, że boję się czegokolwiek — zwłaszcza jej.

Światło błysnęło ponownie. Tym razem nie było takie jasne, miało bardziej pomarańczowy odcień i po kilku sekundach zacząłem odnosić wrażenie, że czuję unoszący się w powietrzu zapach spalenizny.

— Nie myślisz chyba, że tam się coś pali? — zapytała Liz.

— Nie wiem. Ale wydaje mi się, że masz rację. Powinienem tam zerknąć.

Rozejrzałem się za jakąś stosowną bronią. W sąsiednim pokoju oprócz sześciu albo siedmiu skrzyń po herbacie, w których leżały poplamione poduszki, szkaradne lampo-stoliki, lakierowane

podstawki na książki, wilgotne egzemplarze „The Field” i woreczek z fasolą, który wyglądał jakby wysypała się z niego większość ziarenek, stało pojedyncze złamane kuchenne krzesło.

— Poczekaj chwilę — powiedziałem do Liz. Wszedłem do pokoju i zmagalem się z oparciem krzesła tak długo, aż rozczłonkowałem je z trzaskiem niczym olbrzymiego świątecznego indyka, odrywając jedną z tylnych nóg. — No — oświadczyłem, wymachując swoją maczugą jaskiniowca. — Każdy, kto spróbuje teraz jakichś sztuczek, oberwie nią w łeb.

Zbliżyłem się do drzwi na strych. Mimo że światła przestały migać, wciąż słyszałem przerywane bzyczenie elektryczności. Zizz-krakZIZZ-krak-zizzing. Czułem również charakterystyczny kwaskowaty zapach, który mógł być odorem spalenizny, ale równie dobrze zupełnie czymś innym. Na to pierwsze był trochę zbyt słodkawy i trochę zbyt słaby. Trudno go było dokładnie umiejscowić. Z jakiegoś powodu przyszedł mi na myśl ciężki, przesycony octem zapach starego biurka, który uderza w nozdrza, kiedy zagląda się do jego szeroko otwartych szuflad.

— Chyba się uspokoiło — powiedziała Liz.

— To mnie wcale nie pociesza.

— Och, przestań. To coś nie może być takie straszne, skoro wiedzą o tym wszyscy mieszkańcy wioski.

— Naprawdę tak ci się wydaje? — odparłem z powątpiewaniem. — Może jest dokładnie odwrotnie.

Nie sądzisz, że skoro wszyscy o tym wiedzą, musi być rzeczywiście okropne?

Liz spojrzała na mnie z twarzą skrytą w ciemności, a ja odwzajemniłem jej spojrzenie, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Piekło nie zna bardziej skomplikowanego problemu, niż kiedy kobieta, którą lubisz, żąda, abyś zrobił coś, czego nie znosisz. W końcu odsunąłem niewielki sztywny zatrzask, otworzyłem drzwi na strych i poczułem ponownie ów stęchły zapach, zapach nieświeżego wydychanego powietrza.

Wciąż rozpoznawałem także kwaśną woń spalenizny, ale wydawała się bardzo słaba, no i w ogóle nie wydobywał się dym. Co więcej, powietrze na górze było chłodne, bardzo chłodne — niczym w lodówce.

Liz zadrżała.

— Nie sądzę, żeby coś tam się paliło.

Walnąłem nogą od krzesła w otwartą lewą dłoń tak mocno, że aż mnie zaboląło.

— Mnie też się nie wydaje.

— Nie potrzebujesz latarki?

— Nie mam żadnej. Dokładnie rzecz biorąc mam ale zostawiłem w niej na zimę baterie i cała zzieleniała i zardzewiała. Miałem dzisiaj kupić nową.

Zapaliłem światło przy schodach. Podobnie jak przedtem, odbite w lustrze oświetlało tylko kilka pierwszych stopni. Brązowy wytarty filc tonął wyżej w kompletnej ciemności.

— No idź! — ponaglała mnie Liz.

— Dobrze, dobrze. Zastanawiam się tylko, co powinienem zrobić, kiedy go już znajdę.

— Uderz go po prostu nogą od krzesła.

— A jeśli na mnie skoczy?

— To uderz go w powietrzu.

— Tak, chyba masz rację — odparłem po krótkim namyśle. To był po prostu szczur, nic więcej. Wielki, stary, przerośnięty gryzoń, szczurza wersja generała Woundswortha z „Watership Down”. A co do tych krzyków — cóż, wszystkie hałasy wydają się w nocy dziesięć razy straszniejsze.

Wtuliwszy głowę w ramiona wspiałem się po trzech pierwszych schodkach — tych, które widziałem.

Mogłem stąd, spoglądając między słupkami balustrady, obejrzeć cały strych. Rozróżniałem w ciemności niektóre z kształtów widzianych wcześniej: część z nich stanowiły prawie z całą pewnością zakurzone meble lub sterty ubrań.

— Tu nic nie ma — szepnąłem, odwracając się w stronę Liz. — To musiał być gołąb.

— Zaczekaj chwilę — odparła.

Pociągnąłem nosem i rozejrzałem się dookoła. Zapach spalenizny zupełnie się rozplynął. Moje oczy zaczęły powoli przyzwyczajać się do ciemności i dostrzegłem teraz powykręcane kształty wieszaka na kapelusze i tajemniczy błysk lustra.

Właśnie miałem się wycofać na dół, kiedy rozległ się głośny trzask wyładowania elektrycznego i cały strych zalało przez ułamek sekundy oślepiające błękitne światło.

— David! — zawołała Liz. — Davidzie, nic ci się nie stało?

Z początku nie byłem w stanie odpowiedzieć. Nie wierzyłem własnym oczom. W tym krótkim oślepiającym błysku ujrzałem coś, co przypominało dziecko — małą, ubraną w długą białą nocną koszulę, przechodzącą przez strych dziewczynkę. Jej biała twarz obrócona była w moją stronę i po wyrazie zdziwienia w jej oczach zorientowałem się, że ona zobaczyła mnie także.

— David? — powtórzyła Liz.

— Nie wiem. Nie jestem pewien. Chyba coś widziałem.

— Davidzie, zjedź na dół.

— Nie, jestem pewien, że coś widziałem. To wcale nie jest szczur. To mała dziewczynka.

— Mała dziewczynka? Co, u licha, miałyby robić w środku nocy na strychu mała dziewczynka?

Natężyłem wzrok, ale błysk na jakiś czas oślepił mnie i nie widziałem teraz nawet wieszaka na kapelusze i lustra.

— Jest tu kto? — zawołałem, starając się nadać głosowi łagodne brzmienie. — Czy ktoś tutaj jest?

Minęło parę chwil.

— Czy ktoś tutaj jest? — powtórzyłem.

— Mówisz tak, jakbyś prowadził seans spirytystyczny — zażartowała nerwowo Liz.

Rozglądałem się i nasłuchiwałem; ale dochodziły mnie tylko normalne odgłosy nocy.

— Być może właśnie to robię — odkrzyknąłem.

— Zjedź na dół — nalegała Liz.

Zaczekałem jeszcze jakieś dwie, trzy minuty; wołałem kilka razy, lecz nie było już żadnych błysków, żadnych krzyków i żadnych oznak świadczących o obecności na strychu małej dziewczynki. Tuż przed zejściem na dół usłyszałem ciche ukradkowe szmery w odległym kącie strychu; ale to mogło być cokolwiek.

Zszedłem ostrożnie po schodach i starając się nie okazywać, jak bardzo jestem wystraszony, szybko zamknąłem drzwi.

— Co to, twoim zdaniem, za zjawisko? — zapytała Liz.

Potrząsnąłem głową. Nie wiem. Nigdy się nie dowiem. Nigdy nie będę się starał dowiedzieć.

— Być może jakiś rodzaj wyładowania elektrycznego. Jesteśmy blisko morza, pewnie to błyskawica.

Zapytam w wiosce o piorunochron.

— Chcesz herbaty? — zapytała. — Cały się trzęsiesz.

— Ty też byś się trzęsła.

— Nie sądzisz chyba serio, że widziałeś małą dziewczynkę?

— To, co widziałem, wyglądało jak mała dziewczynka. Choć równie dobrze mogło być wysokim krzesłem w płóciennym pokrowcu. W tym stanie nerwów nie wiem, czy byłbym w stanie dostrzec różnicę.

Ale widziałem przecież jej twarz; zagubioną i przerażoną, pełną niedowierzania i bladą z niedożywienia.

Zeszliśmy razem na dół, do kuchni. Niebo zaczęły zasnuwać pierwsze brudne gałgany świtu. Usiadłem przy stole z jasnego drewna, podczas gdy Liz nastawiła wodę.

— Może rzeczywiście są tam jakieś dzieci — powiedziała. — Może założyły tam obozowisko?

— Tak, a ja jestem Dżyngis-chanem. W jaki sposób mogłyby nie zauważone przez nas wchodzić i wychodzić z domu? A poza tym, jeśli to są prawdziwe dzieci, nie robiłyby tyle hałasu. Nie chciałyby chyba, żeby ktoś je tam odkrył.

— Przeszkadza ci to? — zapytała Liz, zanurzając do mojego kubka okrągłą saszetkę Tetleya i mieszając w nim palcem. — Uuuch, ale gorące.

— Co takiego mi przeszkadza?

— Że są prawdziwe? To prawdopodobnie miejscowe dzieciaki, które ukrywają się przed rodzicami.

Podniosłem kubek do ust, ale herbata była tak gorąca, że musiałem dmuchać przez minutę albo dwie, zanim mogłem wypić łyk.

— Nie jestem pewien — odparłem. — Nie przeszkadza, jeśli tylko przestaną rozrabiać i dadzą mi się choć raz porządnie wyspać.

Liz usiadła naprzeciwko mnie. Jej herbata nabrała czarnego, a właściwie ciemnobursztynowego koloru — tak że prawie nie różniła się od kawy.

— Wiem — powiedziała nagle. — Może zastawimy na nie pułapkę?

— Pułapkę? Jaką znowu pułapkę? Jeżeli są tam rzeczywiście jakieś dzieci, nie chcemy chyba ich skrzywdzić?

— Oczywiście, że nie chcemy ich skrzywdzić. Rozłożymy po prostu na podłodze papier i posypimy go talkiem czy czymś w tym rodzaju. Jeżeli tam wejdą, zostawią ślady. Robiliśmy to samo w internacie, żeby sprawdzić, czy nikt nie wślizgnął się do naszych pokoi.

— Przypuszczam, że możemy spróbować.

Kiedy tak siedzieliśmy, popijając herbatę, wydało mi się, że czuję, jak Fortyfoot House drży lekko w posadach; a potem miałem wrażenie, że gdzieś daleko, na samej granicy percepcji słyszę krzyk dziecka.

Ale kiedy natężyłem słuch, nie usłyszałem niczego. Niczego oprócz tej szczególnej pustki, która dzwoni w uszach, kiedy umilknie łoskot przejeżdżającego pociągu.

Cóż, złudzenie, wyobraźnia. Ale kiedy podszedłem do zlewu, aby umyć kubek, wydało mi się, że widzę w ogrodzie cień, który wcale nie jest cieniem, tylko mężczyzną w czarnym cylindrze, umykającym szybko w stronę rosnących dalej dębów. Przypominał kogoś, komu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, kogoś zbyt przestraszonego, by odwrócić się i spojrzeć w twarz podążającemu jego śladem niewyobrażalnemu napastnikowi.

ROZDZIAŁ VI

Łowca głów

Usłyszałem energiczne pukanie listonosza do kuchennych drzwi. Przestałem czytać „Daily Telegraph”, a Danny uniósł poważne spojrzenie znad talerza wypełnionego solidną porcją krążków Honey Nut. Policzek oświetlił mu odbity od łyżki, zagubiony promień słońca.

Okazało się, że to szczurołap, pan Martin. Ubrany w gruby tweedowy garnitur w jodełkę stał zaczerwieniony i zdyszany w drzwiach, trzymając w ręku sflaczały tweedowy kapelusz i dużą, zapinaną na sprzączki torbę, zaopatrzoną w wypalone na skórze inicjały HJM.

— Proszę, niech pan wejdzie, panie Martin — zaprosiłem go. Szczerze mówiąc, po tym wszystkim, co się wydarzyło w nocy, jego widok sprawił mi wyjątkową przyjemność. — Właśnie zaparzyłem świeżą herbatę. Albo jeśli pan woli, może się pan napić lemoniady. Chyba pan się zgrzał w tym garniturze?

Postawił na podłodze torbę, podsunął sobie krzesło, pociągnął nosem i usiadł.

— To mój kombinezon szczurołapa — poinformował nas, ściskając między kciukiem a palcem wskazującym rękaw marynarki. — Widzicie? Niewiele szczurów potrafi przegryźć coś takiego. W przeciwieństwie do tych nylonowych kombinezonów, które dzisiaj noszą. Pomocaj — zwrócił się do Danny’ego, który niechętnie zastosował się do polecenia. — Co o tym myślisz?

— Kosmate — stwierdził Danny.

— Zgadza się, kosmate, jak szczur. Szczurzy garnitur do łapania szczurów.

Nalałem mu filiżankę herbaty.

— Słodzi pan? — zapytałem.

— Trzy łyżeczki — odparł.

Mieszał ją i mieszał, aż brzęczenie łyżeczki stało się tak irytujące, że miałem ochotę powiedzieć mu, aby przestał. Nagle odłożył ją i wlepił we mnie wzrok, mrużąc jedno i szeroko otwierając drugie oko.

— Dziś w nocy miał pan tutaj kłopoty, prawda? — zapytał.

Kiwnąłem głową.

— Widziałem światła na niebie. Nic nie słyszałem, bo wiatr wiał z drugiej strony. Ale domyśliłem się, że ma pan kłopoty.

— Tak, słyszeliśmy tu jakieś hałasy — przyznałem, spoglądając na Danny’ego. — I widzieliśmy

trochę światła. Posłuchaj, Danny, może zostawiłbyś nas samych i skończył śniadanie w salonie?

— Oglądam domowe przedszkole.

Wyłączyłem telewizor.

— Oglądałeś domowe przedszkole. Teraz już go nie oglądasz. Bądź tak dobry i skończ śniadanie w salonie.

— Dobrze, dobrze, po co tyle krzyku? — odezwał się Harry Martin. — Przenieśmy się z herbatą do ogrodu. Nie chcę, żeby młody człowiek nie mógł oglądać przeze mnie telewizji.

— Jeśli będzie bez przerwy siedział przed telewizorem, wypadną mu oczy — stwierdziłem stanowczym tonem. Niemniej jednak wyszedłem w ślad za Harrym przez kuchenne drzwi na patio i usiedliśmy na murku, z którego roztaczał się piękny widok na opadający w dół ogród i obrośnięty mchem słoneczny zegar. Wczesne słońce zabarwiło na różowo pokryte włoskami uszy Harry'ego.

Szum morza wydawał się dziwnie krzepiący, niczym szept matki kołyszącej do snu rozgorączkowane dziecko.

— Co za hałasy? — zapytał Harry.

— Krzyki, łomoty i jakieś ryki. Krzyki dzieci. I bardzo głęboki dźwięk, który przypominał mówiący bardzo powoli ludzki głos. Wie pan: tak jakby ktoś puścił w zwolnionym tempie taśmę. Widziałem również... albo wydaje mi się, że widziałem małą dziewczynkę w długiej nocnej koszuli. Ale to chyba jakieś złudzenie świetlne... — Zawahałem się. — Taką mam przynajmniej nadzieję — dodałem.

Harry wyjął puszkę z tytoniem i zrobił sobie skręta.

— Słuchał pan dziś rano radia?

— Nie, nie słuchałem.

— Zawsze słucham rano radia. Dotrzymuje mi towarzystwa, zanim obudzi się Vera.

— I co?

— Mówili, że w Ryde zaginęła dziewięcioletnia dziewczynka. To między innymi z tego powodu pomyślałem, że powinienem pana odwiedzić.

— Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

Harry zapalił papierosa i pociągnął nosem.

— Z tego, co mówili w radiu, wie pan... tę dziewczynkę zamknięto na klucz w sypialni. Za karę, bo wróciła późno do domu. Okno też było zamknięte. Ale jakoś się wymknęła. Pozostało zagłębienie

na łóżku w miejscu, gdzie spała, ale na tym koniec. A z ubrań brakowało tylko nocnej koszuli, tej, którą miała na sobie.

— Wciąż nie bardzo za panem nadążam.

— Dzieci ginęły tu już wcześniej — ciągnął cierpliwie dalej Harry. — Jak rok długi, za każdym razem, kiedy w Fortyfoot House widać światła i słycać głosy, w okolicy giną dzieci, może mi pan wierzyć.

— Naprawdę uważa pan, że istnieje tu jakiś związek? Dzieci giną bez przerwy.

— One nie giną w taki sam sposób co inne dzieci. Znikają na dobre; tak że nikt ich potem nie widzi ani nie słyszy. Znikają nawet ciała. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Niech pan posłucha, co powiem. Za każdym razem, kiedy w Fortyfoot House pokazują się światła i słycać głosy, włączam rano radio i przeglądam uważnie gazety. I za każdym razem giną jakieś dzieci. Jedno albo dwoje. Znikają na dobre, tak jakby ich nigdy nie było.

— Zawiadomił pan o tym policję?

— Czy zawiadomiłem policję? Nie potrafię policzyć, ile razy zawiadaniałem policję. Ale oni tylko się śmieją. Myślą, że jestem starym sfiksowanym szczurołapem, ot co. Trzydzieści pięć lat używania warfarinu zniszczyło moje szare komórki, tak właśnie mówią. Zawsze do nich dzwonię i zawiadamiam, za każdym razem, kiedy to się zdarzy, a oni zawsze się śmieją. Niektórzy z tych młodych policjantów to prawdziwe zakute łby.

Obróciłem się na murku i przyjrzałem dachowi Fortyfoot House.

— Więc kto, pana zdaniem, je porywa? Chyba nie Brązowy Johnson?

— Brązowy Jenkin — poprawił mnie. — Tak się nazywa. Brązowy Jenkin. I zgadza się: to on je porywa.

W Bonchurch opowiadają o nim historie od wielu lat. Żeby na przykład nastraszyć dzieci. Zjedz marchewkę albo porwie cię Brązowy Jenkin. Słyszał pan chyba, co mówiła moja Vera.

— Tak — kiwnąłem głową. — Coś o porywaniu tak daleko, że nawet zegar nie potrafi cię dogonić.

— Zgadza się — powiedział Harry. — Gdzieś daleko w przyszłość albo przeszłość, kto to może wiedzieć.

Powiadają, że są miejsca, gdzie wszystko jest takie samo jak tutaj, tyle że inne. Na przykład królowa jest cała w czerni i ludzie nie nauczyli się jeszcze latać.

— Alternatywne rzeczywistości — powiedziałem. — Tak, ja też o tym czytałem. Był nawet na ten temat długi artykuł w „Daily Telegraph”.

— Wierutne bzdury, moim zdaniem — stwierdził Harry. — Ale te dzieci rzeczywiście znikają i nikt nie odnalazł po nich nawet śladu buta, stopy czy paznokcia.

Na patio pojawiła się Liz. Miała na sobie szorty khaki i białą koszulkę, przez którą prześwitywały jej ciemne sutki.

— Może chcecie jeszcze więcej herbaty? — zawołała, zasłaniając dłonią oczy przed słońcem.

Harry potrząsnął głową. Liz podeszła bliżej i usiadła obok nas na murku.

— Czy nie przyszedł pan, żeby złapać naszego szczura? — zapytała. Miała umyte, wyszczotkowane i błyszczące włosy i pachniała perfumami Laury Ashley.

— Nie sądzę, żebym go dzisiaj złapał, ale przyszedłem się rozejrzeć — odparł Harry. — Zawsze miałem chętkę, żeby zmierzyć się z Brązowym Jenkinem. Tak jak każdy rybak ma chętkę złowić jakiegoś wyjątkowo potwornego szczupaka. Albo jak kapitan Ahab, który miał chętkę na tego wieloryba, Moby Dicka.

— Pańska żona kazała mi obiecać, że nie wpuszczę pana do domu — powiedziałem.

— Pewnie. Ale wie pan, jakie są kobiety. Nie rozumieją, co to znaczy poczucie obowiązku.

— Jakiego obowiązku? — dopytywała się Liz.

— Pan Martin jest szczurołapem — wyjaśniłem. — Jeśli złapie Brązowego Jenkina, to będzie coś w rodzaju ukoronowania jego całej kariery. Nigdy o nim nie zapomną. W każdym razie nie w Bonchurch.

— To nie to — sprostował Harry. — Nie uganiem się za sławą. Wcale mi na niej nie zależy.

— O! — odparłem, zbity z pantałyku.

Harry ponownie zapalił papierosa, wydając przy tym głośny odgłos ssania.

— Obowiązek, o którym mówię, jest obowiązkiem wobec mojej rodziny... wobec mojego brata.

Czekaliśmy, słuchając, co powie.

— Mój młodszy brat William — powiedział, odchrząknawszy, Harry — zniknął, kiedy miał osiem lat.

Spaliśmy w tym samym pokoju, ja i William, a on wyszedł tylko na chwilę do kuchni po szklankę wody.

To się stało jednej z tych nocy, kiedy w Fortyfoot House widać było światła i słychać głosy. Ja też widziałem te światła, przeświecające przez chmury, i słyszałem hałasy, które przypominały podziemne ryki.

William wstał z łóżka, bo chciało mu się pić. Wtedy właśnie widziałem go po raz ostatni: jak stojąc w nocnej koszuli otwiera drzwi sypialni. Widzę go, tak jakby to było dzisiaj, bardzo wyraźnie. Miał rudawobrązowe włosy i cienką szyję. Tylko wie pan co? Nie potrafię przypomnieć sobie jego twarzy.

— I nigdy pan już nie zobaczył brata? — zapytałem.

— Nigdy. Nie zostało po nim ani śladu. Kuchenne drzwi pozostały zamknięte od środka i frontowe drzwi tak samo. Otwarte było wprawdzie małe okienko w spiżarni, ale przez nie nie przecisnąłby się nawet kot.

— Kiedy to się wydarzyło?

Zapadło długie, bardzo długie milczenie. W końcu Harry przełknął ślinę.

— Pięćdziesiąt sześć lat temu — powiedział. — Dzień po świętym Michale.

— I uważa pan, że porwał go Brązowy Jenkin?

— Słyszałem, jak mówiła tak moja matka, rozmawiając z pastorem. Była tego pewna. Chciała, żebyśmy poszli do Fortyfoot House i rozebrali cały dom, cegła po cegle, aż znajdziemy naszego Williama. Ale ojciec powiedział, że postradała zmysły, czy coś w tym rodzaju, i że Brązowy Jenkin jest tylko szcurem, a może nawet w ogóle nie istnieje, i że to Pan Bóg jest tym, który daje i odbiera, a nie żadne szczury. Ale ja wiedziałem, że prawda wygląda inaczej.

— Dlaczego? — zapytała ze współczuciem Liz.

Było dla nas oczywiste, że Harry'emu wciąż nie daje spokoju zniknięcie jego brata — mimo że stało się to przeszło pół wieku temu.

— Następnego dnia znalazłem dwa odciski na grządce przy ścianie kuchni. Przypominały szczurze łapy, tylko większe, trzy, cztery razy większe niż normalne. Jeden znalazłem pośrodku bratków, ale drugi, widoczny tylko w połowie, wyglądał, jakby wystawał ze ściany... z kuchennej ściany, rozumie pan... tak jakby jakieś zwierzę przeszło przez mur, nie przejmując się nawet, że napotkało przeszkodę.

— Pokazał pan te odciski ojcu?

— Miałem taki zamiar, ale on przez cały dzień chodził razem z policjantami, szukając Williama na klifach, a potem przez noc padało i odciski zmyła woda. Nie mogłem nikomu nic udowodnić i wtedy właśnie powiedziałem sobie, że muszę zapomnieć o tym, co się stało, i nie myśleć więcej o Brązowym Jenkinie, czymkolwiek on jest, ponieważ mogę od tego zwariować, tak samo jak zwariowała moja matka.

Wypiłem do końca herbatę.

— Ale teraz przyszedł pan, żeby go odszukać.

— Pomyślałem, że mogę to zrobić... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie. — Nie potrafiłem powiedzieć, czy wierzę, że Brązowy Jenkin kradnie w nocy dzieci, przenikając przez kamienne ściany, wiedziałem jednak na pewno, że na strychu Fortyfoot House żyje coś bardzo nieprzyjemnego i niepokojącego, i że im szybciej się tego pozbędziemy, tym lepiej.

— No dobrze — powiedział Harry wstając. — Pozwoli pan, że pójde teraz mu się przedstawić?

— Obawiam się, że na górze nie działają żadne światła, a ja nie mam latarki. Chciałem kupić jakąś wczoraj, ale zapomniałem.

— W porządku. Mam latarkę w torbie razem z resztą mojego ekwipunku. — Wszedł z powrotem do kuchni, podniósł torbę i rozpiął zamykające ją sprzączki. — Jest tutaj wszystko, co trzeba — mówił, grzebiąc hałaśliwie w środku. — Pułapki, druty, zatruta przynęta. Nawet wielki pieprzony młotek. Na takiego szczura to najlepsza rzecz, jaką pan sobie może wyobrazić: wielki pieprzony młotek!

— Pańska żona życzyła, sobie, żebym pana nie prosił o znalezienie Brązowego Jenkina — powiedziałem zakłopotany. — Zakazała mi nawet wpuszczać pana do domu.

Harry wyjął z torby drugą chromowaną latarkę.

— O nic mnie nie prosileś, przyjacielu; a kwestia, czy mnie wpuszczasz czy nie, w ogóle nie wchodzi w rachubę. Nie jest pan tutaj gospodarzem, prawda? Jest pan tylko dekoratorem wnętrz, i na tym koniec, a ja mam zamiar zrobić to, co chcę zrobić. Więc może się pan czuć rozgrzeszony.

Rzuciłem spojrzenie Liz, ale ona wzruszyła tylko ramionami.

— Nie musi pan tam wchodzić — powiedziałem. — Dziś po południu ma przyjechać facet z Rentokilu.

Harry położył mi rękę na ramieniu i spojrzał prosto w oczy.

— Rentokil, przyjacielu, zajmuje się mrówkami, karaluchami i grzybem. A to jest robota dla prawdziwego szczurołapa. — Poklepał się po czole. — Psychologia, oto czego trzeba, żeby zmierzyć się z Brązowym Jenkinem. Człowiek musi bez przerwy główkować, starać się zawsze wyprzedzać go o jeden ruch.

W tej samej chwili do kuchni wszedł Danny, niosąc pusty talerz.

— Co pan z nim robi, kiedy pan go złapie? — zapytał. — Czy może pan go wsadzić do klatki i trzymać jak chomika?

— Nie tego szczura — odparł Harry.

— Miałem strzelić do niego z mojego pistoletu na wodę, ale tato zapomniał kupić latarki.

Harry posłał mi nieśmiały krótki uśmiech.

— Taki pistolet chyba na niewiele się przyda, synu.

Danny wyszedł na dwór się pobawić, a ja zaprowadziłem posapującego Harry'ego na pierwsze piętro.

Kiedy złapał się starymi wysuszonymi dłońmi balustrady, zobaczyłem, że u prawej ręki brakuje mu czubków wskazującego i środkowego palca. Mogłem się założyć, że jakiś szczur oberwał za to nieźle młotkiem.

— Co sprawiło, że zdecydował się pan tu jednak przyjść? — zapytałem.

— Ten pański chłopak — odparł chrząkając.

— Danny?

— Zgadza się. Po pańskiej wczorajszej wizycie przespacerowałem się do Bonchurch, żeby przyjrzeć się bliżej domowi, wie pan, żeby go sobie przypomnieć. Nie byłem tutaj od dwu albo trzech lat, a może jeszcze dawniej. Zatrzymałem się przy tylnej furtce i zobaczyłem, jak pański chłopak bawi się przy stawie.

Był do mnie odwrócony tyłem. I przez ułamek sekundy... — przerwał i przełknął ślinę; jego potężne jabłko Adama chodziło przez chwilę w górę i w dół. — Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że to mój brat, William.

Nie musiał tłumaczyć niczego więcej. Odsunąłem zatrask przy drzwiach, a on zapalił swoją latarkę.

— Niech pan się czuje jak u siebie w domu — powiedziałem. — I na litość boską, niech pan będzie ostrożny.

Harry wciągnął w nozdrza powietrze, które napływało z pogrążonego w ciemności strychu.

— Nie czuję zapachu szczurów — stwierdził.

— Jaki to jest normalnie zapach?

— Och, musi pan go znać. Śmierdzą kwaśnymi siuškami, trocinami i czymś jeszcze, czymś specyficznym, co przypomina zmieszany razem zapach śmierci i niemowląt.

— Nie weźmie pan ze sobą swojego młotka? — zapytałem.

— Nie tym razem. Tym razem chcę się tylko rozejrzeć. Zorientować, z czym przyjdzie mi się zmierzyć.

— Z kurewsko dużym szczurem wielkości cocker-spaniela, niech pan mi wierzy — ostrzegłem go.

Wspiął się ciężko po schodach, przesywając ciemność światłem latarki. Ruszyłem tuż za nim, choć szczerze mówiąc, oddałbym wszystko, żeby wrócić na dół, wyjść na słońce i zapomnieć, że kiedykolwiek coś widziałem albo słyszałem. A jeśli wciąż jest tutaj ta dziewczynka? Przypuśćmy, że była prawdziwa — że ktoś ją tu porwał, zgwałcił i zamordował? Jak, do diabła, miałem to teraz komukolwiek wytłumaczyć?

Przypuśćmy, że miejscowe opowieści są prawdziwe i Brązowy Jenkin jest bestią, zdolną porywać małe dzieci? Jediną osobą, która mogła mnie obronić, był posapujący ciężko, liczący sobie sześćdziesiąt siedem lat starzec z latarką.

Zachowywałem się jak śmierdzący tchórz. I bardzo dobrze. Wcale się nie wstydziłem, że mam aż tak cholernego pietra.

Harry wszedł na górę, oparł się o balustradę i rozejrzał dookoła, posyłając snop światła kolejno we wszystkie kąty. Zobaczyłem zniszczonego konia na biegunach, z błyszczącym żółto szklanym okiem i przerzedzoną przez czas i dotyk dziecięcych dłoni grzywą. Zobaczyłem zielony szkolny kufer z wymalowanym przez szablon napisem R.W.J. WILSON, DOM DYREKTORA. Zobaczyłem wypełnione starymi książkami skrzynie po herbacie. Daleko w dole słyszałem niewyraźny śmiech Danny'ego, który ganiał się z Liz po ogrodzie.

— Zeszłej nocy rozpętało się tu istne piekło — powiedziałem Harry'emu. — Oślepiające światła, hałasy, a potem ta mała dziewczynka. Albo coś, co wziąłem za małą dziewczynkę.

Harry wysunął do tyłu dłoni i zacisnął ją na mojej ręce. Czułem jego zrogowaciałe, w dwóch miejscach wyraźnie krótsze palce.

— Nie musisz się przede mną tłumaczyć, przyjacielu. Wiesz dobrze, co było prawdą, a co nie, tak samo jak ja wiem dobrze, kto porwał mojego brata. Są rzeczy, których człowiek jest absolutnie pewien i kropka, niezależnie od tego, co powiedzą inni. Może nie czuję tutaj zapachu szczurów, ale na pewno czuję Brązowego Jenkina.

— Co ma pan zamiar zrobić? — zapytałem.

— Trochę się rozejrzę — powiedział. — Nawet najsprytniejsze szczury zostawiają jakieś ślady.

— Dobrze, ale niech pan, na litość boską, będzie ostrożny.

Czekałem przy schodach, podczas gdy Harry myszkował hałaśliwie po strychu, podnosząc pokrowce i przesuważąc meble.

— Nie ma żadnych odchodów — oznajmił po dłuższej chwili. — Normalnie można znaleźć odchody.

— Może to w ogóle nie jest szczur — powiedziałem.

— Wszystkie szkodniki zostawiają po sobie odchody — zawyrokował Harry. — Podobnie jak wszyscy ludzie zostawiają śmieci.

Przypomniałem sobie opakowanie po batoniku Ripple, które wyrzuciłem wczoraj przez okno samochodu, i ogarnęło mnie nagłe poczucie winy.

Harry hałasował dalej. Nie widziałem go, bo znajdował się teraz w najodleglejszym kącie strychu, gdzieś nad moją sypialnią. Co jakiś czas widziałem tylko snop światła z latarki, przecinający spadzisty dach.

— Niech pan chwilę zaczeka! — zawołał. — Jest tutaj świetlik, ale przez szybę nie widać wcale nieba.

Wdrapałem się na samą górę, żeby zobaczyć, gdzie jest. Stał nad moją sypialnią, świecąc latarką w składający się z dwóch szybek, osadzony w dachu mały świetlik.

— Nie wiem dlaczego — powiedziałem — ale kiedy przyglądałem się domowi z zewnątrz, wydawało mi się, że ta część strychu została zamurowana.

Harry zastanawiał się nad tym przez chwilę, pociągając nosem.

— Więc jest tutaj coś w rodzaju zamurowanego pomieszczenia?

— Zgadza się. Pomiędzy starym a nowym dachem.

— Wystarczająco dużego, żeby mogło się tam coś ukryć?

— W zasadzie tak. Ale nie szczur. W jaki sposób mógłby otworzyć i zamknąć za sobą świetlik?

Harry skierował latarkę na własną twarz. Wyglądała upiornie i obco, niczym zawieszona w półmroku pośmiertna maska.

— Oto jest pytanie, prawda? Ale mam również inne: w jaki sposób szczur mógł porwać mojego brata?

Potrząsnąłem głową. Chciałem, żeby się rozejrzał i odnalazł tak szybko, jak tylko mógł, Brązowego Jenkina. Mimo odczuwalnego tu stale przeciągu na strychu było wyjątkowo duszno — tak jakbyśmy tkwili zagrzebani trzy kondygnacje pod powierzchnią ziemi, a nie znajdowali się wysoko nad nią.

Harry pokręcił się jeszcze trochę po strychu, unosząc w górę meble.

— Wygląda na to, że musimy się znowu zastanowić — oświadczył. — Nie ma tutaj na górze śladu szczura ani wiewiórki. W ogóle żadnych śladów.

— Na pewno coś widziałem — stwierdziłem stanowczym tonem. — Było kosmate, ciemne i minęło mnie zaledwie o parę centymetrów.

Po dłuższej chwili Harry ponownie pociągnął nosem.

— Wierzę panu — zapewnił. — Choć znam parę osób, które by pana wyśmiały. — Stał przez ponad minutę w miejscu, wpatrując się w przestrzeń, a potem skierował ponownie snop światła na świetlik.

— Chyba powinienem tam zajrzeć. Może dowiemy się dzięki temu, co jest grane.

— Wątpię, czy da się otworzyć — powiedziałem.

Nie bacząc na to, podsunął pod okienko jedną ze skrzyń, wdrapał się na nią i sięgnął do staroświeckiej zasuwki. Musiał uderzyć dwa albo trzy razy wierzchem dłoni w ramę, ale nagle świetlik puścił. Podniósł go tak wysoko, jak mógł, i zabezpieczył zardzewiałą blokadą.

— Tutaj śmierdzi inaczej — stwierdził, wsadzając głowę do środka i kierując w różne strony światło latarki.

Chociaż zasłaniał mi prawie cały widok, mogłem dostrzec powykrzywiane pod różnymi kątami surowe bloki szarego żużlobetonu, co mogło wskazywać, że nowy dach wznoszony był raczej w pośpiechu przez kogoś, kto nie najlepiej znał się na murarce.

— Wciąż są tutaj stare dachówki! — krzyknął Harry. — W życiu nie zgadnę, dlaczego ktoś wpadł na pomysł, żeby to zamurować. Ten nowy dach nie spełnia właściwie żadnej funkcji.

— Zamurowali także jedno z okien w mojej sypialni.

— Niech mnie kule biją, jeśli wiem dlaczego — powiedział. — Wygląda na to, że będziemy musieli się znowu zastanowić.

Miał właśnie zejść na dół ze skrzyni, kiedy nagle wypadła mu z ręki latarka. Uderzyła o podłogę, ale nie zgasła. Snop światła padł na zakurzoną taflę wielkiego lustra, które rozświetliło cały kąt strychu niesamowitym odbitym blaskiem.

Podszedłem bliżej, żeby podać mu latarkę, ale Harry wydał nagle niezwykły dźwięk, przypominający trzask rozdieranego prześcieradła. Spojrzałem w górę i zobaczyłem ku swemu przerażeniu, że zaczepił o coś głową. Próbował sięgnąć ręką, żeby się uwolnić, ale nie był w stanie. Okręcił się wokół własnej osi, podnosząc w górę nogę i w tej samej chwili skrzynia, na której stał, przewróciła się z hukiem na podłogę.

— Harry! — wrzasnąłem, próbując złapać go za nogi i podtrzymać. Wbił we mnie wzrok i otworzył szeroko usta, ale najwyraźniej nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Harry! Co się stało? — krzyknąłem. Udało mi się złapać jego lewą nogę, ale prawa zataczała zbyt szerokie kręgi. — Nie szarp się, staraj się wisieć spokojnie!

Głowa Harry'ego latała gwałtownie na wszystkie strony i co chwila uderzał czołem o framugę świetlika.

Zobaczyłem krew. A potem usłyszałem ponownie ów trzask dartego materiału i twarz Harry'ego nagle stężała. Oczy wydłużyły mu się i zwęziły, nozdrza rozszerzyły, a górna warga podniosła w groteskowym grymasie.

— Harry! — wrzasnąłem.

Coś ciągnęło coraz wyżej i wyżej skórę jego twarzy, aż w końcu przypominała oblicze jakiegoś szalonego Mongoła, szczerzącego zęby w monstualnym, śmiertelnym uśmiechu. Znowu rozległ się ten ohydny trzask i odgłos darcia i nagle uświadomiłem sobie, co jest jego przyczyną. Skóra Harry'ego stopniowo odrywała się od czaszki. Trzeszczała odchodząca od skóry tkanka tłuszczowa i oddzielające się od kości błony, a odgłos darcia wydawały wyrywane włosy.

Udało mi się złapać jego drugą nogę i przytrzymać w miejscu. Próbowałem pociągnąć go w dół i uwolnić od tego, o co się zaczepił, ale krzyknął tak rozdzierająco, że natychmiast go puściłem. Skóra schodziła z jego głowy niczym z piersi surowego kurczaka i nie mogłem na to nic poradzić.

— Liz! — ryknąłem na cały głos. Ale Liz była w ogrodzie i w żaden sposób nie mogła mnie usłyszeć.

Ogarnięty paniką wyprostowałem niezgrabnie skrzynię, na której jeszcze przed chwilą stał Harry, i czując w nozdrzach silny zapach tytoniu objąłem obiema rękoma jego miotające się ciało. Rzucił się tak wściekle, że nie byłem w stanie niczego zobaczyć. Nie widziałem, co takiego go trzymało i w jaki sposób ściągało mu skórę z głowy.

A potem szarpnął nagle głową w przód. Oblała mnie gorąca lepka krew i w tej samej chwili zobaczyłem w splątanej gęstwie jego włosów trzy świecące niczym noże zakrzywione czarne pazury. Wbijały się prosto w skórę na jego głowie, a potem okręciły skalp dookoła, raz, drugi i trzeci, tak że uwięziona w straszliwym szponiastym krępulcu skóra zaczęła odrywać się od czaszki.

— Trzymaj się, Harry — błagałem go.

Spojrzał na mnie nabiegłymi krwią świńskimi oczkami. Miał pękniętą na brodzie skórę. Nagle język opadł mu w dół i pojawił się w zakrwawionej szparze pod dolną wargą, tak jakby miał dwoje ust, a nie jedno. A potem z lepkiem śliskim odgłosem cała jego twarz powędrowała w górę, niczym ściągana z dłoni zakrwawiona gumowa rękawica i zobaczyłem obdartą ze skóry, pokrytą mięśniami czaszkę, z pozbawionymi powiek, wychodzącymi z orbit przerażonymi oczyma i tkwiącymi w zakrwawionych dziąsłach zębami, które szczerzyły się w śmiertelnym uśmiechu. Żywy trup, po prostu żywy trup; z twarzą wykrzywioną grymasem nieznośnego cierpienia; grymasem świadomości, że walka o życie ma się ku końcowi.

Zachwiałem się, straciłem równowagę i niezgrabnie zeskoczyłem ze skrzyni. Wiszący w powietrzu Harry wciąż wymachiwał rękoma i nogami, ale robił to w jakiś beładny, chaotyczny sposób, niczym pływak, który jest już zbyt zmęczony, żeby wykonywać skuteczne ruchy. Nie mogłem

się oprzeć wrażeniu, że próbuje po prostu wypompować więcej krwi przez swoją okaleczoną głowę, żeby wykrwawić się na śmierć i dłużej nie cierpieć.

— Liz — szepnąłem.

A potem Harry okręcił się dookoła własnej osi, runął ciężko na podłogę i wstrząsany agonią legł na boku w swoim włochatym kombinezonie szczurołapa. Spojrzałem na świetlik. Szyby i sufit zachlapane były krwią.

— Harry — powiedziałem, dotykając jego sztywniejącego, zakrwawionego ramienia. — Harry... zaraz wezwę pogotowie. Po prostu leż spokojnie. Nie próbuj się ruszać.

Wpatrywał się we mnie tymi nabiegłymi krwią, podobnymi do ostryg oczyma.

— Bo ja... bo ja... — szepnął pozbawionymi warg ustami.

— Wszystko w porządku, Harry — zapewniłem go. — Nic się nie stało. Ale proszę cię: nie ruszaj się.

Zostawię cię teraz tylko na kilka minut.

— Bo ja... — powtórzył, kręcąc na wszystkie strony oczyma, których nie mógł zamknąć.

Zbiegłem po schodach na strych, a potem na dół do kuchni. Liz stała w otwartych drzwiach, oświetlona z tyłu przez słońce.

— Davidzie? Co się stało? — zapytała.

— To Harry. Szczurołap. Miał wypadek. — Złapałem słuchawkę wiszącą na ścianie telefonu i wykręciłem trzy dziewiątki.

— Telefon awaryjny, z kim pana połączyć?

— Z pogotowiem, szybko! Fortyfoot House w Bonchurch.

Liz ruszyła szybko w stronę schodów.

— Co mu się stało? Czy nie powinnam...?

— Nie! — wrzasnąłem i zatrzymała się w miejscu z otwartymi szeroko oczyma; i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, co się stało.

— Proszę pana? Jaki jest pański numer? — pytał mnie dyspozytor. — Jaki jest pański numer?

ROZDZIAŁ VII

Słodka Emmeline

Detektyw sierżant Miller wyszedł do ogrodu i strzepnął kurz z pogniecionego szarego garnituru.

Z różową cerą, wyblakłymi błękitnymi oczyma, okrągłymi szklami okularów i przerzedzającymi się włosami koloru słomy przypominał bardziej młodego wikarego niż oficera policji. Pod szyją miał zawiązany krawat jachtklubu Isle of Wight, a do butonierki przypięty agra.ą pączek róży. Nigdy nie żywiłem zaufania do ludzi, którzy noszą kwiaty w butonierce — nie dlatego, abym podejrzewał, że są pedałami, ale ponieważ wydaje mi się, że wzorują się na elegantach z lat pięćdziesiątych, którzy paradowali w blezerach i jedwabnych krawatach w podkówki.

Eleganci z lat pięćdziesiątych (tacy choćby jak mój ojciec i mój wuj Derek) wychowywali się na ogół w ubogich, niezbyt szczęśliwych rodzinach i wierzyli, że blezery i jedwabne krawaty (a także pączki róży w butonierce) uczynią z nich natychmiast ludzi z klasą.

— Nie powinien pan się winić, panie... jak brzmi pańskie nazwisko? — oznajmił, omiatając spojrzeniem ogród. — To był po prostu nieszczęśliwy wypadek, nic więcej.

— Powiedziałem panu, co widziałem. Widziałem pazury.

Przycisnął palcem czubek nosa, żeby powstrzymać kichnięcie. Ale po chwili i tak kichnął, po czym wyciągnął z kieszeni chusteczkę.

— Przepraszam. Mam katar sienny.

— Nie rozumiem, jak to wszystko mogło się zdarzyć — stwierdziłem.

Wytarł nos i rzucił szybkie spojrzenie, tak jakby nie chciał popatrzeć mi w oczy.

— W futrynę świetlika wbito parę paskudnych gwoździ i pan Martin zaczepił się o jeden z nich. Miał po prostu cholernego pecha, to wszystko. Stracił oparcie pod nogami, zakręcił się wokół własnej osi i kręcąc się dookoła, zdarł skórę z twarzy. To wszystko. Widziałem takie rzeczy już wcześniej. W zeszłym roku facet wsadził rękę do tokarni w tartaku w Blackgang. Ściągnęło mu skórę, trrrach, aż do łokcia. Zasłoniłem ręką usta. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem pewien, że widziałem wbijające się w głowę Harry'ego zakrzywione czarne pazury; byłem pewien, że coś na tym strychu złapało go i z olbrzymią siłą zdarło skórę z głowy. W jaki sposób Harry mógł przypadkowo zahaczyć głową o gwóźdź?

Jak mógł kręcić się tak gwałtownie, żeby ściągnąć sobie całą skórę z twarzy?

Nie miałem żadnych wątpliwości, że zrobił to Brązowy Jenkin; nie wiedziałem tylko jak. Wyjaśniłem już detektywowi sierżantowi Millerowi, że na strychu gnieździ się jakiś „superszczur”. Ale podczas gdy rudowłosy detektyw konstabl cierpliwie robił notatki, detektyw sierżant Miller spoglądał na mnie swymi wyblakłymi błękitnymi oczyma zza okrągłych wypolerowanych szkieł i

wydawał się tak sceptycznie nastawiony do opowieści o Brązowym Jenkinie i w ogóle do faktu, że Harry Martin mógł stać się obiektem jakiegokolwiek ataku — ludzkiego bądź szczonego: „to był nieszczęśliwy wypadek, proszę pana, nie ma co do tego żadnych wątpliwości” — że uznałem w końcu za najmądrzejsze przymknąć się i chronić po prostu Danny’ego i Liz przed przerażającymi rzeczami, które gnieźdzą się na strychu Fortyfoot House; a także dziękować Bogu, że policja nie aresztowała mnie za napaść na Harry’ego Martina.

Funkcjonariusze prawa i porządku robią takie rzeczy w najmniej oczekiwanych momentach. Czasami ludzie zastanawiają się, czy w ogóle powinni ich wzywać.

— Nie będzie pan w najbliższym czasie stąd wyjeżdżał? — zapytał detektyw sierżant Miller.

— Nie, nie. Nie przez najbliższe dwa, trzy miesiące. Przyjechałem, żeby wyremontować cały dom. Otynkować, okablować, położyć kafle, wytapetować. Wszystko, co pan chce.

— To znaczy, że Tarrantowie zamierzają tu wrócić?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, chcą go sprzedać. Wyjechali na stałe na Majorcę.

— Niektórzy to mają szczęście — zauważył detektyw sierżant Miller.

— Z całą pewnością nie był pan na Majorce.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie, nie mrugnawszy nawet okiem. Nie wiedziałem, czy próbuje mnie speszzyć, czy w telepatyczny sposób zakomunikować, że owszem, był na Majorce. W końcu facet, który nosi w butonierce pączek róży, na pewno musiał odwiedzić w życiu wszelkie możliwe miejsca.

W każdym razie powinien to zrobić.

— Na razie to wszystko — powiedział. — Prawdopodobnie jeszcze się z panem skontaktujemy. Ale rozumie pan, sprawa wygląda na rutynową.

— Przeszukaliście zamurowane poddasze? — zapytałem. Nie spuszczać ze mnie wzroku pokiwał głową.

— Tak, przeszukaliśmy poddasze.

— Żadnych szczonek? Żadnych śladów szczonek?

— Nie, panie... jak brzmi pańskie nazwisko? Żadnych. Tylko haki. Trzy cholernie wielkie żelazne haki.

Używali ich prawdopodobnie do wciągania na dach materiałów budowlanych. Wie pan, zanim zamurowali ten kawałek.

— Wyrwę je — obiecałem. — To trochę jak zamykanie drzwi stajni po ucieczce koni, ale wie pan...

— Już je wyjęliśmy — zapewnił mnie. — Jones — zwrócił się do swego podwładnego — czy mógłbyś przynieść je ze strychu?

— Tak jest — odparł rudy konstabl i pośpieszył przez trawnik do domu, wymachując zamaszycie rękoma i nogami w workowatych spodniach.

Detektyw sierżant Miller milczał, czekając, aż jego kolega zniknie nam z oczu. Spoglądał na ruiny kaplicy, na groby, na morze i na stękający ze starości cedr.

— Słyszałem opowieści o tym domu, wie pan — powiedział w końcu. — Ale nigdy nie byłem w środku.

— Jakie historie? — zainteresowałem się.

Wzruszył ramionami. Uśmiech, który pojawił się na jego wargach, był prawie głupkowaty.

— Och, nic takiego... mój kuzyn powtarzał, że ten dom jest nawiedzany przez duchy.

— Ach tak... nawiedzany. Tak, ja też coś o tym słyszałem.

Zdjął okulary, złożył je i wsadził do kieszeni marynarki.

— Chciałbym panu tylko powiedzieć, że nie jesteśmy tacy ograniczeni.

— Słucham?

— Nie jesteśmy tacy ograniczeni — powtórzył z naciskiem. — Znamy wszystkie historie, które krążą o Fortyfoot House: o dziwnych hałasach i światłach, i o zaginionych dzieciach. Ale nie zaaresztuje pan światła ani hałasu i co może pan zrobić, jeśli dziecko znika i nie zostawia nawet odcisku stopy? Dostajemy tylko dwadzieścia tysięcy funtów na dochodzenie w sprawie morderstwa. Kiedy pieniądze się skończą, przerywamy poszukiwania. Nie dadzą nam nawet pensa na szukanie duchów.

Byłem zdumiony. Przed chwilą jeszcze się upierał, że Harry'emu przydarzył się nieszczęśliwy wypadek; teraz zaś spekulował, że Harry mógł paść ofiarą sił nadprzyrodzonych. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby policjant opowiadał takie rzeczy.

— Uważa pan, że jest jakiś związek między Fortyfoot House a zaginionymi dziećmi? — zapytałem.

— To znaczy, naprawdę?

— Naprawdę. Harry Martin złożył na ten temat dosyć doniesień. Dwóch naszych funkcjonariuszy przez dwa wieczory obserwowało ten dom.

— Ale?

— Ale nic się nie wydarzyło. W ciągu ostatnich trzech lat policja dwukrotnie przeszukała Fortyfoot House, od piwnic aż do strychu. A jeśli zajrzy pan do archiwum, stwierdzi pan, że od zakończenia wojny robiliśmy to sześć albo siedem razy. Byliśmy już kiedyś w zamurowanej części poddasza. Nic tam nie ma. Mówiąc to mam na myśli: nic materialnego. Nic, do czego moglibyśmy przyczepić tabliczkę z napisem „dowód numer 1” i podsunąć pod nos sędziemu. Ale to nie oznacza, że daliśmy za wygraną. Ani że jesteśmy ograniczeni, panie... jak pan się nazywa? Oznacza to wyłącznie, że musimy mieć jakiś dowód, zanim zaczniemy działać.

Powoli potrząsnąłem głową.

— Wierzy pan w zjawiska nadprzyrodzone? Czy to właśnie chce mi pan dać do zrozumienia?

Zamrugnął wyzywająco oczyma.

— Czemu nie?

— Jest pan przecież policjantem.

— Wielu policjantów należy do masonerii. Wierzą w Wielkiego Architekta. Wielu policjantów uważa się za fundamentalistów. Wierzą w ogień i siarkę, i w Ponowne Przyjście. Nie jestem masonem ani fundamentalistą, ale na pewno wierzę w otwarty umysł.

Nie odpowiedziałem; po prostu stałem w ciepłym powiewie wiatru i czekałem, co powie dalej.

— Wykluczając całkowicie działanie sił nadprzyrodzonych — oświadczył z dużą pewnością siebie detektyw sierżant Miller — nie wypełniałbym we właściwy sposób swoich obowiązków. Nie chodzi mi oczywiście o ścisłe przestrzeganie regulaminu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Dobry detektyw robi coś więcej, niż tylko przestrzega regulaminu. Dobry detektyw łączy fakty, logikę i dedukcję z wyobraźnią i inspiracją.

— No cóż — odparłem. — Jestem pod wrażeniem.

Detektyw sierżant Miller wysmarkał nos.

— Nie musi pan — stwierdził. — Większość sił policyjnych wciąż składa się z pospolitych zbirów, idiotów, pompatycznych dupków, facetów, którzy uwili sobie wygodne gniazdko, którzy najchętniej wbiliby panu nóż w plecy. Ale zdarza się wśród nich czasem prawdziwy profesjonalista. Może pan spotkać jednego albo dwóch, co nie są kompletnymi ciołkami. Niestety, nie wśród hierarchii.

— Innymi słowy, nie może pan pójść do swojego zwierzchnika i powiedzieć mu, że Harry Martin został zaatakowany przez jakiś obiekt nie pochodzący z tego świata?

Na jego zaciśniętych wargach pojawiło się coś w rodzaju gorzkiego uśmiechu.

— Mój inspektor nie wierzy nawet we własne odbicie w lustrze.

— Ale co dokładnie by mu pan powiedział, gdyby pan mógł? — Chciałem wiedzieć, co naprawdę sądzi detektyw sierżant Miller o tym incydencie. Czy Harry rzeczywiście zaczął się o hak i kręcąc w kółko zdarł sobie skórę z twarzy? Czy też w zamkniętej części poddasza gnieździ się coś bardzo złego — coś, co wpada w dziką furję, kiedy ktoś się tam zbliża?

— Powiedziałbym mu po prostu, że to, co przydarzyło się panu Martinowi, nie było wypadkiem w normalnym sensie tego słowa ani napaścią w normalnym sensie tego słowa. To wszystko.

— Nie wyłożyłby pan mu żadnej ze swych teorii?

— Nie na tym etapie. — Z jego głosu przebijała ostrożność. — To by nic nie dało.

— A pański kolega? Nazywa się, o ile pamiętam, Jones? Czy powie mu pan, co naprawdę sądzi pan o tej sprawie?

Detektyw sierżant Miller potrząsnął głową.

— Detektyw konstabl Jones jest w stanie uwierzyć tylko w to, co może zjeść, wypić albo uderzyć.

— Więc tak naprawdę nie wie pan, co się wydarzyło? Wie pan tylko, co się nie wydarzyło?

Popatrzył na mnie tymi swoimi bladymi, pozbawionymi wyrazu oczyma.

— Pozwoli pan, że dam mu dobrą radę? Wychowałem się tutaj. Dokładnie rzecz biorąc w Whitwell.

Na pana miejscu uważałbym na ten dom. Kiedy mój kuzyn mówi, że jest nawiedzany przez duchy, to nie są to tylko takie tam bajdy.

— Myśli pan, że Brązowy Jenkin istnieje naprawdę?

— Nie wiem nic o Brązowym Jenkinie. Ale w ciągu wszystkich tych lat tyle było nie wyjaśnionych incydentów związanych z Fortyfoot House, że coś musi być tu nie w porządku. Nie ma dymu bez ognia, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Cóż... — powiedziałem. — Dziękuję za ostrzeżenie.

W tej samej chwili podszedł do nas z powrotem, wymachując ramionami, detektyw konstabl Jones.

— To był nieszczęśliwy wypadek — orzekł detektyw sierżant Miller. — Bardzo paskudny, ale tylko wypadek, nic więcej.

Wyjął wizytówkę i podał mi ją, trzymając między wskazującym a środkowym palcem.

— Może pan do mnie zadzwonić, jeśli będzie pan mnie potrzebował — oświadczył. — W tym tygodniu mam dyżur w dzień, w przyszłym w nocy.

— Właśnie nadeszła wiadomość, sierżancie — sapnął detektyw konstabl Jones. — Pan Martin zmarł w drodze do szpitala.

Detektyw sierżant Miller założył z powrotem okulary.

— Rozumiem. Co za szkoda. Odszedł od nas kolejny stary dziwak.

— Czy chce pan, żebym porozmawiał z panią Martin? — zapytałem. Nie mogłem sobie wybaczyć, że wpuściłem Harry'ego na strych.

— Nie, niech pan zostawi to nam — odparł detektyw sierżant Miller. — Poślemy policjantkę z korpusu pomocniczego. To jedno potrafią. Posiedzieć przy herbatce i złożyć wyrazy współczucia.

— W porządku. Będę...

— Zostanie oczywiście przeprowadzone dochodzenie — przerwał mi detektyw sierżant Miller. — Będzie pan prawdopodobnie musiał złożyć zeznania. Powiadomimy pana w odpowiednim czasie.

— Oczywiście — odparłem, patrząc ze smutkiem, jak się oddalają. Jakiś czas potem z domu wyszła Liz, trzymając w ręku dwie puszki kestrela. Miała na sobie czarną długą koszulkę, obcisłe czarne spodnie i zawiązaną ciasno wokół głowy białą szarfę. Usiedliśmy obok siebie na niskim murku, otworzyliśmy puszki i przez dłuższą chwilę popijaliśmy w milczeniu zimne piwo.

— Harry nie żyje — powiedziałem w końcu.

— Wiem. Mówił mi o tym ten detektyw. Nie mogę w to uwierzyć.

— Detektyw sierżant Miller uważa, że to nie był wypadek.

Liz zmarszczyła brwi.

— Naprawdę? Bez przerwy powtarzał, że to był wypadek.

— Wydaje mi się, że pragnie całą sprawę zachować w jak największej tajemnicy, dlatego tak mówi.

Gdyby powiedział któremuś ze swoich kolegów, że na tym strychu jest coś dziwnego, uznaliby go za wariata.

— Więc co w końcu ma zamiar zrobić w tej sprawie? I co my zrobimy? Nie możemy przecież mieszkać tutaj, mając na strychu jakiegoś potwora, prawda?

Obróciłem głowę i spojrzałem na wysoki dach Fortyfoot House. Chociaż wszędzie dookoła świeciło jasno słońce, wydawało się, że sam dach znajduje się w cieniu przepływającej chmury.

Było w nim coś lodowatego, podłego, zamkniętego; tak jakby samolubnie hołubił całe zło, które zdołał zgromadzić. Byłem pewien, że w jednym z okien na górze widzę obserwującą nas bladą owalną twarz; ale wiedziałem, że kiedy podejść bliżej lub zmienię kąt widzenia, okaże się, że to tylko lustro, odbicie na szybie albo fragment tapety.

Najbardziej jednak nie dawały mi spokoju kąty, pod którymi załamywał się dach. Miałem wrażenie, że tworzą własną ciemną geometryczną figurę — figurę, której kształt zaprzecza wszelkim prawom perspektywy.

Zachodni koniec dachu, ten, który znajdował się najdalej od nas, wydawał się wyższy od wschodniego, najbliższego. A kiedy słońce wyszło zza chmury i oświetliło ponownie południową stronę, cały dach kompletnie zmienił wygląd; jego południowo-wschodnia płaszczyzna wydawała się teraz nachylona bardziej na zewnątrz niż do wewnątrz, tak jakby cała konstrukcja zaopatrzona została w system zawiasów i dźwigni, który pozwalał się jej dowolnie zmieniać.

Od patrzenia rozboleła mnie głowa i zrobiło mi się niedobrze; w ustach poczułem gorzki smak żółci, tak jakbym za długo kręcił się na karuzeli.

— Coś ci się stało? — zapytała Liz. — Zrobiłeś się cały szary.

— Nie, nic mi nie jest. To chyba szok.

— Może powinieneś się na chwilę położyć.

— Nic mi nie jest. Na litość boską, przestań mnie męczyć.

— To nie twoja wina. Harry był martwy, już kiedy się uparł, że tam pójdzie.

— Wiem, ale mimo wszystko...

Położyła dłoń na moim ramieniu.

— Wiesz co, lubię cię — powiedziała z prawie nieprawdopodobną otwartością. — Nie musisz się o to martwić. A jeśli chcesz, żebym się z tobą przespała, to mogę to zrobić.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

— Myślę, że w tym właśnie tkwi problem.

— Rozumiem. Ty zdaje się lubisz zdobywać kobiety?

— Nie miałem tego na myśli — odparłem, chociaż owszem, to właśnie chciałem powiedzieć. Lubiałem ją, podobała mi się, ale w tym momencie to mi nie wystarczało. Musiałem udowodnić sobie coś więcej niż to, że jestem zdolny wyciągnąć rękę i złapać podawaną z brzegu linę ratowniczą.

Danny zbiegał po porośniętym trawą zboczku w stronę potoku. Miał rozpostarte ramiona i wydawał odgłos przypominający spitfire'a.

— Uważaj! — krzyknąłem. — Nie wpadnij do wody!

Może mnie usłyszał, a może nie. Wciąż rozpościerając szeroko ramiona zaczął, przeskakując z kamienia na kamień, przebiegać przez potok, ale w pewnej chwili nie udało mu się zachować równowagi i jego stopa zanurzyła się w wodzie aż po kostkę. Nie zrażony wybiegł na brzeg, chociaż nawet z miejsca, gdzie siedzieliśmy, słychać było głośnie chlupotanie wody w sandale.

— Niezły z niego numer, nie? — stwierdziła z uśmiechem Liz.

— Mam nadzieję, że nie tęskni za bardzo za mamą.

Patrzyliśmy, jak Danny wdrapuje się przez murek na cmentarz i biega dookoła grobów, naśladowując odgłos karabinu maszynowego. Ratatatata!

— Przypuszczam, że będziesz musiał zabrać się wkrótce do roboty. Ja sama zaczynam jutro.

Popatrzyłem ponownie na Fortyfoot House. Myśl, że miałbym przeprowadzać w nim remont i malować ściany, podczas gdy to coś będzie się przez cały czas panoszyć na strychu, budziła we mnie głęboki lęk. Po raz pierwszy zapragnąłem spakować się i powiedzieć agentom od nieruchomości, żeby zapomnieli o całej sprawie. Jedyne kłopot polegał na tym, że dostałem już z góry miesięczne wynagrodzenie i w większości je wydałem — a teraz nie przychodził mi do głowy żaden rozsądny sposób spłaty z wyjątkiem wykonania roboty, za którą mi zapłacono. Wydałem również część pieniędzy, które dali mi na farby i materiały, i gdyby się o tym dowiedzieli, z pewnością nie byłiby zadowoleni.

Wyglądało na to, że pozostała mi tylko emigracja.

Liz pociągnęła mnie za rękaw.

— Popatrz. Kto to może być?

Spojrzałem w stronę cmentarza i kaplicy. Wciąż widziałem kręcącego się między grobami Danny'ego.

Ale oprócz niego było tam również inne dziecko: ciemnowłosa, może dziewięcioletnia dziewczynka, ubrana w długą białą sukienkę, która lśniła w porannym słońcu. Stała obok drzwi kaplicy, tak jakby właśnie przez nie wyszła, choć oba skrzydła były dokładnie zaklinowane. Na szyi miała coś, co przypominało wieniec ze stokrotek.

— To chyba jakieś miejscowe dziecko — powiedziałem, osłaniając oczy przed słońcem.

Ale było coś w wyglądzie tego „miejscowego dziecka”, co nie za bardzo mi się podobało. Nosila długą sukienkę — miejscowe dzieciaki wołały raczej fluoryzujące bermudy i koszulki z nadrukiem Ninja Turtles, a nie długie białe sukienki — a poza tym sprawiała wrażenie chorej. Jej oczy przypominały czarne smugi węgla, a twarz miała tak bladą, że aż zieloną.

Danny wciąż „fruwał” z rozpostartymi ramionami w drugiej części cmentarza. Ale potem zaczął

zataczać kręgi coraz bliżej dziewczynki i w końcu zauważył ją. Opuścił ramiona i zatrzymał się w miejscu.

Zobaczyłem, że zaczęli ze sobą rozmawiać.

— Nie wygląda chyba zbyt zdrowo, prawda? — zauważyła Liz.

Odstawiłem puszkę na murek i wstałem. Od Danny'ego i małej dziewczynki dzieliła mnie zbyt duża odległość, żebym mógł wyraźnie widzieć ich twarze czy słyszeć, co mówią. Ale nagle poczułem, jak oblewa mnie zimny pot i ogarnia irracjonalna panika — zupełnie tak, jakbym wylał na koszulę zimne piwo.

— Danny! — zawołałem i zacząłem iść przez trawnik w stronę kaplicy.

Danny obrócił się i popatrzył na mnie, ale potem odwrócił się z powrotem i dalej rozmawiał z dziewczynką.

— Danny! — zawołałem ponownie. Przyśpieszyłem kroku i zacząłem biec. — Danny, wracaj tutaj!

Minąłem zegar słoneczny i zbiegłem po zboczach w stronę potoku. Słyszałem za sobą wołanie Liz, ale wiatr gwizdał mi w uszach, oddech rządził w piersi i nie mogłem rozróżnić jej słów.

Dopiero dobiegłszy do potoku i spojrzawszy ponownie w stronę Danny'ego, uświadomiłem sobie, o co jej chodziło. Zza drzwi kaplicy wysunęła się i oparła o ramię dziewczynki odziana w czarny rękaw ręka. Spod rękawa wystawał biały mankiet. Dziewczynka odwróciła głowę, podniosła wzrok i wyglądało na to, że coś mówi, ale nie byłem w stanie usłyszeć ani słowa. Danny dał do tyłu dwa, trzy kroki, a potem zaczął się wycofywać tak szybko, że o mało nie wywrócił się o jeden z nagrobków.

Chlapiąc na wszystkie strony przebiegłem przez lodowato zimny strumień. Trzciny smagały mi nogi.

Po paru sekundach wdrapałem się na omszały murek i skoczyłem w dół, w wysoką trawę cmentarza.

— Danny! — krzyknąłem.

Stał niedaleko ode mnie, opierając się dłonią o jeden z grobów. Obrócił się i spojrzał na mnie z poważną miną.

— Jestem tutaj, tato.

Drzwi kaplicy były zaklinowane, ale mała dziewczynka zniknęła. Podeszedłem do Danny'ego i położyłem mu rękę na ramieniu. Wewnątrz cmentarnych murów powietrze stało nienaturalnie spokojne i bezwietrzne.

Cykały świerszcze; między krzyżami tańczyły niebieskie motyle.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytałem Danny'ego.

— Ze Słodką Emmeline.

— Ze Słodką Emmeline. Jakie śmieszne imię. — Rozejrzałem się dookoła. Liz truchtała w naszą stronę, zbiegając po trawiastym zboczu. — Kim był ten mężczyzna?

— To był ten sam mężczyzna, którego widzieliśmy wcześniej. Powiedział: „Chodź, Słodka Emmeline, pora wracać”. I to wszystko. Miał na głowie kapelusz.

O Boże, tylko nie młody pan Billings!

— Masz na myśli ten czarny kapelusz? Wysoki czarny kapelusz?

— Tak — odparł Danny, pokazując rękami nad głową wysoki kształt. — Wielki czarny kapelusz podobny do komina.

— Wielki czarny kapelusz podobny do komina. Rozumiem.

— Słodka Emmeline zapytała, czy pójdę się z nimi pobawić.

— Z nimi? Mówiła, kim oni są?

Moje pytania wyraźnie nudziły Danny'ego. Mimo to rzucał co jakiś czas szybkie spojrzenia w stronę drzwi, tak jakby bał się tego, co może się zza nich wychylić. Drzwi otwierają się na oścież i wpada do środka — wielki Człowiek-Nożyce z długimi czerwonymi nogami! Podobnie jak mnie zdumiewał go chyba i niepokoił fakt, że Słodka Emmeline przechodziła przez nie bez większej trudności, podczas gdy my mogliśmy się wślizgnąć do kaplicy, tylko kiedy z całej siły popchnąłem je ramieniem.

— Czy ona mieszka w wiosce? — zapytałem Danny'ego.

— Nie mówiła mi, gdzie mieszka.

— I nie powiedziała ci, kim są jej przyjaciele?

Pokręcił głową.

— Ani kim jest ten człowiek, który powiedział jej, że pora wracać?

Znowu pokręcił głową. Ale kiedy uniósł wzrok, zobaczyłem błyszczące w jego oczach łyzy niezrozumienia i strachu.

— Miała we włosach robaki. Kiedy się odwróciła, miała we włosach mnóstwo czerwonych robaków.

O Chryste! Chryste, co się tutaj dzieje?

W bramie cmentarza pojawiła się Liz. Wziętem na ręce Danny'ego i przycisnąłem go mocno do piersi.

— Słodka Emmeline była prawdopodobnie Cyganką, wiesz? — wymyśliłem. — One nie myją się zbyt dokładnie.

Danny przytulił się do mnie i nic nie odpowiedział.

— Dokąd oni poszli? — zapytała Liz, podchodząc do nas i rozglądając się dookoła.

Pokręciłem głową, starając się zasugerować jej, żeby nie mówiła tak głośno, ale nie zrozumiała mnie.

Podeszła prosto do drzwi kaplicy i próbowała je odsunąć.

— Nie mogła się chyba tędy przecisnąć, no nie?

— Nam z Danny'm się to udało, prawda, Danny? — zapytałem. Poczulem na ramieniu jego mały spiczasty podbródek, kiedy kiwał głową.

— No to wejdźmy do środka i zobaczmy, gdzie się podziała — zaproponowała Liz.

Chciałem zaproponować, ale w tej samej chwili Danny wyprostował się w moich ramionach i kiwnął głową.

— Dobrze, wejdźmy — powiedział. Powieki miał zlepięte łzami.

— Jesteś pewien, że tego chcesz? — upewniłem się.

Ponownie kiwnął głową i wytarł oczy palcami. Postawiłem go ostrożnie na miękkiej trawie i podeszedłem do drzwi kaplicy. Liz wzięła Danny'ego za rękę i posłała mu promienny uśmiech. Wywierała na niego uspokajający wpływ. Na mnie też wywierała uspokajający wpływ — bo była przyjaźnie nastawiona i ładna, a życie zawsze wydaje się niepełne bez kobiety. Opierając ramię o drzwi zdałem sobie sprawę, że wcale nie potrzebuję się z nią kochać, w każdym razie niekoniecznie; że przede wszystkim potrzebuję przepełniającej ją kobiecości; i że Danny potrzebuje jej także.

— Pchaj — powiedziała Liz i pchnąłem. Prawe skrzydło drzwi przesunęło się skrzypiąc o niecałe pół metra i podczas gdy przytrzymałem je ramieniem, Liz i Danny przecisnęli się przez szparę do środka.

Ruszyłem za nimi, kalecząc ramię o gwóźdź — zostawiając na nim mały paciorek ciemnoczerwonej krwi.

Usłana szarymi potrzaskanymi dachówkami kaplica świeciła pustką. Obeszliśmy ją dookoła; nigdzie śladu Słodkiej Emmeline czy młodego pana Billingsa. Czego zresztą innego mogliśmy się

spodziewać?

Młody pan Billings zmarł przed stu laty, a sądząc po opisie Danny'ego, Słodka Emmeline także była martwa.

Z pewnością martwa. Martwa i w stanie rozkładu, z włosami, w których roiło się od mięsożernych robaków.

— Coś się tutaj dzieje, prawda? — zapytała Liz, podchodząc do mnie i spoglądając mi prosto w oczy.

— Coś bardzo, bardzo dziwnego.

Uniosłem wzrok. Poranne niebo przecinał z rykiem silników boeing 737 British Airways. Wypełniali go turyści lecący na Malagę albo Skiathos, albo Kretę. Ale potem spojrzałem z powrotem na pozbawioną dachu kaplicę, puste gotyckie okno i szeleszczący bluszcz i nie potrafiłem powiedzieć, w jakiej znalazłem się epoce.

— Tak — odparłem. Obserwowałem Danny'ego, który podskakiwał i biegał po dachówkach. — Nie wiem, co to jest, ale to na pewno coś dziwnego. Cały dom jest naprawdę dziwny. On nawet wygląda dziwnie, nie zauważyłaś? Wydaje się, jakby zmieniał kształt.

Liz spuściła oczy. Jej nakrapiana kilkoma piegami skóra miała w sobie ów bezcenny blask młodości.

— Czy bardzo byś się zmartwił, gdybym powiedziała, że chcę stąd wyjechać?

— Chcesz usłyszeć prawdę?

— Oczywiście.

— Tak, zmartwiłbym się.

Oczy Liz zasnuły się mgłą, jakby przypomniawszy sobie inną, podobną do tej chwilę. Albo może tuzin innych, podobnych do tej chwil. Była jedną z tych dziewczyn, której nie będzie posiadał na zawsze żaden mężczyzna. Jedną z tych kobiet, które umrą samotne, gdzieś w jakimś wytapetowanym pokoiku w domu opieki, z trzęsącą się uczesaną w kok głową i gorącym termoforem w nogach. Ta myśl sprawiała mi fizyczny ból. Ale musiałem troszczyć się o samego siebie i o Danny'ego i nie mogłem brać odpowiedzialności za wszystko i za wszystkich; a zwłaszcza za wiecznych wagarowiczów, takich jak Liz, i za zmarłych, takich jak młody pan Billings, Słodka Emmeline i Harry Martin.

Boże, jak on musiał cierpieć. Dachówki chrzęściły pod nogami Danny'ego i ten chrzęst przypominał odgłos odrywanego od kości tłuszczu. Chrup-chrup-chrobot-chrup.

— Ale... — podjąłem temat znowu — jeśli naprawdę chcesz stąd wyjechać...

Zastanawiała się bardzo długo.

— Nie, nie — powiedziała w końcu. — Zostanę. Nie mogę się przez całe życie wycofywać tylko dlatego, że tak mi wygodnie.

— Posłuchaj. Nie chcę, żebyś została z żalu albo z litości. Harry’emu Martinowi zerwało z twarzy całą skórę, więc ten strych jest naprawdę niebezpieczny, niezależnie od tego, czy to coś jest prawdziwe czy wymaginowane.

Więc nie zostawaj tylko dlatego, że jest ci mnie żal. Świat pełen jest samotnych mężczyzn wychowujących siedmioletnich chłopców.

— Chcę zostać — powtórzyła.

— Nie, wcale nie chcesz, tylko tak mówisz. Odejdź. Lepiej będzie, jak odejdiesz.

— Posłuchaj. To, że zeszłej nocy poszłam z tobą do łóżka, nie oznacza jeszcze...

— To nie ma z tym nic wspólnego! Przysięgam! Byliśmy oboje wykończeni, zmęczeni. I lekko zawiani.

— Całkiem mi się to spodobało — stwierdziła śmiało. — Spodobało mi się i chciałabym jeszcze. Dlatego właśnie zostaję.

Mimo tego wszystkiego, co się stało, mimo potwornej śmierci Harry’ego Martina, odchyliłem do tyłu głowę i zacząłem się śmiać. Jakie są w gruncie rzeczy powody wszelkich naszych kłótni? Miłość, pożądanie, poczucie niepewności, frustracja i strach. Mój stary kumpel, Chris Pert, powiedział kiedyś, że jeśli kobieta i mężczyzna lubią te same telewizyjne komedie i chińskie dania na wynos, trudno wyobrazić sobie bardziej idealny związek.

— Zobacz, tato — powiedział Danny. — Krew.

Nagle przestałem się śmiać. Danny stał po drugiej stronie kaplicy przed prerafaelickim malowidłem, przedstawiającym kobietę z rudymi gęstymi włosami. Stąpając po rozbitych dachówkach ruszyłem w tamtą stronę i stanąłem obok niego. Po chwili dołączyła do nas Liz.

Na ustach kobiety widniał dwuznaczny, ekscentryczny uśmiech — lubieżny, erotyczny i lekko szalony.

Oczy wydawały się jaśniejsze niż poprzednio. Ale najbardziej przeraziło mnie to szczeropodobne stworzenie, które trzymała niczym kołnierz na ramionach. W jego oczach malowała się niepohamowana złość i triumf, a spomiędzy zębów sphywała długa strużka rudej krwi.

Dotknąłem jej ostrożnie czubkiem palca.

— Uuch! — mruknęła Liz, krzywiąc nos.

Uniosłem palec.

— Nie jest mokra. Właściwie to nawet nie krew, tylko farba. Wyschnięta farba.

— Ale przedtem jej tutaj nie było — powiedział Danny.

— Nie — przyznałem. — Nie było. Może ktoś domalował ją dla żartu.

Liz nie mogła oderwać oczu od prerafaelickiej kobiety na obrazie.

— Niezły żart — stwierdziła. — Kto to ma być?

— Nie wiem, odkryliśmy to malowidło dopiero wczoraj. Przez całe wieki zasłaniał je bluszcz.

Liz podeszła jeszcze bliżej do obrazu.

— Ile jest zła w tej kobiecie — szepnęła.

Rzuciłem jej szybkie spojrzenie.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Nie wiem. Spójrz tylko na nią, nie widzisz tego emanującego z niej zła? I spójrz na to okropne, podobne do szczura stworzenie wokół jej ramion!

Przyglądaliśmy się obrazowi, chodząc w kółko po połamanych dachówkach i nie wiedząc właściwie, co robić dalej. Czuliśmy, że śmiertelnie przeraża nas jakieś dziwne, nieokreślone zjawisko nie z tego świata, zjawisko, od którego powinniśmy się trzymać najdalej, jak tylko można. I wtedy właśnie, stąpając po chrzęszczących pod nogami dachówkach, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie spakować się i wyjechać, nie przejmując pozwem, jaki złożą być może przeciwko mnie w sprawie wypłaconych z góry pieniędzy agenci od nieruchomości. Tarrantowie z całą pewnością wiedzieli, że Fortyfoot House jest nawiedzany przez duchy, przeklęty, że coś po prostu jest tu nie w porządku. Nie powinni wynajmować mnie do prac remontowych, nie ostrzegając przedtem, że w tym domu znikali i wariowali ludzie i że jego lokatorów może czekać śmierć. Niech się wypchają. Wyjeżdżam.

W tej samej chwili usłyszałem ostry krzyk Danny'ego.

— Ona jest tam, tato! Ona jest tam! Słodka Emmeline!

Stał przy gotyckim oknie przy frontowej ścianie kaplicy i pokazywał ręką w stronę ogrodu. Wdrapałem się hałasując po dachówkach i stanąłem obok niego.

Miał rację. Mała dziewczynka w długiej białej sukience mijała właśnie zegar słoneczny, sunąc przez ogród po tym gładko wystrzyżonym kręgu, który Lewis Carroll nazwał kiedyś zegwnikiem. Było smaszno, a jasmije smukwijne świdrokrętnie na zegwniku wężały.

Kiedy zbliżyła się do domu, drzwi kuchni same otworzyły się na oścież. Było zbyt daleko, żeby zobaczyć wszystko wyraźnie, ale kiedy Słodka Emmeline podeszła do drzwi, przysięgłbym, że dostrzegłem, jak coś ciemnego i włochatego wychyla się zza nich, łapie ją i wciąga szybko do środka. Być może się myliłem.

Być może to był tylko cień rzucany przez Słodką Emmeline. Ale Danny stał tuż obok mnie, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w Fortyfoot House i wiedziałem, że zobaczył coś, czego z całą pewnością nie powinien oglądać żaden siedmioletni chłopiec.

— Wystarczy tego dobrego — powiedziałem, zwracając się do Liz. — Przykro mi, ale wyjeżdżamy. Naprawdę bardzo mi przykro. Nie wiem, co się tutaj dzieje, i wcale nie chcę wiedzieć. Myślisz, że uda ci się znaleźć jakieś inne miejsce?

— Chyba tak. Muszę się po prostu popytać. Dokąd chcesz wyjechać?

— Przypuszczam, że z powrotem do Brighton. Mam tam przyjaciół, u których możemy się na krótko zatrzymać. Dam ci ich adres.

— Ten detektyw nie życzył sobie, zdaje się, żebyś opuszczał wyspę.

— Cóż, mimo to wyjadę. Chcesz, żeby cię gdzieś podrzucić? Ile ci zajmie pakowanie?

Zostawiając za sobą otwartą bramę cmentarza przeszliśmy przez strumień i ruszyliśmy z powrotem w stronę domu. Zbierały się chmury i w momencie, kiedy ich cień padł na szczyt dachu i górne okna, Fortyfoot House nabrał naprawdę groźnego wyglądu. Podchodząc bliżej czułem, jak serce wali mi w piersi ze zdenerwowania. Z domu promieniowała atmosfera takiego zła, że nie potrafiłem po prostu o nim racjonalnie myśleć. Pragnąłem tylko wrzucić czym prędzej nasze ubrania do walizek, wskoczyć do samochodu i odjechać stąd tak daleko, jak to tylko możliwe.

Danny zawahał się i spojrzał na morze.

— Taka tutaj ładna plaża — powiedział łamiącym się głosem.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Wiem. Ja też ją polubiłem. Ale będziemy musieli znaleźć jakieś inne miejsce. Nie podobają mi się wszystkie te hałasy i dziewczynki z robakami we włosach.

— Co się stało temu szczurołapowi? — zapytał.

— Poranił się na strychu. To także jeden z powodów, dla których chcę stąd wyjechać. Nie chciałbym, żeby tobie, mnie albo Liz stało się coś złego.

— Czy mogę zabrać swoje kraby? — zapytał. W stojącym koło kuchennych drzwi wiadrze miał sześć albo siedem małych zielonych krabów.

— Przykro mi, ale nie. Będziemy musieli zamieszkać u Mike'a i Yolandy, a u nich nie ma

miejsca na kraby. Może zabierzesz je na plażę i urządzisz wyścigi? Który pierwszy dobiegnie do morza.

— Nie mógłbym zabrać choć dwóch?

— Nie. To samiec i samica i niedługo miałbyś ich tysiące.

— A jednego?

— Nie. Samemu będzie mu smutno.

Danny niechętnie podniósł wiadro i zaczął iść z nim w stronę morza. Wolałem, żeby nie kręcił mi się pod nogami podczas pakowania. Pakowałem się ostatnio tak często, że stało się to jednym ze stałych rytuałów mojego nieudanego życia. Kiedy człowiek zacznie się raz pakować, nie wie, kiedy skończyć. Liz wzięła mnie w kuchni za rękę.

— Cóż... więc tak się kończy nasza letnia idylla — powiedziała ze smutnym uśmiechem.

— Przykro mi, ale tak. Nie mogę ryzykować, żeby coś złego stało się Danny'emu albo tobie.

Rozejrzała się dookoła.

— Co, twoim zdaniem, jest nie w porządku z tym domem?

— Nie mam pojęcia. I naprawdę nie sędzę, żebym miał ochotę się dowiedzieć. Nie teraz.

— Może powinieneś porozmawiać z księdzem i poprosić, żeby go wyegzorcyzmował?

— Obawiam się, że to nic nie da. Mam wrażenie, że cały dom został zbudowany specjalnie, żeby być tym, czym jest. Czymś, co istnieje niezupełnie tutaj i niezupełnie gdzie indziej.

— Chcesz się napić jeszcze piwa, kiedy będziemy się pakować? — zapytała.

Kiwnąłem głową.

— Wiesz, mogłabym cię nawet pokochać — powiedziała bez związku. — W innym czasie, innym miejscu.

Uśmiechnąłem się do niej krzywo.

— Zwłaszcza w innym miejscu.

Popijaliśmy piwo, kiedy zadzwonił dzwonek. Oboje podskoczyliśmy nerwowo.

— Jezu, o mało nie umarłam ze strachu — jęknęła Liz.

— Nie sędzę, żeby Brązowemu Jenkinowi albo Panu w Wysokim Cylindrze chciało się używać dzwonka — powiedziałem i wyszedłem do holu, żeby otworzyć drzwi.

To był facet z Rentokilu z Ryde. Młodzian ze spiczastą, krótko ostrzyżoną głową i kolczykami w uszach, ubrany w błyszczący kombinezon z niebieskiego nylonu i wysokie buty.

— Pan Williams? Jestem z Rentokilu. Przyjechałem w sprawie pańskiego szczura.

— O Boże, całkiem zapomniałem. Przepraszam. Mieliśmy tutaj poważne kłopoty.

— Naprawdę? — odparł niezbyt przejęty.

— Ten szczur... Nie wydaje mi się, żeby mógł pan dzisiaj cokolwiek z nim zrobić. W domu wydarzył się wypadek. Była tutaj policja.

— Naprawdę? Trudno, ale i tak musi pan zapłacić za wezwanie.

— W porządku, możecie mi przysłać rachunek.

— Dobrze, w takim razie niech pan tutaj podpisze. — Wszedł do holu i wyjął bloczek — dowód, że złożył mi wizytę. Wcisnął mi do ręki długopis z obgryzionym końcem, którym się podpisałem.

— Co to za wypadek? — zapytał, składając pokwitowanie na pół i oddzierając górną kopię. — Coś się stało z pańskim samochodem?

Posłałem mu gniewne spojrzenie.

— Z samochodem? Nie, to nie ma nic wspólnego z moim samochodem.

— Tak tylko pomyślałem, widząc, jak jest poobijany.

— Co to znaczy poobijany?

— Mówię o tym audi przed domem.

— Nie wiem, o czym, do jasnej cholery, pan mówi — odparłem. — Tak, to mój samochód. Nie jest może w idealnym stanie...

Zaśmiał się krótkim piskliwym śmiechem chuligana ze stadionów.

— Niech pan to powie jeszcze raz...

Przepchnąłem się obok niego i wyszedłem przez frontowe drzwi na zewnątrz. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Moje audi było całe pogruchotane, a szyby miało wybite. Rozbito też reflektory, przedziurawiono opony i oderwano przedni zderzak. Tuż obok gruchota — najwyraźniej czekając, żebym wyszedł — stała ubrana w czarny fartuch i prostą szarą sukienkę pani Vera Martin, wdowa po Harrym Martinie, a przy niej niski młodzian z grubym karkiem i przetłuszczonymi czarnymi włosami. Nosił zieloną tweedową kurtkę i trzymał w ręku duży młot kowalski.

W pierwszej chwili zdziwiło mnie, że niczego nie słyszałem, ale potem uświadomiłem sobie, że do kaplicy jest pokaźny kawałek drogi, wiatr wieje od morza, niosąc ze sobą łoskot łamiących się fal i że nawet gdybym coś usłyszał, nie przysłoby mi do głowy, że to ktoś rozbija na kawałki mój samochód.

Podszedłem do audi i podniosłem z ziemi przedni zderzak. A potem odłożyłem go z powrotem. Nie było sensu go naprawiać; samochód mogłem spisać na straty.

— Dlaczego, do diabła, to zrobiliście? — zapytałem.

— Jeśli pan chce, może pan to nazwać zemstą — odparła Vera Martin, zakładając ręce na swe obfite piersi.

— Zemstą? Za co, do jasnej cholery?

— Za Harry'ego — odparł wojowniczo młodzian. — Żebyś pan wiedział, kurwa, że za niego.

— Kto to jest? — zapytałem Very.

— Keith, najmłodszy chłopak mojego Eddiego. To mój pomysł, nie jego, ale on zgodził się go zrealizować.

Obszedłem dookoła samochód, oceniając szkody. Musiałem przyznać, że Keith Martin odwalił solidny kawał roboty. Na całej karoserii nie było ani jednego centymetra kwadratowego, który nie zostałby pogięty.

Udało mu się nawet wygiąć kierownicę.

— Ja nie zabiłem pani męża, pani Martin. To był po prostu nieszczęśliwy wypadek, nic więcej.

— W Fortyfoot House nie ma takich rzeczy jak wypadek — odparła z nienawiścią Vera. — To złe miejsce dla złych ludzi, ot co. Pan i ten szcur zasługujecie na siebie nawzajem. Mam nadzieję, że będziecie razem szczęśliwi.

— Ta, kurewsko szczęśliwi — wtrącił Keith Martin, uderzając obuchem młota w otwartą dłoń, tak jakby prowokował mnie, żebym spróbował mu go odebrać.

— Pani nic nie rozumie, pani Martin. Chciałem powstrzymać pani męża, ale on nie zwracał na to w ogóle uwagi.

— Błagałam pana — powiedziała i nagle w jej oczach zalśniły łzy. — Tak pana błagałam. Niech pan nie pozwoli mu szukać tego szcúra, tak właśnie mówiłam. Niech pan nie pozwoli mu, nawet jeśli Harry powie, że musi to zrobić. A teraz co? Harry zginął przez pana i Bóg jeden wie, co zrobiło mu to potworne stworzenie, skoro w szpitalu nie chcieli mi go nawet pokazać.

Kopnąłem jedną z przedziurawionych opon.

— No dobra — powiedziałem. — Chyba załatwiliście to, po co przyszliście.

— Cieszy się pan, że skończyło się na samochodzie, a nie na pańskiej głowie — oznajmił Keith.

— Możesz mi wierzyć, że się cieszę.

Patrzyłem, jak odchodzą alejką. Facet z Rentokilu, który przez cały czas stał przy swojej furgonetce, pokiwał kpiąco głową i posłał mi przyjazny uśmiech.

— Mam nadzieję, że znasz jakiś dobry warsztat blacharski, chłopie — powiedział, po czym wskoczył do szoferki i odjechał. Miałem ochotę rzucić za nim cegłą.

Liz wyszła z domu i stanęła obok mnie.

— Co teraz zrobisz? — zapytała.

— Nie mam wyboru. Muszę zadzwonić do jakiegoś warsztatu i zapytać, czy uda im się go naprawić.

— Nadal chcesz wyjechać?

— Jak tylko będę mógł. Ale dzisiaj nie dam chyba rady. Widzisz, jak wygląda karoseria. Spójrz: rozwalił nawet tablicę rozdzielczą.

— Masz zamiar wezwać policję?

Potrząsałem głową.

— Straciła właśnie męża. Nie chcę przysparzać jej więcej kłopotów.

— Ale co będzie z twoim samochodem? Co z ubezpieczeniem?

Wzruszyłem ramionami. Nie chciałem jej mówić, że w ogóle nie był ubezpieczony.

— Powiem po prostu, że dachowałem i że w wypadku nie brał udziału nikt inny.

Liz rzuciła okiem na Fortyfoot House.

— Wygląda na to, że będziemy musieli spędzić kolejną noc na Strasznej Farmie.

— Nie musisz zostawać, jeśli nie chcesz.

— Chyba zostanę — odparła zamyślona. — Ty i ja mamy przecież pewną nie załatwioną sprawę, prawda?

Ja też spojrzałem na dom. Być może nie myliła się, mówiąc o tej nie załatwionej sprawie i przyznając to, nie miałem na myśli tylko przerwane go stosunku. Być może nie przypadkiem ja i Danny trafiliśmy tutaj, do Fortyfoot House. Być może mieliśmy tu trafić od dawna.

Może nadeszła pora, byśmy razem z Dannym zdecydowali, kim jesteśmy i jaki mamy prowadzić tryb życia; i być może nadeszła również pora, aby wszystkie te dziwne postaci, które pojawiały się i znikwały w granicach posiadłości Fortyfoot House, zdecydowały, do jakiej należą rzeczywistości.

— To niebezpieczne: zostać tutaj — powiedziałem.

Ale chyba mnie nie usłyszała. Obróciła się i omiotła spojrzeniem zniszczone, zarośnięte powojem stajnie. Jej profil na tle ogrodu wydawał się czysty i doskonały; lekko uchylona górna warga obrysowana była światłem. Czułem, że jest mi bardzo bliska; a zarazem bardzo odległa — tak jakby zawarła w swoim srebrnym sercu całe moje życie i wszystkie moje sekrety.

W drzwiach pojawił się Danny z pustym wiaderkiem.

— Powyrywałem krabom wszystkie nogi i wrzuciłem je do morza — oznajmił.

— Och, Danny! — zawołałem. — To obrzydliwe. I okrutne.

— Rybak powiedział mi, że kraby zjedzą wszystko, co się rusza, tak że nie ma co po nich rozpaczać.

Mówił, że jeśli ktoś będzie zbyt długo spał na plaży, kraby zaczną zjadać jego nogi, uszy i wszystkie miękkie części. Zawsze zaczynają od miękkich części.

— Idź umyć ręce przed lunchem — powiedziałem.

— Myślałem, że jedziemy — odparł, ale potem zobaczył nagle samochód. Oczy rozszerzyły mu się i otworzył z wrażenia usta.

— Co się stało z naszym autem? — zapytał osłupiały.

— Pokłócił się z młotem kowalskim — stwierdziłem — i dlatego właśnie zostajemy.

ROZDZIAŁ VIII

Pielęgniarka albo zakonnica

Kiedy było już prawie zbyt ciemno, żeby coś widzieć, z warsztatu blacharskiego przyjechał zwalista, przypominający Misia Baloo mężczyzna, ubrany w brązowy, poplamiony smarami kombinezon. Przez chwilę stał z rękoma w kieszeniach, wpatrując się w mój samochód i pociągając nosem.

— Mogę panu dać trzydzieści funciaków za ten szmelc — powiedział w końcu.

— Nie chcę wcale trzydziestu funciaków, chcę, żeby był na chodzie, to wszystko. Nie musi wyglądać jak nowy. Karoseria jest nieważna, zależy mi tylko, żeby wstawił pan szyby, naprawił opony i kierownicę.

Nie musi mieć licznika obrotów, potrzebuję tylko szybkościomierza.

Potrząsnął energicznie głową, tak jakby miał wodę w uszach.

— Nie warto się w to bawić, chłopie. Szkoda kłopotu. Taniej wyjdzie panu kupno innego wozu. Same części do tego audi będą kosztować minimum trzysta funtów.

— Cholera jasna — jęknąłem.

Mechanik kopnął przedziurawioną oponę.

— W warsztacie mam forda cortinę z siedemdziesiątego ósmego roku. Mogę go panu sprzedać za trzysta. Trochę zżarła go rdza, ale jest na chodzie i ma opłacony podatek.

— No nie wiem. W tej chwili nie dysponuję trzystoma funtami.

Mechanik wzruszył ramionami.

— W takim razie, chłopie, chyba nie mogę ci pomóc.

Odjechał swoim pikapem, zgrzytając skrzynią biegów i zostawiając za sobą chmurę śmierdzących spalin. Przez chwilę stałem w zapadających ciemnościach, słuchając szumu drzew i cichego popiskiwanego nietoperzy, a potem wszedłem do domu, gdzie czekała na mnie w kuchni Liz. Przygotowywała wspaniale pachnącą casserolę z kurczaka, ale ja nie byłem pewien, czy jestem głodny. Bez przerwy nasłuchiwałem chrobotów, szurania, odległych łomotów i głosów, które wcale nie wydawały się ludzkie. Napędzałem sobie stracha, przyglądając się ukradkiem swemu blademu odbiciu w pozbawionych zasłon oknach albo wiszących w holu oprawionych w szkło fotografiach.

Danny klęczał na jednym z kuchennych krzeseł, rysując coś ołówkiem. Pochyliłem się nad nim i rzuciłem okiem na rysunek. Przedstawiał chudą dziewczynkę w białej nocnej koszuli, z cienkimi czerwonymi wstążkami we włosach i bladozielonymi policzkami. Słodką Emmeline.

— Chodź się z nami pobawić — przedrzeźniał ją cienkim, dziewczęcym głosem. — Jest nas tu cała paczka i moglibyśmy pokazać ci wspaniałe zabawy.

— Przestań, Danny — ostrzegłem go.

Spojrzał na mnie oczyma, które były szeroko otwarte, zamglone i błyszczące, tak jakby przed chwilą płakał. A potem, po dłuższej chwili, powrócił w milczeniu do swego rysunku. Obserwowałem go bezradnie, czując, że w jakiś sposób wymknął się spod mojej kontroli.

Liz wsunęła hałaśliwie do piecyka półmisek z casserolą.

— No i co? — zapytała takim tonem, jakbyśmy byli starym małżeństwem.

— No i co z czym?

— Z samochodem. Uda mu się go naprawić?

— A, z samochodem. Naprawa będzie kosztowała co najmniej trzysta funtów, a prawdopodobnie więcej.

Powiedział, że taniej wyszłoby mi kupno innego wozu.

— Więc co zamierzasz zrobić?

— A co mogę zrobić? Muszę tu pracować, aż zarobię na inny samochód, to wszystko.

— Wciąż uważam, że musisz zawiadomić policję. Ten Martel, czy jak on się nazywa, powinien wylądować za kratkami.

— Martin — poprawiłem ją. Podeszedłem do lodówki, wyjąłem z niej dużą butelkę zimnego soave i nalałem dwa kieliszki. — Być może masz rację. Ale wtedy mogliby mi zadać kilka nieprzyjemnych pytań.

Na przykład dlaczego nie zrobiłem w terminie przeglądu technicznego i dlaczego samochód nie jest ubezpieczony.

— Nie ubezpieczony? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie było mnie na to stać. Janie wyczyściła nawet konto w spółdzielni mieszkaniowej, wszystko.

— Co za dziwka.

— Zgadza się, co za dziwka. Ale z drugiej strony chyba sobie na to zasłużyłem. Nie traktowałem jej zbyt dobrze.

Liz łyknęła trochę wina i spojrzała na mnie oczyma, które były starsze od jej metryki.

— Chyba jej nie biłeś?

— Nie. Po prostu ją ignorowałem. Wydaje mi się, że ignorowanie kogoś jest czasami gorsze od bicia.

— Może powinieneś ją czasem uderzyć.

Usiadłem na krześle.

— Nie pytaj mnie. Być może tak naprawdę wcale jej nie kochałem. A kiedy już o tym mowa, być może w ogóle nie wiem, czym jest miłość. No wiesz, prawdziwa miłość. Taka, w imię której się umiera.

— Nie sędzę, żeby dużo ludzi wiedziało, czym jest taka miłość — odparła. Na jej wargach pojawił się uśmiech. — Kiedy miałam jakieś dziewięć lat, hodowałam złotą rybkę. Naprawdę ją kochałam. Na imię miała Billiam. Powiedziałam mojej mamie, że jeśli Billiam umrze, ja też się zabiję. I kiedy naprawdę zdechła, mama to ukryła. Powiedziała mi, że uciekła. A ja, jak idiotka, uwierzyłam jej. Rozpowiedziałam wszystkim kolegom w szkole, że dam dziesięć pensów nagrody temu, kto ją znajdzie. A oni, jeszcze więksi idioci, wyruszyli na poszukiwania.

— O czym to ma świadczyć? — zapytałem. — Że człowiek nie powinien niczego kochać: nawet złotej rybki?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem — odparła i roześmiała się.

W tej samej chwili do kuchni wszedł z powrotem Danny. Nie zauważyłem nawet, kiedy z niej wyszedł.

Pod pachą trzymał swój blok rysunkowy i sprawiał wrażenie podenerwowanego.

— Gdzie się podział ten pan? — zapytał podniesionym tonem.

— Chodzi ci o tego mechanika?

— Nie, o tego pana z fotografii.

— Jakiej fotografii?

— Tej, która wisi na korytarzu. Rysuję Słodką Emmeline i tego pana w kapeluszu jak komin. Poszedłem mu się przyjrzeć, bo chciałem go dobrze narysować, ale on zniknął.

Wstałem z krzesła, czując ponownie to złowrogie mrowienie w nadgarstkach i w dole pleców. Metaliczne mrowienie lęku. To się zaczyna znowu... dom się poruszył... zatrzepotały cienie... w pokojach na piętrze mruczą ciche głosy. Z jakiegoś powodu do głowy przyszedł mi dawno zapomniany kuplet:

Obite atlasem ściany są czarne i miękkie jak grzech...

I wypełzają z nich, i wpełzają karły o brodach jak mech.

Piosenka opisywała podobno garderobę króla Filipa w Lepanto, ale kiedy byłem małym chłopcem, wyobrażałem sobie, że opowiada o tym, co dzieje się po zapadnięciu zmroku w mojej własnej szafie. Małe ludziki, złośliwe i brzydkie, buszowały między moimi ubraniami. Noc w noc dwukrotnie upewniałem się, czy drzwi szafy zamknięte są na klucz i zablokowane krzesłem, lecz mimo to wciąż słyszałem, jak małe karły wiercą się w środku, trącąc drucziane wieszaki, które cichutko, cichutko dzwonią.

Wydawało mi się, że dawno już zapomniałem, jak wygląda owo uczucie bezradnego przerażenia, którym wypełniał mnie od stóp do głów ten kuplet, ale w chwili gdy Danny powiedział „on zniknął”, wszystko wróciło i przez moment nie byłem zdolny wykrztusić jednego słowa.

— Jak to zniknął? — zapytałem czując, jak język przykleja mi się do podniebienia.

— Nie ma go na fotografa.

Ruszyłem w ślad za nim do holu i zapaliłem światło. Na końcu korytarza wisiało stare zdjęcie Fortyfoot House. Czując na plecach oddech Liz pochyliłem się, żeby mu się przyjrzeć.

Danny miał rację. Mężczyzny w cylindrze nie było. Został tylko jego cień, leżący na rabatce z różami niczym zrzucony z ramion płaszcz. Ale po samym młodym panu Billingsie nie zostało ani śladu.

— To jakaś sztuczka — powiedziałem. — Ludzie nie znikają ot tak sobie z fotografii. To po prostu niemożliwe.

— Przyjrzyjmy się temu w lepszym świetle — zaproponowała Liz, zdejmując zdjęcie ze ściany. Zniosła je do kuchni i zapaliła główną lampę. Stojąc wokół niej gapiliśmy się uporczywie w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał pan Billings. Na szkle, w które oprawiona była fotografia, wciąż leżała gruba warstwa kurzu i nie widać było na nim żadnych, poza moimi i Liz, odcisków palców, a kiedy odwróciłem ramę, nic nie wskazywało, żeby ktoś odrywał albo próbował w jakikolwiek inny sposób naruszyć oklejający zdjęcie brązowy papier. Wciąż widniała na nim oryginalna nalepka z wytłoczoną nazwą firmy oprawiającej obrazy: RICKWOOD I SYNOWIE. OPRAWA I KONSERWACJA OBRAZÓW, VENTNOR, ISLE OF WIGHT.

Obróciłem z powrotem fotografię i przyglądaliśmy się jej jeszcze przez chwilę.

— Popatrzcie — powiedział nagle Danny. — Co to jest?

Dzieci mają zawsze bystrzejszy wzrok. Lepiej od każdego dorosłego potrafią odczytywać kształty, znaki i zły omen. Wbiłem wzrok w miejsce, które pokazywał pulchny poobgryzany palec Danny'ego, i wydało mi się, że widzę. Ledwo widoczny nad szczytem jednego ze wzniesień, które trzeba było minąć idąc w stronę morza, pochylony prostokątny kształt czarnego cylindra.

Młody pan Billings wciąż był obecny na zdjęciu, tyle że teraz wybrał się najwyraźniej na spacer.

Liz potrząsnęła obwiązaną szarfą głową.

— Nie wierzę w to — powiedziała. — To musi być jakaś sztuczka. Założę się, że jest więcej fotografii tego miejsca i ktoś je podmienia.

— Kto? — zapytałem. — A co ważniejsze, po co?

— Dzicy lokatorzy — odparła Liz. — Powiedziałam ci już, że na strychu mieszkają najprawdopodobniej dzicy lokatorzy albo bezdomne dzieci. To one pewnie załatwiły Harry’ego Martina.

— Ćśśś — ostrzegłem ją, wskazując głową Danny’ego. Na szczęście chyba nie domyślał się, co oznacza w tym wypadku zwrot „załatwić”.

— Myślisz, że usiłują nas nastraszyć, żebyśmy wynieśli się z domu? — zapytałem. — Jak na jednym z tych filmów z Bette Davis, gdzie dzieci próbują doprowadzić ją do szaleństwa, żeby odziedziczyć cały spadek?

— To tylko jedna z ewentualności. Bardziej prawdopodobna od duchów. Naprawdę to sobie porządnie przemyślałam, David, i nie wierzę, żeby to mogły być duchy. One po prostu nie istnieją.

— A te hałasy, światła i cała reszta?

— Nagranie z taśmy? Lampa stroboskopowa?

— W porządku, założmy, że wszystko to są głupie dowcipy. Ale gdzie oni są, ci dzicy lokatorzy? Policja przeszukała cały dom. Nawet zamurowaną część poddasza.

— Nie przeszukali tego zamurowanego pomieszczenia obok twojej sypialni.

— Z tej prostej przyczyny, że nikt tam nie może wejść. Ani wyjść.

— Może jest jakieś ukryte przejście.

— Daj spokój, Liz. Nie ma tam dosyć miejsca na żadne ukryte przejście, a gdyby nawet, to skąd i dokąd miałyby prowadzić?

Liz wstała z krzesła.

— Więc naprawdę jesteś przekonany, że to duchy?

— Nie wiem. Może nie w tym sensie, w jakim je sobie wyobrażamy: chodzące po schodach zjawy, odziane w białe prześcieradła. Ale jestem pewien, że mam rację co do tego przeskoku w czasie. Ktoś kiedyś powiedział, że duchy nie są naprawdę duchami, ale ludźmi, których zarys można

zobaczyć, kiedy stykają się ze sobą dzień wczorajszy i jutrzejszy. To mogłoby stanowić sensowne wytłumaczenie, nie sądzisz?

Po raz któryś z rzędu wzięła do ręki fotografię.

— Jeśli to ma być sensowne wytłumaczenie, wolę nie słyszeć, kiedy zaczniesz opowiadać nonsensy.

Wciąż uważam, że ktoś usiłuje nas stąd wypłoszyć. Jacyś ludzie. W żadnym wypadku nie duchy. Wszystko to za bardzo mi przypomina scenariusz „Niewiniątek”.

Kiedy Danny poszedł spać, wypiliśmy większość wina i rozsiedliśmy się wygodnie na sofie, słuchając „Stolen Moments” Johna Hiatta. Słowa piosenki poruszyły mnie i w jakimś sensie współczułem siedmiu małym Indianom, mieszkającym w kamienicy przy Central Avenue, gdzie wbrew krzepiącym opowieściom taty o czekającym ich lepszym losie „za każdym węglem czaiła się śmierć”.

Koło jedenastej, czując lekki ból głowy i kwaśny smak soave w ustach, podniosłem się z sofy.

— Idę do łóżka — oznajmiłem. — Wybierasz się razem ze mną?

— Chcesz, żebym spała dziś w twoim pokoju?

— Tak — odparłem z uśmiechem. Udało mi się nawet nie dodać: „jeśli naprawdę sobie tego życzysz”.

Zajrzałem do kuchni, żeby mocniej dokręcić kapiące krany i zgasić światło. Na stole wciąż leżała odwrócona tyłem fotografia Fortyfoot House z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. Podniosłem ją i zgasiwszy lampę wsadziłem pod pachę. Miałem zamiar powiesić ją na miejsce, idąc na górę, ale zamiast tego zapaliłem nagle z powrotem światło, wyciągnąłem zdjęcie i przyjrzałem się mu z rosnącym przerażeniem.

Nad szczytem wzgórza pojawiła się głowa młodego pana Billingsa. Wyraźnie zbliżał się do domu. A obok niego, wciąż skryty w większości za wzniesieniem, wyłaniał się mały ciemny kształt z dwoma sterczącymi cieniami, które przypominały spiczaste czubki uszu.

Zacisnąłem mocno oczy, a potem otworzyłem je ponownie, żeby się upewnić, że nie cierpię na halucynacje i nie mam ataku delirium tremens. Ale fotografia się nie zmieniła. Grządką z różami, na której wciąż leżał porzucony przez młodego pana Billingsa cień, zegar słoneczny, opadający w dół trawnik.

I wyraźnie widoczna twarz gospodarza domu, który wracał w czyimś towarzystwie ze spaceru po plaży.

— Idziesz, czy masz zamiar spędzić całą noc w kuchni? — zawołała Liz. — Na podeście schodów wysiadło światło.

— Idę — odparłem zamyślony. Zgasilem światło w kuchni, wyszedłem na korytarz i zawiesilem z powrotem fotografię na gwoździu. Nie wiedziałem dlaczego, ale uważałem, że tak będzie najbezpieczniej.

Albo — dokładniej rzecz biorąc — że tego właśnie życzy sobie młody pan Billings. A ja w żadnym wypadku nie chciałem urazić młodego pana Billingsa, zwłaszcza czymś tak trywialnym jak pozostawienie na kuchennym stole jego odwróconego tyłem konterfektu.

Chryste wszechmogący — przeleciało mi przez głowę. — Wszystko to mi się wymyka. Chyba naprawdę tracę rozum. Wieszam fotografię na ścianie, bo tego moim zdaniem życzy sobie przedstawiony na niej człowiek?

Liz wychylała się w dół, opierając o balustradę swoje obfite piersi.

— No chodź wreszcie. Możemy się wykąpać rano.

Zgasilem światło w holu i schody pogrzały się w kompletnej ciemności. I wypełzają z nich, i wpelzają karły o brodach jak mech. Zacząłem wchodzić po omacku na górę, trzymając przez cały czas prawą rękę płasko przyciśniętą do ściany i trącąc łydką podstawki stopni. Przed sobą słyszałem Liz, która stukała dłonią w balustradę, macając drogę.

— Mam nadzieję, że dziś w nocy nie usłyszymy żadnych ryków i jęków — powiedziała. — W przeciwnym razie naprawdę się stąd wyprowadzam. I to tak daleko, że w życiu mnie nie znajdziesz.

Dotarwszy do połowy schodów zobaczyłem bladossrebrny błysk w lustrze, tak blady jak oprawione w ramy wspomnienie czyjejś śmierci. Zawahałem się i o mało nie wywróciłem — i w tej samej chwili wydawało mi się, że słyszę... Skrzyp-skrzyp — gdzieś pod deskami podłogi — a potem odgłos czyichś przebiegających przez cały dom stóp.

— Słyszałaś? — zapytałem Liz.

Zatrzymała się na górze. Domyślałem się, że stoi na podeście, bo zasłaniała lustro.

— Nie, nic nie słyszałam.

— To chyba tylko moja wyobraźnia.

— Jeżeli tak, to nie masz się czym przejmować.

Macając przed sobą rękoma ruszyliśmy korytarzem. Znowu zapomniałem kupić tę cholerną latarkę.

W kuchennej szafce na dole było kilka świec, ale nie miałem dość oleju w głowie, żeby zapalić i zabrać ze sobą jedną z nich. Zbyt niepokoiło mnie zbliżanie się młodego pana Billingsa, jego owłosionego towarzysza i brodatych karłów z dzieciństwa. Zastanawiałem się, czy moja matka w ogóle wiedziała, jak bardzo przerażają mnie te wstrętne małe stworzenia, które buszowały w nocy między moimi ubraniami. Żałowałem, że sobie o nich w ogóle przypomniałem i że nie potrafię

przestać o nich myśleć.

W końcu jednak udało nam się wymacać drzwi mojego pokoju i wejść do środka. Przez zasłony dobiegała smuga odbitego przez morze światła i byłem w stanie dostrzec łóżko i ciemny zarys szafy.

— Zajrzę tylko do Danny'ego — powiedziałem.

Liz skrzyżowała już ramiona i ściągała przez głowę koszulkę, podnosząc piersi, które po sekundzie albo dwóch opadły z miękkim kłaśnięciem w dół.

— Nie zasiedź się u niego — oświadczyła. — I jeśli usłyszysz jeszcze jakieś hałasy, nie zwracaj na nie uwagi.

Przeciąłem korytarz i zajrzałem do pogrążonego w kompletnej ciemności pokoju Danny'ego. Czułem jego zapach i słyszałem, jak oddycha z lekko zapchaną połową nosa. Zastanawiałem się, co mu się śni.

Kraby, cyrk, czy może jego mama. Czasami było mi go strasznie żal, ale nie mogłem na to nic poradzić.

Zamknąłem drzwi i ruszyłem z powrotem. Powinienem zająć do łazienki i umyć zęby, ale nie miałem ochoty tłuc się w ciemności. Poza tym Liz czekała już na mnie naga w łóżku i jeśli ona nie przejmowała się myciem zębów, dlaczego, u licha, miałem się tym przejmować ja? Z drugiej strony dokuczał mi kwaśny smak soave w ustach.

Rozebrałem się i wsunąłem pod kołdrę. Liz przytuliła się blisko i poczułem, jak dotykają mnie jej sutki, uda i wilgotne włosy łonowe. Pocałowała mnie w czoło, a potem w oczy i w nos.

— W ogóle cię nie widzę — zachichotała. — Ciemno tutaj jak w grobie.

Odwzajemniłem jej pocałunek i nasze zęby zderzyły się ze sobą. Oboje byliśmy skrajnie wyprowadzeni z równowagi tym, co działo się w Fortyfoot House; oboje zmęczeni i na skraju hysterii. Hałasy i światła były przerażające niezależnie od tego, czy powodowały je duchy, szczury czy ukrywający się dzicy lokatorzy; a najgorsze, że nie mogliśmy na nie nic poradzić, co najwyżej wyprowadzić się. Jeśli policji nie udało się niczego znaleźć, to istniały nader skromne szanse, że my będziemy mieli więcej szczęścia.

Kochaliśmy się więc szybko i gwałtownie, nie chcąc przez tych kilka burzliwych minut myśleć o niczym więcej poza seksem. Liz wspięła się na mnie podobnie jak ubiegłej nocy, ale tym razem obróciłem ją po chwili na plecy i dosiadłem jej.

Kiedy wsuwałem się do środka, zacisnęła mocno nogi wokół moich bioder. Przypuszczam, że oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie miłość; nawet nie pożądanie. Ale zdążyliśmy się już polubić. Każde z nas dostrzegało w drugiej osobie coś z siebie. I każde w inny sposób stanowiło dla tej drugiej osoby coś w rodzaju ostrzeżenia.

Złapała się za uda i rozchyliła je, otwierając się przede mną, jak mogła najszerzej, a potem

zaczęła zmysłowo dyszeć i to dyszenie jeszcze bardziej mnie podnieciło. Pchałem coraz silniej i silniej, aż zaczęło skrzypieć łóżko i musiałem zwolnić, żeby zmienić pozycję kolana, bo hałas za bardzo mnie dekoncentrował.

— Poczekaj — szepnęła. — Nic nie mów.

Delikatnie odepchnęła mnie od siebie. Ponownie położyłem się na plecach. Liz pocałowała mnie w usta, w pierś i w brzuch, a potem wzięła do ust mój członek i zaczęła go płynnie i wytrwale ssać. Widziałem na tle okna jej poruszającą się w górę i w dół głowę. Widziałem zarys ust obejmujących sklepiony masywny trzon mojego penisa.

Przez chwilę zawahała się, a potem poczułem na skórze jej ostre zęby. Chwila przedłużała się, zęby zaciskały coraz mocniej i przez krótki szalony moment wydawało mi się, że chce mi go odgryźć.

— Liz... — jęknąłem przerażony, ale potem usłyszałem, jak śmieje się cicho z pełnymi ustami i za chwilę znowu zaczęła mnie ssać, lizać i trącać czubkiem języka. Poczułem, jak wbrew mej woli naprężają mi się mięśnie i dochodzę do szczytu. Liz ani na moment nie otworzyła ust: połknęła wszystko, nie pozwalając, by na zewnątrz wydostała się choćby jedna kropla. Kiedy usiadła, żeby mnie pocałować, jej wargi były zupełnie suche.

— Może innym razem — szepnęła, prawie się nie odsuwając. — I na pewno w innym miejscu.

Leżeliśmy obok siebie w niemal absolutnej ciemności. Liz szybko zasnęła, oddychając miarowo przy moim nagim ramieniu. Czuję się wyjałowiony, smutny i pozbawiony własnego miejsca, tak jakby osierocił mnie cały świat; tak jakby wszyscy byli w posiadaniu jakiegoś sekretu i nie chcieli mi go zdradzić.

Słyszałem szepczące samo do siebie, poirytowane morze i ptaki, które wierciły się w rynnach. Pomyślałem o wiszącej na dole w holu fotografii Fortyfoot House i odmówiłem krótką modlitwę, prosząc, aby młody pan Billings przestał się zbliżać do domu.

Uznałem, że nie od rzeczy będzie zajrzeć jutro rano do Beach Cafe i porozmawiać ponownie z Boris Kemble. Być może opowie mi coś więcej o młodym panu Billingsie; coś, co wyjaśni, dlaczego pojawia się on nieustannie w otaczających dom ogrodach. Niesamowity status Fortyfoot House wydawał się do tego stopnia wtopiony w miejscową tradycję, że być może Doris zapomniała powiedzieć mi o czymś ważnym.

Mniej więcej o drugiej w nocy otworzyłem oczy. Pokój wypełniało rozrzedzone srebrne światło księżyca.

Pogrążona w głębokim śnie Liz opierała głowę o moje ramię. Kołdra zsunęła się w dół i w księżycowej poświacie widać było erotyczny pejzaż jej zaokrąglonych nagich pleców i pośladków. Przypominała oglądane w nocy wydmy pustyni Nefud. Nadstawiłem ucha, ale w domu panowała niezwykła cisza. Żadnych chrobotów, żadnego szurania. Nie słychać było skrzypienia ani jednej deski w podłodze. Być może Fortyfoot House przyjął ofiarę Harry'ego Martina i na jakiś czas zaspokoilo to jego apetyt. O tej porze, w środku nocy, gotów byłem uwierzyć prawie we wszystko.

Marzyłem o tym, żeby zasnąć. Byłem potwornie zmęczony. Zastanawiałem się, gdzie mógłbym dostać jakąś tymczasową robotę, żeby spłacić agentów od nieruchomości i móc wyjechać z Fortyfoot House, nie mając wobec nich żadnych długów. Zastanawiałem się, w jaki sposób zdobyć pieniądze na nowy samochód.

Być może udałoby się pożyczyć trochę od mojej babki. Kłopot polegał na tym, że miała osiemdziesiąt osiem lat i adwokata, który strzegł jak wściekły pies wszystkich jej aktywów. Nie zostało mi nic, co mógłbym sprzedać.

Próbowałem nie myśleć o wpełzających i wypłzających ze ścian małych karłach.

Teoria Liz, że gdzieś w domu mogą się ukrywać dzicy lokatorzy, była mało prawdopodobna, nie oznaczało to jednak, że należy ją całkowicie odrzucić. Zamurowanej części poddasza nikt nie zamieszkiwał — stwierdził to miarodajnie detektyw sierżant Miller. Ale istniało jeszcze zamurowane pomieszczenie położone bezpośrednio pod nią — pomieszczenie zaopatrzone kiedyś w okno, z którego rozciągał się widok na pola truskawkowe i zachodnią część ogrodu.

Mogło tam się śmiało zmieścić troje albo czworo osób — może nawet więcej. Nie można się było jednak tam w żaden normalny sposób dostać — ani stąd, z mojej sypialni, ani z zewnątrz, ani jak wiedziałem, ze strychu.

Spojrzałem na dziwny sufit, który powstał w wyniku zamurowania tej części pokoju. Tworzące go kąty nie były wcale symetryczne. Ściana północna wydawała się opadać bardziej stromo niż południowa, a zachodnia — ta, za którą znajdowała się zamurowana część sypialni — łączyła się z dwoma poprzednimi pod tak irytującym kątem, że wydawało mi się zrobione to rozmyślnie. Konstrukcja tych ścian do tego stopnia sprzeciwiała się zdrowemu rozsądkowi, że nie mogło to być dziełem przypadku. Ktoś wznosił je w ten sposób z jakiegoś powodu; być może tego samego, z jakiego dach Fortyfoot House zaprzeczał wszelkim prawom perspektywy. Domy są czasami źle zaprojektowane, ale nie aż tak.

Wciąż gapiąc się w sufit, zdałem sobie nagle sprawę, że sposób, w jaki styka się on ze ścianami, służy bardzo określonej roli. Bardzo trudno opisać to wrażenie, ale wydało mi się, że mój wzrok przenika mury; że widzę nie tylko to, co jest po tej stronie, ale również to, co znajduje się po tamtej, wszystko jednocześnie.

Przetarłem palcami oczy, ale kiedy otworzyłem je ponownie, wrażenie było jeszcze silniejsze.

Miałem wyraźne uczucie, że widzę to, co dzieje się za ścianą.

W tej samej chwili w południowo-zachodnim rogu pokoju pojawił się nieznacznie pochylony w jedną stronę zamazany kształt. Zawieszony bliżej sufitu niż podłogi migotał lekko niczym widziane przez grube zasłony odbicie ekranu czarno-białego telewizora. Tkwił w tym samym miejscu przez kilka minut, podczas których leżałem jak sparaliżowany w łóżku, zastanawiając się, co ma zamiar zrobić dalej.

Stopniowo kształt stawał się coraz wyraźniejszy; wciąż jednak nie miałem pojęcia, czym jest.

Odbiciem? Błędym ognikiem? Słyszałem o gazach, które ulatniały się z pękniętych przewodów wentylacyjnych.

W epoce wiktoriańskiej mieszkańcy starych domów często chorowali albo umierali w wyniku zatrucia czadem lub innymi gazami, ulatniającymi się z nieszczelnych rur.

Przez ułamek sekundy kształt przybrał jednak całkiem wyraźną postać. Przypominał pochyloną kobietę w białym kornecie. Wydawało mi się, że widzę, jak odwraca głowę. Wydawało mi się, że widzę jej oczy. A potem wrzasnąłem na całe gardło i postać rozplynęła się w załamaniu między ścianami, tak jakby wessana odkuraczem, a ja zostałem sam, pocąc się, krzycząc wniebogłosy i podskakując na łóżku.

— Co się stało, Davidzie? Co się stało? — pytała, tuląc się do mnie, Liz.

Wyskoczyłem z łóżka, rozsunałem zasłony i stojąc nagi w świetle zachodzącego księżyca poklepałem ścianę w miejscu, gdzie pojawiła się zjawą. Nie czułem nic poza twardym, wilgotnym murem.

— Co się z tobą dzieje, Davidzie? — nagabywała mnie Liz.

— Coś widziałem. Coś, co wyszło ze ściany. To było światło albo zjawą. Sam nie wiem. Przypominało pielęgniarkę albo zakonnice.

— Na pewno ci się przyśniło.

Sfrustrowany i wściekły walnąłem dłonią w ścianę.

— Wcale mi się nie przyśniło. W ogóle nie spałem.

— Dobrze, dobrze — uspokajała mnie. — W ogóle nie spałeś, zgoda, ale teraz zjawą zniknęła, tak czy nie? Więc wracaj do łóżka i się odpręż.

Przemierzałem wściekłym krokiem sypialnię, waląc w miejsce, gdzie ukazała się zjawą, za każdym razem, kiedy je mijałem.

— Nie mogę się odprężyć! Nie spałem i widziałem ją!

— Posłuchaj, Davidzie. Od czasu, kiedy tu przyjechałeś, tyle się na ciebie zważyło... Najprawdopodobniej miałeś halucynacje, to wszystko.

— Nie miałem żadnych halucynacji! Widziałem zakonnice w połowie tej cholernej ściany!

Liz pochyliła cierpliwie głowę i czekała, aż skończę się wydzierać i awanturować. Tak naprawdę nie krzychałem wcale na nią. Krzychałem na samego siebie, na Janie, na Raymonda Brodatego, na Harry'ego Martina, Brązowego Jenkinsa i wszystkich, którzy mnie tu przywiedli. Myślę, że chyba o tym wiedziała, niech Bóg ją błogosławi. Na swój sposób ona też mnie wykorzystywała. Zdradzał ją sposób, w jaki uprawiała miłość. Fizycznie byliśmy niezwykle blisko.

Pozwalała mi robić ze sobą wszystko; i w zamian ona też mogła robić wszystko ze mną. Ale emocjonalnie dzieliła nas ogromna odległość. Z kimkolwiek tak naprawdę się kochała, nie byłem to z całą pewnością ja. Najprawdopodobniej stanowiłem po prostu surogat mężczyzny, który ją skrzywdził. Występowanie w roli seksualnego dublera nie jest może specjalnie inspirujące, ale czasami człowiek zadowala się tym, co jest pod ręką.

W końcu wślizgnąłem się zmarznięty do łóżka. Liz natychmiast przytuliła się do mnie i objęła ramieniem.

— Cały drżysz — szepnęła.

Nie mogłem oderwać oczu od dziwnego sufitu. Wciąż ogarniało mnie na jego widok paniczne przerażenie.

— Widziałem pochylającą się kobietę. Przysięgam. Pielęgniarkę albo zakonnicę. Wisiała w powietrzu dokładnie tam, gdzie pokazuję.

— To niemożliwe, Davidzie.

— Mam zamiar zajrzeć do tego artykułu w „National Geographic” — oznajmiłem stanowczym tonem.

— A także porozmawiać z Doris Kemble w barze przy plaży.

— Powinieneś lepiej porozmawiać z dyrektorem twego banku, żeby pożyczyl ci pieniądze na kupno samochodu.

Przyłożyłem głowę do poduszki. Nie wiadomo dlaczego do oczu napłynęły mi łzy. Kiedy ciekły mi po policzkach, przypomniałem sobie starą piosenkę country: „I’ve Got Tears In My Ears From Lying On My Back And Cryin’ Over You”. Liz położyła mi głowę na ramieniu, pocałowała w policzek i zmierzwiła dłonią włosy. Ale ja byłem zbyt zmęczony i zatroskany, żeby szukać ulgi w seksie. W końcu usiadła, pochyliliła się nade mną i zasłaniając ostatnie promienie księżyca wycisnęła na moim czole długi pożegnalny pocałunek.

— Beznadziejny z ciebie przypadek — powiedziała.

— Nie, wcale nie — zaprzeczyłem, przecierając palcami oczy. — Jestem tylko ciężko przerażonym, zbankrutowanym palantem, który ma wszystkiego dosyć i martwi się bez przerwy o swojego syna. Poza tym jestem bez zarzutu.

Roześmiała się, pocałowała mnie i leżeliśmy objęci ramionami aż do chwili, kiedy zaszedł księżyc i otoczyła nas prawie kompletna ciemność. Próbowałem zasnąć, ale nie mogłem oderwać oczu od sufitu, chociaż praktycznie wcale go nie widziałem.

Liz zasnęła. A w Fortyfoot House zaczął się wielki ruch: wszystko przemieszczało się w przyspieszonym tempie. Bose stopy dotykały cicho belek sufitu; kosmate stworzenia przebiegały szybko i na oślep przestrzenie między ścianami. Młody pan Billings zbliżał się, byłem tego pewien,

zbliżał się w czyimś towarzystwie.

A kiedy się ocknąłem i na dworze świeciło jasne słońce, przysiągłbym, że obudziło mnie ostatnie echo wysokiego dzieciennego krzyku.

Liz otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Ranek był ciepły; frędzle abażura poruszały się w powiewie bryzy niczym kończyny jakiegoś dziwnego, zawieszzonego pod sufitem krocionoga.

Pocałowała mnie w ramię, a potem w usta.

— Wiesz co? — stwierdziła. — Wyglądasz, jak z krzyża zdjęty.

ROZDZIAŁ IX

Pastor męczennik

Liz zjadła rano dwie porcje płatków Weetabix, wypila duszkiem wielki kubek kawy i pobiegła do pracy w Parku Ptaków Tropikalnych. Obiecałem, że o piątej wyjdziemy po nią na przystanek autobusowy, a ona dała mi w progu prawdziwie cnotliwego całusa, obserwowanego z mieszaniną powagi i tłumionej satysfakcji przez schowanego w półmroku korytarza Danny'ego. Danny zaczynał chyba godzić się z faktem, że jego matka i ja już do siebie nie wrócimy. W rzeczywistości, nie zdając sobie sam z tego sprawy zapominał stopniowo dotyku jej rąk i tego, jak wygląda; i bardzo polubił Liz.

Przebacz nam nasze złe uczynki, Panie Boże — pomyślałem, kiedy Liz oddalała się od domu. — I to, że jesteśmy tacy samolubni i uparci jak osły.

— Powinniśmy chyba dzisiaj zacząć zdrapywać farbę z okien — powiedziałem Danny'emu. — Moglibyśmy zacząć w kuchni i obejść naokoło cały dom.

— Czy mogę pójść poszukać nowych krabów?

— Myślałem, że chcesz mi pomóc.

Danny wyglądał na zakłopotanego.

— Tak... tylko że ja nie jestem zbyt dobry w zdrapywaniu.

— Dobrze — zgodziłem się. — Ale trzymaj się blisko Beach Cafe. Nigdzie się nie włócz. I nie wchodź do wody. Możesz co najwyżej chlapać się przy samym brzegu.

Kiwnął głową, nawet na mnie nie spojrzawszy. Może w ogóle mnie nie słyszał. Albo nawet jeśli słyszał, to niezupełnie zrozumiał, co do niego mówię. Dorośli tyle rzeczy uważają za oczywiste. Uważają, że mogą sobie poradzić w każdej sytuacji. Uważają się za atrakcyjnych. Uważają, że dzieci rozumieją to, co się do nich mówi. Jak się domyślałem, Danny zrozumiał mniej więcej tyle: „blisko Beach Cafe — nigdzie nie wchodź — do wody możesz — co najwyżej chlapać”.

Patrzyłem, jak biegnie, wymachując beładnie ramionami, po opadającym w dół trawniku, obok stawu rybnego i przez tylną furtkę. Kiedy mijał małe domki z pelargoniami w oknach, jego świeżo umyte włosy lśniły w słońcu. Nieczęsto ma się szansę pokochać kogoś tak mocno, jak własnego syna; ja ją miałem; i byłem za to wdzięczny.

Przez cały ranek pokrywałem niszczące się okienne ramy grubą warstwą kwaśnego żelu, a potem sapiąc ciężko zdrapywałem szpachelką miękkie kruszące się wstęgi starej farby. Pod czarną farbą było co najmniej cztery albo pięć innych i zdierałem je wszystkie: zieloną, kremową i dziwną różową — tak długo aż dotarłem do szarego metalu. Wykonywanie tego rodzaju prostej pracy miało w sobie coś bardzo terapeutycznego, tym bardziej że starałem się wykonać ją dobrze.

Nakładałem żel, czekałem chwilę, aż farba zacznie się kurczyć, a potem zdrapywałem ją. Do jedenastej skończyłem główną okienną framugę i stwierdziłem, że należy mi się kanapka i piwo.

Zszedłem na dół na plażę, aby odszukać Danny'ego. Najwyraźniej zrozumiał, co mu powiedziałem, bo kucnął przy skalnym bajorku w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od Beach Cafe, dżgając kijem dwa kraby. Postanowiłem, że muszę udzielić mu wykładu na temat okrucieństwa wobec zwierząt. Wszedłem do okolonego kamiennym murkiem ogródka kawiarni, wybrałem miejsce, z którego mogłem obserwować Danny'ego, i niedługo potem przy stoliku pojawiła się w swoim białym fartuchu i dwuogniskowych okularach Doris Kemble.

— Co ci podać?

— Poproszę duże piwo i jedną z tych twoich kanapek z krewetkami. Aha... i grzanekę z serem dla Sindbada Żeglarza. I coca-colę.

Zapisała zamówienie na małym bloczku Woolwortha.

— Miałeś jakieś kłopoty w domu? — zapytała, nie podnosząc wzroku.

— Tak — odparłem. — Na pewno słyszałaś o Harrym Martinie.

— Słyszałam również, co zrobił Keith Martin z twoim samochodem.

Zrobiłem głupią minę.

— Próbowałem przekonać Harry'ego, żeby nie wchodził na strych, ale w ogóle nie chciał mnie słuchać.

Powiedział, że Brązowy Jenkin porwał jego brata, więc ma prawo go szukać.

Doris Kemble wyraźnie zadrżała i usiadła naprzeciwko mnie, tak jakby nagle ugięły się pod nią nogi.

— Widziałeś Brązowego Jenkina?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że chyba tak — odparłem ostrożnie. — Na pewno widziałem coś, co przypominało szczura.

— Dużego... bardzo dużego szczura z ludzką twarzą i ludzkimi rękoma?

— Doris — powiedziałem, biorąc ją za rękę. — Nie ma na świecie szczura, który by tak wyglądał.

— Brązowy Jenkin nie jest szczurem. W każdym razie ty byś go tak nie nazwał.

— Jak ty go w takim razie nazywasz? — zapytałem, odwracając się na chwilę. — Danny! — zawołałem. — Kończ już! Pora na lunch!

Danny wyprostował się: mała chuda figurka, obrysowana słonecznym blaskiem, w którym iskrzył się piasek, morze, niebo i małe bajorka wody.

Ten sam blask oświetlał drobiny kurzu na soczewkach okularów Doris Kemble.

— Na twoim miejscu — oznajmiła — zabrałabym stąd tego chłopaka, to właśnie bym zrobiła. Wyprowadziłabym się z tego domu i pozwoliła, żeby zajęli się nim księża, którzy wiedzą, jak postępować z duchami i podobnymi rzeczami. A potem spaliłabym go do fundamentów i pokropiła święconą wodą pogorzeliśko. Bo ten dom jest zły, ot co, i choć przykro mi to mówić, uważam, że Vera Martin miała rację niszcząc ci samochód. Nie powinieneś pozwolić Harry'emu szukać Brązowego Jenkina. Za nic w świecie. Musiałem zmobilizować całą siłę woli, żeby nie stracić nad sobą panowania i nie nazwać jej starą wścibską wiedźmą; wiedziałem przecież, że jeśli ugryzę się w język, więcej od niej wyciągnę.

— Chyba masz rację — powiedziałem patrząc, jak Danny wspina się po kamieniach w stronę promenady.

— Nie powinienem był w ogóle wpuszczać Harry'ego do tego domu.

— Zawsze mówił, że Brązowy Jenkin porwał jego brata — stwierdziła, potrząsając głową, Doris.

— Powtarzał to tak często, że Vera zakazała mu w końcu o tym wspominać. Jeśli powiesz to jeszcze raz, ostrzegła go, wyjdę przez te drzwi i nigdy nie wrócę.

— Posłuchaj, Doris — powiedziałem z naciskiem. — To nie była moja wina. Nie powstrzymałby go nawet tabun dzikich koni.

— Cóż... teraz już i tak za późno. Biedny Harry gryzie ziemię i nie ma co się nad tym dłużej rozwodzić.

Nie wskrzesi go żadne gadanie.

— Jeśli wszystkim mieszkańcom Bonchurch tak bardzo dopiekł ten Brązowy Jenkin — zapytałem po krótkiej chwili — dlaczego nie próbowali go złapać wcześniej?

Na twarzy Doris Kemble pojawił się gorzki uśmiech.

— Nie sposób złapać stworzenia, które nie zawsze tu jest.

— Nie rozumiem.

— Dobrze, spróbuję to ująć w inny sposób. Czy możesz wsiąść dziś po południu do wczorajszego pociągu?

— Oczywiście, że nie.

— A do jutrzejszego? — Nie.

— Dlatego właśnie nie sposób złapać Brązowego Jenkina. On był i będzie, ale bardzo rzadko jest.

— Doris... — zacząłem nieśmiało. — Czy możesz mi opowiedzieć coś o młodym panu Billingsie?

— Co takiego? — zapytała prostując pomarszczoną szyję.

— Powiedziałaś, że twoja matka opowiadała ci o nim mnóstwo rzeczy.

— Oczywiście. Moja matka sprzątała w Fortyfoot House i wiedziała o Billingsach wszystko, co warto było wiedzieć.

— Czy wspominała o Brązowym Jenkinie?

— Niezbyt często. Woląca o nim nie mówić. Wszyscy w Bonchurch słyszeli o Brązowym Jenkinie. Niektórzy twierdzą, że naprawdę istnieje, inni, że to bzdury. Kiedy ktoś u nas urznie się w trupa, mówimy, że zobaczył Brązowego Jenkina... rozumie pan, zamiast białych myszek.

— A ty co o tym sądzisz?

Doris zdjęła okulary. Jej oczy wydawały się zmęczone i lekko zamglone, a policzki przypominały pomarszczoną cienką bibułkę.

— Sama nigdy nie widziałam Brązowego Jenkina, ale miałam w młodości znajomych, którzy twierdzili, że go oglądali. Na przykład Helen Oaks. Była wtedy moją najlepszą przyjaciółką. Któregoś dnia zniknęła i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Winili o to jej ojca i nawet go dwa razy aresztowali, ale nikt nie potrafił mu niczego udowodnić i w końcu go wypuścili. Wszystko to zupełnie go załamało. Musiał sprzedać sklep i wyjechać. Słyszałam, że się powiesił, zaraz po wojnie.

— A co możesz mi powiedzieć o młodym panu Billingsie? — nalegałem.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

— Nie ma sensu opowiadać o ludziach, którzy dawno odeszli z tego świata. Zwłaszcza jeśli są to opowieści z drugiej albo trzeciej ręki. Nie ma najmniejszego sensu.

— A ja myślę, że ma — zaproponowałem. — Zwłaszcza jeśli dotyczy Fortyfoot House. Myślę, że gdyby udało nam się zrozumieć to, co zdarzyło się tam w przeszłości, być może zrozumielibyśmy także, co dzieje się tam dzisiaj.

Doris Kemble założyła z powrotem okulary i uważnie mi się przyjrzała.

— Moja matka twierdziła, że młody pan Billings wiedział o rzeczach, o których wcale nie

powinien wiedzieć. To wszystko. Podróżował do miejsc, do których człowiek nigdy nie powinien podróżować; i widział rzeczy, których żaden człowiek nie powinien oglądać. Zawarł coś w rodzaju transakcji, ale żeby jej dotrzymać, musiał składać w ofierze życie niewinnych dzieci. Dlatego właśnie nigdy nie chodziłam bawić się blisko Fortyfoot House, kiedy byłam małą dziewczynką, i dlatego dzisiaj także omijam go z daleka.

— Czy twoja matka powiedziała, czego dotyczyła ta transakcja i z kim ją zawarł? Czy dała ci jakąś wskazówkę?

— Przyniosę lepiej kanapki — wykręciła się. — Zaraz przyjdzie tu twój chłopak.

Złapałem ją za nadgarstek.

— Proszę, Doris, tylko tak albo nie. Czy twoja matka powiedziała ci, czego dotyczyła ta transakcja?

Doris Kemble cierpliwie czekała, aż ją puszczę.

— Mogliśmy się wyłącznie domyślać. Wszystko to było takie tajemnicze. Niektórzy mówili, że zawarł ją z diabłem, ale inni, że z kimś o wiele, wiele gorszym. Nikt nie wiedział na pewno.

Puściłem jej rękę.

— Przepraszam.

— Nie ma za co — odparła. — Ten dom każdego potrafi wyprowadzić z równowagi.

Do stolika podszedł Danny.

— Złapałem sześć krabów — powiedział siadając — i wypuściłem je z powrotem do morza. Nie powrywałem im nawet nóg.

Zmierziłem mu włosy.

— Ulitowałeś się nad nimi. Co powiesz na grzankę z serem?

Zjedliśmy razem lunch, przyglądając się plaży — nie rozmawiając ze sobą zbyt wiele, ale rozkoszując się wiatrem i szumem morza. Pogodny nastrój psuła trochę Doris Kemble, która przyglądała mi się natarczywym wzrokiem, tak jakby chciała dodać coś do swojej opowieści. Dwa razy przyłapałem ją, jak przygryzając wargę wlepia we mnie wzrok znad kasy.

W końcu wstaliśmy od stolika i podszedłem do niej, żeby zapłacić.

— Dasz mi znać, gdyby coś ci się jeszcze przypomniało? — zapytałem.

Kiwnęła głową i wybiła należność za lunch na kasie.

— Młody pan Billings miał się ożenić — oświadczyła nagle drżącym głosem, wydając mi resztę. — Był zaręczony z bardzo młodą dziewczyną, którą jego ojciec przywiózł z Londynu, sierotą o nazwisku Mason; dziką dziewczyną, pod każdym względem bardzo dziwną.

Czekałem przez chwilę z wciąż leżącą na mojej dłoni resztą.

— Chodzi o to... że młody pan Billings miał syna. I coś z tym synem było nie w porządku. Zupełnie nie w porządku. Nikt go nigdy nie widział; większość ludzi uważała, że urodził się martwy, chociaż nikt nie oglądał jego pogrzebu, a inni szeptali, że jest dziwny i owłosiony i że przypomina szczura. Niektórzy twierdzili, że jego synem jest facet z brązowymi liszajami na całej twarzy; ale nikt nie wiedział nic na pewno.

— Brązowy Jenkin — szepnąłem prawie bezgłośnie.

Doris Kemble kiwnęła głową, zaciskając mocno usta; wyraz jej twarzy przywodził na myśl zgruchotaną szybę.

— Moja matka mówiła o nim bardzo wiele przed śmiercią. Miała osiemdziesiąt cztery lata i trochę pomieszało jej się w głowie, rozumiesz. Wydawało jej się, że jest znowu młoda i sprząta w tamtym domu.

Młodego pana Billingsa dawno już wtedy oczywiście nie było na świecie. Ale te wszystkie historie, które usłyszała od ludzi... musiały wyrzucić na niej olbrzymie wrażenie, chyba się zgodzisz? Czasami mówiła o młodym panu Billingsie, tak jakby całkiem dobrze go znała. Podobnie o Brązowym Jenkinie. Brrrr!

Dreszcz mnie przechodzi, kiedy o tym pomyślę.

— Tak, to oczywiste — zgodziłem się. Ale przez cały czas myślałem tylko o jednym: czy to może być prawda? Czy to podobne do szczura stworzenie może być synem młodego pana Billingsa?

— Pójdziemy już? — zapytał niecierpliwie Danny.

Odwróciłem się, ale coś kazało mi spojrzeć nie w jego stronę, lecz wzdłuż rzędu stojących wzdłuż morza domków i pensjonatów, które kończyły się na Beach Cafe. Zdawało mi się, że u podnóża stromo wspinającej się ścieżki, która prowadziła do Fortyfoot House, w ciemnym, zielonym cieniu drzew widzę ubranego na czarno mężczyznę o bladej twarzy. Przyglądał się nam intensywnie, zmrużywszy, żeby lepiej widzieć, oczy.

Doris Kemble podniosła głowę i spostrzegłszy, że wpatruję się w coś, co znajduje się na promenadzie, także odwróciła się w tamtą stronę. Ale kiedy to zrobiła, mężczyzna zniknął, prawie się rozpląnął, tak jakby był tylko optycznym złudzeniem, mirażem wywołanym przez popołudniowy upał.

W tej samej chwili jednak stojący na półce tuż za głową Doris dzbanek z wodą przechylił się nagle w niewytłumaczalny sposób i runął w dół, roztrzaskując się na linoleum, a ja nie mogłem się oprzeć przykreemu wrażeniu, że zniknięcie mężczyzny i stłuczony dzbanek mają się do siebie jak przyczyna i skutek.

Tego popołudnia zamiast zdrapywać dalej farbę z kuchennych okien, zabrałem ze sobą Danny'ego, żeby przeprowadzić małe prywatne dochodzenie. Trzymając się za ręce maszerowaliśmy długą na półtora kilometra, betonową promenadą, która wiodła brzegiem morza do Ventnor. Dzień był przyjemny i ciepły, morze jasne, wokół klifów krążyły z krzykiem mewy. Wdrapaliśmy się biegnącą przez krzaki i pokruszony piaskowiec stromą ścieżką i minawszy parking samochodowy znaleźliśmy się na bocznych uliczkach Ventnor.

Miasteczko nie obfitowało w wiele atrakcji: typowy brytyjski kurort z dworcem autobusowym, przerobionym na salon bingo kinem i sklepami pełnymi plażowych piłek, słomkowych kapeluszy i wiader z łopatkami. Ale znajdowała się tu również biblioteka i kościół parafialny pod wezwaniem świętego Michała, czyli wszystko, czego potrzebowałem.

Usiadłem w rogu małej, nasłonecznionej czytelnicy, w której unosił się zapach lawendowej pasty do podłóg i było zdecydowanie za gorąco, i przejrzałem pozycje z działu DUCHY I ZJAWISKA OKULTYSTYCZNE.

Przeczytałem o szkockim zamku w Królestwie Fife, gdzie raz w roku, w wigilię świętej Agnieszki, krew lała się po kamiennych schodach i zalewała cały hol. Przeczytałem o człowieku bez twarzy, pojawiającym się w małym domku z tarasem w Great Ayton w Yorkshire — niejakim Passchendaele'u, który chciał zapewnić wieczny odpoczynek swojej dawno zmarłej matce.

Zajrzałem także do działów CZAS I TEORIA WZGLĘDNOŚCI. Większość pozycji była zbyt zawiła, bym mógł z nich cokolwiek zrozumieć, znalazłem jednak kilka interesujących fragmentów w „The Arrow of Time”. Dotyczyły one alternatywnych rzeczywistości i tego, w jaki sposób z naukowego punktu widzenia możliwe są różne paralelne rozwiązania globalnych scenariuszy — innymi słowy, czy Indianie mogli obronić i zachować dla siebie Amerykę, a Hitler mógł stać się mądrym i dobrotliwym kanclerzem, który przyniósł Europie pokój i dobrobyt, a nie wojnę.

Wreszcie na samym końcu półki w dziale dotyczącym CZASU znalazłem oprawiony w plastikową okładkę, pozaginany egzemplarz „National Geographic” z lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, z poźółką zakładką, na której widniał napis CZAS I STAROŻYTNI SUMEROWIE, s. 85. Artykuł pióra profesora Henry'ego Coldstone'a II nosił tytuł „Magia zigguratów w starożytnym państwie Sumerów” i w całości poświęcony został babilońskim zigguratom, składającym się z wielu tarasów wieżom wzniesionym wokół miasta Ur nad Eufratem.

Bardziej jednak od samego artykułu przyciągnęła moją uwagę ziarnista czarno-biała fotografia z boku strony. „Sumeryjska świątynia, zniszczona przez okupacyjne wojska tureckie w roku 1915, dlatego że jej kształt nie podobał się miejscowemu bejowi” — głosił zamieszczony niżej podpis.

Jakość zdjęcia pozostawiała wiele do życzenia i świątynię ledwo było na nim widać. Jej pochylony, podobny do wielkiego namiotu kształt wydawał się jednak dziwnie znajomy — w sposobie, w jaki tworzące go płaszczyzny oszukiwały oko; w sposobie, w jaki zaprzeczały wszelkim prawom perspektywy.

Wpatrując się w fotografię, założyłbym się o wszystkie pieniądze, jakich nie miałem, że

spoglądam na dach Fortyfoot House.

Przejrzałem tak szybko, jak mogłem, resztę artykułu. Zbliżała się najwyraźniej godzina zamknięcia czytelnicy i siedząca przy głównym biurku, ubrana w szary kostium, prosta, ale obdarzona zmysłowym ciałem bibliotekarka łypała na mnie zza swych szkieł, jakbym był złodziejem książek.

Profesor Coldstone uważał, że w starożytnym Iraku istniało kilka ważnych zigguratów, które — choć zbudowane z solidnego kamienia — mogły zmieniać swój fizyczny kształt, i że Babilończycy podróżowali dzięki nim z jednego świata do drugiego.

Babilończycy wierzyli, że w przeszłości istniały nieskończenie stare cywilizacje i że można się do nich dostać za pomocą pewnych szczególnych astrogeometrycznych konstrukcji, opartych na wzorach, które wyznaczają główne gwiazdozbiory. Współczesnym matematykom — mimo że dysponują komputerami zdolnymi wyrysować wszelkie dokładne trajektorie — nie udało się do tej pory odtworzyć owych kształtów, ponieważ zawierają one zbyt wiele oczywistych absurdów i matematycznych nonsensów.

Profesor Coldstone zaryzykował nawet stwierdzenie, że „cywilizacja sumeryjska została w całości oparta na wiedzy przeniesionej z innego, istniejącego po drugiej stronie zigguratów świata”. Wbrew wysiłkom wiktoriańskich badaczy, którzy usiłowali udowodnić, że pismo klinowe jest po prostu systemem uproszczonych, przechylonych w bok piktogramów, nie przypomina ono żadnego innego alfabetu na ziemi.

Sumeryjscy bogowie i sumeryjskie legendy nie mają punktu styczności z żadnymi innymi ludzkimi wierzeniami i mitami. Już trzy i pół tysiąca lat przed Chrystusem Sumerowie rozprawiali z niesamowitą pewnością siebie o „miejscu, w którym nie ma rachuby dni” — miejscu, które ich kapłani i skrybowie mogli odwiedzać stosunkowo bez większych trudności, ale nie zawsze bezpiecznie. To, co niektórzy z kapłanów zobaczyli po drugiej stronie zigguratów, doprowadziło ich do szaleństwa; w piśmie klinowym był nawet specjalny znak na „tego, który zobaczył, co czeka po drugiej stronie”. Nie „co znajduje się” ani nie „co istnieje”, ale „co czeka”, chociaż na co takiego czeka, tego profesor Coldstone nie wyjaśniał.

Na temat zburzonej przez Turków świątyni zostało napisane bardzo niewiele. Profesor przytaczał tylko fragment noty beja, w której mowa była o tym, że stanowi ona „zarzewie buntu i niepokojów. W nocy widzimy tam światła i słyszymy krzyki w językach, których nie potrafimy zrozumieć. Uznawszy, że dalsze istnienie świątyni stanowi zagrożenie dla tureckiego panowania na tym obszarze, rozkazałem wysadzić ją w powietrze dynamitem”.

Poprosiłem prostą, zmysłową kobietę w szarym kostiumie, żeby odbiła mi artykuł na ksero.

— To wydaje się interesujące — uznała, a kopiarka rozświetliła ciasną kuchenkę, w której dojrzałem zlew, czajnik i sześć albo siedem kubków do kawy. — Te zigguraty.

— Prawdę mówiąc, nudy na pudy — odrzekłem, ale nie zdołałem się nawet uśmiechnąć.

W promieniach popołudniowego słońca fruwały drobiny książkowego kurzu. W kącie dla

dzieci siedział ze skrzyżowanymi nogami Danny, czytając dziecięcą wersję Drakuli.

— Dlaczego wampiry piją ludzką krew? — zapytał mnie, kiedy schodziliśmy po stopniach biblioteki.

— Nie lubią filetów rybnych, oto dlaczego.

— Nie, poważnie, dlaczego piją ludzką krew?

— To tylko taka bajka. Żeby cię nastraszyć.

— A co by się stało, gdyby wypily czyjaś krew, a ten ktoś był chory na AIDS?

Zatrzymałem się na rogu ulicy, czekając aż przejedzie autobus.

— Ile masz lat? — zapytałem, patrząc mu prosto w oczy.

— Siedem.

— Więc nie opowiadaj takich historii. Nie musisz się jeszcze martwić takimi rzeczami jak AIDS. Jeszcze nie.

— Ale co będzie, jeśli ugryzie mnie wampir, który zaraził się AIDS od kogoś innego?

— A co będzie, jeśli zadasz mi tyle pytań, że pęknie mi od nich głowa?

Doszliśmy do Świętego Michała, wzniesionego z kamienia, nieprzyjemnego wiktoriańskiego kościoła, na którego dziedzińcu rośło kilka cyprysów. Dziedziniec był kiedyś znacznie większy, ale dużą jego część zabrano, żeby poszerzyć główną drogę. Przy przeciwległej ścianie, pod wilgotnym cieniem najwyższego cedru stało dwadzieścia albo trzydzieści stłoczonych niczym zęby olbrzyma nagrobków.

We wnętrzu kościoła panował zaskakujący chłód; nasze kroki odbijały się w nim głośnym echem.

Starsza kobieta układała kwiaty, a pastor stał na drewnianej drabinie, zmieniając numery hymnów.

— Dzień dobry — powiedziałem, stając przy drabinie.

Zsunął okulary na nos i spojrzał w dół. Nie wyglądał na więcej jak czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat, ale miał już łysinę, plamy wątrobowe i cechowały go wszystkie denerwujące, przesadne manieryzmy, którymi odznacza się mężczyzna na emeryturze. Ubrany był w tweedową zieloną marynarkę i wytarte zielone sztruksowe spodnie.

— Za minutkę będę do pańskiej dyspozycji! — zawołał, zmieniając ostatnią tabliczkę z numerem.

— Hymn numer trzysta czterdzieści pięć. „Boże, nasza ostoję w przeszłości”. Czy przyszedł pan w sprawie drenów? — zapytał, schodząc na dół.

— Obawiam się, że nie. Chciałbym, jeśli można, sprawdzić coś w księgach parafialnych.

— W księgach parafialnych! Widzę, że to poważna sprawa. Oprócz tego i ubiegłego roku, wszystkie znajdują się na plebanii. Zależy, jak daleko chce się pan cofnąć.

— Nie jestem pewien. Co najmniej do roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego.

— Mogę spytać, czego dokładnie pana szuka, panie...

— Williams. David Williams. Szukam aktu ślubu.

— Rozumiem. Jakichś pańskich przodków?

— Niezupełnie. Ale ludzi, których znam.

— Jacyś miejscowi? — zapytał i odwrócił się w stronę kobiety układającej kwiaty. — Niech pani nie daje za dużo gladioli z przodu ambony, pani Willis — zawołał głosem, który odbił się wielokrotnym echem od ścian kościoła. — Chcę widzieć swoich parafian!

— Tak, mieszkali w Bonchurch — odparłem.

— Jest pan pewien, że zawarli ślub właśnie tutaj? Mogli to zrobić również w Shanklin.

— Tak, ale pomyślałem, że zacznę w Ventnor.

Spojrzał na zegarek.

— Wracam teraz na plebanię. Jeśli pan chce, może pan pójść ze mną.

Wyszliśmy z kościoła, przecięliśmy drogę i idąc wąską uliczką dotarliśmy do późnowiktoriańskiego dużego domu, otoczonego żywopłotem i połamanymi drewnianymi sztachetami. Wysypany zwirem podjazd zarosło zielsko, a drzwi i okienne ramy pokrywała łuszcząca się brązowa farba.

— Obawiam się, że dom jest trochę zaniedbany — stwierdził pastor, otwierając frontowe drzwi. — Nie stać mnie na to, żeby go odmalować.

Podłoga holu, do którego nas wprowadził, wyłożona była terakotą, a ściany obite brązową boazerią.

W powietrzu unosił się intensywny zapach mielonego mięsa i kapusty.

— Szkolne jedzenie — oznajmił, kręcąc nosem, Danny.

Kazałem mu być cicho, ale pastor wybuchnął śmiechem.

— Ma rację — powiedział. — Zawsze lubiłem szkolne obiady.

W drzwiach kuchni pojawiła się kobieta w kwiecistym fartuchu. W rękach trzymała kuliste akwarium ze złotą rybką, a jej twarz przypominała duży talerz.

— Pani Pickering — przedstawił ją pastor, a ona posłała nam blady uśmiech. — Jeśli pan chce, może pan skorzystać z biblioteki — kontynuował jej mąż, przecinając hol. — Są tam wszystkie akta, chociaż obawiam się, że niezbyt porządnie poukładane. Powiedział pan tysiąc osiemset siedemdziesiąty piąty, prawda?

— Może być trochę wcześniej albo później. Nie jestem pewien.

— Zna pan nazwiska obu stron?

— Tak... pan młody nazywał się Billings. A panna młoda Mason.

Pastor zatrzymał się z dłonią na kłamce biblioteki.

— Billings, powiada pan, i Mason. Z Bonchurch?

— Zgadza się, mieszkali w Fortyfoot House.

— No cóż — oświadczył ostrożnie. — To zupełnie inna para kaloszy. Nie pisze pan przypadkiem czegoś na ten temat?

— Nie, nie — uspokoiłem go. — Jestem dekoratorem wnętrz, nie pisarzem. Od paru dni mieszkam w Fortyfoot House. Mam zrobić tam porządek, żeby właściciele mogli go sprzedać.

— Zrobić porządek?

— Rozumie pastor, pomalować, naprawić rynny, tego rodzaju rzeczy.

— Aha — odprężył się. — Proszę mi wybaczyć, źle pana zrozumiałem. Chodzi o to, że czasami mam niezbyt miłych gości, interesujących się Fortyfoot House... Są to w większości reporterzy brukowych gazet i autorzy książek na temat czarnej magii i okultyzmu. Robię, co mogę, żeby ich zniechęcić.

— Nie wiedziałem, że Fortyfoot House cieszy się taką renomą — stwierdziłem.

— Cóż, może lepiej byłoby powiedzieć „złą sławą” — odparł, otwierając drzwi biblioteki i wchodząc wraz ze mną i z Dannym do środka. W dusznym pomieszczeniu panował straszliwy nieporządek.

Wszystkie półki zawalone były stosami oprawnych w skórę ksiąg, albumów z fotografiami i pozółkłych parafialnych gazetek, a to, co nie zmieściło się na półkach, leżało w wielkich

chybotliwych stertach na wytartym dywanie. Na parapecie obok pustej butelki wina Moët & Chandon i pochylonego afrykańskiego posążka z hebanu spał, unosząc w letargicznym grymasie górną wargę, żółto-brązowy kocur.

— Powiedział pan, że tam mieszka? — zagadnął pastor.

— Zgadza się. Państwo Tarrantowie chcą, żebym wyremontował dom tak szybko, jak to tylko możliwe.

— No tak, to całkiem zrozumiałe. Ten dom przynosi same nieszczęścia wszystkim swoim właścicielom.

— Ma pastor jakieś pojęcie dlaczego?

Wielebny Pickering zdjął okulary i z poważną miną potarł wierzchem dłoni brwi.

— Zajmowałem się trochę tą sprawą... zawsze interesowała mnie miejscowa historia i przesady. Ale istnieje tyle sprzecznych relacji... większość z nich mrozących krew w żyłach... że nie wiadomo dobrze, w co wierzyć.

— Ale słyszał pastor o młodym panu Billingsie i kobiecie o nazwisku Mason, którą poślubił? I słyszał pastor o Brązowym Jenkinie?

— Nie sposób o nich nie słyszeć, mieszkając tu, w Ventnor — odparł szczerze pastor. — Należą do miejscowej mitologii.

— Czy coś pastor tam kiedyś widział? Coś, co mogłoby go przekonać, że w tych opowieściach tkwi ziarenko prawdy?

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

— Czy pańskie zainteresowanie tą sprawą oznacza, że pan coś widział?

Danny stał przy oknie, głaszcząc kota.

— Nie jestem pewien, co widziałem — stwierdziłem. — W Fortyfoot House mieszka wraz ze mną pewna dziewczyna... udało jej się prawie wmówić samej sobie, że gdzieś na strychu ukrywają się dzicy lokatorzy i że próbują nas nastraszyć.

— Ale pan tak nie uważa — wtrącił pastor, starannie wygładzając pozostałości swojej niegdyś bujnej czupryny.

— Szczerze mówiąc, rzeczywiście trudno mi w to uwierzyć.

— Słyszał pan głosy? Widział pan jaskrawe, nie dające się wytłumaczyć światła?

— Więcej. Widziałem stworzenie, które wyglądało jak szczur, ale nim nie było; widziałem

dziewczynkę w nocnej koszuli, która wyglądała jak nieżywa; i widziałem także kogoś, kto mógł być Billingsem, jestem tego pewien. Kłopot polega na tym, że wszystko to przypomina halucynacje. Zawsze po krótkiej chwili znika i nigdy nie wiem, czy naprawdę kogoś widziałem lub słyszałem, czy też...

— Czy też coś jest nie w porządku z pańską głową — dokończył za mnie pastor.

— Tak, coś w tym rodzaju. To znaczy, mój syn także widział Billingsa i martwą dziewczynkę w nocnej koszuli. Podobnie jak Liz. Ale... sam nie wiem... — odparłem nieskładnie.

— Myśli pan, że wszyscy mogliście paść ofiarą tego samego złudzenia? Czegoś w rodzaju zbiorowej hysterii?

— Przypuszczam, że tak. Nie znam się zbyt dobrze na sprawach nadprzyrodzonych ani na życiu pozagrobowym.

— Cóż, na tym nie zna się dobrze nikt z nas — przyznał pastor. — Przy okazji: nazywam się Dennis Pickering, ale może pan do mnie mówić Dennis, tak jak wszyscy. Może masz pan ochotę na filiżankę herbaty?

A twój chłopak na szklankę soku z pomarańczy?

Danny pokręcił nosem. Dla chłopca, który wychował się na dietetycznej pepsi, perspektywa wypicia ciepłego, wyciśniętego z pomarańczy soku nie wydawała się zbyt pociągająca.

— Więc może moja żona znajdzie ci jakiś jogurt? — zaproponował Dennis Pickering.

Twarz Danny'ego, na której przed chwilą malował się zaledwie lekki niesmak, upodobniła się teraz do gargulca z katedry Notre Dame.

— Jadł niedawno lunch — wyjaśniłem.

Dennis Pickering przeniósł w inne miejsce stos papierów i książek i usiedliśmy kolano przy kolanie na skraju zakurzonej, obitej brązową skórą sofy.

— Jest coś jeszcze — powiedziałem. — Coś, co widziałem tylko ja... i co każe mi sądzić, że nie mamy w tym przypadku do czynienia ze zbiorową histerią. Zeszłej nocy, mniej więcej o drugiej, zobaczyłem coś w rogu mojego pokoju. Z początku nie różniło się od świecącej mgiełki. A potem zmieniło się powoli w kształt, który całkiem wyraźnie przypominał zakonnice albo pielęgniarkę. Szczerze mówiąc, potwornie się wystraszyłem. Krzyknąłem... dokładnie rzecz biorąc, wrzasnąłem jak oparzony i zjawa zniknęła.

Dennis Pickering pokiwał w zamyśleniu głową. Złożył, tak jakby się modlił, swoje kościste dłonie i przez dłuższy czas w ogóle się nie odzywał.

— Wierzysz mi, prawda? — zapytałem go, parszcząc krótkim nerwowym śmiechem. Przyszło mi nagle do głowy, że nie, wcale mi nie wierzy, zastanawia się tylko, czy najpierw zatelefonować na

policję, czy też do miejscowego domu wariatów.

— Mój drogi! — Dennis Pickering poklepał mnie po kolanie, ale uświadomiwszy sobie, że jego gest może zostać opacznie zrozumiany, szybko cofnął rękę. — Tak, tak, wierzę ci. Moi poprzednicy od dłuższego czasu stykali się z tym, co jak przypuszczam, mógłby pan określić jako „nadprzyrodzone anomalie” występujące w Fortyfoot House. Zastanawiałem się po prostu, jaką mógłbym ci dać radę... i w ogóle co mógłbym w tej sprawie zrobić.

— A jest coś, co mógłbyś zrobić? Na przykład wyegzorcyzmować cały dom? Albo sprawić, że wszystkie te duchy znajdą wieczny odpoczynek? Na filmach takie rzeczy zawsze pomagają.

Dennis Pickering cicho westchnął.

— Zgadza się, na filmach, Davidzie. Ale to niestety nie jest film, tylko prawdziwe życie, a w prawdziwym życiu nie tak łatwo dojść do ładu z tymi, którzy nie zaznali po śmierci spokoju.

— Czy masz jakąś teorię, która wyjaśniałaby, co powoduje te wszystkie anomalie? — zapytałem.

Potrząsnął prawie ze smutkiem głową.

— Znam całkiem dobrze historię Fortyfoot House; widziałem także światła i słyszałem hałasy, które ktoś mógłby przypisać działaniu sił nadprzyrodzonych. Ale podobnie jak wszyscy moi poprzednicy nie mam po prostu pojęcia, co te siły reprezentują i o co im dokładnie chodzi. Przypomina to życie na skraju aktywnego wulkanu. Można go nie lubić, ale trzeba z tym żyć.

Wyjąłem kserokopię, którą zrobiła dla mnie prosta, zmysłowa bibliotekarka.

— Mam pewną teorię... może nie teorię, ale coś w rodzaju przeczucia. Uważam, że Fortyfoot Mouse istnieje w dwu miejscach naraz. Albo raczej w dwu czasach naraz. Przeczytałem artykuł o starożytnych Sumerach, których zigguraty umożliwiały dostęp do innego świata, znajdującego się w tym samym miejscu, tyle że o wiele, wiele dawniej.

Dennis Pickering rozwinął kserokopię i dokładnie ją przestudiował.

— To niezwykle interesujące, zgadzam się — powiedział. — Słyszałem o tym już wcześniej. W Arabii istniała podobno nie tyle prehistoryczna, co poprzedzająca człowieka cywilizacja, która nazywała się Mnab; jej głównym miastem było Ib. Według kilku historyków, między innymi doktora Randolpha Cartera... o, spójrz tutaj, profesor Coldstone nawet o nim wspomina... Sumerowie potrafili podróżować w czasie do Ib, posługując się pewnymi formułami matematycznymi a także niezwykle kształtami architektonicznymi.

Tak, to fascynujące teorie, nawet jeśli trochę podejrzane i nie najświeższej daty. Uczyliśmy się o nich jeszcze w college'u. Babiloński człowiek z Piltdown. — Zdjął okulary i spojrzał na mnie. — Nie widzę jednak, co to wszystko mogłoby mieć wspólnego z Fortyfoot House. Moim zdaniem to po prostu jeden z tych domów, którego mury przesiąkły złem byłych właścicieli i tragedią tych, którzy w nim umarli. Klasyczny przypadek nawiedzania przez duchy. Szczerze mówiąc, popełniłem kiedyś na

ten temat skromny artykułik. „Fortyfoot House: dom, w którym straszy”. Opublikował go we wczesnych latach siedemdziesiątych „Church Times”. — Oddał mi z powrotem kserokopię. — Kiedy zbudowano Fortyfoot House, pastorem u Świętego Michała był wielebny John Claringbull. Znał bardzo dobrze pana Billingsa.

Oczywiście mam na myśli nie młodego, a starego pana Billingsa, który cieszył się sławą miejscowego filantropa, toteż kiedy postanowił wybudować Fortyfoot House, żeby przyjąć doń sieroty z londyńskiego East Endu, wielebny Claringbull udzielił mu wszelkiej możliwej duchowej pomocy. Wszystko to jest dokładnie zapisane w jego pamiętnikach, które znajdują się tutaj, na plebanii, czyli dokładnie tam, gdzie powinny się znajdować.

Budowa Fortyfoot House postępowała pomyślnie aż do chwili, kiedy stary pan Billings sprowadził z Londynu sierotę, która miała zostać jego pokojówką, kucharką i sprzątaczką. Moralne ocalenie tej dziewczyny uznał stary pan Billings za największe zadanie swego życia, zadanie, które okazało się ważniejsze od wszystkiego, czego dokonał do tej pory. Miała czternaście lat; od dziesiątego roku uprawiała prostytutkę i stopień jej deprawacji przekraczał wszelkie możliwe wyobrażenia. Mówiono, że wychowała się w najgłębszych zakamarkach londyńskich doków, wśród szczurów, prostytutek i zbrodniarzy, ludzi, których podłość zaszokowałaby cię, mój drogi, nawet dzisiaj.

Według pana Billingsa, doktor Barnardo ocalił ją spod opieki bezimiennej, ohydnej istoty, która miała swoją kryjówkę w samym środku zaszczurzonych londyńskich doków. Nie potrafił powiedzieć, czy istota ta była mężczyzną czy kobietą i czy w ogóle była człowiekiem. W pamiętnikach, które prowadził sam doktor Barnardo, może pan przeczytać, że to coś przebywało prawie w totalnych ciemnościach, otoczone przez szczątki dosłownie tysiący szczurów, z których część zamieniła się już w proch, ale inne były jeszcze stosunkowo świeże i tylko częściowo zmumifikowane.

Według doktora Barnardo ubrane w brudny welwet dziecko owo siedziało u stóp swego opiekuna, nucąc bez przerwy groteskową, gardłową pieśń. Doktor nie mógł zrozumieć z niej ani słowa, pisze jednak, że na jej dźwięk ogarnęło go śmiertelne przerażenie: tak jakby słyszał modlitwę do samego Belzebuba.

Dziewczyna gwałtownie protestowała, kiedy doktor Barnardo próbował przenieść ją w inne miejsce, w końcu jednak wezwał na pomoc dwóch swoich krzepkich przyjaciół, zaczęli się na nią któreś nocy na Slugwash Lane i zaprowadzili do londyńskiego domu pana Billingsa. Mimo że zamknięto ją na klucz, próbowała dwukrotnie uciekać i w końcu pan Billings postanowił, że chociaż budowa Fortyfoot Mouse nie jest jeszcze zakończona, zabierze ją ze sobą na wyspę Wight, najdalej, jak mógł, od Londynu. Wierzył, że pod wpływem jego i pastora Claringbulla dziewczyna przeobrazi się szybko z portowej dziwki w czystą, posłuszną młodą panienkę.

— Syndrom Pigmaliona — zauważyłem. — Pomysł, żeby z kwiaciarki zrobić wielką damę. The rain In Spain falls mainly on the plain.

— Dokładnie — zgodził się Dennis Pickering. — Niestety, wszelkie wysiłki starego pana Billingsa, żeby grać rolę profesora Higginsa, spełzły na niczym. Czy pański chłopak na pewno nie chce napić się jogurtu?

Moja żona robi go sama.

— Nie, dziękuję bardzo, naprawdę.

— Hmm... nie mogę powiedzieć, żebym miał do niego o to pretensję. Nie znoszę jej jogurtu.

— Co złego zdarzyło się między starym panem Billingssem a dziewczyną? — nalegałem.

— Wszystko, mój drogi, wszystko! Dziewczyna okazała się tak podstępna, złośliwa i silna psychicznie, że wkrótce owinęła sobie pana Billingsa wokół palca. Wielebny Claringbull mógł się temu tylko bezradnie przyglądać. Opisał to dokładnie w swoich pamiętnikach; to bardzo przygnębiająca lektura...

Otóż zaraz po przyjeździe kazała sobie kupić stroje i biżuterię. Pan Billings wydał na to setki gwinei.

I chociaż miała tylko czternaście lat, ubierała się i malowała niczym dwudziestoletnia kokota. Kazała panu Billingsowi kupić brandy, a także morfinę, którą udało mu się otrzymać od doktora Bartholomewa w Shanklin. Uprawiała seks z każdym mężczyzną lub chłopcem, który jej się spodobał, a nawet — głos wielebnego Pickeringa, i tak bardzo cichy, teraz zniżył się do granicy słyszalności — z kucykami i psami.

— O mój Boże — wyrzekłem. Nie wiedziałem, jakiej jeszcze spodziewa się po mnie reakcji.

— Co jednak najdziwniejsze — ciągnął dalej Dennis Pickering — uparła się, żeby pan Billings zmienił projekt dachu Fortyfoot House.

Pokazała rysunki i wzory, które wprowadziły w skrajne zdumienie architektów. Nie chcieli ich uznać, twierdząc, że są technicznie niewykonalne i że podobnego dachu nigdy nie uda się zbudować. Ale ona upierała się przy swoim i stary pan Billings jak zwykle uległ jej namowom. Skonstruowano dach ściśle według jej planów i jak pan dzisiaj widzi, taki dach był możliwy, jak najbardziej możliwy... choć nikt nie miał pojęcia, dlaczego tak jej zależało na zmianie projektu i skąd wiedziała, jak narysować nowe plany.

Wielebny Claringbull coraz rzadziej spotykał się ze starym panem Billingssem, a kiedy go widywał, właściciel Fortyfoot House wydawał się zmęczony i poirytowany... często nie zdawał sobie sprawy, jaki jest dzień, a nawet miesiąc...

Za każdym razem, kiedy wielebny Claringbull widział dziewczynę, przechodził go „dreszcz, którego nie potrafił opanować”. Kiedy tylko zdarzyło mu się przebywać z nią razem w jednym pomieszczeniu, natychmiast dostawał wysypki i zaczynała mu schodzić skóra, tak jakby cierpiał na łuszczycę, a kiedy zaproszono go na uroczystość otwarcia Fortyfoot House i posadzono obok niej, natychmiast po zjedzeniu zupy pomidorowej musiał przeprosić towarzystwo i wyjść do ogrodu, gdzie wszystko zwymiotował.

„Zwracałem rzeczy, których na pewno nie jadłem”, napisał. „Zwracałem rzeczy, które same się poruszały, rzeczy, które trzęsły się i wiły w trawie, a potem odpełzały, kryjąc się pod żywopłotem”.

Dennis Pickering przerwał nagle i rozejrzał się na wszystkie strony, tak jakby się obawiał, że może go podsłuchać i ukarać za niedyskrecję jakiś mściwy duch z przeszłości.

— Tak wygląda oczywiście wersja wypadków przedstawiona przez wielebnego Claringbulla. Gdyby uwierzyć w nią bez zastrzeżeń, cała historia wydaje się rzeczywiście nader przerażająca i smutna.

Były jednak osoby, które żywiły poważne wątpliwości co do zdrowia psychicznego mojego poprzednika.

— Wypowiadając te słowa Dennis Pickering nachylił się bliżej w moją stronę. — Jeśli przejrysz na przykład pamiętniki kościelnego — szepnął — i potrafisz czytać między wierszami, możesz dojść do wniosku, że młoda podopieczna pana Billingsa nie tyle doprowadzała wielebnego Claringbulla do mdłości, co po prostu wpadła mu w oko, a gwałtowne fizyczne reakcje, jakie odczuwał na jej widok, wywoływało jego własne poczucie winy i wstyd. Wielebny Claringbull był oczywiście żonaty, wiadomo jednak skądinąd, że jego żona skarżyła się na ustawiczne bóle w krzyżu, w rezultacie których mój poprzednik nie znajdował w swoim małżeństwie... hmmm... tylu uroków, ile mógłby sobie życzyć.

Danny przestał głaskać kota i uśmiechnął się niewinnie do pastora, który oblał się natychmiast rumieńcem i odwzajemnił z zakłopotaniem uśmiech.

— Proszę cię, nie przejmuj się nim — zaproponowałem. — Nie musisz mówić zagadkami. Danny nauczył się już wszystkiego, co trzeba wiedzieć o rozmnażaniu ameb, alg, szkarłupni i gryzoni. Wierz mi: mało jest rzeczy, które robiłby ze sobą dorośli, a które potrafiłyby go zgorszyć. Najprawdopodobniej nawet by go to nie zainteresowało.

— Cóż, przypuszczam, że masz rację — przyznał Dennis Pickering, odchyłając się na krześle.

— Chcesz szczyptę tabaki?

— Nigdy nie próbowałem.

— W takim razie lepiej, żebyś tego nie robił.

Wyjął małą srebrną tabakierkę i obserwowany z fascynacją przez Danny'ego umieścił w każdym z nozdrzy po szczypcie tabaki, a potem kichnął i przez dłuższą chwilę siedział z załzawionymi oczyma.

— Pani Kemble z Beach Cafe — powiedziałem, odczekawszy aż stłumi dwa kolejne kichnięcia — powiedziała mi, że starego pana Billingsa zamordowano.

— Och, pani Kemble! Ma na punkcie Fortyfoot House prawdziwą obsesję, chociaż nie wiem dlaczego. Kiedyś domagała się, żebym pobłogosławił tylną furtkę, nie chciała jednak powiedzieć z jakiego powodu. Dziwna kobieta. Jej mąż był kimś w rodzaju wojennego bohatera, zginął pod Dieppe. Ale trzeba przyznać, że bar prowadzi przyzwoicie.

— Nie wiesz, w jaki sposób zmarł stary pan Billings?

Dennis Pickering wydmuchał nos na trzy tony, wydając odgłos podobny do klaksonu maserati.

— Cóż, podobnie jak w każdej innej sprawie związanej z Fortyfoot House, krążą na ten temat najróżniejsze plotki. Najczęściej chyba powtarza się, że poraził go piorun. Stało się to oczywiście parę lat po otwarciu sierocińca i w jakiś czas po przyjeździe młodego pana Billingsa, który przybył tu, żeby pomagać ojcu. Nazwisko Billingsów pojawia się ponownie w księgach parafialnych z chwilą, gdy młody pan Billings zwrócił się do wielebnego Claringbulla z prośbą, aby połączył go węzłem małżeńskim z podopieczną ojca. Wtedy właśnie po raz pierwszy wymienione zostało imię i nazwisko dziewczyny: Kezia Mason, panna. Wielebny Claringbull napisał wówczas długi list do biskupa, wyjaśniając, że bezbożne zachowanie Kezi absolutnie wyklucza ślub kościelny. Oprócz tego przytoczył krążące po wiosce plotki, jakoby młody pan Billings należał do jakiegoś bezbożnego stowarzyszenia, pod wieloma względami przypominającego niesławnej pamięci Hellfire Club, i jakoby w kaplicy obok Fortyfoot House składano ofiary ze zwierząt i odprawiano czarne msze. Atmosferę podgrzewał dodatkowo fakt, że podczas kierowania sierocińcem przez młodego pana Billingsa w Fortyfoot House pojawiali się najprzeróżniejsi dziwni osobnicy. „Poszukiwani listem gończym mordercy i zbrodni” napisał wielebny Claringbull. Ponadto mój poprzednik upierał się w swoim liście, że młody pan Billings posługuje się magią i że widział go kiedyś wyraźnie w oknie Fortyfoot House, a pół minuty później spotkał na ścieżce biegnącej w stronę morza.

List do biskupa bardzo zaszkodził wielebnemu Claringbullowi. Jego zwierzchnicy doszli do wniosku, że brak mu piątej klepki, i odwołali go z funkcji pastora tej parafii, wysyłając najpierw na przymusowy urlop, a potem do Parkhurst, gdzie został pomocnikiem więziennego kapelana. Po upływie zaledwie roku został brutalnie zasztyletowany przez jednego z więźniów, który utrzymywał, że wielebny Claringbull jest wcielonym diabłem i że jego oczy połyskują czerwono w ciemności.

— Mój Boże — powiedziałem cicho.

— Tak — zgodził się Dennis Pickering. — Straszliwy koniec.

— A co się stało z młodym panem Billingsem? — zapytałem. — Co o nim wiesz?

— Obawiam się, że bardzo niewiele. Następcą wielebnego Claringbulla został niejaki Geoffrey Parsley, osobnik, jak się zdaje, bardzo prostoduszny, interesujący się bardziej baraniną z Southdown i młodymi ziemniakami aniżeli knowaniami diabła. Nie zwracał większej uwagi na miejscowe plotki dotyczące Fortyfoot House; raz tylko zapisał w swoim pamiętniku, że kiedy spotkał w letni poranek na drodze do wioski młodego pana Billingsa i Kezię Mason, poczuł, jak owiewa go wyraźny chłód: „Odniosłem wrażenie, jakby przejechał obok mnie wóz z mrożonym halibutem”.

— Pani Kemble wspominała, że młody pan Billings miał dziecko.

— Takie krążyły pogłoski. Kezię Mason z całą pewnością widziano, jak ktoś mógłby to ująć, w odmiennym stanie, a w czasie kiedy mogła dać życie dziecku, pod Fortyfoot House kilkakrotnie zajeżdżała bryczka doktora. Ale nikt nigdy nie widział żadnego dziecka.

— A co wiesz o Brązowym Jenkinie? — zapytałem. — Pani Kemble podejrzewa chyba, że jeśli młody pan Billings miał w ogóle jakiegokolwiek syna, to był nim właśnie Brązowy Jenkin.

— Też o tym słyszałem. Ale Brązowy Jenkin jest podobno szczurem, prawda? I niezależnie od tego, jak bardzo zdeformowane może być dziecko, nie sposób chyba pomylić go ze szczurem?

— Nie ma o tym żadnej wzmianki w księgach parafialnych?

— Absolutnie nic.

— Musi jednak być coś o śmierci dzieci.

Dennis Pickering pokiwał ze smutkiem głową.

— Tak, oczywiście. Geoffrey Parsley napisał na ten temat kilka słów. Kiedy dokładnie się to wydarzyło?

— W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym — przypomniałem mu. — Taka przynajmniej data widnieje na nagrobkach.

— Tak, zgadza się, to musiało być w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Mówiło się o tym oczywiście na całej wyspie i nie tylko; z wizytą do Fortyfoot House przyjechał nawet doktor Barnardo, żeby zobaczyć, czy nie uda się ich jakoś uratować. Ale dzieci zmarły, wszystkie co do jednego.

— Ale co właściwie było przyczyną śmierci? Na ich grobach nie ma o tym żadnej wzmianki.

Dennis Pickering zacisnął wargi i potrząsnął lekko głową.

— Nie mam pojęcia. W tamtych czasach szalały oczywiście najróżniejsze epidemie. Zapominamy, jak łatwo umierali wówczas ludzie na choroby, które dzisiaj uważamy za mało groźne. Mój dziadek przyjaźnił się przed wojną z doktorem Leonardem Buxtonem, kwestorem Exeter College. W trzydziestym dziewiątym roku doktor i jego żona zmarli w ciągu trzydziestu sześciu godzin na zapalenie płuc, mimo że nie mieli oboje więcej jak czterdzieści parę lat. Rzecz dzisiaj zupełnie nie do pomyślenia... Mówiło się chyba, że dzieci zapadły na szkarlatynę. Młody pan Billings wezwał nawet wielkiego specjalistę z Londynu. Narobił wokół tego wielkiego szumu, tak by nikt w całym okręgu nawet nie pomyślał, że nie stara się ich za wszelką cenę uratować. Ale ten specjalista był, z tego co twierdzi Geoffrey Parsley, niezwykle małomównym i tajemniczym osobnikiem; nazywał się Mazurewicz i prawie nie mówił po angielsku, a całą dolną połowę twarzy miał obwiązaną czymś, co przypominało brudny biały bandaż. Tak czy owak, specjalista, czy nie specjalista, wszystkie dzieci zmarły w ciągu tygodnia i pogrzebane zostały, jak pan zapewne dobrze wie, przy kaplicy. Nikt nie robił w związku z tym wielkiego hałasu, bo w końcu dzieci umierały wtedy często na takie choroby, i to całymi grupami. Wiele internatów zostało zdziesiątkowanych, a nawet zamkniętych z powodu epidemii szkarlatyny, świnki, zapalenia migdałków albo podobnych chorób. Poza tym wszystkie dzieci były sierotami z East Endu i nie miały krewnych, którzy mogliby się o nie troszczyć...

— Pani Kemble twierdzi, że młody pan Billings dostał w końcu pomieszania zmysłów — wtrąciłem.

— Cóż... na ten temat również krąży wiele dziwnych opowieści. Ludzie mówili, że pojawiał się i znikał. Widywano go w tym samym czasie w dwu różnych miejscach: na przykład w Old Shanklin Village i Atherfield Green. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, miejscowi ludzie odznaczają się bardzo bujną wyobraźnią.

— A Kezia Mason? Co się z nią stało?

— Tutaj także mamy do czynienia z najbardziej fantastycznymi przypuszczeniami. Jeśli jednak poddać je trzeźwemu osądowi, wydaje się, że znudził jej się po prostu pobyt w Fortyfoot House i zniknęła. Mogło się to oczywiście stać przyczyną załamania nerwowego, którego ofiarą padł młody pan Billings. Powtarzał wielu ludziom, w tym także wielebnemu Claringbullowi, że zależy mu na niej bardziej niż na własnym zdrowiu. Zaczął pić na umór i morfinizować się. Utrata Kezi Mason zbiegła się w czasie z tragedią w sierocińcu i to go prawdopodobnie wykończyło. Ostatecznie popełnił samobójstwo.

Spojrzałem na zegarek. Było prawie wpół do czwartej i jeśli nie chciałem, żeby kręcący się po okolicy agent od nieruchomości zapisał mi w swoim notesie nieobecność nie usprawiedliwioną, powinienem wrócić do zdrapywania farby.

— Muszę już iść — poinformowałem Dennisa Pickeringa. — Ale najbardziej z tego wszystkiego chciałbym się dowiedzieć, co mam robić? Powiem ci szczerze, że myślałem o spakowaniu się i wyjechaniu... ale jeśli potrafisz w jakiś sposób przynieść spokój tym duchom...

— Czy jesteś całkowicie przekonany, że to, czego doświadczyłeś, nie jest tylko owocem twojej własnej wyobraźni? — zapytał Dennis Pickering.

— Całkowicie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— Cóż... muszę przyznać, że nie wierzę, by można było uciec przed duchami albo zjawami — stwierdził pastor. — W większości przypadków są one po prostu przejawami naszych własnych niepokojów, które manifestują się w formie optycznego złudzenia. Te nieliczne, które są prawdziwe, choć mogą wydać się przerażające, nie czynią na ogół nic złego. Tylko kiedy w danych murach popełnione zostały jakieś nikczemne i potworne czyny, dom przesiąka aurą zła, która może zagrażać jego przyszłym mieszkańcom.

— Czy to właśnie mogło się twoim zdaniem wydarzyć w Fortyfoot House? — zapytałem.

— Tak mi się wydaje — mruknął.

— Więc co mam robić? Muszę tam mieszkać. Muszę tam pracować. Podobnie jak mój syn i Liz. Dennis Pickering zrobił kilka zupełnie różnych min po kolei, tak jakby szukał właściwego rozmiaru.

— Przypuszczam, że mógłbym przyjść do was i rozejrzeć się — zaproponował w końcu bez zbytniego entuzjazmu.

— Naprawdę? — ucieszyłem się. — Nie wiem, do kogo innego miałbym się zwrócić. Biedny Harry Martin niewiele mi pomógł i nie wydaje mi się, żeby mogli tu coś poradzić ludzie z Rentokilu.

Dennis Pickering uśmiechnął się ironicznie.

— Nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy do kościoła zwróci się o pomoc ktoś, kto nie doczekał się jej ze strony szczurołapa i ogólnokrajowej sieci zwalczającej szkodniki.

— Przepraszam, ale nie od razu uwierzyłem, że mam do czynienia z prawdziwymi duchami, zjawami, czy jak jeszcze je nazwiesz. Z nadprzyrodzonymi anomaliami.

Dennis Pickering wyszedł wraz z nami do wyłożonego boazerią holu, w którym unosił się zapach szkolnych obiadów.

— Odpowiada ci dzisiejszy wieczór po nabożeństwie? — zapytał. — Powiedzmy, o wpół do dziewiątej?

— Znakomicie. Może mógłbyś zajrzeć na strych? Tym razem na pewno nie zapomnę kupić przyzwoitej latarki.

— A może spróbowałbyś się trochę pomodlić — zaproponował Dennis Pickering, otwierając przede mną drzwi. — Nie tylko za bezpieczeństwo swoje i swoich bliskich, ale również za dusze tych, którzy wciąż nawiedzają Fortyfoot House.

— Tak, przypuszczam, że to nie zaszkodzi.

Pastor uściśnął rękę najpierw mnie, a potem Danny'emu.

— Dlaczego ten pan wkładał sobie kurz do nosa? — zapytał mnie głośno Danny, kiedy szliśmy wysypaną kamykami alejką.

— To była tabaka. Rodzaj tytoniu. Niektórzy ludzie zamiast palić, wdychają go sobie nosem.

— Po co?

Przeszedłem jeszcze dwa albo trzy kroki, a potem zatrzymałem się jak wryty w miejscu.

— Bóg jeden wie — odparłem.

ROZDZIAŁ X

Wieczorny przyływ

Spotkaliśmy się z Liz kilka minut po piątej na przystanku autobusowym przy Parku Ptaków Tropikalnych, skąd wylęgały właśnie tłumy wakacyjnych turystów; ich cienie tańczyły po parkingu niczym łańcuszek wyciętych z papieru lalek. Ubrani we fluoryzujące szorty tatusiowie z ciężkimi od piwa brzuchami i czapczkami baseballowymi z nadrukiem BORN TO KILL; jasnowłose, wbite w zbyt obcisłe białe spodnie mamusie z potarganą trwałą i w klekoczących po asfalcie sandałkach na wysokim obcasie; spocone otyłe dzieciaki w szarych skarpetkach, tenisówkach firmy Gola i koszulkach z napisem NEW KIDS ON THE BLOCK. Przez monotony łomot rocka z ich samochodowych radiodbiorników przebijały się ochryple krzyki papug i pojedyncze, odstręczające nawoływania pawi.

Liz wyglądała na zmęczoną i trochę roztargnioną, tak jakby nie dawał jej spokoju jakiś problem. Miała podkrążone oczy i bez przerwy odgarniała włosy z czoła, jakby bolała ją głowa.

— Jak minął dzień? — zapytałem, kiedy wsiedliśmy do autobusu.

— Okropnie. Moim zdaniem, powinno się eksterminować wszystkich turystów.

— Daj spokój. Bez turystów nie będzie pracy.

Na jej ustach pojawił się krzywy uśmiech.

— Chyba tak. Nie najlepiej się dzisiaj czuję. To nie jest okres ani w ogóle nic konkretnego. Jestem najzwyczajniej diabelnie zmęczona.

— W Fortyfoot House trudno po prostu przespać spokojnie całą noc.

Danny wpatrywał się, kiwając nogami, w migoczące za drzewami słońce. Nieczęsto zdarzało mu się jeździć autobusem i uważał to za prawdziwą frajdę. Wiedziałem, że jeśli nie uda mi się jakoś zreperować samochodu, frajda będzie trwała aż do końca wakacji. W Ryde był warsztat Audi. Przyszło mi do głowy, że mógłbym pojechać tam jutro autobusem i spróbować załatwić jakieś używane opony. Żeby ruszyć z miejsca, potrzebowałem w zasadzie wyłącznie przedniej szyby, reflektorów, kierownicy i szybkościomierza.

O wszystkie inne rzeczy mogłem się martwić później.

Wysiedliśmy z autobusu przy zarośniętej trawą bocznej drodze, która prowadziła do Bonchurch. Minęliśmy w milczeniu wiejski sklep i tradycyjną kawiarnię z krytym strzechą dachem i ogrodem, gdzie kołysały się malwy. Po lewej stronie drogi znajdował się szklisty staw, po którym pływało, strosząc piórka, kilka kaczek. Popołudniowe chmury odbijały się w jego tafli niczym obłoki jakiegoś zatopionego średniowiecznego królestwa. Skryty pośród luster, wspomnień i jezior Brytanii Camelot wciąż śnił swoje sny. Król Arthur wciąż desperacko ścisnął palcami brwi, a Lancelot stał na tle

jaśniejących w zachodzącym słońcu wieżyczek. Flagi łopotały na wietrze.

Nie czułem ciepłego tchnienia tej starej brytyjskiej magii od bardzo dawna; chyba od ósmego roku życia, kiedy po raz pierwszy wspinałem się po kredowym grzbiecie dinozaura na South Downs. Byłem wniebowzięty. Ale kiedy odwróciłem się do Liz, żeby jej o tym opowiedzieć, poczułem emanujący od niej osobliwy chłód. Domyśliłem się, że nie będzie mnie chciała słuchać i zrobię z siebie tylko głupka.

Danny wyprzedził nas, skacząc po popękanych płytach chodnika i uważając, żeby nie obudzić niedźwiedzia.

Stary niedźwiedź mocno śpi.

My się go boimy,

Cichutko chodzimy.

Jak się zbudzi, to nas zje.

Scena jak z pocztówki, z tym małym wyjątkiem, że wracaliśmy do Fortyfoot House, Liz przypominała chmurę gradową, a ja zdałem sobie nagle sprawę, że tracę kontrolę nad całym swoim życiem. A może straciłem ją już dawno temu, lecz dopiero teraz to sobie uświadomiłem.

Jak się zbudzi, to nas zje...

Skręciliśmy obok kamiennego murku, wchodząc w głęboki zielony cień wiszącego nad głowami wawrzynu i nagle naszym oczom ukazała się brama Fortyfoot House i opadający w dół podjazd, który prowadził do frontowych drzwi. Poczulem, jak ogarnia mnie lęk niepodobny do niczego, co doznałem do tej pory, lek przed tym, co krył w sobie ten dom i czemu musiałem stawić czoło.

Wzięłem Liz za rękę.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Może najpierw pójdziemy się czegoś napić do Beach Cafe? No wiesz, trochę się odprężyć. Miałaś ciężki dzień.

Popatrzyła na mnie zwięzonymi oczyma, a potem spojrzała na dom. Odwrócony był do nas swoją północną, ocienioną stroną i wszystkie okna patrzyły ciemno niczym szafy, z których wyjęto ubrania nieboszczyka.

Czułem napięcie w jej mięśniach, czułem jej zmęczenie i chłód — tak jakbyśmy stali się jedną osobą. Byliśmy ze sobą bardzo blisko, naprawdę blisko. Dlaczego więc nie łączyło nas żadne uczucie? Mówiąc szczerze, mógłbym, gdyby zachorowała, rozebrać ją i wykąpać, ale nie potrafiłbym uprawiać z nią prawdziwej miłości.

Minęliśmy dom i ruszyliśmy w dół przez ogród. Danny stanął na tarczy słonecznego zegara.

— Jest wpół do szóstej — zawołał.

— Potrafi dobrze odczytywać czas — zauważyła Liz. — Ja nie znałam się na zegarach aż do dziesiątego roku życia.

Podszedłem do zegara. Miał prostą, zrobioną z brązu trójkątną wskazówkę i tarczę z rzymskimi cyframi, ale już po chwili zauważyłem, że czubek wskazówki jest odbarwiony i złamany. A właściwie nie tyle złamany, co stopiony. Niegdyś ostrą krawędź pokrywały teraz grudki zdeformowanego metalu. Dotknąłem jej i doznałem wrażenia, jakbym prawie na pewno wiedział, co się z nią stało.

Niewyraźne mrowienie w palcach. I zawrót głowy, tak jakbym oderwał się od ziemi i wirował w kółko wokół zegara.

Liz stała na zegwniku, zasłaniając rękoma oczy przed zachodzącym słońcem.

— Co się stało? — zapytała.

Zszedłem z tarczy i ruszyłem w jej stronę.

— Nie wiem. Po prostu miałem jedno z tych złudzeń, to wszystko.

— Uważam, że sami chcemy napytać sobie biedy — orzekła. — Powinniśmy wyjechać stąd już wczoraj, niezależnie od tego, czy szaleją tu duchy, dzicy lokatorzy czy jeszcze coś innego.

— Nie myślisz chyba nadal, że to dzicy lokatorzy? — zapytałem.

Posłała mi nieprzyjemne spojrzenie.

— Nie. Nie wydaje mi się, żeby to byli dzicy lokatorzy. Ale nie sądzę również, że duchy. Nie wierzę w duchy. Czy ty w nie wierzysz? Na litość boską, Davidzie! Nie wiem, co tu się dzieje. Zastanawiałam się nad tym przez cały dzień. I nie jestem pewna, czy w ogóle chcę wiedzieć.

— Jeśli naprawdę chcesz, możemy jutro wyjechać — zaproponowałem. Starłem się dodać jej otuchy.

Ale trudno dodać komuś otuchy, kiedy w domu błyskają światła, na strychu pojawiają się śmiertelnie blade dzieci w nocnych koszulach, a odziani na czarno ludzie zmieniają miejsce na fotografii.

— Sama nie wiem — odparła. Wydawała się jednocześnie zdenerwowana i przygnębiona.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Wziąłem sobie dzisiaj kilka godzin wolnego i odwiedziłem miejscowego pastora.

— Co takiego? Chyba żartujesz.

— Dlaczego miałbym żartować? Kiedy pęknie ci rura, wzywasz hydraulika, prawda? Kiedy masz dom pełen sfrustrowanych duchów, wzywasz duchownego. Sama to zaproponowałaś, nie pamiętasz? Każ wyegzorcyzmować to miejsce, tak właśnie powiedziałaś. Tak się składa, że facet wiedział mnóstwo rzeczy na temat Fortyfoot House, a także pana Billingsa i Brązowego Jenkina. Wiele wydarzeń zapisano w księgach parafialnych.

— I co z tego? Wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem, czy mi uwierzył... no wiesz, kiedy opowiadałem o światłach i o Słodkiej Emmeline.

Emmeline...

Zniknęła tydzień temu i nikt się nie natknął na nią.

Może uciekła gdzieś za rzeczkę kładką?

Może się prześlizgnęła pod drucianą siatką?

— Co? — zapytała Liz. — O czym ty mówisz?

Zamrugalem oczyma.

— Jak to o czym mówię?

— Powiedziałaś przed chwilą coś o jakiejś Emmeline, której nie widziano od ponad tygodnia.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że mówię na głos.

Liz westchnęła zniecierpliwiona.

— Davidzie Williams, wydaje mi się, że zaczynasz gonić w piętke.

— To Alan Alexander Milne — powiedziałem. — No wiesz, ten, który napisał „Kubusia Puchatka”.

Zniknęła tydzień temu... Może się prześlizgnęła pod drucianą siatką. Kiedyś bardzo bałem się tego wiersza.

W książce był obrazek, przedstawiający drucianą siatkę i zawsze wydawało mi się, że nikt nie mógłby pod nią zniknąć, chyba że...

— Chyba że co, Davidzie? Zaczynam się o ciebie poważnie niepokoić.

— Chyba że... nie wiem. Chyba że Emmeline znajduje się nadal w tym samym miejscu, ale w innym czasie. Zniknęła na cały tydzień? Nie mając niczego do jedzenia? Nie śpiąc? I gdzie teraz jest? Bardzo mnie to przerażało.

— Na litość boską! To tylko dziecinna rymowanka.

— Może masz rację. Ale coś kazało mi o niej pomyśleć. Może próbuje mi coś przekazać moja podświadomość.

Emmeline... to samo miejsce, inny czas.

— Wydaje mi się, że twoja podświadomość próbuje dać ci do zrozumienia, żebyś nie spędzał więcej nocy w tym cholernym domu... to właśnie moim zdaniem próbuje ci przekazać twoja podświadomość.

— A jeśli pastorowi uda się wszystko naprawić? — zapytałem.

— Co cię obchodzi, czy mu się uda, czy nie uda. To nie jest wcale twój problem. I na pewno nie mój, wierz mi.

— Oczywiście, że to jest mój problem. Nie chcę wydawać pieniędzy na pobyt w jakimś innym miejscu, jeśli naprawdę nie muszę. Poza tym zapłacono mi już za remont tego domu.

— Zgadza się. Ale zapłacono ci, żebyś go odmalował, a nie odprawiał w nim egzorcyzmy. Dlaczego nie możesz powiedzieć agentom od nieruchomości, że w tym domu straszy i nie będziesz tutaj pracował, dopóki nie przestanie?

— No tak, oczywiście. Na pewno mi uwierzą.

— Wszyscy naokoło są przekonani, że w Fortyfoot House straszy. Zaczynam nawet wierzyć w to ja sama, chociaż nigdy w życiu nie wierzyłam w takie rzeczy.

— Liz, daj mi przynajmniej spróbować.

Pokręciła desperacko głową.

— Nie myślisz chyba poważnie, że ten twój pastor może tutaj coś pomóc?

— Ma zamiar przyjść do nas dzisiaj wieczorem i zobaczyć, co jest nie w porządku, to wszystko. Może nie uda mu się nic zrobić. Może to nie ma nic wspólnego z Kościołem, Szatanem i podobnymi rzeczami.

Ale jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że potrafi przywrócić temu miejscu spokój, to moim zdaniem warto spróbować. Dla kogoś, kto zna się na duchach, problem może być absolutnie banalny. Możliwe, że trzeba tylko odmówić kilka odpowiednich modlitw.

— To przydałoby się raczej twojemu małżeństwu — stwierdziła Liz ze swoją raniącą niczym

cierń zdolnością do zmiany tematu.

Zupełnie mnie zaskoczyła.

— Mojemu małżeństwu? — zapytałem. — Co ma z tym wspólnego moje małżeństwo?

— Wszystko i nic. Być może nie ma wiele wspólnego z Fortyfoot House, ale za to bardzo dużo z tobą i ze mną.

— Jeśli mam być całkiem szczery — odparłem — nie wiem, czy można mówić o czymś takim jak „ty i ja”.

— Czyżbym spała z jednym z nawiedzających ten dom duchów? Na pewno istniała szansa, żeby można było mówić o czymś takim jak „ty i ja”. I wciąż istnieje. Ale ty nigdy nie możesz się zdecydować. Nie możesz zdecydować, czy zostać, czy wyjechać z Fortyfoot House. Wyjeżdżamy, zostajemy, wyjeżdżamy, zostajemy, zupełnie jak w tej piosence Jimmy’ego Durante. Nie możesz się zdecydować, czy wziąć, czy nie brać rozwodu z Janie. Nie możesz się zdecydować, czy masz ochotę się ze mną kochać. Tak się boisz podjąć złą decyzję, że nie podejmujesz żadnej. Na litość boską, zdecyduj się w końcu na coś, Davidzie...

— Przepraszam — powiedziałem.

— Nie przepraszaj! — parsknęła. — Nie chcę, żebyś mnie przeproszał. Chcę, żebyś zebrał do kupy swoje życie, niezależnie od tego, czy masz to zamiar zrobić ze mną, czy z kim innym. Nie będziesz mógł nawiązać żadnych stosunków z kobietą, jeśli nie odmówisz odpowiednich modlitw nad swoim małżeństwem z Janie. Musisz się z nią rozwieść, David, a potem musisz odłożyć jej teczkę ad acta i zapomnieć o niej. I nawet wtedy będziesz jeszcze przez długie lata usychać prawdopodobnie z tęsknoty. Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Nie pochlebia mi wcale chodzenie do łóżka z mężczyzną, który próbuje udawać, że jestem jego byłą żoną, i robi się całkiem miękki, kiedy mu się to nie udaje.

Stałem w miejscu, zasłaniając dłonią usta, niczym zakrywający pół twarzy pod swoją czarną maską

Upiór w operze. Miała oczywiście rację. Przynajmniej w trzech czwartych. Nie byłem czuły i oddany nie tylko z powodu Janie; swój udział miał tu także Fortyfoot House. Ale w gruncie rzeczy na przeszkodzie stała przede wszystkim Janie. Wciąż boleśnie wspominałem przeżyte z nią chwile i wciąż czułem gorzką i wściekłą zazdrość o Raymonda Brodatego. Zazdrość jest o wiele gorsza od przywiązania. Przywiązanie słabnie z czasem i z tykaniem zegarów; słabnie z każdym wstającym i mijającym dniem. Ale zazdrość powinna zostać natychmiast i od razu wypalona rozżarzoną czerwoną pociskiem — niczym rana od pocisku w westernie z Johnem Wayne. Skwierczenie mięsa, krzyk bólu i po wszystkim.

— Przepraszam — powtórzyłem. A potem zdając sobie sprawę, że Liz nie chce, żebym ją przeproszał, przeprosiłem ją za to, że przeproszam.

Podeszła do mnie blisko, zagłębiła palce we włosach z tyłu mojej głowy i pocałowała mnie. Była bardzo mała, o wiele mniejsza od Janie, bardziej od niej jasna i miękka, i gdyby tylko, przemknęło mi przez głowę, mój Boże, gdyby tylko...

Przycisnęła twarz do mojego ramienia, a ja mocno ją przytuliłem. Danny stał na małym drewnianym mostku, który spinał ze sobą brzegi strumienia; nad naszymi głowami przesuwaly się powoli chmury i nagle...

Jak we śnie obróciłem się w stronę zegara słonecznego i zobaczyłem ciężką, odzianą na czarno postać, która kręciła się wokół niego niczym jakieś wielkie postrzępione śmigło. Ręka wirującej postaci wyciągnięta była w agonii w stronę szczytu wskazówki. Poły fraka powiewały na wietrze, a ze stojących na głowie włosów szedł gęsty dym.

— Jezu... czy widzisz to samo, co ja...?

Próbowałem unieść głowę Liz, żeby zobaczyła to, na co patrzyłem, ale ona przytuliła tylko mocniej twarz do mojego ramienia i w tej samej chwili...

Ze wskazówki zegara trysnęły tysiące wolt rozżarzonej elektryczności. Sypiąc wściekle na wszystkie strony snopami iskier dosięgły drżących paznokci mężczyzny. Poczułem, jak w powietrzu rozchodzi się zapach ozonu i palących się paznokci. Czułem woń gotującej się krwi. Słyszałem, jak mężczyzna wykrzykuje jakieś niezrozumiałe słowa. N'ggaaa nngggaa sogoth nya — niezwykle gardłowe dźwięki, od których podniosły mi się włosy na karku.

— Pozwól mi umrzeć — krzyknął nagle. — Pozwól mi umrzeć, ty dziwko. Pozwól mi umrzeć, ty przeklęta, przeklęta dziwko!

— Liz! Spójrz — powiedziałem głosem, który przypominał dźwięk sunącej po metalu piły.

Podniosła oczy i zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała, co do niej mówię. A potem odwróciła się w stronę zegara, ale w tej samej chwili postać zniknęła. Zostało tylko kilka postrzępionych nitek błękitnego dymu, które szybko porwała ze sobą nadmorska bryza.

— Co się stało? — zapytała. — O co ci chodzi?

— Wydawało mi się... — przycisnąłem do czoła koniuszki palców. — Wydawało mi się, że coś widziałem.

Nie bardzo wiem co. To pewnie tylko zmęczenie.

— Dzieje się z tobą to samo co ze mną. Dzisiaj o mało nie zasnęłam podczas parzenia herbaty. Kierownik powiedział, że jeśli nie wezmę się w garść, wywali mnie na zbity pysk. Niezbyt przyjemnie byłoby stracić robotę już pierwszego dnia.

Spojrzałem jeszcze raz na zegar. Co takiego mówił wielebny Dennis Pickering? „Starego pana Billingsa poraził piorun”. Być może stojąc w ogrodzie tego domu, który wydawał się istnieć jednocześnie teraz i w przeszłości, widziałem przed chwilą śmierć starego pana Billingsa, tak

dokładnie i wyraźnie, jakbym oglądał ją naprawdę.

— Chodźmy na tego drinka — powiedziałem.

Przeszliśmy przez mostek i minawszy drzewa dotarliśmy do tylnej furtki. Danny jak zwykle wyprzedził nas; minął domki i zbiegł w dół alejką, która opadała stromo ku plaży. Trwał właśnie odpływ, odsłaniając pochylone, pokryte wodorostami skały i błyszczące sadzawki. W powietrzu unosił się silny zapach słonej wody i wodorostów, a nad linią wybrzeża zataczało kręgi kilkadziesiąt mew, polujących na małe zielone kraby i wąsate przezroczyste krewetki.

Doszliśmy do Beach Cafe i usiedliśmy przy stoliku. Dziwne, ale nigdzie nie było śladu Doris Kemble.

Dokładnie rzecz biorąc, nie było śladu nikogo. W sąsiednim ogródku kiwały się bezgłośnie na wietrze wielkie słoneczniki i obracały skrzydła drewnianego malowanego wiatraka. Skrzyp-skrzyp-skrzyp — chwila przerwy — i znowu skrzyp-skrzyp-skrzyp, kiedy nadleciał kolejny podmuch bryzy.

Zajrzałem do środka i podszedłem do stolika, przy którym pani Kemble liczyła na ogół pieniądze. Na blacie stały w eleganckich stosach dwu-, pięcio — i dziesięciopensówki oraz monety o nominale jednego i pół funta. Licząc razem prawdopodobnie trzydzieści albo czterdzieści funtów, zostawionych w miejscu, skąd każdy mógł je zabrać. Przeciąg podnosił kartki kalendarza z pejzażami Hampshire. Na stole stała filiżanka zimnej herbaty z pływającym na powierzchni kozuchem.

— Pani Kemble? — zawołałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi. — Pani Kemble? — zawołałem ponownie.

Wyszedłem z powrotem na zewnątrz. Liz siedziała na murku, opowiadając Danny'emu o papugach z Parku Ptaków Tropikalnych.

— Powinieneś zobaczyć papugi ara, są niesamowite. Jest tam jedna taka, która bez przerwy powtarza „zachowuj się przyzwoicie, zachowuj się przyzwoicie”. Można dostać bzika.

— Czy mógłbym jutro przyjść? — zapytał Danny.

— W środku nie ma nikogo — poinformowałem Liz. — Zostawiła wszystkie pieniądze na stole, ale nie mogę jej nigdzie znaleźć.

— Może poszła coś kupić do sklepiku? — powiedziała. — No wiesz, chleb, jakieś rzeczy do sałatki albo coś w tym rodzaju.

— Czy mogę jutro przyjść obejrzeć ptaki? — nie dawał za wygraną Danny.

— Może pójdziemy w piątek — odparłem, rozglądając się po plaży. Nie zobaczyłem nikogo oprócz samotnego rybaka w małej łódce, daleko na morzu. — To wszystko jest bardzo dziwne — orzekłem.

Liz przyjrzała mi się, przymykając przed słońcem jedno oko.

— Więc co robimy? Przejdziemy się do Ventnor, do pubu?

— Przypuszczam, że będziemy musieli się przejść... chyba że poczęstujemy się piwem z lodówki pani Kemble i zostawimy jej pieniądze.

— Niezły pomysł. Zaczynasz mówić do rzeczy. — Przysunęła sobie czerwone plastikowe krzesło, usiadła i zsunęła z nóg buty. — Spójrz na moje stopy, dwa razy większe niż normalnie. Powinnam była kupić numer cztery i pół.

Podszedłem do należącej do pani Kemble wielkiej lodówki Hotpoint i wyjąłem z niej dwie butelki harp lagera i jedną coca-coli. Otworzyłem je, wyniosłem na zewnątrz, usiedliśmy przy stoliku i zaczęliśmy przyglądać się pikującym w dół mewom i zbliżającemu się do linii horyzontu słońcu. W oddali widziałem płynący na zachód kanałem La Manche tankowiec, przypominający kształtem jedno z tych staroświeckich drewnianych pudełek na ołówki. Mimo że jako chłopiec nie lubiłem specjalnie jeździć nad morze, widok plaży zawsze wywołuje we mnie nostalgię.

Danny skończył colę i zaczął się wiercić.

— Chcesz zejść na dół na plażę? — zapytałem go. — Urządź swoim krabom kolejne derby. Zatrzymamy najszybszego w wiaderku i jutro znowu wystawimy go do wyścigu.

Patrzyliśmy, jak schodzi z betonowego falochronu na skały, a potem balansując rękoma zmierza w stronę skraju wody, mniej więcej sto metrów od nas. Odchyliłem się na krzesło i pociągnąłem łyk piwa z butelki.

— O której godzinie ma przyjść ten egzorcysta? — zapytała Liz.

— Masz na myśli wielebnego Dennisa Pickeringa? Nie sądzę, żeby przyniósł ze sobą swój dzwoneczek, modlitewnik i świecę. Ma się rozejrzeć.

— Poważnie sądzisz, że może coś pomóc?

— Nie mam pojęcia — odparłem. — Powiedział, że prawdziwe duchy nie przypominają tych, które ogląda się w kinach. Nie zawsze odchodzą tylko dlatego, że każesz im odejść. Innymi słowy, nie mamy w tym przypadku do czynienia z Lindą Blair ani z Patrickiem Swayze. — Nie mogłem przestać myśleć o tej otyłej czarnej postaci, kręcącej się wolno dookoła zegara z dymiącymi włosami i twarzą wykrzywioną bólem. N'ggaaa nngggaa sogothonya. To było złudzenie. To musiało być złudzenie. Ale co by się stało, gdybym zbliżył się i dotknął go, kiedy tak przelatywał obok mnie furkocząc i strzelając iskrami? Czy poczułbym jego ciało? Czy też jego nogi przeszłyby przeze mnie niczym cień?

— Wciąż uważam, że powinniśmy wyjechać — nalegała Liz. — Moglibyśmy wynająć przyczepę w Shanklin Caravan Park. Nie kosztuje to zbyt wiele, a w dzień mógłbyś tam nadal pracować.

— Chyba tak — odparłem machinalnie. Ale teraz, kiedy miał nam złożyć wizytę Dennis Pickering, coraz mocniej wierzyłem, że potrafimy uporać się jakoś z duchami, które nawiedzały

Fortyfoot House. Zjawy, które widzieliśmy, były naprawdę przerażające — zwłaszcza w nocy — ale z wyjątkiem tego, co spotkało Harry’ego Martina (i naprawdę, choć przez moment spójrzmy na to poważnie: to musiał być nieszczęśliwy wypadek) nie wyrządziły na razie nikomu żadnej krzywdy. Dlatego zaproponowałem: — Może przed podjęciem ostatecznej decyzji zaczekamy na to, co ma do powiedzenia pastor? To są w końcu tylko duchy, tylko zjawy, i to na dodatek ludzi, którzy zmarli ponad sto lat temu. Są niczym ruchome fotografie, naprawdę. Jak mogą nam wyrządzić jakąkolwiek krzywdę?

— Nie wydaje mi się, żebym miała ochotę się tego dowiedzieć — odrzekła Liz.

Nie spodziewałem się po niej takiej determinacji.

Posłałem jej ostrożne spojrzenie.

— Chcesz powiedzieć, że nie zostaniesz nawet na dzisiejszą noc?

— Przykro mi, Davidzie, naprawdę. Ale i bez tych nocnych łomotów mam dosyć problemów z poukładaniem sobie wszystkiego w głowie.

— Co się stało? — zapytałem. Wiedziałem, że jest zmienna w nastrojach, ale składałem to do tej pory na karb jej młodości, pory miesiąca albo niesamowitych rzeczy, które nam się przydarzyły.

Pogładziła mnie z roztargnieniem po palcach.

— Och, sama nie wiem. Myślę, że wcale nie jestem lepsza od ciebie. Nie potrafię zdecydować, czym i kim chcę zostać. A przyjazd tutaj niczego nie ułatwił. W gruncie rzeczy wydaje się, że wszystko dodatkowo skomplikował.

— Nie rozumiem.

Na jej ustach pojawił się smutny uśmiech.

— Myślę, że przechodzę kryzys tożsamości — wyjaśniła. — W jednej chwili czuję się silna i niezależna, a w następnej wydaje mi się, że jestem słaba jak kociak. Raz jestem przekonana, że kontroluję dokładnie całe moje życie, a chwilę później mam wrażenie, że rozsypuję się na kawałki. Szczęśliwa, smutna, szczęśliwa, smutna. Dzisiaj rano, kiedy otworzyłam oczy, w ogóle straciłam poczucie własnej tożsamości.

Nie potrafię tego opisać. A pobyt tutaj tylko pogarsza sprawę.

— Więc naprawdę chcesz wyjechać? — zapytałem.

Kiwnęła głową. Może i była zmęczona, ale wyglądała poza tym bardzo ładnie. Położyłem rękę na jej dłoniach.

— Naprawdę — potwierdziła. — Ostatnia rzecz, jakiej w tej sytuacji potrzebuję, to dziwne hałasy, cholernie wielkie szczury i biedni oskalpowani starcy.

— Więc jest nas dwoje — odparłem.

— Zgadza się. Ale nie potrzebuję również mężczyzny, który nie potrafi się na nic zdecydować.

— No tak — zgodziłem się. — Chyba nie potrzebujesz.

Rozejrzałem się dookoła. Wciąż ani śladu pani Kemble. W odległości około pół kilometra od nas szła plażą od strony Ventnor chuda wrzecionowata postać z nogami, które prześwietlało na czerwono słońce — drzwi otwierają się na oścież i wpada do środka — ale kiedy przesłoniłem dłonią oczy, zobaczyłem, że to po prostu stary mężczyzna wyprowadzający na spacer czarno-białego psa.

Słońce wciąż stało dość wysoko, ale cienie wydłużały się i w powietrzu dało się odczuć lekki chłód, podobny do tego, który przechodzi człowieka mijającego świeżo otwarty grób. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego pani Kemble zostawiła o tak późnej porze otwartą kawiarnię.

W tej samej chwili usłyszałem dochodzący z plaży wysoki, piskliwy dźwięk. Z początku nie mogłem go rozpoznać. Przypominał flet albo gwizdek. Zwęziłem powieki i powiodłem oczyma wzdłuż skraju wody, w miejscu gdzie skały wciąż otoczone były mokrą pianą i wodorostami, a w powietrzu krążyły mewy. Zobaczyłem stojącego wśród kamieni Danny'ego i pomachałem do niego ręką, ale on mi nie odmachał. Stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami, w dziwnie zgarbionej pozycji, i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to on właśnie wydaje ten wysoki piskliwy dźwięk. Danny krzyczał z przerażenia.

— Danny! — zawołałem. Przesadziłem niski murek i zeskoczyłem ciężko na plażę. Stukłem sobie kostkę o śliski kamień, ale potem odzyskałem równowagę i skacząc niczym górska kozica z jednego kamienia na drugi pobiegłem dalej, wpadając co jakiś czas do któregoś z bajorek, raz się nawet wywróciłem i otarłem dłoń, ale w końcu dopadłem płaskiej łachy piasku i puściłem się sprintem w stronę skraju wody z łupiącym głośno sercem, cichym szumem bryzy w uszach i mokrymi nogawkami spodni.

Danny stał obok kilku niskich brunatnych kamieni. Przestał krzyczeć, ale wciąż zaciskał kurczowo pięści i miał wykrzywioną strachem twarz. Nie musiał mi mówić, co go przestraszyło; widziałem to na własne oczy. Wziąłem go na ręce i natychmiast ruszyłem z powrotem po mokrym piasku w stronę promenady.

Dobiegła do nas, ciężko dysząc, Liz.

— Czy mogłabyś zabrać Danny'ego do kawiarni — poprosiłem. — Skorzystaj z telefonu pani Kemble i wezwij policję.

— Co się stało? — zapytała, otwierając szeroko oczy.

— To pani Kemble — odparłem.

Postawiłem Danny'ego na piasku i Liz wzięła go za rękę.

— Tato — jęknął żałośnie.

— Wiem, Danny — powiedziałem. — Wrócę tylko na chwilę, żeby zobaczyć, czy nie zostało tam coś, co trzeba zabrać, zanim nadejdzie przyptyw. Potem od razu wracam do kawiarni.

— Ona nie żyje? — zapytała piskliwym głosem Liz.

Kiwnąłem głową.

— To nie potrwa długo.

Niechętnie ruszyłem z powrotem w stronę skał. Wiatr pomarszczył cienką warstwę czystej wody, która zaczęła zalewać piasek. Nad głową słyszałem krzyk mew. Pani Kemble leżała na plecach, zupełnie naga, jeśli nie liczyć ściągniętych aż do kolan podartych majtek, które wypełniał piasek i pyłki wodorostów. Jej głowa spoczywała w płytkim zagłębieniu skały; mokre, pozlepiane w strączki szare włosy przypominały szczotkę do podłóg. Chude przedramiona wznosiły się stromo ku górze, tak jakby wciąż starała się z kimś walczyć. Jej skóra była biała, biała jak brzuch martwej ryby, i niezdrowo wzdęta od morskiej wody.

Co najstraszniejsze, dostały się do niej kraby. Widziałem powyżerane brzuchy pozostawionych zbyt długo w sieciach płastug i halibutów, ale nie zdawałem sobie sprawy, z jaką żarłocznością te stworzenia potrafią zaatakować ludzkie ciało. Twarz pani Kemble zmieniła się w upiorną karykaturę. Małe zielone kraby roiły się w jej oczodołach; zdążyły pożreć wargi i połowę prawego policzka, odsłaniając szczerzące się w śmiertelnym grymasie sztuczne zęby.

Zaatakowały również żołądek i cała jama brzuszna zamieniła się w rojowisko przepychających się, walczących i wymachujących kleszczami małych skorupiaków. Ich szcypce i pancerze dzwoniły i zderzały się ze sobą niczym brzęczące bez przerwy kastaniety. Kraby wypęły już z wyżartego do połowy otworu między jej nogami i sunęły po miękkiej białej skórze obu ud.

Zacisnęło mi się gardło i poczułem w ustach smak ciepłego kwaśnego piwa. Nie można było od razu określić, w jaki sposób zginęła, zbyt wiele jej ciała zdążyły pożreć kraby. Tylko w czasie, kiedy nad nią stałem, jeden z nich przecisnął się między zębami i razem z dwoma albo trzema innymi zaczął dobierać się do poszarzałej skóry dziąseł.

Rozejrzałem się dookoła. Zaczynał się przyptyw; woda podmywała skały, niosąc ze sobą szumowiny, kawałki drewna i tęczowe plamy ropy. Ani śladu należącego do pani Kemble ubrania; żadnego śladu torebki; żadnego śladu niczego, co mogłoby dać policji jakąkolwiek wskazówkę co do przyczyny jej śmierci.

Zastanawiałem się, czy nie zaciągnąć ciała z powrotem w stronę plaży, wiedziałem jednak, że nie potrafię się zmusić, żeby jej dotknąć, a poza tym zniszczyłbym prawdopodobnie wszelkie ślady, których nie zatarły kraby. Tak przynajmniej sobie mówiłem. W rzeczywistości bałem się, że kiedy ujmę ją pod ramiona, żeby powlec w stronę plaży, jej kości wysuną się z panewek niczym nogi zbyt długo trzymanego na różnie kurczaka.

Ruszyłem z powrotem, ale zdążyłem przejść najwyżej pięć albo sześć kroków, kiedy doleciał mnie zapach słonej wody, oleju i świeżo otwartego ludzkiego ciała. Czuć je było octem, ściekami i gorzką jak żelazo krwią. Żołądek podszedł mi do gardła, zwinąłem się w pół i złapały mnie torsje; jeden straszliwy skurcz po drugim; i musiałem potem długo czekać z rękoma opartymi o kolana i ciekącym z nosa śluzem, zanim poczułem się wystarczająco dobrze, żeby ruszyć z powrotem przez skały w stronę Beach Cafe.

Detektyw sierżant Miller wszedł do kuchni, stanął pod wiszącą pod sufitem gołą żarówką i wpatrywał się we mnie w ten sam sposób, w jaki ja wpatrywałem się w swój rozbity kowalskim młotem samochód — zmęczonymi, podkrążonymi oczyma człowieka, który niejedno już w życiu widział i którego nie tak łatwo zadziwić.

— Nieszczerólna okazja, żeby powiedzieć sobie dzień dobry — stwierdził.

— Tak — zgodziłem się. — Ma pan ochotę na drinka?

— Nie, dziękuję, ale chętnie wypiłbym filiżankę herbaty, jeśli ma pan gorącą wodę.

Wstałem i postawiłem czajnik na kuchni. Detektyw sierżant Miller przysunął sobie krzesło, usiadł przy stole i otworzył notes. Miał drobny, prawie urzędniczy charakter pisma i wieczne pióro, które spotyka się w dzisiejszych czasach tak rzadko, że może uchodzić za przejaw pretensjonalności.

— Dwa zgony w ciągu dwóch dni — zauważył. — Dwa bardzo paskudne zgony.

— Wiem — odparłem. — A ja aż do wczoraj nie widziałem w życiu żadnego trupa.

— Szczęśliwy z pana człowiek — stwierdził detektyw sierżant Miller. — A więc ostatni raz rozmawiał pan z panią Kemble w porze lunchu?

Kiwnąłem głową.

— Czują się wtedy całkiem dobrze. Mówiliśmy o Fortyfoot House i o tym, co się tam dawniej działo.

Miała na tym punkcie prawdziwą obsesję. Chociaż nie, obsesja to nie jest może najlepsze słowo. Bardzo ją to niepokoiło. Opowiedziała mi, że kiedy była małą dziewczynką, jej matka sprzątała w Fortyfoot House i przynosiła do domu najróżniejsze plotki... Tak w ogóle wyglądała na dość pogodną.

— Widział pan może kogoś, jak tu się kręcił? Kogoś, kto wydawał się podejrzany?

Młody pan Billings stoi w cieniu drzew ze skrytą pod rondem czarnego kapelusza białą twarzą. Ale jak mogłem powiedzieć detektywowi sierżantowi Millerowi, że zobaczyłem ducha; i że to właśnie ten duch mógł skrzywdzić panią Kemble? Detektyw sierżant był człowiekiem o otwartym umyśle, to prawda. Gotowym nawet uwierzyć w zjawiska nadprzyrodzone. Ale jeśli zacznę opowiadać o halucynacjach i zjawach, będzie musiał uznać mnie za głównego podejrzanego. Oskarżony popełnił morderstwo w stanie ograniczonej poczytalności. Resztę życia spędzę w

Broadmoor, razem z innymi psychopatami, stuprocentowymi wariatami i mordercami, którzy zarabali siekierą całe swoje rodziny.

— Na plaży było bardzo spokojnie. Nie zauważyłem nikogo poza nami. I poza tym facetem, który zarzuca po południu swoje sieci.

— Tak, rozmawiałem z nim.

Czajnik zaczął gwizdać. Wrzuciłem saszetkę do kubka i zalałem ją wodą.

— Bez cukru — powiedział, notując coś w notesie, detektyw sierżant Miller.

— Wie pan, jak umarła? — zapytałem ostrożnie.

Nie podniósł wzroku.

— Cóż, nie ma ostatecznej pewności. Tak jest zawsze, kiedy do miękkich tkanek dobiorą się kraby.

Miała jednak strzaskane dwa najwyższe kręgi szyjne i zmiążdżone oba łokcie. To właśnie było powodem, dla którego trzymała, niczym konik polny, podniesione w górę ramiona. Nie wiemy, w jaki sposób doszło do tych uszkodzeń, niemniej jednak okoliczności jej śmierci wskazują, że nie mamy w tym przypadku do czynienia z zejściem naturalnym.

— Mówi pan jak prawdziwy policjant — stwierdziłem.

— Och... nauczyli nas tego w Mount Browne. Pracowałem wtedy w Surrey Constabulary.

— Co skłoniło pana do przeniesienia się tutaj?

Detektyw sierżant zaniknął notes.

— Myślałem, że będę wiódł tu spokojniejsze życie. Ironia losu, nieprawdaż? Moja żona doszła do wniosku, że życie tutaj jest zdecydowanie zbyt nudne, i opuściła mnie; a teraz w ciągu dwu dni mam dwa przypadki gwałtownej śmierci.

— Nie chce mi pan zadać więcej pytań?

— Nie potrzebuję. Sąsiad, który mieszka tuż obok pani Kemble, widział ją żywą po wyjściu pana i Danny'ego, a wielebny Pickering potwierdził, że złożył mu pan wizytę. Jeśli nie potrafi pan przebywać jednocześnie w dwu miejscach, nie ma takiego sposobu, żeby mógł wrócić i zrobić jakąś krzywdę pani Kemble.

Detektyw sierżant Miller wypił małymi łydkami całą herbatę, po czym wstał i zaniósł kubek do zlewu.

— Być może będę jeszcze zmuszony pana odwiedzić — oznajmił. — Nigdzie się pan stąd nie

wybiera?

Byłem pewien, że słyszę cichy szelest sierści za listwami boazerii. Czy detektyw sierżant usłyszał go także?

— Nie — odparłem. — Nigdzie się nie wybieram. Widział pan, w jakim stanie jest mój samochód.

— Ciekawe, kto go tak zniszczył? — spytał detektyw sierżant, kiedy otworzyłem przed nim frontowe drzwi.

— To była kara boska — odparłem.

— Hmm — mruknął. — Pański Bóg musi być cholernie mściwy.

Kiedy ruszył w górę podjazdu, ponownie usłyszałem za sobą ten szelest.

ROZDZIAŁ XI

Wczorajszy ogród

Wielebny Dennis Pickering zadzwonił krótko przed ósmą, żeby poinformować, że trochę się spóźni.

Między jego parafiankami doszło podobno do różnicy zdań w kwestii, która z nich ma udekorować kościół na tegoroczne dożynki.

— Obawiam się, że niektóre z tych pań obdarzone są bardzo bojowym temperamentem. Prawdziwe walkirie — powiedział.

Stałem w holu, wlepiając wzrok w fotografię Fortyfoot House z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego. Młody pan Billings znajdował się teraz w połowie trawnika, zaledwie parę metrów od swego pozostawionego na rabatce z różami cienia. Obok niego sunął mały ciemny kształt, który mógł być absolutnie wszystkim. Plamą na negatywie, kleksem, cieniem. Albo Brązowym Jenkinem — podobnym do szczura stworzeniem, które buszowało po Fortyfoot House w poszukiwaniu... no właśnie, czego? Czego takiego szukało, czego chciało? Na strychu nie było żadnego jedzenia, a jednak nigdzie w domu nie znaleźliśmy śladów świadczących o tym, że szczury obgryzają meble, robią sobie legowiska ze starych gazet albo próbują dostać się do spiżarni.

Jeśli Brązowy Jenkin był szczurem, to z całą pewnością cholernie dziwnym. Nie ruszył pozostawionego w kuchni na noc kawałka sera; nie dobierał się również do spiżarni, choć co prawda, przechowywane tam zapasy składały się w większości z puszek z wołowiną i opakowań spaghetti Heinza. Albo Brązowy Jenkin nie był w ogóle szczurem, albo odżywiał się zupełnie czymś innym.

Zjedliśmy skromną kolację składającą się z lasagne i sałatki i wypiliśmy resztkę wina. Danny'emu zamykały się oczy. Kwadrans po dziewiątej zaniósłem go na barana na górę i pomogłem umyć twarz i zęby.

— Te kraby nie mogą wyjść na brzeg, prawda? — zapytał, kiedy owijałem go kołdrą.

Potrząsnąłem głową.

— Na pewno nie.

— Czy możesz zostawić mi zapalone światło?

— Oczywiście.

— Kraby w ogóle nie mogą wyjść na brzeg, prawda?

— Nie, nie mogą. Muszą być blisko morza, inaczej zdechną. Posłuchaj: to, co widziałeś, było straszne, ale to nie kraby zabiły panią Kemble. Skręciła sobie kark, spadając prawdopodobnie ze

skały. Kraby nie widzą różnicy między różnymi rodzajami mięsa. Zjadają martwe ptaki, małże, wszystko. Obawiam się, że takie są prawa natury; czasami bywają okrutne.

Pogładziłem go po włosach i pocałowałem w czoło.

— Śpij dobrze. I niech ci się przyśnią cukierki z lukrecją.

— Już nie lubię cukierków z lukrecją.

— Więc niech ci się przyśni coś, co lubisz.

— Lubię kobiety.

— Kobiety? Masz chyba na myśli dziewczyny?

— Nie, kobiety. Nie znoszę dziewczyn.

No, no — pomyślałem zamykając za sobą cicho drzwi. — Jaki ojciec, taki syn. Stałem przez chwilę w korytarzu, nasłuchując ukradkowego chrobotu za listwami boazerii lub głębokich bełkotliwych niezrozumiałych inkantacji. Ale tego wieczoru Fortyfoot House wydawał się wyjątkowo cichy, tak jakby korzystając z naszej nieuwagi, otulił się grubym na metr kapokiem.

Zszedłem na dół. Liz siedziała ze skrzyżowanymi nogami na sofie w salonie, oglądając telewizję.

— Czy jest jeszcze jakieś wino? — zapytała.

Potrząsnąłem głową.

— Więc czym masz zamiar poczęstować wielbnego Pickeringa?

— Chyba herbatą. Duchowni zawsze piją herbatę.

— Nie ci duchowni, których znam.

— Więc dobrze — powiedziałem. — Przejdę się do sklepiku. Mam nadzieję, że starczy mi pieniędzy na podwójną butelkę wina Plonko de France.

Noc była ciepła i nie założyłem płaszcza. Zamknąłem za sobą cicho drzwi, żeby Danny nie usłyszał, że wychodzę, i ruszyłem stromym podjazdem w stronę drogi.

Dla kogoś, kto przyzwyczał się do trwającego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zgiełku Londynu lub Brighton, wioska w rodzaju Bonchurch może wydawać się w nocy denerwująco cicha. Ale i tutaj można czasem usłyszeć niespodziewane, alarmujące dźwięki. Dźwięki, które przypominają szelest spadającej z suchej gałęzi martwej sowy. Dźwięki, które przypominają szmer biegnącego z brzuchem przy samej ziemi, przeciskającego się między paprociami gronostaja. Trzaski, skrzypienie i nagły trzepot skrzydeł.

Ruszyłem wzdłuż wilgotnego kamiennego muru, który prowadził do wiejskiego sklepu. Odwróciłem się raz, żeby spojrzeć na Fortyfoot House, ale zobaczyłem tylko majaczący za jodłami zgarbiony, krzywy zarys dachu. Z tego miejsca również wyglądał zupełnie inaczej, tak jakby odwrócił się do mnie plecami.

Do tej pory nie spotkałem się z domem o tak mrocznej, zmiennej osobowości. Nigdy nie szedł na kompromis.

Zawsze nieprzyjemny, tajemniczy i zdolny (jeśli zdolny jest do tego jakikolwiek dom) do najpodlejszych aktów złośliwości. Niektóre domy są przyjemne i wygodne i za nic w świecie nie skrzywdziłyby swoich mieszkańców. Ale w Fortyfoot House wciąż obijałem się o balustradę schodów, wciąż zahaczałem dłonią o wystające gwoździe i uderzałem głową o futryny drzwi i okien. Nawet jeżeli stary Harry Martin rzeczywiście zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku, był to kolejny przykład, jak bardzo agresywny potrafi być ten budynek.

Wciąż próbowałem sobie wmówić, że nie czyha na nas żadne niebezpieczeństwo; że duchy nie są bardziej groźne od wspomnień. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że czyniąc tak, oszukuję i ogłupiam sam siebie — albo że być może ogłupia mnie jakaś mroczna i zła siła.

Kiedy wszedłem do sklepu, właściciel miał właśnie zamiar zamykać. Przetawiał skrzynie z ogórkami i świeżymi pomidorami i wcale nie ucieszył się na mój widok. Wnętrze sklepu było słabo oświetlone i unosił się w nim zapach proszku do prania i sera cheddar. Podeszedłem do półki i wziąłem dużą butelkę czerwonego wina.

— Znowu zaczynają się kłopoty — zauważył właściciel, owijając butelkę w papier. Jego przetłuszczone szare włosy błyszcząły w świetle żarówki.

— Słucham?

— To pan jest tym facetem, który pracuje w Fortyfoot House, prawda? — zapytał.

— Zgadza się.

— To się zawsze zdarza, kiedy zaczynają się tam kręcić ludzie — oznajmił.

— Co takiego?

— Wypadki, różne nieszczęścia. Dokładnie to, co przydarzyło się biednemu staremu Harry'emu Martinowi.

— No cóż... przyznaję, że w tym domu panuje rzeczywiście specyficzna atmosfera.

— Atmosfera? — parsknął głośno. — Nie zaciągnąłby mnie pan tam szóstką dzikich koni. Tyle mogę panu powiedzieć. Dwoma szóstkami dzikich koni.

Kiedy wybijał na kasie cenę wina, wyjrzałem przez okno na drogę. Na obraz nocy nakładało się moje własne odbicie i odbicie sklepu, ale mimo to dostrzegłem ubraną w ciemny płaszcz i kaptur

postać, która podążała szybkim krokiem w stronę Fortyfoot House. To nie mógł być pastor; postać była od niego o wiele niższa i stawiała drobne sprężyste kroki — zupełnie jak kobieta. Coś w niej w deprymujący sposób przypominało mi Liz.

— Niech pan chwilę poczeka — zwróciłem się do sklepikarza i wybiegłem na zewnątrz, ścigany przez hałas dzwoniącego przy drzwiach dzwonka. Postać minęła już sklep i jej płaszcz roztopił się prawie w ciemności, ale kiedy wyskoczyłem na chodnik, obróciła na moment zakapturzoną głowę i zobaczyłem bladą smugę twarzy. Nie byłem całkowicie pewien, ale wydawało mi się, że to ona.

— Liz! — zawołałem. — Liz?

Postać nie odwróciła się ponownie; szła dalej, nie zwalniając kroku, aż całkiem pochłonęła ją ciemność.

Wróciłem do sklepu. Właściciel czekał na mnie z resztą i kamiennym wyrazem twarzy.

— Czy mogę już zamykać? — zapytał.

— Przepraszam — powiedziałem. — Myślałem, że to moja znajoma.

Nie mówiąc ani słowa odprowadził mnie do drzwi i zamknął je na klucz po moim wyjściu. Kiedy się po chwili odwróciłem, wciąż mnie obserwował; jego twarz zasłaniała w połowie tabliczka z napisem: PRZEPRASZAMY! ZAMKNIĘTE! NAWET DLA AMATORÓW HERBATY BROOKE BOND! Skryte za soczewkami okularów oczy lśniły niczym świeżo otwarte ostrygi.

Ruszyłem w ciemność, słuchając, jak moje kroki odbijają się echem od kamiennych murów. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, że widziałem przed chwilą Liz albo osobę tak bardzo do niej podobną, że mogła być jej siostrą bliźniaczką. Ale po co Liz miałaby chodzić po wiosce, ubrana w długi brązowy płaszcz z kapturem? I jakim cudem mogła znaleźć się w tym miejscu? Kiedy wychodziłem, była w domu i z całą pewnością nie zdołała mnie wyprzedzić.

Doszedłem do ostatniego zakrętu i za drzewami ukazał się dach Fortyfoot House. Szereg trójkątów, wielościanów i garbów, nad którymi wznosiły się wysokie kominy, przypominające przeciążone u góry wieżyczki.

Podchodząc bliżej, zdałem sobie sprawę, że wpatruję się coraz intensywniej w formę, którą wyznaczały płaszczyzny dachu. Ten kształt wydawał mi się coraz bardziej znajomy; i stopniowo zaczęło się przede mną wyłaniać pełne znaczenie owej pokrętnej i niezwyklej konstrukcji. W połowie zakrętu zatrzymałem się, wbiłem oczy w dach i uświadomiłem sobie nagle, że od samego początku wiedziałem, co kryje w sobie Fortyfoot House; tak jakbym szykował się do przyjazdu tutaj na długo przed otrzymaniem zamówienia od Tarrantów.

Widziany z tego miejsca szczyt dachu przypominał do złudzenia sumeryjską świątynię z „National Geographic”, świątynię, którą zniszczyli Turcy. Te same załamania, te same punkty, te same oszukujące oko proporcje.

Jeżeli ten dach zaprojektowała naprawdę Kezia Mason, to stary pan Billings sprowadził do Fortyfoot House coś więcej niż tylko młodocianą prostytutkę z East Endu. Sprowadził tu liczącą sobie wiele stuleci inteligencję, która była w stanie wznosić budowle, zaprzeczające w nadprzyrodzony sposób normalnym ograniczeniom czasu i przestrzeni.

Stałem jak sparaliżowany, wpatrując się w pochylony czarny profil tego dachu i czując się tak, jakby spłynęła na mnie wielka mądrość albo kompletne szaleństwo. Saul na drodze do Tarsu. To było potężne uczucie; uczucie, od którego dzwoniło mi w uszach; tak jakbym został ciśnięty w sam środek próżni i nagle w ciągu jednej krótkiej chwili zrozumiał Boga.

Ruszyłem w stronę domu. Obok wraku mojego audi stał beżowy renault; najwyraźniej złożył nam wizytę wielebny Pickering.

Liz otworzyła drzwi, zanim zdążyłem znaleźć klucz.

— Przyjechał pastor — poinformowała mnie. — Co się stało? — zapytała, widząc, że dziwnie się w nią wpatruję.

— Nie wychodziłaś teraz z domu? — zapytałem.

— Z domu? Oczywiście, że nie. Czekałam, aż przyniesiesz wino. Dlaczego pytasz?

Potrząsałem głową.

— Nieważne.

Wzięła ode mnie butelkę, a ja ruszyłem do salonu. Dennis Pickering siedział na jednym ze starych rozlatujących się foteli, rozmawiając z Dannym. Kiedy wszedłem, wstał i uściśnął mi dłoń. Sprawiał wrażenie trochę zmęczonego, a na klapie jego zielonej sportowej marynarki widniał ślad zupy pomidorowej.

— Masz ochotę na szklaneczkę wina? — zapytałem.

— Może później — odparł, rozglądając się dookoła. — Muszę przyznać, Davidzie, że ten dom bardzo mnie porusza. To oczywiście kwestia wyobraźni, ale w moim fachu człowiek musi mieć raczej bujną wyobraźnię... nie mówiąc oczywiście o wierze.

— Przypuszczam, że słyszałeś już o pani Kemble? — zapytałem.

Pokiwał głową.

— Niestety tak. Zadzwoiła do mnie jedna z parafianek. To straszna tragedia. Policja uważa, zdaje się, że wywróciła się podczas spaceru po skałach. Uderzyła się w głowę i utonęła. W jej wieku to całkiem możliwe, a jak wiesz, czasami żeby utonąć, wystarczy ledwie kilkanaście centymetrów wody. Zeszłego lata zatonął w podobnych okolicznościach i prawie w tym samym miejscu mały chłopak z Shanklin.

— Dziś wieczorem nie słyszeliśmy żadnych hałasów — poinformowałem go — chyba że wydarzyło się coś, kiedy poszedłem kupić wino.

Danny potrząsnął głową.

— Wydawało mi się, że słyszę szczura i dlatego się obudziłem, ale to wszystko.

— Gdzie go słyszałeś? — zapytałem.

— Na górze, na strychu.

— Może powinniśmy zacząć właśnie od strychu — powiedziałem, zwracając się do Dennisa Pickeringa.

— No cóż... dlaczego nie — odparł, zacierając ręce. — Podróż, która liczy tysiąc kilometrów, zaczyna się od małego kroku.

— Nie wiedziałem, że Kościół anglikański popiera nauki przewodniczącego Mao — powiedziałem z uśmiechem.

— Czy mogę z wami pójść? — zapytał Danny.

— Przykro mi, ale nie — odparłem. — Nie sądzę, żeby to było niebezpieczne, ale możesz się czegoś wystraszyć.

— Nie przeszkadza mi, że się wystraszę.

— Ale mnie przeszkadza. Koniec dyskusji.

— Mógłbym potrzymać latarkę — nie poddawał się Danny.

— Powiedziałem: nie. Możesz zostać tutaj i oglądać telewizję. Idziemy tylko na strych.

— Odmówimy może krótką modlitwę? — zaproponował Dennis Pickering.

Spojrzałem z zażenowaniem na Liz.

— Jeśli sądzisz, że to pomoże...

— Z całą pewnością nie zaszkodzi — odparł z ironicznym uśmiechem Dennis Pickering. Złożył ręce i zamknął oczy. — Panie Boże, chroń nas w tym trudnym czasie. Chroń nas przed złem znanym i nieznanym; i przeprowadź nas bezpiecznie przez mrok, lęk i niepewność, abyśmy powrócili w krąg światła Twojej świętej prawdy.

— Amen — mrukneliśmy wszyscy.

Najpierw zaprowadziłem Dennisa Pickeringa do wiszącej w holu fotografii Fortyfoot House.

Już z daleka dostrzegłem, że młody pan Billings wrócił na swoje miejsce i że zniknęła towarzysząca mu w drodze przez trawnik kosmata kreatura. Albo prawie zniknęła — przyjrzawszy się bowiem z bliska zdjęciu, zauważyłem, że kuchenne drzwi Fortyfoot House są lekko uchylone i że widać w nich jeszcze mały ciemny kształt. Ogon Brązowego Jenkina?

Dennis Pickering pochylił się i uważnie przyjrzał fotografii.

— Tak — powiedział — to młody Billings, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. W barze Pod Dropiatym Psem, niedaleko Ventnor, można obejrzeć przedstawiający go ponury sztych, chociaż nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego go tam powiesili.

— Przez cały dzień był w innym miejscu — powiedziałem.

Dennis Pickering zmierzył mnie uważnym wzrokiem.

— Słucham? Masz na myśli, że fotografia wisiała w innym miejscu?

— Nie, nie. Młody pan Billings był w innym miejscu. On zmienia miejsca na fotografii. Wczoraj spacerował przez trawnik, o tutaj, trzymając za rękę czy za łapę coś, co przypominało Brązowego Jenkina.

Dennis Pickering przyjrzał się ponownie fotografii, a potem popatrzył znowu na mnie.

— Jesteś tego całkowicie pewien?

— Całkowicie.

— A ty, Liz? — zapytał. — Ty też to widziałaś?

— Nie jestem pewna — odparła.

Popatrzyłem na nią zaskoczony.

— Jak to nie jesteś pewna?

Uciekła w bok spojrzeniem.

— Bardzo trudno mi to wszystko zrozumieć — powiedziała. — Boję się uwierzyć własnym oczom.

— Ale przecież prawie zupełnie zniknął z fotografii! — zaprotestowałem.

— Nie wiem. To wszystko przypomina jakiś zły sen — odparła.

— W porządku, nie denerwujmy się bardziej, niż musimy — odezwał się pojednawczo Dennis Pickering.

— Proponuję, żebyśmy weszli na górę i rozejrzeli się po strychu.

Idąc z powrotem korytarzem próbowałem wziąć Liz za rękę, ale ona cofnęła dłoń.

— Co się stało? — zapytałem bezgłośnie.

— Nic — odparła niechętnie.

— Coś się stało.

— Nic. Po prostu nie mam ochoty się tym dłużej zajmować, to wszystko; i nie widzę, dlaczego miałbyś się tym zajmować ty. To nie jest twój dom. To nie jest twój problem.

Zatrzymałem się w miejscu.

— Jesteś pewna, że nigdzie dziś wieczorem nie wychodziłaś?

— Oczywiście. Jestem pewna jak wszyscy diabli. Nie wiem, dlaczego się mnie bez przerwy czepiasz.

— Czy możemy przystąpić do rzeczy? — zapytał lekko zniecierpliwiony Dennis Pickering.

Weszliśmy na piętro i otworzyłem drzwi na strych. Znowu owionęło nas to stęchłe powietrze. Zapaliłem latarkę i podniosłem ją w górę, ale potem zdałem sobie sprawę, że ze strychu dobiega szara niewyraźna poświata.

— Popatrz, pali się tam światło — powiedziałem, obracając się do Liz. — Może kable same postanowiły się naprawić.

Dennis Pickering pierwszy wdrapał się po schodach. Dotarł prawie na samą górę, ale potem zatrzymał się nagle w miejscu i przez dłuższy czas nie poruszał się ani nie odzywał.

— Schodzę na dół — wykrztusił wreszcie i po chwili pojawił się obok nas na podeście, błądy i z wytrzeszczonymi oczyma.

— O co chodzi? — zapytałem. — Co się stało?

— Tam się świeci światło — powiedział lekko się zacinając.

— Tak?

— Obawiam się, że to światło dnia.

— Co to znaczy: światło dnia? Na dworze jest zupełnie ciemno.

— Ale tam jest dzień, uwierz mi. Wydaje mi się, że powinieneś zamknąć te drzwi, a ja natychmiast skontaktuję się z biskupem Earwakerem.

— Ależ musisz się mylić. Jakim cudem może tam być dzień? Po pierwsze, nie ma tam ani jednego okna oprócz świetlika, a ten zakryto nowym dachem.

Zacząłem się wspinać na strych, ale Dennis Pickering złapał mnie za rękaw.

— Nie! Nie wolno ci! — krzyknął głośno.

— Na litość boską, Dennisie, niemożliwe, żeby tam był dzień.

— Tam jest dzień, tam jest dzień — powtórzył, zaciskając jeszcze mocniej palce na moim rękawie.

— To diabelska sprawka, uwierz mi. Pod żadnym pozorem nie wchodź na górę.

— Przykro mi, ale idę.

— Davidzie! — zawołała Liz. — Davidzie, nie wchodź tam!

Na jej twarzy malował się wyraz, jakiego nie widziałem nigdy przedtem. Był bardzo dziwny — w połowie czuły, w połowie surowy. Niezwykły był również ton jej głosu. Mówiła tak, jakby zdawała sobie sprawę, co mogło tak bardzo przestraszyć Dennisa Pickeringa — jakby wiedziała, dlaczego strych wypełnia światło dnia.

Delikatnie odsunąłem na bok Dennisa Pickeringa.

— Przykro mi — powiedziałem — ale muszę iść. Nie mogę niczego zrobić w tym domu, dopóki nie położę kresu tym śmiesznym seansom son et lumiere.

— W takim razie muszę iść z tobą — oświadczył Dennis Pickering, chociaż trzęsły mu się ręce, a nozdrza rozszerzał szybki oddech.

— Nie musisz, jeśli cię to tak przeraża — odrzekłem.

— To jest mój kapłański obowiązek. A także obowiązek jako człowieka.

— Ale nie myślisz chyba naprawdę, że to diabeł?

— Możesz to nazywać, jak chcesz. Ale to tam jest: tak prawdziwe jak nos na twojej twarzy. Nie czujesz zapachu zła w powietrzu? Samej esencji zła?

Pociągnąłem nosem.

— Czuję siarkę i coś w rodzaju spalenizny, to wszystko.

— Esencja zła — pokiwał głową Dennis Pickering. — Piekielny odór.

— Cóż, bardzo mi przykro — oświadczyłem. — Mimo to idę.

Liz rzuciła mi krótkie, niechętne spojrzenie; ale to głównie z jej powodu wybierałem się na górę. Wiedziałem, że jeśli nie uda mi się położyć kresu tym światłom i dźwiękom, nie powinienem spodziewać się, że ze mną zostanie. A od czasu naszej popołudniowej rozmowy, jeszcze przed odkryciem zwłok Doris Kemble, coraz mocniej zacząłem sobie uświadamiać, jak bardzo chcę, żeby została. Poprawka: jak bardzo tego potrzebuję.

Mimo że z góry sączyło się światło, zabrałem ze sobą na wszelki wypadek latarkę. Jeśli światła mogły się nagle same naprawić, równie dobrze mogły się same zepsuć, a ja wcale nie chciałem znaleźć się na strychu zupełnie po ciemku, tak jak przydarzyło mi się to poprzednio. Kiedyś nie bałem się ciemności, ale to było przed przyjazdem do Fortyfoot House.

Dotarłem do szczytu schodów i rozejrzałem się dookoła. Powoli, z cierpkim poczuciem niedowierzania zdałem sobie sprawę, że Dennis Pickering miał rację. Strych wypełniało światło dnia. Zimne, szare jesienne światło; tak jakbyśmy znajdowali się w środku listopada, a nie w lipcu. W dodatku całe pomieszczenie było prawie zupełnie puste. Zniknęły gdzieś konie na biegunach, stare meble, zrolowane dywany i owinięte w koce obrazy. Stało tu teraz tylko kilka zakurzonych wiklinowych koszy, pudła na kapelusze i staroświecka, zaopatrzona w pedał maszyna do szycia.

Za świetlikiem nie zobaczyłem drugiego dachu — ale nie koniec na tym; okienko było otwarte i uniesione na wsporniku. To stąd właśnie płynął ten wilgotny przeciąg — chociaż nie miałem pojęcia, w jaki sposób jest to możliwe, kiedy świetlik pozostaje zamknięty, a dach zamurowany.

— To samo miejsce, inny czas — wyszeptałem. Byłem przestraszony i zdezorientowany, ale wszystko to wypełniało mnie również piekielnym podnieceniem: myśl, że po przejściu kilku schodków znaleźliśmy się w Fortyfoot House takim, jakim był w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym.

— Uważam, że nie powinniśmy posuwać się dalej — ostrzegł mnie Dennis Pickering. Miał bardzo ponurą minę i z całej siły trzymał się balustrady.

— Wyjrzę tylko przez świetlik — stwierdziłem. Widziałem płynące po niebie chmury i słyszałem szum morza i cichy szelest opadających liści. Zmienił się nie tylko rok i pora dnia, ale również pora roku.

Dennis Pickering trząsł się niczym człowiek ciężko chory na gripę i mimo że był duchownym Kościoła anglikańskiego, dwukrotnie się przeżegnał.

— To diabelska sprawka, nie ma co do tego cienia wątpliwości. Wyglądając przez ten świetlik, Davidzie, zajrzysz prosto w piekielną otchłań.

— Proszę, potrzymaj mi tylko latarkę — poprosiłem i stąpając po zakurzonych surowych deskach podszedłem pod świetlik. Wysoko nad głową niebo wydawało się całkiem normalne. Dzień był wietrzny i dostrzegłem dwie albo trzy przelatujące mewy i kilka miedzianych liści, ale ani jednej fruującej na miotle czarownicy, ani jednego nietoperza i ani jednego kłębu dymu z piekielnych czeluści.

— Błagam cię — odezwał się Dennis Pickering.

— Jedno spojrzenie, to wszystko.

Pokręcił zdenerwowany głową.

Podobnie jak zrobił to przed samą śmiercią Harry Martin, podsunąłem pod sam świetlik ciężki drewniany kufer, a potem wdrapałem się nań i wyjrzałem przez otwarte okno. Tutaj na górze dał silny wiatr i w oczach szybko stanęły mi łzy. Odwróciłem twarz w bok i zobaczyłem, że Dennis Pickering podszedł bliżej. Zdumienie i ciekawość okazały się silniejsze od strachu.

— Może to nie jest jednak diabelska sprawka — oświadczył przejęty grozą. — To takie niezwykle.

Czegoś takiego mógłby dokonać tylko Pan.

— A może to robota innych ludzi — zasugerowałem. — Dziś wieczorem, wracając z wiejskiego sklepiku, spojrzałem na dach i jego kształt prawie do złudzenia przypominał zburzony przez Turków sumeryjski ziggurat. Może to robota tej podopiecznej starego pana Billingsa, Kezi Mason.

— Nie wiem — mruknął Dennis Pickering. — Po raz pierwszy w życiu tak się boję. Może nie tyle się boję, co czuję zagubiony. W ogóle tego nie rozumiem. To jest takie obce. Z każdą mijającą minutą nabieram coraz większego przekonania, że to musi być coś innego. Nie wydaje się dziełem Szatana i nie wydaje się dziełem Boga. To coś innego. Coś zupełnie innego.

Nie przestawał mruzczyć i głośno myśleć, a ja wystawiłem ponownie głowę na zewnątrz. Popatrzyłem na różany ogród, który opadał w dół w stronę zegara słonecznego. Trawa była równo przystrzyżona, a wszystkie krzaki róż przycięte. W oddali, za drzewami, dostrzegłem iskrzące się niczym stłuczone szkło wody kanału La Manche.

— Przypominał sumeryjski ziggurat, powiadasz? — powtórzył Dennis Pickering. — Co widzisz? Czy wszystko jest takie same? Czy widzisz ogród?

— Tak, owszem — odparłem. — Ale nie jest taki sam. O wiele lepiej utrzymany... a drzewa o wiele niższe... wiesz, te drzewa, które rosną przy strumieniu. Niektóre z nich to zaledwie sadzonki.

— W takim razie cofnęliśmy się w czasie, nie sądzisz? — zapytał.

Przysłoniłem dłonią oczy i spojrzałem w lewo, w stronę kaplicy. Stała zupełnie nie uszkodzona i pokryta szarą jak gołębie pióra, błyszczącą dachówką. W ciemnych witrażowych oknach odbijało się światło, a trawę na cmentarzu niedawno skoszono. Dostrzegłem tylko kilkanaście grobów, wszystkie świeże i opatrzone nie marmurowymi nagrobkami, lecz prostymi drewnianymi krzyżami.

— Tak — potwierdziłem. — Chyba cofnęliśmy się w czasie.

— Nie sądzisz, że mógłbym sam rzucić na to okiem? — zapytał nerwowo Dennis Pickering. —

Tylko przez chwilę... to wszystko jest takie niezwykle.

— Oczywiście, proszę bardzo — odparłem. Ale zestawiając nogę z kufra, dostrzegłem nagle dwa przesuwające się szybko przez ogród cienie, schowane w połowie za krzakami i pergolą z róż. Trudno było je rozpoznać. Poruszały się tak szybko, że przypominały postaci widziane z pędzącego pociągu. Potem wyszły na otwartą przestrzeń, na okrągły wystrzyżony trawnik wokół zegara i natychmiast rozpoznałem jedną z nich: wysokiego mężczyznę z krzaczastymi bokobrodami, ubranego w czarny frak i wysoki cylinder.

Młody pan Billings miał ziemistą cerę i wydawał się niezwykle wzburzony. Towarzyszyła mu mniejsza postać w brązowym płaszczu z kapturem, która idąc obok niego, bez przerwy kuciała, pochylała się i zataczała kręgi, zupełnie tak, jakby wykonywała jakiś niezwykle taniec.

Ogarnęło mnie przerażenie tak intensywne, że popuściłem mimowolnie krótki strumień moczu w spodnie. To nie była fotografia, trwało prawdziwe popołudnie, nawet jeśli miało miejsce ponad sto lat temu. To był żywy, niezwykle wzburzony młody pan Billings, a ta biegnąca u jego boku niewielka kosmata istota, to musiał być Brązowy Jenkin.

Z góry nie mogłem się zorientować, co młody pan Billings robi bądź mówi. Bezustannie gestykulował prawą ręką, podnosząc ją i opuszczając w dół, niczym staroświecki semafor albo ucinający ogony wołom rzeźnik. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, ale niewielka zakapturzona postać właściwie wcale nie zwracała uwagi na jego przemowę. Bez przerwy kuciała, pochylała się, zataczała kręgi i wybiegała naprzód, zmuszając młodego pana Billingsa do ciągłej zmiany kroku.

Natężałem, jak mogłem, słuch, ale przez szum wiatru i monotonne krzyki mew dotarły do mnie tylko wykrzyczane głośno słowa: „nie obchodzi mnie, czego ona chce... uzgodniliśmy to... możesz wziąć tylko tyle, ile...”

— Proszę — odezwał się z dołu Dennis Pickering.

Ale ja nie ruszałem się z miejsca, stojąc na koniuszkach palców i przekrzywiając w bok głowę, żeby usłyszeć, o czym takim rozprawiają ze sobą młody pan Billings i postać w brązowym płaszczu. Głos młodego pana Billingsa przypominał szczekanie psa, a zakapturzona postać nadal kuciała i tańczyła, tak jakby miała to wszystko w nosie, wydając z siebie co jakiś czas stłumiony chichot i wysoki piskliwy śmiech.

Przypominało to sen albo koszmar — widok tego wysokiego, odzianego na czarno mężczyzny, który krzyczał tak wściekle na stworzenie podobne bardziej do zwierzęcia niż do człowieka — podobne do wielkiego, zgarbionego, wyrośniętego gryzonia.

— Uzgodniliśmy to raz na zawsze — zawołał chrapliwym głosem pan Billings.

W tej samej chwili na patio pode mną pojawiła się kobieta. Musiała wyjść przez kuchenne drzwi albo obejść cały dom. Nie widziałem jej twarzy, bo była do mnie odwrócona tyłem, poznałem jednak te falujące tycjanowskie włosy. To jej podobizna ozdabiała ścianę kaplicy i na jej ramionach

siedziało podobne do szczura stworzenie. Mimo zimna miała białe stopy i nosiła cienką białą suknię, która trzepotała i zwijała się na wietrze.

Prowadziła za rękę małą, liczącą sobie może dziesięć, może jedenaście lat dziewczynkę, również ubraną w cienką białą sukienkę; na włosach dziecka spoczywał wianek z liści wawrzynu i ostrokrzewu.

Krzyczeli coś do siebie. Szczuropolodobne stworzenie chichotało i kręciło się w kółko.

— Uzgodniliśmy to raz na zawsze — powtórzył po raz któryś z rzędu mężczyzna, ale ubrana w białą suknię kobieta nie zwracała na niego najwyraźniej żadnej uwagi.

Mężczyzna w czarnym cylindrze usiłował niezgrabnie złapać dziewczynkę za rękę, tak jakby chciał odciągnąć ją od ubranej na biało kobiety, ale w tej samej chwili szczuropolodobne stworzenie skoczyło na niego, obnażając cienki, wijący się purpurowy język i rzędy zakrzywionych żółtych zębów — nie jeden rząd, ale kilka. Mężczyzna natychmiast dał krok do tyłu i podniósł w obronnym geście lewe ramię, tak jakby wolał stracić rękę niż połowę twarzy.

Kobieta odwróciła się i skierowała z powrotem w stronę domu. Mężczyzna w czarnym cylindrze zawahał się, a potem ruszył za nią. Przez szum wiatru doszedł mnie przeraźliwy pisk dziewczynki.

— Co tam się dzieje? Co się dzieje? — dopytywał się w stanie najwyższego wzburzenia Dennis Pickering.

— Wygląda na to, że między młodym panem Billingssem a Brązowym Jenkinem doszło do jakiegoś sporu — powiedziałem, schodząc na dół z kufra.

Dennis pośpiesznie zajął moje miejsce i wystawił głowę przez świetlik.

— Tak, masz rację! Mój Boże, to jest przecież młody pan Billings! To jest Brązowy Jenkin, nie ma co do tego żadnej wątpliwości! A ta kobieta to musi być Kezia Mason!

— Co teraz robią? — dopytywałem się.

Dennis wyciągnął w dół rękę i pomogłem mu zejść z kufra.

— Kezia Mason zabrała dziewczynkę do domu. Bóg jeden wie w jakim celu. Ale jeśli trwa rzeczywiście rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty, rok, w którym wszystkie dzieci w Fortyfoot House umarły albo zniknęły... to możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że wydarzy się zaraz coś bardzo nieprzyjemnego.

— Nie możemy jej uratować? — zapytałem.

Dennis Pickering spojrzał z powrotem w stronę świetlika i niepewnie przełknął ślinę.

— Chyba powinniśmy spróbować. Ale na twoim miejscu trzymałbym się jak najdalej od

Brązowego Jenkina.

Pobiegłem szybko z powrotem do schodów. Liz wciąż czekała na nas na dole; na pierwszym piętrze nadal panował mrok. Było oczywiste, że schodząc w dół tą drogą na pewno nie dostaniemy się do ogrodów Fortyfoot House w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku.

— Może uda nam się zejść po dachu — zasugerował z wyraźnym brakiem entuzjazmu Dennis Pickering.

— Nie damy rady — odparłem. — Z tej części dachu nie ma zejścia na dół. Dach opada stromo aż do patio.

— Spójrz w tamtą stronę — powiedział nagle, dotykając mego ramienia. — Czy w podłodze nie ma przypadkiem włazu?

Obróciłem się i stwierdziłem, że ma rację. W miejscu, które wskazywał, leżała zakurzona czerwonozielona hinduska mata, spod której wystawał jeden zawias i róg źle dopasowanej ramy. Kopnąłem nogą matę, odsłaniając właz wystarczająco duży, by mógł przedostać się przezeń dorosły mężczyzna. Wyglądał, jakby zamontowano go w podłodze jakiś czas po wzniesieniu domu. W porównaniu z nienagannie pasującymi do siebie podtrzymującymi strop belkami stolarka była amatorska, a gwoździe i zawiasy zdążyły już zardzewieć.

Co niezwykle, zamykające właz zasuw (teraz odsunięte) zamontowane zostały po tej jego stronie, na strychu... co oznaczało, że kiedy były zaryglowane, blokowały drogę komuś, kto chciałby wejść na górę.

Komuś albo czemuś.

Ukląknęłam i przycisnąłam ucho do włazu. Usłyszałam dochodzący z jednego z pokoi na dole niewyraźny krzyk dziewczynki.

— Jesteś gotów, żeby tam zejść? — zapytał Dennisa Pickeringa. Moje własne serce tłukło się w piersi niczym podskakujący w klatce królik. — Być może ingerujemy w sprawy, do których w ogóle nie powinniśmy się wtrącać... wiesz o tym, prawda?

Dennis Pickering przełknął nerwowo ślinę. Jego jabłko Adama poruszało się nieustannie w górę i w dół.

— Musimy odpowiedzieć na wołający o pomoc krzyk niewinnej ofiary — powiedział. — I wydaje mi się, że odnosi się to w tym samym stopniu do niewinnej ofiary z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego, co niewinnej ofiary z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

— Amen — dodałam i otworzyłam właz, pozwalając, by kłapa opadła na podłogę strychu.

Zajrzawszy w dół do chłodnego jasnego pomieszczenia, zdałem sobie sprawę, że właz zamontowany został w suficie mojej własnej sypialni... z tą różnicą, że nie miała pochyłej zachodniej

ściany. To była moja sypialnia, zanim ktoś zamurował prawie jej trzecią część, i teraz, z wychodzącym na grządki truskawek drugim oknem, wydawała się o wiele większa i bardziej przestronna. Spuściłem w dół nogi i zeskoczyłem na siedzenie stojącego pod wjazdem fotelu, a z niego na podłogę z surowych desek. Przez chwilę stałem nieruchomo, a potem odwróciłem się i krzyknąłem cicho do Dennisa, żeby szedł za mną.

Zdziwiło mnie, jak odmiennie wygląda moja sypialnia bez pochyłej ściany i jak dużą jej część zamurowano.

Pod drugim oknem stało proste, pomalowane łuszczącą się ciemnooliwkową farbą żelazne łóżko nakryte wyłącznie pożółkłym prześcieradłem, rzuconym na nierówny materac z końskiego włosia. Pod łóżkiem stała głęboka taca z zaśniedziałej miedzi i leżał związany mocno tasiemkami, pokryty rdzawymi plamami fartuch.

— Spójrz — szepnął łamiącym się głosem Dennis Pickering, wskazując na wiszący nad wezglowiem łóżka krzyż. Był to duży gotycki krucyfiks z ciemnego, pokrytego werniksem drewna, z wyrzeźbioną w matowym srebrze i kości słoniowej figurą Chrystusa. Oczy Chrystusa zasnuwała mgła; malowały się w nich ból i poświęcenie. Najbardziej jednak poruszyło mnie to, że krucyfiks zawieszono do góry nogami na postrzępionym konopnym sznurze, w który wplecione były zasuszone brązowe kwiaty.

— Co to ma oznaczać? — zapytałem.

— Nie wiem. Może to sataniści. Albo wyznawcy Antychrysta. Nigdy przedtem nie widziałem takich kwiatów. To może być jakiś kult, o którym nigdy nie słyszeliśmy. U schyłku dziewiętnastego wieku istniało wiele grup skupiających adeptów czarnej magii i czcicieli diabła.

Ponownie usłyszeliśmy krzyki dziewczynki. Wydawało się, że dochodzą z pokoju, w którym w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku mieścił się salon. Już mniej histeryczne, lecz bardziej żałosne, tak jakby mała pogodziła się z tym, co ją czeka, ale była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa.

— Niech Bóg da nam siłę, której potrzebujemy — szepnął Dennis Pickering, ruszając pierwszy w dół schodów.

Fortyfoot House z tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku nie różnił się tak bardzo od tego z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, tyle że klatka schodowa i hol wyłożone były do wysokości półtora metra ciemną dębową boazerią, a wyżej oklejone tapetą w żółtozielonkawe kwiaty, które przypominały mi rysunki Aubrey Beardsley — delikatne, dekadentkie i cieplarniane, o barwach, które bardziej kojarzyły się z deprawacją niż dekoracją. W powietrzu unosiła się intensywna woń mokrego tynku, gotowanej ryby i lawendowego wosku do mebli.

W holu wisiąco o wiele więcej fotografii i rysunków — próżno by jednak oczywiście szukać wśród nich zdjęcia Fortyfoot House z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku. Zmierzając ostrożnie razem z Dennisem Pickeringiem w stronę otwartych drzwi salonu, minąłem wspaniale dopracowaną w szczegółach gotycką akwafortę przedstawiającą „Podanie pierwszego dania podczas

uczty koronacyjnej króla Jakuba I”, a potem dziwnie staloryty, przedstawiające tajemnicze ogrody pełne altanek, niezwykłych roślin i zwierząt wielkości jeleni, ale z owadzimi nogami i pancerzami na grzbietach. Obok wisiały rysunki zwierzęcych mutantów, medyczne ilustracje kobiet, które wdychały z wielkich ośmiokątnych słoików chloroform, i zaskakująco dokładne rysunki kobiet poddawanych badaniu ginekologicznemu przy użyciu lamp i specjalnie skonstruowanego systemu luster.

Nie miałem czasu przyjrzeć się wszystkim ilustracjom, ale mogłem bez trudu wyobrazić sobie kolekcję, która lepiej nadawałaby się do ozdobienia ścian sierocińca. Wszystkie obrazki były albo dziwaczne, albo straszne, albo ostentacyjnie ginekologiczne. Znajdował się wśród nich nawet makabryczny sztych podpisany: ”Żona żołnierza, która podążyła za nim na pole bitwy, rozerwana została na pół kulą armatnią i wydała na świat żywe dziecko”.

Dennis Pickering podniósł rękę — dając mi sygnał, żebym się zatrzymał i zachował milczenie. Znajdowaliśmy się teraz zaledwie metr od drzwi salonu i słyszeliśmy wyraźnie piskliwe zawodzenie dziewczynki, nieszczerzy chichot Brązowego Jenkina i stłumiony gniewny głos młodego pana Billingsa. Szare jesienne światło padało na wzorzysty brązowo-czerwony dywan, wytarty już do połysku przez tysiące przesuwających się po nim skórzanych podeszew. Gdzieś z tyłu — prawdopodobnie z kuchni — dobiegał brzęk talerzy i czyjś głos śpiewający „Two Little Girls in Blue”.

— Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? — szepnął Dennis Pickering. Czułem jego przesycony zbyt wieloma filiżankami herbaty nieświeży oddech. To tyle jeśli chodzi o pogląd Liz, że duchowni piją na ogół alkohol.

— Nie wiem — odparłem. — Co takiego możemy zrobić? — A potem przypomniałem sobie słowa Liz: „Nie możesz się nigdy na nic zdecydować. Zostajemy — jedziemy — zostajemy — jedziemy. Na litość boską, Davidzie, zdecyduj się w końcu na coś, nawet jeżeli miałyby to być zła decyzja”.

Wciąż próbowałem ułożyć jakiś plan akcji, kiedy usłyszałem ostry przemądrzały głos, który sprawił, że wstrzymałem oddech. Należał do kobiety mówiącej z akcentem cockney i przeciągającej wzorem Elizy Dolittle samogłoski, zupełnie jednak nie przypominał dzisiejszej mamrotliwej gwary przedmieścia. Był ostry, wyraźny, dziwny i bardzo dosadny. Nie było co do tego żadnych wątpliwości: to musiała być Kezia Mason — protegowana starego i kochanka młodego pana Billingsa.

— Zamknij się, ty wstrętny bachorze. Czas na jabłka i gruszki. Czeka na ciebie Stary Przyjaciel.

Dziecko wydało z siebie ponownie krótki, chrapliwy pisk.

— Nie tak się umawialiśmy, Keziu — odezwał się młody pan Billings. — W żadnym wypadku. Powiedziałaś dwanaście i na tym miał być koniec, dwanaście miało wystarczyć. I na Boga, nawet dwanaście to wystarczająco okropne. Ani jednego więcej!

— Kiedy powiedziałam dwanaście, kochanie?

— Powiedziałaś dwanaście, kiedy się po raz pierwszy umawialiśmy; Jenkin również powiedział dwanaście i na tym miało się skończyć.

— Powiedziałam dwanaście za czasów króla Ćwiczka.

— Nie możesz zabrać już ani jednego, Kezia. Co powie na to doktor Barnardo?

— Poślemy po Mazurewicza, ot co, a on zaświadczy, że wszystkie musiały odejść.

— Do diabła, Kezia, nie możesz zabrać ich wszystkich!

— Stary Przyjaciel bierze wszystko, czego mu potrzeba — odparła Kezia, podczas gdy dziecko zawodziło cieniutko, nie przerywając nawet na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. — Stary Przyjaciel, mój drogi, nie zadowolili się orzeszkami.

— Wygląda na to, że chcą wyjść — szepnąłem do Dennisa Pickeringa. — Ja złapię dziewczynkę, a ty wydzieraj się na nich jak wściekły. Przeklinaj ich, módl się: rób wszystko, co może wytrącić ich z równowagi.

Dennis złapał mnie niespodziewanie za rękę.

— Myślisz, że mała przeżyje — zapytał — jeśli porwiemy ją i zabierzemy ze sobą na strych, do naszej własnej epoki?

— O co ci chodzi?

— Czy jesteś pewien, że ona przeżyje? Z tego, co widzę, znajdujemy się w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Ta dziewczynka ma teraz dziesięć albo jedenaście lat, ale jeśli przeniesiemy ją w rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi, będzie miała ponad setkę. Zabijemy ją tak samo skutecznie jak Kezia Mason, a może jeszcze bardziej okrutnie!

W tej samej chwili dziecko krzyknęło głośniejszym głosem i wiedziałem, że musimy coś zrobić.

— Na miłość boską, Dennisie! Znaleźliśmy się tutaj, mimo że w tej epoce nie było nas jeszcze na świecie.

Z pewnością w ten sam sposób można się przenieść w drugą stronę!

Dennis Pickering złożył ręce i wymamrotał najkrótszą modlitwę, jaką zna historia chrześcijaństwa.

— Dobrze, Davidzie — powiedział, otwierając oczy. — Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Przynajmniej spróbujemy.

Dziewczynka nie przestawała krzyczeć. Nie czekając dłużej pchnąłem mocno otwartą dłońią Dennisa Pickeringa i wpadliśmy obaj przez otwarte drzwi do salonu.

ROZDZIAŁ XII

Kciuk diabła

Koszmarne tableau, które ukazało się naszym oczom, kiedy wpadliśmy do pokoju, na zawsze pozostanie w mojej pamięci: w snach, w mroku, w dostrzeżonych w połowie lustrzanych odbiciach i usłyszanych w połowie szeptach.

Wystarczy tylko rzut oka na stojące w witrynie antykwariatu wiktoriańskie krzesło z wysokim oparciem albo pewien szczególny rodzaj szarego jesiennego światła. Wystarczy tylko widok wzorzystego brązowego dywanu albo zapach kurzu i pasty do mebli.

Właściwie dopiero wtedy, gdy razem z Dennisem Pickeringiem wbiegliśmy do salonu, dotarło do mnie w całej pełni, że znaleźliśmy się rzeczywiście i nieodwołalnie w czasie, do którego nie należymy, i że horror, który oglądamy, to nie są duchy, fragmenty jakiegoś filmu albo owoce naszej rozpalonej stresem wyobraźni — ale żywe i prawdziwe istoty, poruszające się, oddychające i rozsiewające wokół siebie piekielny odór.

Najdalej od nas stał młody pan Billings, podnosząc sztywno w przerwanym geście protestu jedną rękę. Był wyższy, niż go sobie wyobrażałem, a jego czarny cylinder i czarny frak o wiele lepiej skrojone: z lamówką z czarnej satyny i obszytymi elegancko dziurkami od guzików. Ale policzki miał pomarszczone jak bibułka, oczy podeszłe krwią i w ogóle wyglądał jak człowiek, którego wewnętrzny upadek w bezlitosny sposób odzwierciedla się w rysach twarzy.

Malowidło na ścianie kaplicy nie oddawało sprawiedliwości Kezi Mason. Była nieduża i przystojna — właściwie piękna, a może nawet bardziej niż piękna, ale w jej oczach malowała się jakaś dziwna, nieokreślona dzikość, która przeraziłaby najbardziej nawet zawziętych znanych mi podrywaczy i która mnie przerażała z całą pewnością. Jej niezwykle włosy miały barwę ognistej prerafaelickiej czerwieni i dosłownie stały na głowie, jakby naładowane elektrycznością. Na ramiona narzuciła luźno szal z niefarbowanej wełny, spod którego opadała miękko suknia z szerokimi rękawami, uszyta z bardzo delikatnego woalu, na którym wyhaftowano w różnych miejscach oczy, ręce i gwiazdy. Suknia była tak przezroczysta, że widziałem pod nią chude, niemal zagłodzone ciało, obwiązane całą kolekcją tasiemek, powrozów i bandaży.

Spod szaty wystawały brudne bose stopy, białe i upstrzone siatką błękitnych żyłek.

Kiedy nas zobaczyła, syknęła. Taka właśnie była jej pierwsza reakcja: syknięcie.

Ale sparaliżował mnie dopiero widok po raz pierwszy oglądanego z bliska Brązowego Jenkina. Tego podobnego do szczura stworzenia, o którym nie wiadomo było, czy wynurzyło się z najgłębszych zakamarków londyńskich doków; czy przez jakąś koszmarną genetyczną pomyłkę narodziło ze związku młodego pana Billingsa i Kezi Mason; czy też po prostu przeobraziło się ze zwykłego szczura w tę potworną istotę, która stała teraz przede mną zgarbiona i z przylizanymi włosami: karykatura ludzkiego ciała i karykatura zwierzęcia, od której zalaatywał słodki odór zgnilizny.

Brązowy Jenkin miał nie więcej niż metr dwadzieścia wzrostu, a być może nawet trzy, cztery centymetry mniej. Długa i stożkowata niczym u gryzonia głowa bardziej niż pysk szczura przypominała groteskowo wydłużoną ludzką czaszkę z obrazu Holbeina „Dwaj ambasadorowie”. Jego oczy były białe jak pieczarki, łącznie z tęczęwkami, a nos kościsty i bardziej ludzki niż zwierzęcy. Rozwarte szeroko nozdrza odsłaniały napiętą i błyszczącą błonę śluzową, a spomiędzy szaroczarnych zaciśniętych warg wychylały się dwa tkwiące w górnej szczęce ostre zęby.

Pod brodą miał brudny biały kołnierzyk i zawiązany na szyi równie brudny bandaż. Jego zdeformowane ciało okrywał płaszcz albo raczej długi surdut z wytartego brązowego welwetu, pobrudzony z przodu jajkiem, zupą i setkami innych plam niewiadomego pochodzenia. Z przydługich rękawów wystawały białe, opatrzone długimi palcami dłonie, które ktoś mógłby wziąć za ludzkie, gdyby nie kończące je zakrzywione i czarne jak u szczura pazury. Między dotykającymi podłogi połamami płaszcza widać było dwie długie chude nogi, owinięte podobnie jak szyja w brudne bandaże.

Wbijając pazury w lniany fartuszek dziewczynki, Brązowy Jenkin trzymał ją w wysoko podniesionej, sztywno wyprostowanej ręce, tak że obute w trzewiki stopy małej wisiały kilkanaście centymetrów nad podłogą. Z twarzy dziecka odpłynęła cała krew; sztywne z przerażenia zaciskało kurczowo pięści i kuliło głowę w ramiona. Miedzianobrązowe włosy zaplecione były w schludne warkoczyki, ale teraz jeden z nich rozwiązał się, zakrywając częściowo twarz małej i nadając jej jeszcze bardziej zdesperowany i zrozpaczony wygląd.

Przez krótką niczym błysk flesza chwilę staliśmy wszyscy osłupiali, wpatrując się w siebie wzajemnie.

Kezia Mason syknęła i dała krok do tyłu.

— Co to za jedni? — wrzasnął młody pan Billings. — Kezia! Co to za nowe sztuczki? — Ruszył przez pokój i złapał zakończoną srebrną gałką czarną laskę, która stała oparta o jedno z krzeseł, ale w tej samej chwili Dennis Pickering podniósł w górę obie ręce.

— W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! — zawołał.

— Klecha! — syknęła Kezia Mason, jakby wyczuwając węchem jego kapłaństwo.

— W Imię Boże, rozkazuję ci puścić tę dziewczynkę! — zagrzmiał Dennis Pickering. Dał krok do przodu, trzymając nadal wysoko podniesione ręce i ciskając z oczu pioruny.

Młody pan Billings opuścił w osłupieniu laskę i nawet Kezia Mason wydawała się zbita z pantałyku.

— Ten, kto zerwie choć jeden włos z głowy tych maluczkich, odpowie przede mną, mówi Pan — grzmiał dalej z nabrzmiętym karkiem Dennis Pickering, pryskając na wszystkie strony śliną.

Prawie uwierzyłem, że pokonaliśmy ich samą tylko siłą autorytetu, kiedy Kezia Mason dała nagle krok naprzód, podniosła w górę skraj swojej przezroczystej sukni i dygnęła, wpatrując się zuchwałym wzrokiem w Dennisa Pickeringa.

— Odpowiemy przed Panem, ty łachmyto? — wrzasnęła. — Na twoim miejscu nie zapominałabym, że mój Stary Przyjaciel Czart nie wybiera się wcale na wakacje do Peckham. Na twoim miejscu wracałabym czym prędzej do sklepiku Ducha Świętego, ot co!

Mówiła wulgarnym późnowiktoriańskim slangiem, ale nie trzeba było profesora lingwistyki, żeby zrozumieć, iż ostrzega Dennisa Pickeringa przed diabłem, który nie da się tak łatwo pozbawić łatwej zdobyczy.

— Rozkazuję wam — krzyknął, trzęsąc się cały, Dennis Pickering. — W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Próbowałem zakraść się za jego plecami i wyrwać dziewczynkę z pazurów Brązowego Jenkina, lecz ten zaciągnął ją przezornie za sofę. Mała bębniła głucho piętami o podłogę. Przestała krzyczeć, ale była nadal całkiem sztywna i z jej gardła wydobywał się co jakiś czas cichy szloch. Nie zdawała sobie chyba w ogóle sprawy, że ja i Dennis Pickering usiłujemy ją uratować. Być może nas w ogóle nie zauważyła.

Młody pan Billings podniósł laskę, tak jakby miał zamiar zdzielić nią w głowę Dennisa Pickeringa, ale Kezia Mason wyciągnęła prawą rękę i powstrzymała go.

— Nie! — zawołała i zasłoniła lewą dłonią oczy. — Zobaczysz wszystko, co widzę ja! — zanuciła przenikliwym głosem. — Mój wzrok stanie się twoim! Podzielisz ze mną moje spojrzenie! Kiedy wypłyną ci oczy! — A potem z przejmującym krzykiem, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie, wycelowała palec wskazujący prawej ręki prosto w twarz Dennisa. — Sadapan, Quincan, Dapanaq, Can! Panaqan, Naqacan, Quacanac, Can! — zawołała.

Dennis krzyknął także, ale nie był to okrzyk triumfu. Przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę oczy całkiem wyszły mu z orbit. A potem wyskoczyły z głowy i tryskając krwią przeleciały przez pokój.

Jedno upadło na popiół w kominku, a drugie przylepiło się do nogi fotela i zaczęło ześlizgiwać w dół, zostawiając za sobą niczym ślimak cienką strużkę krwi i nerwu optycznego.

Ogarnięty paniką, przez krótką chwilę zupełnie nie wiedziałem, co robić dalej.

— Oczy, moczy! — zanucił, śmiejąc się piskliwie, Brązowy Jenkin. — Yeux, peur! Augen, Angst!

Nic tu po nas, Davidzie — przeleciało mi przez głowę. Podniosłem dłoń, żeby złapać Dennisa Pickeringa za rękę i wyciągnąć go za drzwi, ale w tej samej chwili Kezia Mason rozchyliła palce, którymi zasłaniała oczy.

— Nie, gamajdo — syknęła — nie wolno ci go dotykać. Nie teraz!

Dałem jeszcze jeden ostrożny krok w kierunku Dennisa, który wciąż stał z uniesionymi w górę rękoma, ale nie mówił już ani słowa, oniemiały i ślepy, wstrząśnięty mocą, która tak nagle go pokonała. Przez całe życie zajmował się sprawami piekła; nauczał o piekle i jego historii; i czyżby

wszystko to miało okazać się teraz prawdą? Piekło przyszło do niego i wyłuskało z głowy oczy.

Widząc, że się zbliżam, Kezia Mason ściągnęła wargi i obnażyła zęby.

— Jeszcze jeden krok, Panie Pełen Dobrych Chęci — ostrzegła mnie chrapliwym głosem — i wyrwiemy także twoje gały.

Cofnąłem się przerażony, przetykając z trudem ślinę i próbując samemu skoczyć w stronę drzwi.

— Nic z tego, koleś! Zamykajcie się, wrota! — krzyknęła Kezia, przecinając na ukos dłonią powietrze i drzwi zatrzasnęły się z ogłuszającym hukiem tuż przed moim nosem.

Złapałem klamkę i próbowałem ją przekręcić.

— Chcesz zwędzić moje widelce? — zawołała Kezia i matowa klamka z brązu zamieniła się w matową rękę z brązu, wykręcającą i miażdżącą mi palce z taką siłą, że ledwie udało mi się je wyrwać. Odwróciłem się z powrotem, dysząc ciężko i masując dłoń.

— Wiem, kim jesteś — ostrzegłem ją.

— W takim razie jestem zaszczycona, gamajdo — odparła, chyląc lekko głowę i złowroźnie się uśmiechając.

Kątem oka dostrzegłem, że oko Dennisa Pickeringa zsunęło się w dół i leży teraz na podłodze: naga gałka na strzyżonej szorstkiej wełnie dywanu; nie mogłem się jednak zmusić, żeby tam spojrzeć.

— Nikomu z was nie uda się stąd wydostać — powiedziałem wysokim, urywanym głosem. — Na górze czekają na nas ludzie i jeśli nie zjawimy się z powrotem w ciągu kilku minut...

— Straszenie nas mija się z celem, przyjacielu — przerwał mi młody pan Billings. Po raz pierwszy usłyszałem go z bliskiej odległości. W jego głosie brzmiał smutek i zmęczenie, tak jakby w swoim czasie podobnie jak ja walczył i rzucał groźby, ale dawno temu dał za wygraną. — Nikt nie zdoła powstrzymać ani aresztować moich współników. Kiedy przyjmie pan do wiadomości ten fakt, znacznie łatwiej będzie się panu dostosować do sytuacji.

— Dobrze powiedziane — stwierdziła Kezia Mason, mrugając do mnie filuternie.

Dziewczynka znowu zaczęła szlochać, wydając z siebie co jakiś czas głośnie, urywane piski.

— Co macie z nią zamiar zrobić? — zapytałem.

— Dlaczego tak to pana obchodzi? — odpowiedział pytaniem młody pan Billings.

— Mieszkam tutaj. Opiekuję się tym domem.

— Ale nic nie łączy cię z tym... z tym dzieckiem.

— Boże, ratuj mnie! — jęknął nagle Dennis Pickering. — O Boże, Boże, miej mnie w swej opiece! — dodał, klękając na dywanie. Kezia Mason spojrzała na niego bez większego zainteresowania.

— Bawimy się tylko w koci-koci-łapci, nie widzisz, gamajdo? — powiedziała, zwracając się do mnie.

— Nie musisz się o nic martwić.

— Co macie zamiar z nią zrobić? — powtórzyłem, słysząc, jak drży mi głos.

— Ona wybiera się na piknik — stwierdziła Kezia Mason. — To wszystko. Nie ma się czym przejmować.

Mała wybiera się na piknik, taka jest prawda.

— Panie Billings? — zapytałem.

Młody pan Billings opuścił głowę, unikając najwyraźniej mego spojrzenia.

— Tak, to prawda — powiedział. — Ona wybiera się na... piknik. — Słowo „piknik” wypłynął z siebie, jakby to była gruda piaszczystego błota, nie kryjąc niechęci, z jaką przyszło mu potwierdzenie oczywistego kłamstwa.

— Wybiera się na piknik z czymś takim? — zapytałem, wskazując z wściekłością Brązowego Jenkina.

— Z czymś takim?

W tej samej chwili Jenkin zmarszczył swój wąski nos i wydał z siebie okropny, podobny do gwizdnięcia skrzek, zupełnie tak jakby miał rozszczepione podniebienie. Zahaczył pazurami o tył sofy i rozdarł pokrywający ją materiał. W powietrzu zaczęły fruwać strzępy włókna. Przez krótki, mrozący krew w żyłach moment myślałem, że puści dziewczynkę i rzuci się na mnie.

— Z czymś takim? — zaskrzeczał. — Was denkst du, Dummkopf? Świństwo, świństwo parle comme ca!

Odskoczyłem przerażony do tyłu. Młody pan Billings także się cofnął, unosząc na wszelki wypadek łaskę. Ale skrzeczenie Brązowego Jenkina obudziło również z odrętwienia dziewczynkę. Zamrugała oczyma, wbiła we mnie przerażony, ale całkiem świadomy wzrok i krzycząc głośno, wyciągnęła rękę w moją stronę.

— Silenzio! — wrzasnął, potrząsając nią gwałtownie, rozwścieczony Brązowy Jenkin. — Kurwa mać! Tais-toi! Bo wyrwę z ciebie flaki!

Nie mogę powiedzieć, że bym poczuł jakiś nagły przyływ odwagi. Przez głowę nie przeleciało mi nawet „co jest, do jasnej cholery!” A jednak odtrąciłem ramieniem Kezię Mason, skoczyłem na

sofę i kopnąłem Brązowego Jenkina w okolice obojczyka.

Jenkin wypuścił dziewczynkę i zaskrzeczał jeszcze przeraźliwiej. Wlepił we mnie swoje białe źrenice, rozszerzył nozdrza i ściągnął do tyłu wargi, a ja zeskoczyłem na podłogę i ciężko dysząc zacząłem krążyć wokół sofy. W przeciwieństwie do Brązowego Jenkina, którego zamiary wobec mnie były na pewno dokładnie sprecyzowane, nie miałem pojęcia, co robić dalej. Jenkin zwinął swoje czarne wargi niczym fragmenty pękniętego balonu i obnażył rzędy nierównych, poszczerbionych żółtych zębów, z całą pewnością dość ostrych, żeby rozedrzeć ciało do kości. Uskakiwałem na prawo i lewo, starając się, aby przez cały czas dzieliła nas sofa, ale nie było to takie łatwe. Brązowy Jenkin pojawiał się raz z jednej, raz z drugiej strony i działało się to tak szybko, że miałem chwilami wrażenie, jakbym cierpiał na halucynacje albo zachwianie rytmu biologicznego.

Albo nawet że wszystko to tylko sen.

— Bękart, bękart, rantipole-rider, oui? Pavian Saugling! Wyrwę z ciebie flaki, co? Rozerwę cię na strzępy, co? Zerschneiden, ja? — bełkotał niezrozumiale pełnym nienawiści głosem, a potem skoczył tak gwałtownie do przodu, że cofnąłem się szybko o dwa albo trzy kroki, zahaczyłem piętą o skraj paleniska i wywróciłem z potwornym brzękiem przybory do palenia w kominku.

— Cofnij się! — rozkazała Jenkinowi Kezia Mason. — Ten fagas jest mój. Wpadł mi w oko, rozumiesz?

Ale Brązowy Jenkin parsknął, zachichotał i znowu skoczył do przodu. Rozdarł rękaw mojej kurtki i poczułem przecinające skórę, ostre jak drut kolczasty pazury. Ból był tak dotkliwy, że przez ułamek sekundy wydawało mi się, jakby wyrwał mi ramię. Ale potem, łapiąc kurczowo powietrze, podniosłem rękę i uświadomiłem sobie, że skaleczenie jest dość powierzchowne.

— Davidzie? — jęknął Dennis Pickering, klęcząc z pustymi oczodołami i zakrwawioną twarzą na środku dywanu. — Nic ci się nie stało, Davidzie?

— Nic mi nie jest. Czuję się świetnie. Zaraz ci pomogę.

— Co się tutaj dzieje, Davidzie? Musisz nas stąd wydostać! Słyszysz mnie, Davidzie? Musisz nas stąd wydostać! To diabelskie miejsce, to diabelskie sztuczki!

— Och, zamknij w końcu jadaczkę, ty stary gamajdo! — wrzasnęła na niego Kezia. — Chcesz, żebym ci wyrwała płucka przez uszy?

Wbrew ostrzeżeniu Kezi Brązowy Jenkin znowu ruszył, chichocząc i kucając, w moją stronę. Ogarnięty paniką sięgnąłem za siebie i poczułem pod ręką ciężki pogrzechacz. Wzniesając tuman popiołu podniosłem go z paleniska, zamachnąłem się i zdzieliłem Jenkina w ramię. Rozległ się głuchy odgłos, zupełnie jakbym walnął w grubą welwetową poduszkę, i z długiego płaszcza posypał się na dywan gęsty deszcz miękkich i szeleszczących niczym sól białozółtawych wszy.

— Aggh! skurwiel, skurwiel! — wrzasnął Jenkin, tupiąc i kręcąc się w kółko. — Mój Schulterblatt gebroch!

Zamachnąłem się, żeby uderzyć go ponownie, ale kiedy ciężki czarny pogrzbacz znalazł się nad moją głową, Kezia Mason podniosła rękę i jakaś nadprzyrodzona siła wyrwała mi go z dłoni. Przeleciał z ostrym wysokim gwizdem przez pokój, wbił się z całej siły w drzwi i utkwiał w nich, drżąc jak struna.

— Lepiej się opanuj, Jenkin — ostrzegła ponownie Kezia. — Bo wpadnę w złość, ty kurdupłu. Ten dżentelmen należy do mnie.

Brązowy Jenkin zaczął się w odrażający sposób popisywać, chichocząc, sapiąc, szczerząc zęby i plując.

Odsunął się niechętnie ode mnie, rozsiewając wszędzie martwe wszy i gnidy i drapiąc się swymi okropnymi zakrzywionymi pazurami za uszami.

— Ich habe Schmerz, bellissima. Je suis malade. Okaż mi trochę serca. Hah! hah! hah!

— Wynoś się razem ze swoim robactwem! — zasyczała Kezia. Dosłownie zasyczała, niczym czajnik z gotującą wodą, i po raz pierwszy Brązowy Jenkin cofnął się naprawdę przestraszony.

W tej samej chwili — żałując prawie równocześnie, że się na to odważyłem — skoczyłem do przodu, próbując zbić go z nóg najsilniejszym, na jakie było mnie stać, pchnięciem zawodowego rugbisty. Boże wszechmogący, dwadzieścia lat, odkąd przestałem uprawiać ten sport, z wciąż brzęcącym mi w uszach nawoływaniem naszego trenera, pana Oeckena: „Atakuj, Williams! Atakuj, Williams! Atakuj!” — walnąłem z całej siły ramieniem w welwetowy surdut i naprężone niczym postronki szczurze mięśnie.

Jenkin wywrócił się, a ja kopnąłem go w spiczastą twarz, a potem potknąwszy się, skoczyłem w bok i złapałem w objęcia dziewczynkę.

Była o wiele cięższa, niż się spodziewałem. Straciłem równowagę, zatoczyłem się na zasłonę i wywróciłem.

Uratowało mi to prawdopodobnie życie — ponieważ kiedy padałem, młody pan Billings zamachnął się laską i uderzył w zasłonę tylko kilka centymetrów nad moją głową.

— Ani kroku dalej! — wrzasnęła Kezia. Ale w tej samej chwili, kiedy ruszyła ku mnie w unoszącej się w przeciągu białej sukni, Dennis Pickering uderzył się obiema pięściami w pierś.

— O Boże! — krzyknął na całe gardło. — Boże, dlaczegoś mnie opuścił?

Kezia zawahała się — i w tej samej chwili Dennis wysunął przed siebie na oślep obie ręce i złapał ją za suknię.

— Puszczaj, ty śmieciu! — wrzasnęła na niego. — Chcesz, żebym zatrzymała twój zegar?

— Ty bezbożna kreaturo! — ryknął na nią w odpowiedzi Dennis. Jego twarz sprawiała przerażające wrażenie — szara, pociągła, z purpurowymi pustymi oczodołami i umazanymi krwią

policzkami. Wciąż jednak trzymał i szarpał jej suknię, sunąc za nią na kolanach, kiedy próbowała się wyrwać.

— Davidzie! — zawołał. — Davidzie, ratuj się! Uciekaj! I ratuj tę dziewczynkę!

— Niech mnie kule biją, czy to nie prawdziwy święty męczennik? — nabijała się z niego Kezia.

— Puszczaj, klecho, bo wyrwę ci jaja tak samo jak oczy.

— O Boże! — jęknął Dennis. — Spraw, żeby to był tylko zły sen!

Mówiąc to dźwignął się z podłogi i uwiesił na Kezi, tak że oboje potknęli się o fotel i runęli ciężko na dywan. Podczas upadku biała suknia rozdarła się od góry do dołu, a kiedy Kezia kopiąc Dennisa w twarz i ramiona próbowała się uwolnić i stanąć na nogi, rozdarcie poszerzało się coraz bardziej, aż w końcu sięgnęła rozwścieczona obiema rękoma do tyłu, złapała się za kołnierz i rozerwała materiał do końca. Dennis Pickering pozostał na podłodze, zaplątany w kłęby białej przezroczywej materii — jęcząc, krwawiąc, modląc się, potrząsając głową i macając dywan, żeby odkryć, gdzie podziała się Kezia.

A ona potrząsnęła głową i odrzuciła do tyłu swoje ogniste włosy. Nie miała teraz na sobie nic oprócz niezwyklej kolekcji bandaży, węzłów i splecionych przepasek, które wrzynały się w jej piersi, dzieląc każdą z nich na cztery wybrzuszone białe części. Jej wychudzone ciało zostało tak mocno ściśnięte bandażami, że widziałem wystające zębra. Do bandaży na brzuchu przypięte były liczne metalowe znaki, kosmyki ciemnych włosów i przedmioty, które przypominały suszone grzyby, ale mogły być czymkolwiek, poczynając od trufli, a kończąc na ludzkich oczach. Między chudymi białymi udami miała wyłącznie zwiniętą opaskę, która wrzynała się głęboko w szczupłe pośladki i dzieliła jej rude włosy łonowe na dwa bliźniacze płomienie.

Kopnęła jeszcze raz bosą stopą Dennisa Pickeringa, a potem odwróciła się do mnie i spostrzegła, że trzymając w ramionach dziewczynkę zmierzam ukradkiem w stronę drzwi. Wyglądała jak wcielona furia.

Jej oczy ciskały pioruny, a usta ściągnięte były w grymasie skrajnej nienawiści.

— Nie wiesz, na co się porwałeś, fagasio — syknęła. — Igrasz z zegarami i strachem, a stawką w tej grze jest twoje własne życie.

Dziewczynka zaczęła się wic i szlochać w moich ramionach. Najwyraźniej nie rozumiała, że chcę ją uratować. Byłem dla niej tylko kolejnym wydzierającym się hałaśliwym dorosłym, który chciał ją gdzieś porwać. Przez chwilę myślałem, że wyrwie mi się z ramion.

— Przestań! — krzyknąłem.

W tej samej chwili Dennis Pickering ponownie odwrócił się do Kezi Mason, ślepy, ale pałający świętym gniewem.

— Wiedzmo! — ryknął na nią. — Wiem, kim jesteś! Wiedzumą z piekła rodem! Oblubienicą

Szatana!

— Głupcze! — wrzasnęła w odpowiedzi Kezia. — Wydaje ci się, że ktoś taki jak ty może nazwać kogoś takiego jak ja? Poczuj na sobie kciuk diabła, tłusty klecho!

Z przypominającą łasicę szybkością, od której gorące ciarki przeszły mi po plecach i karku, Brązowy Jenkin skoczył pod sofę, przeturlał się pod nią i wynurzył niczym zły duch z drugiej strony. Złapał Dennisa Pickeringa obiema rękoma za koszulę i rozdarł ją z głośnym trzaskiem razem z kamizelką, odsłaniając gruby biały brzuch i pozbawioną włosów pierś.

— O Boże, miej mnie w swojej opiece! — zawołał Dennis.

— Dieu, dieu, sauve-moi! — przedrzeźniał go Jenkin, chichocząc i wdychając szeroko rozwartymi nozdrzami powietrze.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknąłem wysokim, napiętym głosem.

Ale Jenkin rozrywał już z lubieżną przyjemnością pasek, spinający czarne spodnie pastora. A potem, bez wahania, cofnął prawe ramię i wbił wszystkie pięć pazurów w miękką białą fałdę na jego podbrzuszu.

Widziałem, jak się zagłębiają: aż po szare wąskie koniuszki palców Brązowego Jenkina.

— Nie! Nie! — krzyknął Dennis Pickering, próbując odsunąć od siebie Jenkina, ale ten machnął wściekle na krzyż drugą ręką, przecinając pastorowi skórę na piersi i policzku i otwierając arterię na lewym nadgarstku. Cały pokój zalały strumienie krwi: krew zachlapała dywan, sofę i nawet okna. Poczułem coś ciepłego i mokrego na twarzy, coś, co przypominało zapowiadające letnią burzę krople deszczu.

— Blut und Tranen! — zaskrzeczał Brązowy Jenkin. — Je sais que mój Odkupiciel żyje!

— Kciuk diabła! — zawołała z triumfem Kezia Mason. — To zawsze oznacza krew!

Brązowy Jenkin podniósł się z podłogi. Na pół stojąc, na pół kuczając oparł lewą rękę o ramię Dennisa Pickeringa, żeby nie stracić równowagi, a potem pociągnął drugą rękę do góry, otwierając brzuch pastora pięcioma równoległymi cięciami, krojąc go niczym miękkie ciasto na grube wstęgi.

Dennis Pickering zawył z bólu i zaczął miotać na wszystkie strony głową w potwornej, niewyobrażalnej agonii.

— Was ist los, Pfarrer? Pourquoi, pourquoi crie-toi? — zachichotał Brązowy Jenkin. Kręcąc zakrwawionymi pazurami wywlókł na zewnątrz wnętrzności Dennisa Pickeringa, które stłoczone i śliskie wypadły na podłogę. Gorące i zakrwawione żółtawe jelita; wciąż zaciskający się i rozszerzający czerwony żołądek; purpurowa wątroba i cała masa innych parujących, trzęsących się jak galareta organów, których nie potrafiłem rozpoznać. Najgorszy ze wszystkiego był dojrzały, przypominający proch strzelniczy zapach krwi i ludzkich wnętrzności. Gardło mi się zacisnęło i nie mogłem opanować gwałtownych torsji. Dziewczynka, którą trzymałem w ramionach, przytuliła się do

mnie mocniej.

Dennis Pickering nagle przestał krzyczeć. Sięgnął w dół, łapiąc się za brzuch i nie potrafiąc zrozumieć, co takiego mu się przydarzyło. Podniósł w górę ociekającą, ciężką stertę własnych wnętrzności, a mnie przypomniał się w tym dziwnym momencie afrykańscy czarownicy, którzy potrafią przepowiadać przyszłość, studiując jelita zabijanych w ofierze zwierząt. Dennis Pickering musiał w tej chwili z przerażającą pewnością ujrzeć własną przyszłość. Praktycznie rzecz biorąc, był już prawie martwy. Odrzucił do tyłu głowę i wydał z siebie ryk rozpaczony i strachu, niepodobny do niczego, co słyszałem w swoim życiu.

— Zamknij jadaczkę, klecho! — wrzasnęła na niego Kezia.

Brązowy Jenkin pochylił do przodu swą przylizaną głowę i ugryzł Dennisa Pickeringa prosto w usta, natychmiast go uciszając. Przez krótką chwilę wydawało się, że ich wargi zetknęły się w przerażającym, szkaradnym pocałunku, ale potem Brązowy Jenkin potrząsnął dziko głową, niczym rozrywający królika terier, i odgryzł Dennisowi wargi, policzek i połowę zębów razem z dziąsłami. Patrzyłem na zakrwawioną szczękę pastora z wciąż tkwiącymi w niej pozostałymi zębami.

— Dostyc tego! Na miłość boską, skończ z tym i zabij go! — krzyknął młody pan Billings, kiedy Jenkin pochylił się, żeby ponownie ugryźć Pickeringa.

Kezia Mason odwróciła się, przyglądając z otwartą nienawiścią stojącemu pod ścianą w drugim końcu pokoju Billingsowi.

— Niedobrze ci się robi na widok krwi, Panie Mądralo?

Dennis Pickering przewrócił się na bok i trzęsąc w agonii leżał na dywanie, z głową skrytą za jednym z krzesel.

— Zabij go, na litość boską! — powtórzył młody pan Billings, dając krok do przodu. Ale Jenkin — z zakrwawioną twarzą i zabarwionymi szkarłatem mankietami — wytarł tylko brudną szarą chusteczką usta i stał nieruchomo w miejscu.

Wtedy właśnie postanowiłem wziąć nogi za pas. Wiedziałem, że za krótką chwilę uwaga Kezi Mason znów skoncentruje się na mnie — a kiedy to się stanie, szansę ucieczki będą równe zeru. Zarzuciłem sobie dziewczynkę na ramię i tupiąc ciężko ruszyłem ku drzwiom — przekręcając klamkę, zanim Kezia zdążyła rzucić na nią urok.

— Wracaj! — zaskrzeczała.

Drzwi zatrzasnęły się — ale o ułamek sekundy za późno. Uderzyły mnie tylko w ramię, na chwilę pozbawiając równowagi. Potykając się przebiegłem dwa albo trzy kroki przez hol, a uszy rozdzierały mi przenikliwe wrzaski Kezi i zawrodożenie dziewczynki, która nagle znowu zaczęła płakać ze strachu.

— Latające szkło! Latające dzbany! — wykrzyknęła Kezia i wszystkie wiszące na ścianach rysunki i ilustracje zaczęły fruwać w powietrzu, uderzając mnie w głowę, twarz i ramiona ostrymi

ramami i gradem tłukącego się szkła. W jakiś sposób udało mi się jednak przebiec korytarz, co okupiłem paroma tylko zadrapaniami. Pognałem w górę schodów z szybkością, która zadziwiła mnie samego.

Wbiegłem na pierwsze piętro i minąłem drzwi prowadzące na strych. Przez krótką chwilę miałem ochotę otworzyć je i pobiec prosto na górę, ale domyśliłem się, że jeśli wejdę tam tą drogą, to nadal pozostanę w czasie, w którym znajdował się Brązowy Jenkin. Żeby powrócić do mojego własnego czasu, musiałem użyć włazu, przez który tu zszedłem.

Słyszałem dochodzący z holu chrobot pazurów ścigającego mnie Jenkina.

— Łap go, Jenkin, bo będę cię przypiekać na wolnym ogniu! — wrzeszczała Kezia.

Dobiegłem do mojej sypialni, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem je na klucz. To powinno dać mi minutę albo dwie, a minuta albo dwie była wszystkim, czego potrzebowałem. Łapiąc kurczowo oddech postawiłem na podłodze dziewczynkę, która drżała cała, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

— Wszystko w porządku — zapewniłem ją. — Zaraz będziesz bezpieczna.

Przesunąłem na środek pokoju fotel, wdrapałem się nań, a potem pochyliłem się, wziąłem pod ramiona dziewczynkę i podniosłem ją do góry.

— Spróbuj złapać się tego włazu... — powiedziałem. — Bardzo dobrze... trzymaj się mocno.

Usiłując wdrapać się na górę znowu zaczęła płakać.

— No dalej! — popędzałem ją. — Musisz się tylko podciągnąć. Bardzo dobrze.

Wciąż wisiała w powietrzu, kiedy usłyszałem na korytarzu głośny chrobot pazurów, a w chwilę potem potężny łomot. Brązowy Jenkin uderzył ramieniem w drzwi. Framuga zatrzęsała się i z zamka wyskoczył klucz, spadając z żalosnym brzękiem na podłogę z surowych desek.

— Ouvrez! Ouvrez! — skrzeczał Jenkin. — Mach die Tur auf, skurwielu, skurwielu!

Przerażona dziewczynka dostała spazmów i puściła obramowanie włazu, przechylając się gwałtownie w bok, przez co o mało nie spadłem z fotela.

— Otwieraj, bękarcie, merde, merde! — wrzeszczał Jenkin, szarpiąc wściekle za klamkę i kopiąc w drzwi. Jedna z dolnych listew pękła na pół i Jenkin kopnął ją ponownie.

— Pośpiesz się! — popędzałem dziewczynkę, ponownie podnosząc ją w górę. Mogła być mała i niedożywiona, ale ważyła wystarczająco dużo, żebym dostał zadyszki.

— Wydrę z ciebie flaki, bękarcie!

Brązowy Jenkin kopał, walił i potrząsał drzwiami. W ich górnym panelu również pojawiła się

wąska szpara. Dziękowałem Bogu, że w czasach wiktoriańskich budowano tak solidne drzwi.

Dziewczynka próbowała ponownie wdrapać się na górę. Podniosłem ją tak wysoko, jak tylko mogłem, mimo że o mało nie udusiła mnie jej bielizna, przesycona słodkawokwaśnym zapachem, przypominającym lawendę i strużyny ołówka.

— No dalej! — błagałem ją. — Jeśli naprawdę się postarasz, na pewno ci się uda!

Ale mała najwyraźniej nie miała dość siły i charakteru. A kiedy Brązowy Jenkin wybił kolejną, przypominającą literę V szparę w drzwiach, rozluźniła po prostu palce i pochyliła głowę, tak jakby pogodziła się z tym, że wyrwie z niej flaki i rozerwie na strzępy.

— Postaraj się, na litość boską! — krzyknąłem. — Jeśli się nie postarasz, złapie nas Brązowy Jenkin!

Drzwi otwierają się na oścież — i wpada do środka — z długimi czerwonymi nogami.

Zobaczyłem wyłaniające się spomiędzy popękanych desek pazury. Jenkin rzucał się prawie samobójczo na drzwi, wściekając się i skrzecząc, i wiedziałem, że jeśli nas dopadnie, nie możemy liczyć nawet na chwilę zmiłowania tak krótką jak ta, której doczekał się Dennis Pickering. Rozerwie nas na strzępy niczym piła tarczowa.

— Proszę, postaraj się! — błagałem dziewczynkę, ale ona tkwiła, ciężka, bezwładna i nieruchoma, w moich ramionach. Wiedziałem, że jeśli nie złapie się włazu, nie zdołam jej długo utrzymać. Pomyślałem o Dannym i Janie i pomyślałem także o Liz. Przyszła mi do głowy tchórzliwa i haniebna myśl, że być może powinienem ratować się sam i zostawić dziewczynkę w sypialni.

Co takiego powiedział Dennis Pickering? Jeśli przeniesiemy ją w rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi, będzie miała ponad sto lat. Zabijemy ją tak samo skutecznie jak Kezia Mason, a może jeszcze bardziej okrutnie!

Z drzwi wypadła cała listwa i kiedy obróciłem się przez ramię, zobaczyłem wpatrującego się we mnie z mroku korytarza Brązowego Jenkina. Jego oczy przypominały główki od gwoździ, a zęby potłuczone butelki od mleka. Pazury, które pojawiły się w szparze, zaczęły, chrobocząc o drewno, szukać klamki.

— Włóż na górę! — wrzasnąłem na dziewczynkę. — Na litość boską, włóż!

Wtedy właśnie wydarzył się cud. W otworze włazu nad moją głową pojawiła się twarz Liz, obrysowana padającym ze strychu szarym światłem.

— Davidzie? — zawołała. — Co się stało? Usłyszałam twoje krzyki.

— Pomóż jej się wdrapać — powiedziałem słysząc, jak Brązowy Jenkin szarpie z wściekłością za klamkę.

— Co?

— Nie może się sama wdrapać, nie ma siły! Proszę, pomóż jej się podciągnąć!

Liz wychyliła się przez właz i złapała dziewczynkę za nadgarstki.

— No dalej — zachęcała ją. — Na pewno ci się uda.

— Liz! — wrzasnąłem. — Na litość boską, pośpiesz się!

— Staram się jak mogę — odkrzyknęła. — Nie jestem Arnoldem Schwarzeneggerem.

Dziewczynka, bezwładna niczym worek soczewicy, dała się unieść z moich ramion i pociągnąć w stronę włazu. Starłem się ulżyć trochę Liz, pchając w górę stopy małej. Przez krótki krytyczny moment wydawało mi się, że Liz dała za wygraną: była w końcu niewiele większa i cięższa od tego dziecka.

Ale potem specjalnie wywróciła się do tyłu, a dziewczynka wsunęła się za nią przez właz, z podrapanymi kostkami, ale żywa i bezpieczna. W końcu najboleśniej otarta kostka była lepsza od najmniejszej rany, którą mógł zadać Brązowy Jenkin.

— Bę-kart-ci-pa-was-za-raz-na-śmierć! — zaskrzeczał Jenkin.

Podskoczyłem w górę, złapałem się obramowania włazu i przez krótki moment kołysałem bezradnie w powietrzu. Mimo że powinienem poszybować w górę niczym korek od szampana, byłem najwyraźniej zbyt stary i słaby, by wdrapać się na strych. W końcu jednak uniosłem się trochę, stęknąłem i podciągnąłem z wielkim trudem. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy oparłem łokcie o skraj obramowania, drzwi otworzyły się z potwornym hukiem i do środka wpadł Jenkin — szybki, brudny i ciemny jak noc. Nie poczułem nawet, jak ciachnął mnie w nogę — ale potem spojrzałem w dół i zobaczyłem wbijające się w mój brązowy but pazury i krew, która kapiała na fotel, podłogę i samego Jenkina.

Kopnąłem go. Brązowy Jenkin wgramolił się na fotel i próbował złapać mnie za nogi. Kopnąłem go ponownie i tym razem stracił równowagę i zwałił się z głuchym odgłosem na podłogę.

— Mam cię, bękarcie, ohne Zweifel! — wrzasnął.

Ale ja opierałem już kolano o skraj otworu. Podciągnąłem się w górę, przeturlałem na bok po podłodze strychu, a potem nie patrząc w dół zatrzasnąłem błyskawicznie klapę i zasunąłem rygle.

W tej samej chwili otoczyła mnie kompletna ciemność. Nie ruszałem się z miejsca, klęcząc obok włazu, ale stopniowo docierało do mnie, że na strych powróciły wszystkie graty, które wypełniały go w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim: skrzynie, krzesła, komody, wysokie lustra i nawet koń na biegunach. Być może kluczem otwierającym drzwi do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego było odsunięcie rygli — być może podniesienie klapy. Cokolwiek nim było, nie zamierzałem posłużyć się tym ponownie. W zupełności wystarczyła mi jedna wizyta w świecie Brązowego Jenkina, Kezi Mason i młodego pana Billingsa.

Zmęczony i pokiereszowany podniosłem się, wziąłem głęboki oddech, a potem szurając nogami

ruszyłem w stronę schodów. Na strychu nie było dzięki Bogu zupełnie ciemno — Liz zostawiła otwarte drzwi, ale po jasnym szarym świetle dnia z zeszłego stulecia i tak trudno się było przyzwyczać do mroku.

Zszedłem na pierwsze piętro i zamknąłem za sobą drzwi. Liz czekała na mnie na podeście, trzymając za rękę dziewczynkę; za jej plecami stał pobladły Danny.

— No i co? — zapytała, drżąc z emocji.

— Co z czym?

— Dobrze się czujesz? Nic ci się nie stało?

— Nie, nic mi nie jest. To znaczy, mam skaleczoną nogę, ale to nic wielkiego. Dobrze, że miałem na nogach wysokie buty.

— A gdzie pastor?

— Słucham?

— Pastor, pan Twittering, czy jak tam się nazywa...

— A, pan Pickering. Dennis Pickering.

— No właśnie, Dennis Pickering. Gdzie się podział? I co to było za stworzenie tam na dole, to straszne, skrzeczące stworzenie? Czy to był Brązowy Jenkin?

— Tak, to on. Trochę go zdenerwowałem, to wszystko.

— Jezus. Jeśli tak wygląda, kiedy jest zdenerwowany, nie chciałabym się z nim spotkać, kiedy ma mordercze zamiary.

— Nic się nie stało, naprawdę. Jest czymś w rodzaju psa obronnego, to wszystko. Trochę się wściekł.

— Cały drżysz.

— Nie, nie, czuję się świetnie.

— Więc gdzie jest Dennis Pickering?

— On też się czuje świetnie. On... — zacząłem, ale potem zdałem sobie sprawę, jak intensywnie wpatruje się we mnie Danny i jak uważnie słucha. Jeśli powiem teraz, co się naprawdę wydarzyło, do końca życia będą go dręczyły koszmary. Tak jak będą dręczyć mnie. Nie wydawało mi się, żebym kiedykolwiek w życiu zapomniał widoku pazurów Brązowego Jenkina, które wbiły się w tłuste podbrzusze Dennisa Pickeringa, a potem sunęły w górę, tnąc zakrwawione błony i warstwy białego miękkiego tłuszczu.

— Postanowił zostać tam jeszcze trochę dłużej, po prostu na wszelki wypadek — wyjaśniłem.
— Ma bardzo dobre podejście do dzieci, rozumiesz?

— Jak długo to jeszcze potrwa?

— Ja... zaraz ci wszystko wyjaśnię. Ale może zajmiemy się najpierw dziećmi.

— Czy tam naprawdę był dzień, Davidzie? — zapytała.

— Tak, tam był naprawdę dzień. Była naprawdę jesień. I z tego, co się zorientowałem, był naprawdę rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty. To nie jest żadna sztuczka, Liz. Można hałasować i straszyć po nocy, ale nie sposób zmienić pory dnia. Nie sposób zmienić pory roku.

Rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę drzwi na strych.

— Czy na pewno żaden stwór stamtąd nie wyskoczy?

— Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem.

Zasunąłem zatrask przy drzwiach. Nie był pewnie dość solidny, żeby powstrzymać Brązowego Jenkina, gdyby naprawdę chciał nas ścigać, ale powinien nam przynajmniej zapewnić coś w rodzaju ostrzeżenia.

Ukląknęłam przy dziewczynce. Miała wychudłą twarz i jasnosłomkowe jak agaty oczy. Dennis Pickering mylił się — podróż w czasie wcale jej nie zaszkodziła — takie przynajmniej odniosłem pierwsze wrażenie. Mimo to czułem się bardzo osobliwie, klęcząc przy kobiecie, o której wiedziałem, że jest osiemdziesiąt lat starsza ode mnie. Czy to wszystko było dziełem Boga, czy Szatana, czy też czegoś całkiem innego — czegoś tajemniczego, nieznanego i obdarzonego olbrzymią mocą?

— Jak się nazywasz? — zapytałem.

Wlepiła we mnie przestraszone oczy, ale nic nie odpowiedziała.

— Na pewno potrafisz powiedzieć, jak się nazywasz.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Danny dał krok do przodu i stanął tuż obok niej.

— Skąd ona się wzięła? — zapytał. — Wygląda dziwnie, zupełnie jak Słodka Emmeline.

— Wydaje mi się, że jest chyba koleżanką Słodkiej Emmeline — powiedziałem. — Znasz może Słodką Emmeline? — zapytałem, zwracając się do dziewczynki.

Kiwnęła głową. To był już jakiś postęp.

— Co stało się ze Słodką Emmeline? — zapytałem.

— Brązowy Jenkin — szepnęła. A potem dodała coś, czego nie dosłyszałem.

— Brązowy Jenkin? Brązowy Jenkin zrobił coś? Co zrobił Brązowy Jenkin?

— Brązowy Jenkin zabrał ją ze sobą.

— O mój Boże — jęknęła Liz. — Uważam, że powinniśmy naprawdę zawiadomić policję.

— Chwileczkę — przerwałem jej. — Dokąd ją zabrał Brązowy Jenkin?

Dziewczynka zasłoniła oczy lewą dłonią, a potem wykonała palcami prawej dziwny gest, przypominający wchodzenie po schodach.

— Na górę?

Kiwnęła głową, wciąż zasłaniając dłonią oczy.

— No dobrze, a potem co takiego zrobił?

— Odmówił swoje modlitwy.

— Rozumiem.

— Odmówił swoje modlitwy i zabrał Słodką Emmeline na górę, a potem dalej, na wskroś i w dół.

Opisywała coś, co z pewnością potrafiła sobie wyobrazić, ale dla mnie brzmiało jak czarna magia.

— Kiedy mówisz „na górę”, to co masz dokładnie na myśli? Na górę, na strych?

Znowu pokiwała głową.

— A potem dokąd?

Zaczerpnęła szybko powietrza.

— Potem dalej, na wskroś i w dół.

— Rozumiem. — Zapędziła mnie w ślepy zaułek. „Dalej, na wskroś i w dół” mogło oznaczać wszędzie, zwłaszcza że Brązowy Jenkin wydawał się przenosić w czasie z łatwością wysuwającego się zza kurtyny aktora.

— Czy wiesz może, po co ją tam zabrał? — zapytałem.

Potrząsnęła potakująco głową.

— Zabrał ją na piknik.

— Powiedział, że ciebie także zabierze na piknik, prawda?

Kiwnęła głową.

— Nie uwierzyłaś mu?

— Nie wiem. Edmond powiedział, że Brązowy Jenkin zabiera dzieci i ukrywa je w miejscu, gdzie nie dogonią ich nawet zegary.

Emmeline. Zniknęła tydzień temu i nikt się nie natknął...

— Gdzie to może być, twoim zdaniem?

— Nie wiem.

— Na miłość boską, Davidzie, powinniśmy chyba zadzwonić do tego policjanta — powiedziała Liz.

— Nie mam pojęcia, co takiego robią ci ludzie, ale sami nie damy sobie chyba z nimi rady...

— Ludzie? — zapytałem, odwracając głowę.

— Ludzie, duchy, szczury... czymkolwiek są.

Przed oczyma stanął mi Brązowy Jenkin rozrywający brzuch Dennisa Pickeringa. Nie wydawało mi się, żeby dziewczynka w ogóle to widziała — a jeśli nawet widziała, żeby rozumiała, co się stało. Mnie też to całkowicie zaskoczyło — jaskrawa absurdalność całej sceny. Przed chwilą jeszcze Dennis Pickering pokazywał po prostu pulchne białe podbrzusze — a w następnej sekundzie trzymał w rękach śliskie nieposłuszne wnętrzności.

Denis Pickering nie żył. Po prostu nie mógł tego przeżyć. Ale kiedy właściwie zmarł? Jeśli wciąż znajdował się w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym, w takim razie stało się to na długo przedtem, zanim się narodził. A mała dziewczynka w fartuszkach i halkach wciąż żyła — mimo że powinna umrzeć dawno temu. Jako chłopiec wyczytałem w powieściach science fiction, że podróże w czasie obfitują w paradoksy: ludzie cofają się na przykład w czasie i spotykają samych siebie, kiedy byli młodszy; albo zabijają swoich ojców, względnie odwiedzają swoje własne groby — ale aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak piekielnie to wszystko jest skomplikowane.

Usłyszałem jakiś chrobot na strychu. A potem cichy odgłos, jakby ktoś włókł coś po podłodze; i kolejny chrobot.

— Wydaje mi się, że powinniśmy zejść na dół — powiedziałem, czując, jak ogarnia mnie nagłe przerażenie na myśl o skradającym się z brzuchem przy podłodze kosmatym Jenkinie.

Zeszliśmy do kuchni. Idąc korytarzem, rzuciłem okiem na fotografię Fortyfoot House, ale

wyglądała zupełnie normalnie: tak jakby się nigdy nie zmieniała. Pod wpływem stresu i alkoholu człowiek widzi nieraz różne dziwne rzeczy.

Otworzyłem lodówkę, wyjąłem z niej butelkę wina i odkręciłem nakrętkę. Dopiero kiedy próbowałem nalać wino do szklanki, zdałem sobie sprawę, jak bardzo drżą mi ręce.

— Uważasz, że pastor jest tam całkiem bezpieczny? — zapytała Liz.

— Tak, oczywiście, nic złego mu się nie stanie.

— Ale co on tam właściwie robi? Jak tam w ogóle jest?

Rozlewając wino na blat napełniłem do połowy szklankę i wypilem je duszkiem, nie mogąc opanować wściekłego drżenia rąk.

— Zupełnie tak samo jak tutaj, naprawdę. Żadnej różnicy. To znaczy, inne są meble, lepiej utrzymany ogród. Wszystkie ściany wyłożone są boazerią. Ale poza tym wszystko jest takie samo.

— Czy spotkałeś kogoś oprócz tej małej? I oczywiście Brązowego Jenkina?

— Spotkałem młodego... młodego pana Billingsa.

— Naprawdę? Rozmawiałeś z nim?

— Trochę. Wydawał się... wytrącony z równowagi. Wiesz, jakby trochę nieobecny duchem.

— Ale rozmawiałeś z nim! To zdumiewające.

— Tak, to zdumiewające. Wciąż nie mogę w to sam uwierzyć.

Liz zapytała małą, czy ma ochotę na trochę mleka i herbatniki. Dziewczynka kiwnęła głową i Danny zaprosił ją do stołu.

— Co zrobiłeś, że Brązowy Jenkin tak bardzo się zdenerwował? — zapytała Liz, nalewając mleko do dwóch szklanek. Dziewczynka wpatrywała się zafascynowana w mleko w kartonie, a jeszcze bardziej zaintrygowała ją lodówka. Zdałem sobie nagle sprawę, że sprowadziłem ze sobą dziecko, które urodziło się przed epoką radia, telewizji, samolotów, plastiku, szeroko rozpowszechnionej elektryczności i prawie wszystkiego, co uważamy dzisiaj za oczywiste.

Usiadłem przy kuchennym stole i patrzyłem, jak je i pije. Szok po śmierci Dennisa Pickeringa sprawił, że zaczęło mnie powoli ogarniać dziwne odrętwienie, tak jakbym znajdował się zupełnie gdzie indziej.

Słyszałem głos Liz, ale miałem wrażenie, jakby dochodził z drugiego pokoju. Dziewczynce przypadły bardzo do gustu podane przez Liz czekoladki Mc Vitie i zjadła ich po kolei sześć, zapychając sobie buzię.

Danny spojrział na mnie i uniósł w górę prawą brew, naśladując Freda Savage z „Cudownych lat”.

— W tej chwili wolałbym nie mówić nic na temat Brązowego Jenkina — powiedziałem. — Nie jest w każdym razie istotą, która pojawia się w przyjemnych snach.

— Czy to szczur? — zapytał Danny.

Zaprzeciłem ruchem głowy. Wiedziałem, że muszę otrząsnąć się z odrętwienia.

— Wygląda jak szczur, ale ubiera się jak chłopiec. Jest brudny, obrzydliwy i śmierdzi. Nie wiem dokładnie, czym jest. Ale mówi ludzkim głosem. Posługuje się mieszaniną angielskiego, francuskiego, niemieckiego i jeszcze jakiegoś zupełnie innego języka, więc musi być chyba człowiekiem.

— Nie chciałam iść z nim na piknik — odezwała się stanowczo dziewczynka.

— Dlaczego? — zapytał Danny. — Ja lubię jeździć na piknik.

Ale dziewczynka energicznie pokręciła głową.

— Jeśli wybrałbyś się na piknik z Brązowym Jenkinem, nigdy już byś nie wrócił i wykopaliby ci grób.

— Mówiłam, że powinniśmy porozmawiać z tym policjantem — stwierdziła Liz. — Jeżeli ci ludzie porywają dzieci, musimy ich powstrzymać.

— Zgadzam się — odparłem. — Absolutnie się z tobą zgadzam. Ale kiedy oni porwali te dzieci? Dzisiaj? Wczoraj? Jutro? Sto lat temu?

— A ta mała dziewczynka, która zaginęła w Ryde? A brat Harry’ego Martina?

— Ciekawe, jak mam przekonać detektywa sierżanta Millera, że nie jestem skończonym wariatem?

Czy mamy na to wszystko jakieś dowody? Nie. A dopóki nie mamy dowodów, pierwszą myślą, która przyjdzie policji do głowy, będzie, że to ja porwałem te wszystkie dzieciaki. Mamy tu nawet jedną nieznaną dziewczynkę. Nie potrafię sensownie wytłumaczyć, skąd się wzięła i co tutaj robi. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

— Charity — odezwała się wyraźnym głosem dziewczynka. — Nazywam się Charity Welbeck.

— No... to już jest coś — powiedziałem. — Miło cię poznać, dobry wieczór, Charity Welbeck. Pozwolisz, że powitam cię w drugiej połowie dwudziestego wieku.

— Czy ona z nami zostanie? — zapytał Danny.

— Naprawdę nie wiem. Tak mi się wydaje. Nie wyobrażam sobie, dokąd mogłaby stąd pójść.

— Nauczę ją łowić ryby — stwierdził Danny. — I będziemy urządzać razem wyścigi krabów.

— Dlaczego nie porozmawiamy o tym wszystkim jutro rano? — zasugerowałem. — Teraz pora już spać.

Liz wstała z krzesła.

— Zrobię im kąpiel. Charity może pożyczyć na noc jedną z moich bluz.

Danny obszedł kuchenny stół i pocałował mnie.

— Dobranoc, Zacko McWhacko — powiedziałem.

— Powiedz nam szkocką rymowankę — poprosił.

Potrząsnąłem głową.

— Nie dzisiaj. Naprawdę nie jestem w nastroju.

— Och, proszę. Charity nigdy jej nie słyszała.

— Szczęśliwa dziewczyna — wtrąciła Liz.

— Och, tato — marudził Danny.

— Możesz jej sam powiedzieć — zaproponowałem.

Danny pomaszerował pierwszy w stronę schodów, wymachując energicznie rękoma, a po chwili usłyszałem jego śpiew:

Kochamy nasz kozuch na mleku, nie damy go zdjąć nikomu,

I co dzień rano biegniemy na dwór sprawdzić, czy nie ma nas w domu.

Normalnie powinienem się w tym momencie uśmiechnąć. Ale tej nocy nie potrafiłem zdobyć się na uśmiech. Zabity został Dennis Pickering. Tylko cudem udało mi się uratować Charity. A stworzenie, które o mało mnie nie dopadło, było bardziej odrażające i krwiożercze od każdego potwora, jakiego potrafiłem sobie wyobrazić.

Usiadłem ze zdrtwiałymi mięśniami przy kuchennym stole i nie wiedziałem po prostu, co mam robić dalej.

ROZDZIAŁ XIII

Zjawa

Nakładałem właśnie na stopę największy, jaki znalazłem, plaster, kiedy do łazienki weszła Liz. Ubrana była w krótką nocną koszulkę od Marksa i Spencera z wymalowaną z przodu Minnie Mouse.

— Paskudnie wygląda — stwierdziła.

Odwinąłem z powrotem plaster, żeby pokazać jej całą ranę. Dwa pazury Jenkina przecięły niczym noże cholewkę buta i wbiły się na głębokość centymetra w bok stopy. Skaleczenia bolały jak wszyscy diabli i prawie całą godzinę zajęło mi zatamowanie upływu krwi.

— Powinieneś wziąć zastrzyk przeciwtężcowy — powiedziała. — Jeśli ten Jenkin jest tak niechlujny, jak mówisz, może się wdać zakażenie.

— Zobaczę, jak to będzie wyglądało jutro rano — obiecałem.

Podniosła nocną koszulkę i ściągnęła ją przez głowę. Naga, z kołyszącymi się piersiami, pochyliła się nad wanną i zanurzyła palce w pianie.

— Gorąca jak diabli. Musisz mieć twardą skórę.

— Japończycy zawsze kąpią się w prawie wrzącej wodzie.

— Tak, i jedzą surowe krewetki, co wcale nie oznacza, że muszą brać z nich przykład.

Dolała trochę zimnej wody i zanurzyła się w wannie.

— Czy dzieci już śpią? — zapytałem.

— Kamiennym snem. Biedna mała Charity zasnęła, kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

— Chciałbym wiedzieć, co mam z nią teraz zrobić.

Liz namydliła kark i ramiona.

— Nie rozumiem, dlaczego ją w ogóle stamtąd zabrałeś. Ta mała nie należy do naszej rzeczywistości.

— Zabrałem ją, bo Brązowy Jenkin miał zamiar wybrać się z nią na jeden ze swoich pikników.

— Nie możesz igrać z czasem i przestrzenią, Davidzie. Nie możesz bawić się w Pana Boga. Nie wiem, jak to zrobiłeś i czy w ogóle naprawdę to zrobiłeś, ale wygląda na to, że sprowadziłeś w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi rok dziewczynkę z epoki wiktoriańskiej. Jak ona sobie tu poradzi? Teraz czuje się dobrze, ale nie widziała jeszcze telewizji. Nie była na dworze. Co sobie,

twoim zdaniem, pomyśli, kiedy nad głową przeleci jej jumbo-jet?

Wstałem i pokuśtykałem do umywalki. W wiszącym nad nią zaparowanym lustrze wydawałem się o wiele mniej zmęczony, niż byłem. W gruncie rzeczy wydawałem się niemal prawdziwy. Czubkiem palca narysowałem na zamglonej tafli okulary i spojrzałem przez nie.

— Jak długo ma tam zamiar zostać Dennis Pickering? — zapytała Liz.

Nie odpowiedziałem od razu, ale stałem wpatrując się w swoje odbicie w lustrze i słuchając plusku wody. Moje okulary z pary zaczęły nabiegać łzami.

— Okłamałem cię — powiedziałem w końcu. — Dennis Pickering nie żyje.

— Co? Davidzie! Davidzie... spójrz na mnie! Co to znaczy „nie żyje”?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Zabił go Brązowy Jenkin. Ściśle rzecz biorąc, wypatroszył. To było okropne.

— O mój Boże! Davidzie! To już trzecie morderstwo!

Pochyliłem głowę. Z otworu odpływowego wynurzył się niepewnie wielki pajak. Patrzyłem, jak dotyka nogą śliskiego chromu.

— Próbowałem zawzięcie przekonać samego siebie, że Harry Martin i Doris Kemble padli ofiarą nieszczęśliwego wypadku — powiedziałem. — Ale zobaczyłem, jak Brązowy Jenkin zabijał Dennisa Pickeringa, to się działo na moich oczach, i uważam, że Jenkin zabił również Harry’ego Martina i Doris Kemble.

Harry ze zdartą ze skóry twarzą. To nie były żadne haki. Doris Kemble pocięta niczym torba na zakupy.

Ona wcale się nie poślizgnęła. A teraz doszedł do tego wielebny Dennis Pickering, niech Bóg ma go w swojej opiece.

— Chcesz wezwać policję? — zapytała.

— W jakim celu? — odparłem, odwracając się w jej stronę. — Co im powiem? Że pastor zamordowany został przed stu laty?

— W takim razie ja im to powiem!

— Naprawdę? Wtedy oni zapytają cię, gdzie został zamordowany.

— A gdzie został zamordowany?

— W salonie. Potem zapytają cię, kto go zamordował, a ty powiesz, że stworzenie podobne do szczura.

Potem zapytają cię, kiedy to się stało, a ty powiesz im, że w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym.

Aha, i przy okazji sprowadziliśmy stamtąd sierotkę, która nigdy nie widziała aeroplanu ani podwójnej polewy batoników Marsa i która nigdy nie słyszała o Dzieciakach z Bash Street ani o Wojowniczych Żółwiach Ninja.

Liz przez cały czas mydliła powoli piersi. W końcu znieruchomiła i spojrzała na mnie, nie mówiąc ani słowa.

— Przykro mi — powiedziałem. — Ale jeśli samemu trudno mi w to uwierzyć, jak możemy spodziewać się, że uwierzy w to policja? Nie możemy pokazać im ani jednej plamy krwi na dywanie, nie mówiąc już o zwłokach.

— Nawet gdybyśmy przeszli z powrotem przez ten właz?

— O nie! — odparłem. — Nigdy w życiu nie będziemy już przechodzić przez ten właz. Zaryglowałem go i nigdy więcej nie otworzę.

— Ale może odzyskalibyśmy ciało. Na pewno go jeszcze nie pogrzebali. A wtedy moglibyśmy udowodnić, że jest nieżywy; że został zamordowany; i że my tego nie zrobiliśmy.

— Nie — odpowiedziałem. — Nie przejdziemy przez ten właz i kropka.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. To, czego doświadczyłem tej nocy, ostatecznie przekonało mnie, że zdecydowanie zbyt długo odkładaliśmy nasz wyjazd z Fortyfoot House. Cokolwiek tu się działo, nie miałem na to najmniejszego wpływu i w gruncie rzeczy nie powinienem był się w to mieszać — nawet jeśli pastor, szcziurołap i właścicielka kawiarni zostali z rozmysłem zamordowani i nawet jeśli Charity i inne sieroty z Fortyfoot House znajdowały się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Założyłem spodnie od piżamy i uchyliłem drzwi sypialni. Z pokoju mojego syna dobiegały ożywione głosy: Danny i Charity rozmawiali ze sobą. To tyle, jeśli chodzi o ich kamienny sen. Stawiając ostrożnie kroki, żeby nie zaskrzypiała pode mną podłoga, ruszyłem na palcach korytarzem i przyłożyłem ucho do drzwi.

— ...w Whitechapel, kiedy byłem mała. A potem znalazła mnie pani Leyton i oddała doktorowi Barnardo, a doktor Barnardo przysłał mnie tutaj.

— Nie masz żadnych rodziców? — To był głos Danny'ego.

— Musiałam mieć jakichś, ale nigdy ich nie widziałam. Czasami wydaje mi się, że przypominam sobie śpiew mojej mamy i widzę jej czarne trzewiki, ale potem przestaję ją słyszeć i nie widzę butów, więc to chyba tylko sen.

— Będziesz musiała... wrócić?

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Nie rozumiem, co się dzieje. Myślałam, że wciąż tu jestem, ale chyba znalazłam się gdzie indziej, prawda? Chciałam powiedzieć, że to wciąż ten sam dom, ale nie ma tu moich przyjaciół i wszystko jest takie dziwne.

Przysłuchiwałem się jeszcze przez chwilę, ale zadziwiające było, jak szybko ich rozmowa zesłała na temat zabawek i gier. Danny próbował wyjaśnić Charity, co to takiego Transformer.

— Wiesz, nie tylko robot, ale także statek kosmiczny.

— Co to jest robot?

— Człowiek zrobiony z metalu. A potem robi klik-klik-klik i zmienia się w intergalaktyczny statek gwiazdny.

— W co? — zachichotała Charity. Kiedy usłyszałem jej śmiech, zdałem sobie sprawę, jak dobrze zrobiłem ratując ją i mam absolutną rację, uważając, że bez względu na to, co się stanie, powinienem ją zatrzymać i chronić.

Kiedy wróciłem, Liz była już w łóżku. Siedziała, podpierając głowę ręką i czytając „Narcyza i Złotoustego” Hermanna Hessego. Położyłem się obok niej i przez chwilę obserwowałem, jak czyta.

— Naprawdę ci się to podoba? — zapytałem.

Uśmiechnęła się, nie podnosząc wzroku.

— Posłuchaj tego: „Uwierz mi, tysiąc razy wolałbym pieścić twoją, a nie jej stopę. Ale twoja nigdy nie zbliża się do mnie pod stołem, żeby zapytać, czy jestem zdolny do miłości”. Wiesz, o czym on mówi? Dotykanie się pod stołem!

— Dzieci wciąż nie śpią — powiedziałem. — Rozmawiają ze sobą. Chyba się polubiły.

Liz przez chwilę milczała, a potem zamknęła książkę.

— Co masz zamiar zrobić, Davidzie? Chyba nie chcesz tutaj dłużej zostać? Jeśli ten Brązowy Jenkin jest w stanie zabijać ludzi...

— Nie martw się — przerwałem jej. — Już się zdecydowałem.

— To coś nowego.

— Wziąłem sobie do serca twoje słowa. Masz rację: zupełnie się w tym wszystkim pogubiłem. Wydawało mi się chyba, że podejmując jakąś pozytywną decyzję i biorąc się w garść, będę nieuchronnie oddalać się od Janie i wspólnie spędzonych z nią chwil. Ale teraz widzę, że te chwile minęły i nie wrócą, nawet jeśli nie podejmę żadnej decyzji; nawet jeśli będę przez cały dzień leżał w łóżku i dłubał w nosie.

— Więc co masz zamiar zrobić?

— Mam zamiar zabrać Danny'ego i Charity do mojej matki w Horley, a potem wrócić tu i spalić ten dom do fundamentów.

Liz wlepiła we mnie zdumiony wzrok.

— Co takiego? Nie możesz tego zrobić!

— Mogę i zrobię. Ten dom jest opanowany przez złe moce, nawiedzany przez duchy czy jak jeszcze chcesz to nazwać. Nie wiem, do czego są zdolni młody pan Billings i Kezia Mason. Nie wiem, kim są Brązowy Jenkin i ten Mazurewicz. Nie wiem, co się stało staremu panu Billingsowi, oprócz tego, że poraził go piorun. Ale to całe miejsce pełne jest duchów, jęków, krzyków i Bóg wie czego jeszcze. Teraz, kiedy zginął Dennis Pickering, trzeba położyć temu kres.

— A jeśli cię złapią?

— Wcale mnie nie złapią. Nie stracę nawet swego wynagrodzenia. Powiem po prostu, że od lampy lutowniczej zapaliła się framuga okna i że to był nieszczęśliwy wypadek. Boże wszechmogący, ktoś powinien to zrobić już dawno temu.

— Ten dom to zabytek, Davidzie. Nie możesz go tak po prostu spalić.

— Żywi ludzie są ważniejsi od zabytków. Podobnie jak ludzie, którzy dawno temu powinni być nieżywi; oni też są ważniejsi od zabytków.

Liz odłożyła książkę na kołdrę i oparła głowę o poduszkę. Z godziny na godzinę coraz bardziej się do niej przywiązywałem. Lubiłem jej zadarty nos i szczenięcą zmysłowość; lubiłem jej czysty mydlany zapach. Jedynymi fragmentami układanki, które mi tu nie pasowały, był jej stosunek do mnie i pytanie, dlaczego właściwie została. Czasami bywała odstręczająca i niecierpliwa, czasami napastliwie krytyczna; chwilami zabawna i chwilami namiętna — ale zawsze tak jakby śmiała się z jakiegoś dowcipu, którego nie rozumiem, jakby uprawiała miłość w swojej głowie, całkiem prywatnie; i nie chciała się nią z nikim dzielić.

Do tej pory kilkakrotnie pieściła mnie ustami — w tym raz czy dwa, kiedy (przynajmniej na początku) byłem pogrążony we śnie. Za każdym razem pochylała podczas wytrysku głowę i połykała wszystko, nie okazując ani śladu pożądania, uczucia, a nawet zadowolenia.

— Przemysł to sobie jeszcze raz jutro rano — powiedziała.

— Przemyslałem to sobie, a poza tym już jest jutro.

— A co będzie ze mną?

— Znajdę ci jakieś miejsce, gdzie będziesz się mogła zatrzymać.

— A co będzie z nami?

— Nie wiem. Być może, skoro już o tym mowa, powinniśmy się na coś zdecydować. Ale

najpierw chcę się uporać z Fortyfoot House.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie, nie mrugnawszy ani razu okiem. W jej lewej tęczęwce zaślniła mała pomarańczowa plamka.

— Nie wiem, czy to miałam na myśli, kiedy chciałam, żebyś był bardziej zdecydowany.

— Trudne problemy wymagają trudnych rozwiązań.

— Hmm — odparła, odwracając się ode mnie ostentacyjnie plecami.

Podniosłem z kołdry „Narcyza i Złotoustego”.

— „Któregoś dnia — przeczytałem na głos — oblawszy się cała rumieńcem, chcąc sprawić mu wielką radość, pokazała mu po długiej walce wewnętrznej swoje piersi; nieśmiało rozsznurowała stanik, żeby zobaczył skryte w nim białe owoce”.

— Masz wyjątkowy talent do wyszukiwania najbardziej nieprzyzwoitych kawałków — stwierdziła Liz stłumionym przez poduszkę głosem. Odwróciła się z powrotem. Pomarańczowa plamka na tęczęwce błysnęła niczym iskra. — Nie rób nic, czego mógłbyś potem żałować, Davidzie. Zależy mi na tobie.

— Jeśli ci na mnie rzeczywiście zależy, pomożesz mi.

Zasnąłem i miałem mroczny, hipnotyczny sen. Śniło mi się, że unoszę się niczym latawiec nad opadającą ku morzu plażą. Morze było czarne i galaretowate i bardziej przypominało melasę niż wodę. Wiedziałem, że roi się w nim od krabów, od milionów krabów, które pęłzały i wspinały się jeden na drugiego.

Niebo wisiało brudnoczarne, a w uszach słyszałem wibrujący dźwięk gongu, od którego o mało nie pękły mi bębenki.

Świat taki, jaki był; świat Jaki, jaki jest; świat taki, jaki będzie.

Nie oddaliłem się jeszcze zbyt od brzegu, kiedy zdałem sobie nagle sprawę, że stopniowo tracę wysokość.

Usiłowałem podciągnąć nogi, żeby nie dotknąć stopami wody, ale wiatr prawie zupełnie ucichł i opadałem coraz niżej i niżej. W końcu najpierw moje stopy, a potem nogi zanurzyły się w wodzie i po chwili tkwiłem w niej zagłębiony aż po krocze. Morze było lodowato zimne; czułem obłe kształty rojących się wokół mnie krabów. Stukając kleszczami dotykały moich stóp i ud i pęłzły w górę po brzuchu.

Krzyknąłem, ale dźwięk, który wydarł mi się z gardła, nie brzmiał jak prawdziwy krzyk: przypominał bardziej przeraźliwe chrząkanie dręczonego przez zmorę głuchoniemego. Nagle zdałem sobie sprawę, że zmoczyłem spodnie od piżamy; prześcieradło na szczęście było suche. Spocony i drżący wstałem z łóżka i poszedłem do łazienki, gdzie rozebrałem się i umyłem. Miałem wrażenie, że

moja wynędzniała twarz składa się z nie pasujących do siebie fragmentów: tak jakbym przeglądał się w stłuczonym lustrze.

Wycierając się usłyszałem szuranie i chrobot za ścianami, a potem na strychu. Stałem nagi i nasłuchiwałem, ale szuranie umilkło i przez dłuższy czas dochodził mnie tylko szum poruszającego gałęziami wiatru i zniecierpliwiony szept morza.

Wypiłem dwie szklanki zimnej wody, zgasilem światło i wróciłem na palcach do mojego pokoju. Danny i Charity musieli już zasnąć, nie słyszałem w każdym razie, żeby rozmawiali. Zastanawiałem się, czy do nich nie zajrzeć, ale drzwi do sypialni głośno skrzypiały, a ja bałem się ich obudzić.

Właśnie miałem otworzyć drzwi własnego pokoju, kiedy dostrzegłem dobiegające spod nich słabe błękitne migotanie. Z całą pewnością nie wywołała go lampa przy łóżku. Blask przypominał raczej poświatę rzucaną przez telewizor, ale my nie mieliśmy telewizora w sypialni. Być może była to przeświecająca przez zasłony błyskawica. W ciągu ostatnich kilku dni panowała niezwykle jak na tę porę roku niespokojna pogoda i słyszałem nawet kilkakrotnie dobiegające z drugiej strony kanału La Manche odległe grzmoty. Przypomniało mi się (zupełnie nie a propos), że podczas pierwszej wojny światowej wypoczywający na południowym wybrzeżu Anglii letnicy słyszeli odgłosy artyleryjskich potyczek we Francji. Zawsze wydawało mi się to w jakiś szczególny sposób poruszające.

Ponownie usłyszałem ciche szur-szur-szur i poczułem nieprzyjemne, przypominające lekki elektryczny wstrząs mrowienie w nagich plecach. Zamiast otworzyć drzwi, ukląknęłam i zajrzałam do środka przez dziurkę od klucza. Od podmuchu powietrza stanęły mi łzy w oczach, ale zdołałem dostrzec ciemny zarys łóżka, leżącą na poduszce głowę Liz i fragment okna.

Coś zamigotało ponownie — z całą pewnością nie błyskawica. Światło dobiegało z wnętrza sypialni — z drugiego jej końca. Jaśniało teraz mocniej, tak że widziałem wyraźnie rozrzucone na poduszce włosy Liz, a jednocześnie usłyszałem głębokie, niewyraźne zawodzenie, tak niskie, że czułem, jak wibruje mi od niego kość szczęki. Ygggaaa sothoth nngggaaa. Choć było niskie, bełkotliwe i podobne bardziej do dźwięku organów niż ludzkiego głosu, przypominało słowa, które wykrzykiwał stary pan Billings, kiedy poraził go piorun ze wskazówki zegara. Nnnggggyyaaa nnggg sothoth.

Nie miałem pojęcia, co oznaczają te słowa, ale nucono je w tak uporczywy sposób, że ogarnął mnie irracjonalny, graniczący z paniką niepokój. Jakaś rzecz albo istotę wzywano do Fortyfoot House — ale kto albo co to mogło być, nie potrafiłem sobie wyobrazić. Nie byłem nawet pewien, czy tego chcę.

Ponownie zamigotało światło, tym razem prawie oślepiające. Dziwiło mnie, że Liz śpi tak mocno. Postanowiłem otworzyć drzwi, ale kiedy przekręciłem klamkę, w polu mojego widzenia ukazało się źródło światła i zamarłem w bezruchu tam, gdzie stałem.

Pielęgniarka albo zakonnica, którą widziałem przedtem unoszącą się w połowie ściany, pojawiła się teraz na środku pokoju. Wysoką, migoczącą sylwetkę w potężnym kornecie otulał habit z błękitnego światła, który unosił się i opadał, tak jakby płynął po fosforyzującym oceanie. Postać

sunęła powoli przez pokój, zostawiając za sobą gasnącą stopniowo mesmeryczną poświatę.

Zawodzenie trwało dalej, lubieżne i wibrujące. NggGGGaa-sothoth-gnoph-hek-ngggaaAA — i mimo jego niezwykłości i tego, że nie przypominało żadnego języka, który kiedykolwiek słyszałem, czułem, że prawie rozumiem, co oznacza — tak jak to się dzieje, kiedy słowa przywierają człowiekowi do koniuszka języka, kiedy je czuje i niemal smakuje, ale nie jest w stanie wymówić.

Postać zakonnicy zatrzymała się u stóp łóżka i stała przez jakiś czas w falującym habicie, najwyraźniej przypatrując się śpiącej Liz. A potem zaczęła się ku niej pochylać, a właściwie nie pochylać, a unosić pod niemożliwym kątem, aż znalazła się zaledwie parę centymetrów nad kołdrą.

Zobaczyłem, że Liz się poruszyła. Nie wiedziałem, jak bardzo niebezpieczna jest ta zjawą ani czego chce, zdawałem sobie jednak sprawę, że nie mogę dłużej czekać za drzwiami. Przekręciłem klamkę i pchnąłem mocno ramieniem drzwi, tak że uderzyły z hukiem o ścianę. Zamierzałem wydać z siebie okrzyk wojenny albo dziki wrzask buntownika — żeby wystraszyć jakoś zjawę, a przede wszystkim dodać odwagi samemu sobie. Ale kiedy stanąłem całkiem goły przed łóżkiem, poczułem, jak zaciska mi się krtań, i zdołałem wykrztusić z siebie zaledwie chrapliwe wysokie „aaah!”

Postać przy łóżku obróciła się z głuchym łoskotem w moją stronę i przez krótką chwilę zobaczyłem wychylającą się spod kornetu jej twarz — a właściwie trupa czaszkę z pustymi oczodołami, zapadniętymi policzkami i wyszczerzonymi zębami. Krtań zacisnęła mi się niemal kompletnie i stałem bez ruchu, wytrzeszczając szeroko oczy.

Rozległ się hałas przypominający dźwięk wylewających się z olbrzymiej cysterny setek litrów wody — potężny szum, łoskot i odgłos zasysania — i zjawą opadła w dół; jej ramiona roztopiły się w ramionach Liz, a ohydna twarz w jej twarzy. Przez chwilę zjeżyły się jej wszystkie włosy i strzeliły z nich małe iskierki statycznej elektryczności. Liz otworzyła oczy i przez sekundę albo dwie zamigotały w nich czerwone błyski.

A potem zapadła cisza. Niesamowita cisza. Ucichł nawet szum wiatru. Ucichł niespokojny szept morza.

Liz wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma, a ja odwzajemniałem bez słowa jej spojrzenie.

— O co chodzi? — zapytała w końcu. — Dlaczego tak stoisz?

— Poszedłem... poszedłem napić się wody.

— Gdzie twoja piżama? Zamarzniesz na śmierć.

— Nie jest aż tak zimno.

— Ale jednak... możesz chyba wejść z powrotem do łóżka? Czy masz zamiar stać tak i straszyć mnie przez całą noc?

— Tak... tak, oczywiście. — Podeszedłem bliżej, wciąż intensywnie się w nią wpatrując. —

Wszystko z tobą w porządku?

— Oczywiście, że tak. Dlaczego coś miałoby być ze mną nie w porządku?

— Mam na myśli, czy dobrze się czujesz?

Roześmiała się niecierpliwie.

— Oczywiście, że dobrze się czuję. Dlaczego miałoby być inaczej?

Wszedłem z powrotem do łóżka. Liz natychmiast objęła mnie ramieniem i przytuliła, przyciskając piersi do mojego boku i uda do moich nóg. Ujęła między palec wskazujący i kciuk moją prawą brodawkę i zaczęła ją obracać.

— Mówiłeś zdaje się, że nie jest ci zimno — drażniła się ze mną.

— Wcale nie jest mi zimno. Po prostu trochę się przestraszyłem.

— Przestraszyłeś się? Czego?

— Tej zjawy, którą widziałem wcześniej... podobnej do zakonnicy. Zobaczyłem ją w pokoju, kiedy spałaś. Pochylała się nad tobą.

— Co to znaczy: pochylała się nade mną? — zapytała, uśmiechając się, prawie śmiejąc.

— Nie wiem. Widziałem ją na własne oczy. Pochylała się nad tobą, a potem zniknęła.

Przesunęła palcami po moim boku. Znalazła nerw i nacisnęła go, aż podskoczyłem.

— Chyba za dużo wypiełeś.

— Ja ją widziałem, Liz. Tuż nad łóżkiem.

Ale ona gładziła już, ścisnęła i drapała mnie po udach, a potem zaczęła masować w górę i w dół mój członek. Złapałem ją za nadgarstek i przytrzymałem.

— Przestań... naprawdę nie jestem w nastroju.

Pocałowała mnie, ale nie dała za wygraną. Kiedy tylko puściłem jej dłoń, zaczęła mnie znowu masować — bardziej ze złością niż z uczuciem, wbijając głęboko w skórę paznokcie.

— To boli — zaprotestowałem.

— Ojejku — przedrzeźniała mnie. — Nie możesz znieść odrobiny bólu? Myślałam, że mężczyźni lubią, jak ich trochę zaboli.

Nie przestawała mnie masować, coraz bardziej brutalnie, aż w końcu ponownie złapałem ją za dłoń i mocno przytrzymałem.

— To boli, Liz, i co za dużo to niezdrowo.

— Nie mów, że nie jest ci przyjemnie. Stał jak kij od szczotki.

— To boli i nie jestem w nastroju.

Parsknęła śmiechem — wysokim szyderczym śmiechem, niewiele różniącym się od krzyku. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby tak się śmiała; od tego śmiechu ścięła mi skóra i skurczyły się jądra. Liz ściągnęła ze mnie kołdrę i uklękła okraczając moją klatkę piersiową, obejmując kolanami żebra i przyciskając moje ręce płasko do łóżka. Mimo drobnej postury wydawała się silna i dobrze zbudowana. Było tak ciemno, że nie widziałem dokładnie jej twarzy, dostrzegałem tylko błyszczące zęby i świecące oczy.

Oddychała głęboko i chrapliwie, jej klatka piersiowa i piersi podnosiły się i opadały.

— Liz? — zapytałem ostrożnie. Wydawało mi się, że w ogóle jej nie znam.

— Dlaczego zostałeś? — zapytała, ciężko dysząc.

— Co takiego? O czym ty mówisz?

— Dlaczego tu zostałeś? Dlaczego nie wyjechałeś natychmiast, kiedy zorientowałeś się, że coś jest nie w porządku?

Próbowałem się podnieść, ale odepchnęła mnie z powrotem na poduszkę.

— Liz — zapytałem. — Czy rozmawiam z tobą, czy z kimś innym?

Ponownie wybuchnęła tym okropnym krzykliwym śmiechem.

— A na kogo wyglądam? Mój Boże, Davidzie, jaki z ciebie straszny głupiec!

Wziąłem głęboki oddech i próbowałem zachować spokój i rozsądek. W moim przypadku nie było to łatwe. W przeszłości zawsze otwierałem usta w nieodpowiednim momencie.

— Liz... — zacząłem, ale ona przycisnęła mi palce do warg.

— Ćśśś... Nic z tego nie rozumiesz i wcale nie musisz.

— Czego nie rozumiem? Liz, przecież to śmieszne!

Ale ona pochyliła się do przodu i pocałowała mnie w powieki i usta, a potem przesunęła językiem po moich wargach i z jakiegoś powodu ogarnął mnie nagły spokój, tak jakby nie miało żadnego znaczenia, co zrobię i co powiem... tak jakby łatwiej było po prostu leżeć na poduszce i wykonywać wszystkie jej polecenia.

Jej oddech był słodki, dojrzały i mocny — oddech lata, oddech dziewczyny, która objadła się

morelami.

Jej język penetrował moje zęby, a potem dotknęliśmy się koniuszkami języków i poczułem, że zachodzi między nami coś, czego nie sposób opisać, tak jakbyśmy udzielili sobie nawzajem jakiejś dziwnej komunii albo powierzyli sekret.

Przez krótki moment zobaczyłem migoczące w jej oczach czerwone iskry. Przez krótki moment zrozumiałem rzeczy, do których zrozumienia nigdy nie zostałem zrodzony. Nie ma Boga — nigdy nie było i nigdy nie będzie — ale były za to zawsze Wielkie Duchy... niektóre żarzące się w swojej łaskawości, niektóre odległe i skryte, a jeszcze inne zbyt szkaradne i przerażające, żeby mogła to pojąć ludzka istota. A potem Liz usiadła na mnie, chwila minęła i znowu przestałem cokolwiek rozumieć. Czułem jednak, że wydarzy się coś wielkiego i dramatycznego i że będę w tym miał swój udział.

Liz podniosła się z mojej piersi i niezgrabnie uklękła, tak że jej kolana wbiły się w poduszkę, po obu stronach mojej głowy. Jej wargi sromowe znajdowały się teraz tylko o centymetry od moich ust i czułem silny, wyraźny zapach jej seksu.

Spojrzałem w górę. Liz trzymała się obiema rękoma wezgielnicami łóżka. Z miejsca, w którym leżałem, jej twarz obramowana była przypominającym literę V odstępem między piersiami i błyszczącą gęstwą włosów łonowych.

— Wahasz się, Davidzie? — zapytała niezwykłym głosem. — Dlaczego się wahasz? Czyżby nie podobał ci się smak?

— Liz... — zacząłem, ale w głowie miałem tylko wolno obracający się wir uczuć, obaw, pokus i pragnień.

Przypuśćmy, że spotkałeś dziewczynę, która zrobi wszystko, co zechcesz... dosłownie wszystko. Kto to mówił? Czy to ja powiedziałem? Czy Liz? Nie miałem pewności. Ale kiedy uklękła nad moją twarzą, drażniąc mnie i prowokując, zobaczyłem, jak robię z nią rzeczy, których nigdy nie robiłem z Janie. Zobaczyłem czarne nylony i białe figi. Zobaczyłem sunące po spierzchniętej skórze wargi. Zobaczyłem pełne piersi i pokryty plamami jedwab.

Kręcąc powoli i obezwładniająco biodrami Liz dotknęła sromem mojej twarzy. Poczułem na ustach ciepły, śliski pocałunek; pocałunek, który o mało mnie nie zadusił. Mój język zaczął powoli smakować wypukłości, szczeliny i zagłębienia; penetrował przez chwilę cierpkie ujście cewki moczowej, a potem wślizgnął się głęboko w pochwę i nasz pocałunek był spełniony, usta wpiły się w usta. Liz przywarła do mnie jeszcze mocniej i dotknąłem językiem szyjki macicy.

Ale przez cały ten czas — kiedy Liz krzyczała w jakimś rodzaju ekstazy, a mój podbródek zalewały jej soki i ślina — zdawałem sobie sprawę, że to, co robimy, nie ma nic wspólnego z seksem. Nie robiliśmy tego z miłości. Nie robiliśmy tego nawet, żeby zaspokoić pożądanie. To było coś zupełnie innego. To był — w sposób, którego zupełnie nie mogłem zrozumieć — akt prokreacji. Płodziliśmy dziecko.

Dziecko albo coś innego.

Pamiętam, że Liz uniosła się w końcu z mojej twarzy. Klęczała przez długi czas na łóżku, obserwując mnie, a ja leżałem na poduszce, obserwując ją i czekając, aż wysuszy mi usta ciepły nocny powiew. Co jakiś czas wyciągała rękę i dotykała mojej nagiej piersi, rysując na niej bez końca ten sam kształt. Przypominał kwiat albo czterolistną koniczynę, albo gwiazdę.

— Wiesz co? — odezwała się w końcu łagodnie. — Kiedy byłem mała, mama wysyłała mnie do szkoły mojego brata, żebym zaniósła mu lunch. Na podwórku bawiły się małe szkraby i zawsze myślałam, jak to byłoby wspaniale mieć własne dziecko.

Zamknąłem oczy. Czuję się niewiarygodnie zmęczony. Nawet jeśli nie udało mu się mnie uśmiercić, Fortyfoot House wysał ze mnie wszystkie siły.

— Chce mi się spać — mruknąłem. Liz nadal rysowała ten wzór.

— Słyszałam, jak mój brat powtarza: tu, ta, ti; bu, ba, bi... ubanu, ammatu, ganu, ashlu.

Zasnąłem, ale nadal słyszałem jej głos. Potrafił najwyraźniej przenikać granicę mego snu. Śniło mi się, że znowu unoszę się nad oceanem w ciemny, bezwietrzny dzień. Liz stała na brzegu, ale chociaż leciałem dosyć szybko, ona stale znajdowała się w tej samej odległości. Stała z twarzą zasłoniętą w połowie bandażami i wciąż nuciła: tu, ta, ti... bu, ba, bi...

A potem — bez żadnego ostrzeżenia — nastał ranek i słońce leżało na kołdrze tłuste i złote niczym masło, a pod okapem sprzeczały się jaskółki. Liz spała z otwartymi ustami i potarganymi włosami. Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. W oddali iskrzyło się morze.

I kiedy tak stałem, udało mi się niemal przekonać samego siebie, że spalenie Fortyfoot House byłoby prawdziwą zbrodnią. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, że choć pięknie położony, dom jest ponury, niespokojny i zły, i że wywiera zgubny wpływ na każdego, kto próbuje mieszać się w jego sprawy. Byłem przekonany, że jeśli go nie spalę, następną ofiarą będę ja sam.

ROZDZIAŁ XIV

Pod podłogą

Po śniadaniu składającym się z płatków Country Store Kellogga i filiżanki morderczo czarnej kawy wyszedłem na dwór, żeby sprawdzić, czy nie uda mi się przypadkiem uruchomić mojego audi. Nie musiało sprawować się bez zarzutu, najważniejsze, żeby w ogóle ruszyło z miejsca. Liz wyszła już wcześniej do Parku Ptaków Tropikalnych. Ubrała się w obcisłą czarną koszulkę, kanarkowożółtą spódniczkę i wysoko sznurowane buty. Nie wiem, czy chciała mnie w ten sposób podniecić, pokazać, że jestem od niej co najmniej o dziesięć lat starszy, czy też miała po prostu perwersyjny gust.

Ale stojąc w kuchennych drzwiach z twarzą oświetloną słońcem pocałowała mnie z otwartymi oczyma, a potem ścisnęła mocno między udami i szepnęła „dziękuję”, odniosłem więc przynajmniej wrażenie, że dałem jej to, czego chciała.

Zajrzałem do Danny’ego i Charity. Oboje spali jak susły. Wykąpana, z umyтыми włosami i ubrana w jedną z należących do Liz bluzek Charity nie różniła się niczym od współczesnych dzieci. Trudno było uwierzyć, że sprowadziłem ją tu z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego.

Wyszedłem przez frontowe drzwi i oczywiście pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, było należące do Dennisa Pickeringa renault, zaparkowane elegancko obok mojego poobijanego audi. O Boże!

Zapomniałem o jego samochodzie. Ogarnęło mnie okropne poczucie winy i lęk. Poczucie winy, bo jego żona musiała na pewno odchodzić od zmysłów, czekając na niego w domu. Lęk, bo policja z całą pewnością odkryje zaparkowany przed Fortyfoot House samochód pastora i dojdzie do słusznego skądinąd wniosku, że Liz i ja mamy coś wspólnego z jego zaginięciem.

Obszedłem samochód i nacisnąłem klamkę. Nie był zamknięty, ale Dennis Pickering zabrał ze sobą kluczyki. Pewnie udałoby mi się spuścić ręczny hamulec i przepchnąć samochód za stajnię, gdzie nie rzucałby się tak bardzo w oczy, ale co miałem robić dalej? Nie wiedziałem, jak uruchomić „na krótko” samochód.

A poza tym cała ludność Bonchurch i Ventnor musiała znać renault pastora i gdybym próbował przejechać nim przez wioskę, z całą pewnością zauważyłby mnie co najmniej jeden z miejscowych plotkarzy.

Mój przyjaciel Chris Pert powiedział kiedyś, że jedynym sposobem na problem nie do rozwiązania jest zaproszenie do łóżka najgrubszej, jaką można spotkać, kobiety i zapytanie jej o radę. Jego zdaniem, grube kobiety znają odpowiedź na wszystko. Nosił się nawet z myślą uruchomienia specjalnego telefonu zaufania pod nazwą „Zapytaj grubej damy”.

Wciąż zastanawiałem się, co począć, kiedy zupełnie niespodziewanie na podjeździe pojawił się brązowy rover detektywa sierżanta Millera. Chrzęszcząc oponami po żwirze zatoczył półkole i stanął. Detektyw sierżant ubrany był tym razem w koszulkę z krótkimi rękawami i miał na nosie

przeciwsłoneczne okulary. Kiedy je zdjął, sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego, tak jakby nie spał przez trzy noce.

Tuż za nim wysiadł z samochodu detektyw konstabl Jones, rudy, jasnooki i pachnący mocno płynem po goleniu Brut 33.

— Aha... więc niesforny pan Pickering odnalazł się u pana — stwierdził detektyw sierżant Miller, podchodząc do samochodu pastora i kopiąc go w tylną oponę.

— Cóż... jeśli chodzi o ścisłość, w tej chwili go tu nie ma — odparłem. Wiedziałem, że muszę bardzo ostrożnie dobierać słowa.

— Co proszę? — zapytał detektyw sierżant tonem, który niedwuznacznie sugerował, że nie ma zamiaru prosić mnie o cokolwiek.

— Przyjechał do mnie, ale teraz go tu nie ma.

— Wciąż stoi tutaj jego samochód — zauważył detektyw konstabl Jones.

— Tak — potwierdziłem.

— Ale jego tu nie ma?

— Nie. Wypił wczoraj trochę alkoholu... i postanowił, że wróci do domu piechotą.

— Trochę to znaczy ile? — zapytał detektyw sierżant Miller.

— Sześć, siedem kieliszków wina. Rozgadaliśmy się i wszyscy wypiliśmy trochę za dużo. Dokładnie nie liczyliśmy.

— Aha — odparł detektyw sierżant Miller. — To przykre. O której godzinie stąd wyszedł?

— Dokładnie nie pamiętam. Chyba koło wpół do jedenastej.

Detektyw sierżant założył z powrotem okulary, oparł dłonie o biodra i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń. Mimo że świeciło słońce, stojący za nim Fortyfoot House wydawał się chłodny, spowity w cieniu i zapatrzony w samego siebie; zupełnie jak sędziwy starzec, który siedzi w milczeniu na rodzinnym przyjęciu, rozmyślając o minionych czasach i o ludziach, którzy go kiedyś znali i kochali, ale od dawna leżą w grobie.

— Pan Pickering obiecał żonie, że zadzwoni do niej koło jedenastej.

— Naprawdę?

— Powiedział jej, że zamierza wstąpić tutaj, a potem pojechać do Old Shanklin Village, żeby zobaczyć się z panią Martin.

— Nie wspominał mi o tym.

Detektyw sierżant kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Detektyw konstabl Jones kopnął w tylną oponę i detektyw sierżant Miller posłał mu gniewne spojrzenie.

— Wygląda, jakby trochę spuszczała — wyjaśnił, oblewając się rumieńcem, detektyw konstabl Jones.

W tej samej chwili w drzwiach pojawili się Danny i Charity — Danny w swojej piżamie, a Charity w należącej do Liz bluzie w paski.

— Tato! — zawołał Danny. — Charity pyta się, co może założyć!

— Będę musiał panów na chwilę przeprosić — powiedziałem, zwracając się do detektywa sierżanta.

— Nic nie szkodzi — odparł. — Wygląda na to, że ma pan pełne ręce roboty. Kim jest ta mała dziewczynka?

— To moja siostrzenica — skłamałem. — Najmłodsza córka mojej siostry.

— Nie ma jak wakacje nad morzem, razem z wujkiem, prawda? — stwierdził detektyw sierżant Miller, ruszając w stronę swego samochodu. — Będzie pan tak dobry i zawiadomi nas, jeśli pan Pickering wróci po samochód — dodał przez ramię. — Przypuszczam, że wybrał się po prostu na spacer. Zdarzało mu się to już wcześniej. Pani Pickering twierdzi, że jej mąż ma kłopoty ze swoją seksualną tożsamością.

— Zdarzają mu się, innymi słowy, skoki na boki — wtrącił detektyw konstabl Jones.

Detektyw sierżant posłał mu krótkie poirytowane spojrzenie.

— Chodzi w tę i z powrotem po plaży, rozmawiając z Panem Bogiem. Tak właśnie określiła to pani Pickering.

— Próbując zapomnieć o pulchnych tyłeczkach chłopców z chóru — ciągnął dalej swój wątek detektyw konstabl.

— Może się w końcu zamkniesz, Jones? — rzucił mu detektyw sierżant.

— Przepraszam — odparł, szczerząc zęby, konstabl.

Podeszli do rovera, wsiedli do środka i już mieli zamknąć drzwi, kiedy nagle rozległ się dźwięczny głos Charity.

— Proszę pana! Proszę pana! — zawołała. — Czy naprawdę mogę zjeść dwa jajka na śniadanie? Danny powiedział, że mogę.

Detektyw sierżant wahał się przez chwilę, która wydawała mi się wiecznością. A potem wysiadł z samochodu i założył z powrotem okulary.

— Jak ma na imię ta dziewczynka? — zapytał mnie z wystudiowaną policyjną cierpliwością.

— Charity — odparłem. — Dlaczego?

— Charity! — zawołał, nie odpowiadając na moje pytanie. — Chodź no tu, Charity.

Bez chwili wahania mała podbiegła do niego, stąpając bosymi nogami po żwirze. Nauczono ją spełniać bez dyskusji wszelkie zachcianki „dżentelmenów”. Podbiegła i autentycznie dygnęła.

Detektyw sierżant przyjrzał się jej z wyraźnym zdumieniem.

— Czy on jest twoim wujkiem? — zapytał, wskazując głową w moją stronę.

Charity popatrzyła na mnie niespokojnie. Nie zmieniając nonszalanckiego wyrazu twarzy, który przybrałem, kiedy sierżant wysiadł z auta, starałem się przekazać jej oczyma TAK, TAK, JESTEM. Nie wiem, jaką w końcu zrobiłem minę, ale na pewno musiała się wydać dość groteskowa dziewczynce, która przez chwilę wbijała we mnie skonsternowany wzrok, a potem odwróciła się z powrotem do sierżanta.

— Nie, proszę pana, ten pan nie jest moim wujkiem.

— Oooo — zdziwił się sierżant. — Nie jest twoim wujkiem?

— Ale to bardzo dzielny dżentelmen, proszę pana. Uratował mnie, zabrał tutaj i wykąpał.

— Mówisz, że cię wykąpał?

— Na litość boską, sierżancie — wtrąciłem. — Wykąpała ją Liz, a nie ja.

— Ale nie jest pan jej wujkiem?

— Lubię, żeby dzieci nazywały mnie wujkiem.

— Ale nie jest pan?

— Nie.

— W takim razie — dociekał detektyw sierżant Miller z tą okropną flegmą, za pomocą której sędziowie śledczy wyciągają zeznania z podejrzanych — kim jest ten pan, jeśli nie twoim wujkiem?

— Tatą Danny’ego. Uratował mnie i sprowadził tutaj. Wielebny dżentelmen został zabity, ale mnie uratował.

— Wielebny dżentelmen został zabity?

— Niech pan jej nie słucha — powiedziałem, machając niedbale ręką. — Ma trochę zbyt bujną wyobraźnię.

Jeśli chce pan znać prawdę, jest nieco opóźniona w rozwoju. Wada wrodzona.

Ale detektyw sierżant Miller nie dawał za wygraną.

— Kto zabił wielbego dżentelmena, kochanie? — zapytał.

— Naprawdę nie powinien pan tego słuchać — powiedziałem.

Na twarzy Charity pojawił się wyraz z troskowania.

— To nie ten dżentelmen go zabił. Ten dżentelmen mnie uratował. Zabił go... — W tym miejscu przerwała i przyłożyła dłonie do twarzy, nadając jej spiczasty kształt, tak że spomiędzy palców wystawały tylko oczy — szybkie, rozbiegane, rzucające ukradkowe spojrzenia oczy — a potem zakrzywiła palce, tak by przypominały zęby, zgarbiła się, naśladując w mrozący krew w żyłach sposób Brązowego Jenkina, i zaczęła skakać po żwirze, odstawiając upiorny taniec, który sprawił, że detektyw sierżant Miller na dłuższą chwilę zastygł w bezruchu.

— Co to, do wszystkich diabłów, może być, panie sierżancie? — wyszeptał detektyw konstabl Jones.

Z twarzy detektywa sierżanta odpłynęła cała krew.

— Brązowy Jenkin — powiedział.

— Co takiego, panie sierżancie?

— Powiedziałem, że się zastanawiam.

— Aha. W porządku. Bardzo dobrze.

Detektyw sierżant przykucnął przed Charity, wziął ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy.

— Gdzie został zabity wielbny dżentelmen, Charity?

— W bawialni, proszę pana.

— Czy wciąż tam jest?

— Teraz nie, proszę pana.

Detektyw sierżant Miller miał wystarczająco wyczulone ucho, żeby wychwycić nacisk położony na słowo „teraz”, ale z całą pewnością nie zdołał pojąć wszystkich wynikających z niego implikacji. Któż by zresztą je pojął? Nawet staroświeckie maniery Charity nie mogły przekonać rozsądnego funkcjonariusza policji, że ona i ja przybyliśmy dopiero co z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego

szóstego. Sam prawie w to nie wierzyłem. Wszystko to przypominało sen albo oglądany dawno film.

Detektyw sierżant wyprostował się i spojrzał na mnie ze zmęczonym, przesadnie cierpliwym wyrazem twarzy.

— Wydaje mi się, że powinien pan opowiedzieć mi, co się tu dzieje — stwierdził, stając tak blisko mnie i mówiąc tak cicho, by detektyw konstabl nie usłyszał ani słowa. — Moi zwierzchnicy mogą w to nie wierzyć, podobnie jak obecny tutaj detektyw konstabl Jones. Ale ja panu wierzę i w ten czy inny sposób to musi się skończyć, zanim ucierpi jeszcze ktoś inny.

— Nie wiem, czy jestem w stanie panu jakoś pomóc — odparłem. Miałem swoje własne plany dotyczące Fortyfoot House i nie chciałem, żeby detektyw sierżant Miller jeszcze bardziej skomplikował całą sytuację.

— Dlaczego ta dziewczynka twierdzi, że pan Pickering został zabity? — zapytał detektyw sierżant Miller.

— Wydaje mi się, że to są wyłącznie jej urojenia.

— Mimo to... chcielibyśmy, jeśli można, rozejrzeć się trochę po domu.

— W porządku. Jeśli chcecie, możecie się rozejrzeć.

Detektyw sierżant Miller obrócił się i wziął za rękę Charity.

— Może pokażesz mi, gdzie zabito wielebnego dżentelmena, Charity?

Mała posłusznie poprowadziła go w stronę domu. Detektyw konstabl Jones i ja szliśmy z tyłu.

— Dzieci... — powiedział konstabl. — Nienawidzę dochodzenia z udziałem dzieciaków. Nie wiadomo, co z ich opowieści jest prawdziwe, co wymyśliły, a co obejrzały w telewizji.

Nic na to nie odpowiedziałem. Uznałem, że najbezpieczniej będzie, jeśli zachowam milczenie.

Detektyw sierżant zaczął myszkować po salonie. Pokój oczywiście był zupełnie inny niż w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Zniknęła boazeria, a całe umeblowanie było nowoczesne. Pozostało na miejscu oryginalne palenisko, ale wiktoriański kominek dawno temu zastąpiono beżową, pochodzącą z lat trzydziestych obudową z glazury.

— Cóż... nie ma tu żadnych śladów gwałtownych zajęć — stwierdził detektyw sierżant Miller. — Gdzie dokładnie zabity został wielebny dżentelmen, Charity?

Dziewczynka wskazała miejsce, gdzie wczoraj, przed stu sześciu laty, Brązowy Jenkin tak okrutnie rozplątał brzuch Dennisowi Pickeringowi.

— Rozumiem — powiedział detektyw sierżant Miller. — A w jaki dokładnie sposób zginął?

Charity uniosła lekko lewą rękę i udając, że to zakończona pazurami łapa, zrobiła nią gwałtowny ruch w górę.

— Zadrapał się na śmierć — podpowiedział detektyw konstabl Jones.

Detektyw sierżant nie skomentował tego ani słowem, ale krążył dalej po pokoju, biorąc do ręki i odkładając z powrotem na miejsce bibeloty i czasopisma, a nawet unosząc do światła i przyglądając się uważnie pustym kieliszkom od wina.

— Kiedy wielbny dżentelmen już nie żył — zapytał w końcu Charity — co zrobili z jego ciałem?

Charity pokręciła głową.

— Nie wiem. Uciekliśmy. Tato Danny'ego zabrał mnie na górę i uratował.

Detektyw konstabl Jones spojrzał na detektywa sierżanta Millera i potrząsnął z niedowierzaniem głową.

— Z całym szacunkiem, panie sierżancie, to wszystko brzmi dla mnie jak bajka o złej czarownicy.

— Cały pokój powinien być zalany litrami krwi, prawda? — zauważył detektyw sierżant Miller.

— Litrami — zgodziłem się. Nie wiadomo z jakiego powodu zacząłem się pocić. Detektyw sierżant

Miller sprawiał, że czułem się winien, choć nie zrobiłem w gruncie rzeczy nic złego.

— Nie pogniewa się pan, jeśli zajrzę pod dywan? — zapytał.

— Niech pan się czuje jak u siebie w domu — odparłem.

Detektyw konstabl przechylił fotel, a detektyw sierżant wysunął spod niego dywan. A potem z olbrzymią troską, prawie jak zawodowy sprzedawca dywanów, zwinął go, odsłaniając klepki na środku pokoju.

Miał oczywiście rację: w dniu, kiedy zabito Dennisa Pickeringa, cała podłoga zalana była krwią, mijające lata zredukowały ją jednak do ciemnej rdzawej plamy z testu Rorschacha, plamy, która przywodziła mi na myśl szczerzącą zęby starą wiedźmę z zakrzywionym podbródkiem. Detektyw sierżant przyklęknął i przesunął ręką po podłodze.

— Coś się tutaj rozlało, ale raczej nie ostatnio — stwierdził.

Detektyw konstabl stanął na chybottliwych klepkach i prznosił przez chwilę ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

— Ktoś również zrywał w tym miejscu podłogę, panie sierżancie — oznajmił. — Zerwał ją jakiś czas temu, ale nigdy nie ułożył porządnie z powrotem...

Detektyw sierżant Miller przeszył mnie spojrzeniem ostrym jak dwa sztylety. Dawał mi wyraźnie do zrozumienia, iż zdaje sobie sprawę, że wiem o zniknięciu Dennisa Pickeringa więcej, niż mu powiedziałem.

Byłem jednak przekonany, że nie podejrzewa mnie o dokonanie morderstwa. W przeciwieństwie do swoich kolegów, gotów był uwierzyć w światła, hałasy i dziwne nadprzyrodzone siły, które zakłócały spokój Fortyfoot House. Jego jedyny problem — podobnie jak mój — stanowiło znalezienie dowodu.

— Nie przeszkodzi panu, jeśli podniesiemy kilka klepek i zobaczymy, co jest pod spodem? — zapytał mnie.

— To nie mój dom. Powinien pan chyba spytać w biurze nieruchomości.

— Nie zrobimy żadnej szkody.

— Mimo to uważam, że powinniście się najpierw zwrócić do biura sprzedaży nieruchomości. Firma nazywa się Dunn & Michael i mieści tutaj, w Ventnor.

Detektyw sierżant Miller wzruszył ramionami.

— W porządku, panie Williams, jeśli tak się pan upiera, zaraz tam pojedziemy.

— Proszę bardzo. Nie chcę utrudniać panom śledztwa, ale jeśli wyrządzone zostaną jakieś szkody, to ja będę ponosił odpowiedzialność.

— Rozumiem — stwierdził pojednawczo detektyw sierżant Miller. — Za pół godziny powinniśmy być z powrotem. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zostawimy zrolowany dywan?

— Nie, oczywiście, że nie.

Nie mówiąc już ani słowa, detektyw sierżant Miller i detektyw konstabl Jones opuścili Fortyfoot House.

Obserwowałem z ganku, jak odjeżdżają, a potem wróciłem do Danny'ego i Charity.

— Mam dla was propozycję — powiedziałem. — Może wybierzecie się teraz oboje na plażę i trochę się tam pobawicie. Ty, Danny, możesz pokazać Charity, jak się urządza wyścigi krabów. Ja tymczasem zrobię wam jakieś śniadanie.

— Ale ja jestem głodny już teraz — poskarżył się Danny.

— Danny, proszę cię. Wiesz, że wszystko się pokomplikowało. Możecie wrócić, powiedzmy, za dwadzieścia minut. Zobacz, pożyczę ci swojego zegarka.

Zdjąłem z ręki swój przezroczysty swatch i założyłem go na chudy przegub Danny'ego. Od sześciu miesięcy molestował mnie o taki sam jak mój zegarek i teraz nie mógł powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

Charity nie odrywała wzroku od swatcha.

— Chodź, Charity. Poszukamy trochę krabów — powiedział Danny, klepiąc ją poufale po plecach.

Wybiegli oboje przez kuchenne drzwi i mijając zegar słoneczny popędzili w stronę furtki.

Jeszcze przed chwilą tu byli, a teraz nie zostało po nich ani śladu. „Mój Boże — pomyślałem — gdybyśmy tylko mogli odzyskać tę utraconą niewinność. Ja i Janie. Ja i Liz”.

Wyjąłem z mojego zestawu narzędzi krótki łom i ruszyłem do salonu. Jeśli coś albo ktoś leżał pod tymi klepkami, chciałem dowiedzieć się o tym pierwszy. Klęcząc na podłodze i starając się nie zostawić żadnych śladów podważyłem ostrożnie jedną z klepek. Z początku nie chciała ustąpić. Mimo że listwy były obluźowane i chygotały się, kiedy ktoś na nich stanął, przytrzymujące je gwoździe wbite bardzo mocno i trzeba było nie lada siły, żeby je podnieść.

Zacząłem bardzo delikatnie, ale po sześciu albo siedmiu nieudanych próbach doszedłem do wniosku, że nie mam się w końcu, do diabła, czym przejmować. Polecono mi wyremontować Fortyfoot House i jeśli uznałem, że trzeba zerwać podłogę w salonie, nic nie powinno mi w tym przeszkodzić. Mogłem zawsze powiedzieć, że poczułem zapach grzyba.

W końcu udało mi się wyciągnąć jeden z najdłuższych gwoździ, który z nieznośnym skrzypieniem wysunął się z podłogi. W ślad za nim wyszła klepka.

Pod podłogą było ciemno. Ciemno, lecz sucho niczym w szopie, w której dojrzewają pieczarki. Zostawiłem latarkę na górze, na podeście, ale wcale jej nie potrzebowałem, żeby domyślić się, że coś musi być pod tymi klepkami.

Podważyłem następną. Natężyłem wszystkie siły, klepka wysunęła się i wtedy właśnie zobaczyłem, co skrywał przez wszystkie te lata Fortyfoot House: szare jak popiół, papierowe, zmumifikowane ciało, wsunięte starannie między belki w prawie egipskiej pozycji — z pustymi oczodołami, skurczonymi z przodu niczym skrzydełka kurczaka rękoma i wyschniętą skórą o barwie pokrytego werniksem mahoni. Rozpłataną brzuch wysechł przez wszystkie te lata na wiór i teraz przypominał raczej gniazdo os — zlepione ze sobą plastry koloru słomy, zasuszone mille-feuille śmierci.

Mimo posuniętej daleko mumifikacji nietrudno było rozpoznać, czyj to trup. Miał na sobie poźółkłą koloratkę i zbutwiałe sztruksowe spodnie. To był Dennis Pickering, wypatroszony i pochowany pod podłogą przeszło sto lat temu. Suche powietrze pod klepkami zakonserwowało jego ciało i ubranie w wystarczającym stopniu, żeby mógł go rozpoznać detektyw sierżant Miller. Co pocnie detektyw sierżant Miller ze stuletnią mumią odzianą w bieliznę od Marksa i Spencera, tego nie wiedziałem i w gruncie rzeczy specjalnie mnie to nie interesowało. Kiedy tylko detektyw sierżant

skończy się kręcić po Fortyfoot House, zamierzałem spalić dom do fundamentów, uwalniając w ten sposób nas wszystkich od Brązowego Jenkina, młodego pana Billingsa, Kezi Mason i wszelkich innych duchów, które od chwili jego wzniesienia nawiedzały Bonchurch.

Przez dłuższy czas wpatrywałem się w pomarszczone ciało Dennisa Pickeringa. Nie sposób było uwierzyć, że choć rozmawiałem z nim nie dalej jak wczoraj, leżał tutaj, podobny do eksponatu z działu wykopalisk egipskich w British Museum.

— Ty biedaku — szepnąłem. Nikogo w całym życiu nie było mi tak żal jak jego. Co najgorsze, nie mogłem nawet powiedzieć jego żonie, co się przydarzyło. Nie mogłem jej nawet powiedzieć, gdzie jest jej mąż.

Musiałem oczywiście pozbyć się w jakiś sposób ciała jeszcze przed powrotem detektywa sierżanta Millera, ale nie bardzo wiedziałem jak. W szopie przy ogrodzie stała duża staroświecka taczka. Zastanawiałem się, czy nie wywieźć go na niej i nie ukryć pod stosem kompostu, ale poza tym, że mógł się rozpaść na kawałki przy pierwszym moim dotknięciu, ryzyko było ogromne. Gdyby detektyw sierżant złapał mnie przy zakopywaniu zwłok Dennisa Pickeringa, doszedłby automatycznie (i całkiem słusznie) do wniosku, że znam okoliczności jego śmierci — a i tak byłem już dość podejrzany w związku ze śmiercią Harry’ego Martina i nieoczekiwanym pojawieniem się Charity.

Wyszedłem z salonu. Chciałem rzucić szybko okiem na stos kompostu, żeby sprawdzić, czy uda mi się, nie rozrucając go zbyt, zakopać pod spodem Dennisa Pickeringa. Kiedy jednak otworzyłem frontowe drzwi, zobaczyłem, jak obok mojego audi staje policyjny samochód i wysiada z niego umundurowany konstabl. Włożył starannie czapkę i stanął przy samochodzie, zakładając ręce z tyłu. Najwyraźniej detektyw sierżant Miller polecił komuś przez radio mieć na mnie oko.

I co teraz miałem, do wszystkich diabłów, począć? Widziałem, że cała sytuacja coraz bardziej się komplikuje.

Gdybym ufał, że detektyw sierżant Miller uwolni mnie od wszelkiej winy, opowiedziałbym mu wszystko jak na spowiedzi. Ale choćby detektyw sierżant nie wiadomo jak mocno wierzył w duchy, Brązowego Jenkina i nadprzyrodzone siły, których siedliskiem stał się Fortyfoot House, to i tak musiał złożyć raport swoim zwierzchnikom, a jeśli odnalezione zostanie ciało Dennisa Pickeringa, jego zwierzchnicy będą chcieli, żeby aresztował jakiegoś mordercę. Dennis Pickering był w końcu miejscowym pastorem — nie jakimś chuliganem, włóczęgą albo pijanym wczasowiczem. Oczywiście detektyw sierżant nigdy nie zdoła udowodnić, że to ja go zamordowałem, ponieważ tego po prostu nie zrobiłem; może jednak zamknąć mnie na długie miesiące, podczas których na zawsze stracę z oczu Liz, a Danny odesłany zostanie z powrotem do Janie albo do domu dziecka.

Wróciłem do salonu i spojrzałem ponownie na wysuszone ciało. Nie mogłem wywlec go teraz z domu, nawet gdybym zebrał potrzebną odwagę. Ale gdybym tak wywłókł je z domu wtedy — w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym — zaraz po tym, jak Kezia Mason i Brązowy Jenkin ukryli je pod podłogą?

Gdybym wyciągnął zwłoki wtedy, nie byłoby ich tu teraz — choć z drugiej strony, skoro są tu teraz, widocznie nie udało mi się ich wyciągnąć w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku.

Czy można naprawdę zmienić bieg historii? Czy mogę naprawdę cofnąć się w czasie i sprawić, że ciało Dennisa Pickeringa nigdy nie zostanie odnalezione? Czy mogę cofnąć się w czasie i sprawić, że w ogóle nie zostanie zamordowany? Możliwości wydawały się niewyczerpane, niczym w kalejdoskopie. Być może mogłem nawet cofnąć się w czasie i sprawić, że Kezia Mason w ogóle nie zostanie sprowadzona do Fortyfoot House, a stary pan Billings rażony przez piorun. Być może potrafiłem nawet zmienić bieg historii tak, aby nigdy nie doszło do poczęcia Brązowego Jenkina.

Położyłem z powrotem klepki i przyklepałem je nogą. Wbiłem gwoździe łomem, a potem wziąłem garść kurzu i popiołu z paleniska i posypałem szpary między klepkami, żeby jeśli to możliwe, wyglądały tak, jakby nikt ich nie ruszał. Nie wyszło to zbyt dobrze, ale jeśli detektyw sierżant nie będzie długo marudził i przyglądał się listwom przed ich zerwaniem, nie powinien nic zauważyć.

Wyrząłem przez okno, żeby sprawdzić, gdzie są Danny i Charity. Bawili się koło zegara słonecznego.

Charity siedziała na trawie i plotła wianek ze stokrotek, a Danny skakał na jednej nodze wokół niej. Słyszałem niewyraźnie jego śpiew.

Stary niedźwiedź mocno śpi.

My się go boimy,

Cichutko chodzimy.

Jak się zbudzi, to nas zje...

Doszedłem do wniosku, że nie powinno im się stać nic złego przez te kilka minut... jeśli tyle właśnie miało mi zająć wejście na górę, zejście z powrotem na dół i pozbycie się ciała biednego Dennisa Pickeringa.

Istniało oczywiście duże niebezpieczeństwo, że natknę się znowu na Brązowego Jenkina albo Kezię Mason — ale byłem pewien, że przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności zdołam tego uniknąć, a w najgorszym razie bieć dość szybko, żeby przed nimi umknąć. Tym razem będę przynajmniej przygotowany na to, co mnie czeka, i nie dam się nikomu zaskoczyć.

Wdrapałem się na piętro, otworzyłem drzwi na strych i nasłuchiwałem. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę jakieś mruczenie, ale potem zdałem sobie sprawę, że to tylko wiatr, szumiący cicho i żałośnie w szczelinach dachu. Miałem cichą nadzieję, że na strychu wciąż będzie jasno, ale był pogrążony w całkowitej ciemności. Musiałem zapalić latarkę i skierować na schody wąski żółty snop światła. Chybotliwe, migoczące światło — szukające czego?

Ostrożnie, trzymając plecy przy ścianie, wspiałem się na górę, aż dotknąłem ręką balustrady. Na strychu panowała ciemność — ale ku swojej uldze dostrzegłem padającą przez świetlik słabą smugę

granatowego światła. Strych wciąż znajdował się w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Jedyna różnica w stosunku do ostatniej naszej wizyty polegała na tym, że teraz była tam noc. Podeszedłem pod świetlik i spojrzałem w górę. Widziałem świecące na niebie gwiazdy i fragment fioletowoszarej chmury.

Skierowałem światło latarki na właz. Był wciąż zaryglowany od strony strychu, ale przytrzymujące jeden z rygli śruby wyrwane zostały siłą z obudowy, tak jakby ktoś z maniakałnym uporem walił w klapę od dołu. Po krótkim wahaniu podeszedłem bliżej, ukląknęłam i ostrożnie odsunąłem rygle. Ten obluzowany zaskrzypiał lekko i przez pół minuty wstrzymywałem oddech nasłuchując, czy nikt na dole mnie nie usłyszał. Nie miałem ochoty zawisnąć nad podłogą sypialni po to tylko, żeby rozplątał mi nogi Brązowy Jenkin.

Biorąc płytki oddech podniosłem klapę i spojrzałem z lękiem w dół. Pokój pogrążony był w ciemności, dostrzegłem jednak blady kształt zasłanego łóżka. Brązowy Jenkin najwyraźniej przewrócił na bok fotel, ponieważ widziałem tylko jedną jego nogę. Musiałem zeskoczyć prosto na podłogę, starając się nie narobić zbyt wiele hałasu. Nasłuchiwałem, ale nie docierały do mnie żadne głosy. Słyszałem tylko trzaskające co jakiś czas drzwi. Oczywiście, nie miałem najmniejszego pojęcia, która tu może być godzina — i w ogóle czy powróciłem do tego samego dnia w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym, tyle że odpowiednio później. Mogłem przecież przenieść się w czasie tydzień później albo wcześniej. To nie musiał być w ogóle rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty, lecz tysiąc osiemset osiemdziesiąty piąty czy siódmy lub jakikolwiek inny. Nie sposób było zgadnąć, czy fotel został przewrócony przez Brązowego Jenkina zaledwie parę godzin temu, czy też leżał tak w pustym i opuszczonym Fortyfoot House od kilku miesięcy.

Spuściłem się przez właz, zawisłem przez chwilę w powietrzu, a potem zeskoczyłem tak cicho, jak mogłem, na dywanik. Jakiś czas stałem nieruchomo, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie usłyszał. Sypialnia na pewno wyglądała tak jak poprzednio. Łóżko, okno, wiszący do góry nogami krucyfik. Usłyszałem, jak zegar na dole wybija długo i dźwięcznie jedenastą.

Zobaczyłem lekko uchylone drzwi na korytarz. Zbliżyłem się do nich na palcach, starając się stawiać stopy tak, żeby nie narobić zbyt wiele hałasu. Jedna z klepek cicho zatrzeszczała, ale reszta podłogi była w miarę stabilna. Serce biło mi szybko i mocno i oddychałem niczym człowiek balansujący na linie. Nie miałem w końcu pojęcia, czy Brązowy Jenkin nie czai się gdzieś, czekając na mnie w korytarzu; albo czy Kezia Mason nie wyczuje w jakiś sposób, że się tu zjawiłem.

Obite atłasem ściany są czarne i miękkie jak grzech... — usłyszałem samego siebie, cytującego w myśli starą rymowanąkę. — I wpełzają z nich, i wpełzają karły o brodach jak mech...

Otworzyłem na oścież drzwi. Na korytarzu było o wiele ciemniej; prawie tak ciemno jak w obitej czarnym welwetem garderobie króla Filipa. Czekałem nasłuchując, aż uszy rozboleły mnie z napięcia.

W tej samej chwili z ciemności wynurzyła się mała biała postać i sunąc po podłodze zaczęła się zbliżać w moją stronę — a za nią następna i jeszcze jedna.

Ogarnęła mnie taka panika, że nie byłem w stanie się poruszyć. Nie podniosłem nawet w górę

łomu.

Postaci przysuwały się coraz bliżej, nie wydając najmniejszego szmeru. Karły, które uciekły z szafy. Duchy, które uciekły z cmentarza. Albo...

ROZDZIAŁ XV

Ostrzeżenie

Małe postaci zbliżyły się i w słabym, dobiegającym z sypialni świetle zobaczyłem, że to dzieci: blade jak śmierć dzieci ubrane w białe długie nocne koszule. Miały potargane włosy i podkrążone ze zmęczenia i głodu oczy, ale nie były ani karłami, ani duchami. To były po prostu dzieci — dwie małe dziewczynki i chłopiec.

— Kim pan jest? — zapytała mnie jedna z dziewczynek, całkiem ładna, ale straszliwie chuda. Usłyszałem w jej głosie takie same jak u Kezi Mason charakterystyczne długie samogłoski wiktoriańskiego East Endu. — Wcześniej tu pana nie widziałam. Czy dyrektor wie, że pan tu jest?

Potrząsałem głową.

— Dyrektor nic o mnie nie wie, a mnie nie zależy specjalnie, żeby się dowiedział.

— Śmiesznie pan mówi — zauważył chłopczyk. — Skąd pan pochodzi?

— Z Brighton.

— Byłem kiedyś w Brighton, pociągiem. Zabrała mnie moja mama.

— Nigdy nie miałeś mamy — przerwała mu druga dziewczynka.

— Owszem, miałem. Zabrała mnie kiedyś do Brighton. A potem urodziła drugie dziecko i umarła.

— Ćśśś — syknąłem. — Nie chcę, żeby się ktoś obudził.

— Co pan tu robi? — zapytała pierwsza dziewczynka. — Chce pan coś zwędzić? Nie jest pan chyba rozbieraczem. Brązowy Jenkin nie lubi rozbieraczy.

— Kto to jest rozbieracz?

— Nie wie pan? To jeden z tych doktorów albo wielebnych pastorów, którzy każą się panu rozebrać, żeby obejrzyć pana na golasa.

— Nie, nie jestem ani rozbieraczem, ani złodziejem — odparłem. — Szukam tylko przyjaciela, to wszystko.

— Musi pan uważać, żeby nie złapał pana Brązowy Jenkin — powiedziała druga dziewczynka.

— Wiem wszystko o Brązowym Jenkinie — odparłem. — Wiem także o Kezi Mason.

— Kiedy odnajdzie pan swojego przyjaciela, nie zatrzyma się pan tutaj dłużej? — zapytał

chłopczyk.

— Nie, oczywiście, że nie. Od razu się stąd wynoszę.

— Nie zabrałby pan nas ze sobą?

— Zabrać was ze sobą? Wszystkich? Naprawdę nie wiem. Nie wydaje mi się, żebym mógł. Dlaczego?

— Wiele z nas tutaj umiera, dlatego. Pan Billings patrzy na jedno z dzieci i mówi, że jest chore i powinno przejść kurację. A wtedy zabiera je na piknik Brązowy Jenkin i nikt już potem go nie widzi, i w końcu kopią mu grób.

— Ale my wcale nie jesteśmy chorzy — wtrąciła pierwsza dziewczynka. — Pan Billings nie daje nam dużo do jedzenia, przeważnie tylko cienko posmarowany chleb, więc jesteśmy głodni. Ale nie chorzy, żadne z nas, oprócz Billy'ego, który ma koklusz. Ale on zawsze miał koklusz.

— Ile zostało tu dzieci? — zapytałem ich.

— Wszystkiego trzydzieści jeden, nie licząc Charity; a tego, dokąd ona odeszła, nie wie nikt.

Wiedziałem oczywiście, dokąd odeszła Charity, ale nie zamierzałem im tego mówić. Nie przyszedłem tutaj po to, żeby ocalić od śmierci wszystkie te pochodzące z londyńskiego East Endu sieroty. Nie miałem na to po prostu czasu i — niech Bóg mi wybaczy — dość bezinteresownej odwagi. To, co zaczęło się jako próba odkrycia tajemnicy Fortyfoot House, coraz bardziej upodobniało się do scenariusza „Gospody szczęścia”. Jeśli tak dalej pójdzie, za niedługą chwilę pomaszeruję przez rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty, prowadząc za sobą gromadkę porzuconych bachorów i śpiewając: Ten stary pan, na bębnie zagra nam; w bęben wali bum bum bum, za nim biegnie dzieci tłum.

W tej chwili zainteresowany byłem przede wszystkim tym, jak wyciągnąć spod podłogi zwłoki Dennisa

Pickeringa i pozbyć się ich raz na zawsze.

— Posłuchajcie — szepnąłem do trójki dzieci. — Mam do załatwienia coś ważnego na dole. Kiedy skończę, wrócę tutaj i porozmawiam z wami. Gdzie jest wasza sypialnia?

Pierwsza dziewczynka wskazała drzwi najbliższego pokoju, tego w którym w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim nie mieściło się nic poza połamanymi krzesłami, książkami i skrzyniami.

— W porządku — szepnąłem. — To zajmie mi najwyżej dwadzieścia minut. Postarajcie się nie zasnąć.

— Nie zaśniemy — powiedział chłopczyk i cała trójka zaczęła się z powrotem rozpląwać w ciemności.

Pierwsza dziewczynka ruszyła na paluszkach w stronę swojej sypialni, ale potem odwróciła się i przyciskając palec do ust dała znak, żebym się zbliżył.

— Coś panu pokażę — powiedziała.

Ujęła moją dłoń w chude i zimne jak lód palce i poprowadziła korytarzem w stronę sypialni Liz — dokładniej biorąc tam, gdzie miała nocować Liz, zanim zaczęła sypiać ze mną. Bardzo ostrożnie przekręciła klamkę i uchyliła lekko drzwi.

— Czyj to pokój? — zapytałem.

— Ćśśś — syknęła.

Kiedy otworzyła drzwi szerzej, poczułem, jak przez grzbiet przechodzą mi zimne ciarki. Połowę pokoju wypełniało wysokie drewniane łóżko, przykryte trzema albo czterema prostymi wełnianymi kocami.

Po jednej jego stronie, bliżej drzwi, leżał na plecach pan Billings, z zamkniętymi oczyma, otwartymi ustami i rękami ułożonymi przy bokach. Głośno chrapał, zacinając się lekko przy każdym oddechu. Obok niego spoczywała Kezia Mason z rozrzuconymi na poduszce niczym fale ognia tycjanowskimi włosami.

Ku memu przerażeniu dostrzegłem, że ma oczy szeroko otwarte i wpatruje się w sufit.

Dziewczynka poczuła, jak zaciskam ze strachu palce.

— Niech pan się nie boi — szepnęła. — Ona śpi. Zawsze śpi z otwartymi oczyma.

— Jezu — szepnąłem bezgłośnie. Widok leżącej bez ruchu, prawie nie oddychającej i wytrzeszczającej szeroko oczy Kezi Mason był naprawdę przerażający. Trudno przychodziło mi uwierzyć, że rzeczywiście śpi i nie może nas zobaczyć.

Dziewczynka zamknęła cicho drzwi.

— Gdzie jest teraz Brązowy Jenkin? — zapytałem.

— Nie wiem. Chyba gdzieś na dworze.

— Na dworze?

— On nigdy nie śpi. Nigdy w każdym razie nie widziałam, żeby spał. Zawsze gdzieś się kręci. Nienawidzę go.

— Kim on właściwie jest? Ktoś mi powiedział, że synem pana Billingsa i Kezi Mason. Ale nawet jeśli coś poszło źle przy porodzie, chyba nie wyglądałby aż tak, prawda? Przypomina bardziej szczura niż chłopca.

— Tak. Ale jest bardziej chłopcem niż szcurem. — Dziewczynka wróciła do swojej sypialni i otworzyła drzwi. — Na imię mam Molly — dodała na pożegnanie.

Przypomniałem sobie nagle jeden z nagrobków, które widziałem na cmentarzu przy kaplicy. Prosty kamienny krzyż z krótką inskrypcją: MOLLY BENNETT, ZMARŁA W WIEKU 11 LAT, ZASIADA PO PRAWICY CHRYSYUSA. Nie miałem odwagi spytać, czy nazywa się Bennett. Myśl, że ta mała dziewczynka o wychudłej twarzy zostanie wkrótce zabrana przez Brązowego Jenkina na jeden z jego złowrogich „pikników”, wprost mnie poraziła. Dotknąłem ręką jej potarganych włosów. Mimo że dzieliło nas przeszło sto lat, była zupełnie prawdziwa. Jeśli w ciągu kilku ostatnich dni w ogóle czegoś się nauczyłem, to tego, że podróż w czasie nie narusza w niczym realności ludzkiej egzystencji. Jeśli jest się tutaj, jest się tutaj całkowicie i bez reszty. Była to dziwna myśl; trochę smutna, ale i trochę krzepiąca.

— Spotkamy się za parę minut — zapewniłem Molly i zszedłem cicho na parter. Na ścianie korytarza wisiały te same dziwaczne akwarele i sztychy. Widziałem je w przyćmionym świetle, które sączyło się przez świetlik nad drzwiami. Teraz jednak wydawały się jeszcze bardziej obsceniczne i tajemnicze: ilustrowany katalog ginekologicznych horrorów. Widziałem powykrzywiane z bólu twarze i straszliwe chirurgiczne instrumenty; widziałem żywe dzieci, które cięto na kawałki w desperackich próbach uratowania ich umierających matek. Minąłem całą tę galerię tak szybko, jak mogłem.

Drzwi do salonu pozostawiono otwarte. W środku nie paliło się światło i nie było nikogo, ale po sposobie, w jaki przesunięto na bok meble, domyśliłem się, że minęło zaledwie parę godzin od mojej poprzedniej wizyty. Palenisko zostało zamiecione, a dywan zwinięty na bok.

Stałem pośrodku pokoju w miejscu, gdzie został zabity Dennis Pickering. Podłoga była wilgotna i pachniała mocno kuchennym mydłem, tak jakby ktoś ostatnio ją szorował. Ale woda i mydło nie wystarczyły, by usunąć rozległą czarną plamę — z własnego doświadczenia wiedziałem zresztą, że nigdy się to nie uda. Plama miała dokładnie tak sam kształt, jak wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostatni — mniej więcej pół godziny temu, za sto sześć lat.

Ukląknęłam i wsunąłem łom pod listwy podłogi. Przylegały do siebie mocniej niż w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Zacząłem je ostrożnie podważać, co jakiś czas zastygając w bezruchu, wyciągane bowiem z belek gwoździe wydawały głośny skrzypiący odgłos podobny do kwiku zarzynanego prosiaka.

Dennis Pickering zabity został nie dalej jak po południu, ale już teraz odór unoszący się z jego ciała był prawie nie do zniesienia. Słodki, ciężki i gęsty, niczym oddech, który czuć skondensowanym mlekiem i nieświeżą rybą. Nie miałem pojęcia, dlaczego młody pan Billings i Kezia Mason nie pochowali go gdzieś na zewnątrz — ale może mieli te same trudności co ja — być może obserwowała ich policja albo co bardziej prawdopodobne, ciekawscy sąsiedzi. Nawet w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim w Bonchurch każdy wiedział wszystko o każdym; mieszkańcy wioski musieli być jeszcze bardziej wścibscy w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym, kiedy było ich o połowę mniej niż obecnie.

Uniosłem pierwszą listwę, a potem następną. Biedny Dennis leżał wciśnięty między belki

dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej odnalazłem go poprzednio. Do gardła podeszła mi żółć i kawałki nie przetrawionego śniadania, ale wiedziałem, że muszę go stąd wydostać — dla mojego dobra, dla dobra Danny’ego i dla dobra jego własnej nieśmiertelnej duszy. Nikt nie zasługiwał na to, żeby być pochowanym bez żadnego rekwiem, pod deskami podłogi.

Jedna tylko rzecz poważnie mnie niepokoiła — czy to, co robię, nie narusza praw rządzących czasem.

Wydawało mi się straszliwym paradoksem, że Dennis Pickering leży tutaj martwy w epoce, kiedy nie został jeszcze poczęty. Z drugiej strony jeśli czas przypominał opowiadanie lub film — albo gobeliny z Bayeux, które przedstawiają kolejne sceny, ale wciąż istnieją, kiedy się je minie — być może nie było w tym żadnego paradoksu. Który jednak Dennis Pickering był prawdziwy? Ten, który się miał pewnego dnia narodzić, czy ten, który leżał tutaj martwy?

Zrobiło mi się słabo — ze strachu i od zamętu w głowie. Po minucie albo dwóch musiałem zamknąć oczy i zacisnąć pięści. Przestań — powiedziałem sobie — dosyć tego, nie zajmuj się wszystkim naraz.

W końcu udało mi się opanować w wystarczającym stopniu, żeby pochylić się i wcisnąć palce pod sflaczałe barki Dennisa Pickeringa. Ciężko dysząc wydobyłem jego ramiona i lewą rękę z dziury w podłodze i ustawiłem go w pozycji półsiedzącej. Ręka uderzyła głośno o klepki. Puste oczodoły wypełnione były jagodami skrzepłej krwi, jej strumyczki zaschły mu na policzkach. Być może krew, która kapłała z pyska Brązowego Jenkina na malowidle w kaplicy, stanowiła przepowiednię — i zarazem ostrzeżenie, żeby się nie wtrącać.

Wstałem, złapałem Dennisa Pickeringa pod pachy i z wysiłkiem wyciągnąłem go z prowizorycznego grobu. Na szczęście dla mnie Brązowy Jenkin wepchnął z powrotem do jamy brzusznej większość wnętrzości i zapiął zakrwawioną koszulę pastora; ale mimo to czułem makabryczny śliski ciężar jego brzucha i musiałem zatrzymać się na moment, przełknąć dwukrotnie ślinę i spróbować pomyśleć o czymś innym.

Zaciągnąłem go pod oszklone drzwi, które prowadziły na taras, po czym wróciłem i ułożyłem na miejscu usunięte listwy. Zamknąłem cicho drzwi do salonu, a potem wbiliśmy z powrotem gwoździe znalezionym w palenisku młotkiem do węgla, tłumiąc hałas jedną z poduszek, które leżały na sofie. W moich uszach brzmiało to jakby sam Szatan pukał do piekielnych wrót, ale nie sądzę, żeby hałas był naprawdę tak duży.

Otworzywszy oszklone drzwi, na pół wyniosłem, na pół wywlokłem ciało Dennisa Pickeringa na patio.

Jego pięty uderzały bezwładnie o ceglane stopnie. Pociągnąłem go przez trawnik, a potem obok stawu rybnego, przez most i zagajnik, za którym znajdowała się tylna furтка.

Miałem zamiar zabrać go na plażę i zaciągnąć tak daleko, jak mi się uda, w morze, żeby do rana dobrały się do niego kraby. Każdy, kto znajdzie to, co z niego pozostanie, dojdzie do wniosku, że to tylko trup rybaka, który zatonął na morzu — normalna rzecz w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym

szóstym.

W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym nikt nie słyszał o Dennisie Pickeringu.

Zaciągnąłem go na plażę. Mur biegnący wzdłuż wybrzeża był inny, o wiele niższy, a w dół, na kamienistą plażę prowadziły drewniane schody. Przypomniałem sobie tkwiące w murze żelazne szyny — zardzewiałe i połamane. W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim zastanawiałem się, do czego służyły; teraz już wiedziałem.

Zawlokłem go na dół. Trwał właśnie odpływ i musiałem ciągnąć go ponad dwieście metrów wąskim piaszczystym kanałem między kamieniami. Nad moją głową migotały miliony gwiazd; wypełniały całe niebo aż po horyzont. Kiedy zbliżyłem się do skraju wody, ciało Dennisa zaczęło wydawać cichy, przypominający mlaskanie odgłos.

W końcu dotarłem do miejsca, w którym rozbijały się fale. Zimne, słone morze zachlapało moje nogawki i zalało buty. Ciało Dennisa Pickeringa zaczęło unosić się i kręcić na wodzie; ale ja ciągnąłem go coraz dalej i dalej, aż zanurzyłem się niemal po pas, a on huśtał się i podskakiwał obok mnie. Wtedy pchnąłem go po raz ostatni i Dennis zanurzając się, odpłynął na pełne morze. W ciemności widziałem tylko białą smugę jego koloratki.

Nie znałem żadnych modlitw, ale odmówiłem moją własną. Pod tym wiktoriańskim niebem, w świecie, w którym Wielka Brytania wciąż władała Indiami — w świecie, w którym carowie wciąż zasiadali na tronie w Moskwie, a prezydent Cleveland wciąż pogrążony był we śnie w Waszyngtonie — wysłałem człowieka z innego czasu w jego ostatnią podróż — na spotkanie jego Boga. A potem zziębnięty zawróciłem w stronę wybrzeża.

W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym nie było Beach Cafe — ale przy drodze stał już rząd eleganckich, otynkowanych na biało domków z ogródkami, w których drzewa i krzewy przycięto na zimę, ale które były tak samo dokładnie uprzątnięte i pozamiatane jak w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Wspiąłem się stromą ścieżką, która prowadziła do tylnej furtki Fortyfoot House.

Nie położono na niej jeszcze asfaltu i moje mokre buty chrzęściły po kamieniach i luźnym żwirze. W oddali słyszałem szczekanie psa i widziałem migoczące światła. Nierealność tego, co robię, o mało nie doprowadziła mnie do szaleństwa.

Zbliżywszy się do tylnej furtki, uświadomiłem sobie, że przy żywopłocie stoi jakaś ciemna postać z głową skrytą w cieniu zwisającego nisko bluszczu. Stałem w miejscu i bacznie się jej przyjrzałem.

Gdyby to był Brązowy Jenkin, nie miałem innego wyjścia, jak brać nogi za pas i próbować dostać się do Fortyfoot House w jakiś inny sposób.

Ale postać wydawała się wyższa i cięższa od Brązowego Jenkina. W milczeniu czekała w cieniu bluszczu.

Ubrana była w długi miękki płaszcz i zaciskała z przodu ręce w geście skrajnej cierpliwości.

— Kto tam? — zapytałem w końcu.

Postać dała krok do przodu. Twarz miała skrytą pod miękkim mnisim kapturem. Cofnąłem się trochę, napinając mięśnie — gotów w każdej chwili do ucieczki. Ale kiedy kaptur opadł, stanąłem twarzą w twarz z młodym panem Billingsem — przystojnym mężczyzną z podkrążonymi oczyma i lekko dziobatymi policzkami. Czuć od niego było dżinem i jakąś wodą kwiatową, której nie mogłem zidentyfikować.

— Nie poznał mnie pan? — powiedział, odchrząknawszy.

— Oczywiście, że poznałem — odparłem.

— Obserwowałem pana — oznajmił. — Widziałem, co pan robił tam, na plaży. Podjął pan duże ryzyko, w ogóle się tutaj zjawiając. I jeszcze większe, wracając.

— Zamordowaliście go razem z Kezią Mason — stwierdziłem łamiącym się głosem. — Zasługiwał na coś lepszego niż ten metr kwadratowy pod podłogą.

— Ach tak... na przykład na to, żeby pożarły go kraby?

— Kraby, robaki, co za różnica. Przynajmniej się za niego pomodliłem.

— To bardzo miło z pańskiej strony — oświadczył młody pan Billings, obchodząc mnie wolno dookoła i mierząc badawczym wzrokiem. — Pański dobry uczynek nie ma oczywiście nic wspólnego z obawami, że policja znajdzie zwłoki wielebnego Pickeringa w domu, w którym jest pan jedynym możliwym podejrzanym?

— Być może.

Młody pan Billings milczał, wbijając we mnie wzrok.

— Może i sprzedałem duszę, mój panie, ale nie jestem głupcem — oświadczył w końcu.

— Nigdy tego nie twierdziłem.

Przez chwilę się zastanawiał, wciąż się we mnie wpatrując.

— Jak pan myśli, co powinienem z panem zrobić? — zapytał wreszcie.

— Czeka na mnie mój syn — powiedziałem.

— Oczywiście. Razem z Charity.

— Brązowy Jenkin miał zamiar ją zamordować.

— Nie musi mi pan mówić, co miał zamiar zrobić Brązowy Jenkin.

— Czy dlatego właśnie pan się z nim spierał, wtedy w ogrodzie?

Opuścił wzrok.

— Zabrali już zbyt wiele dzieci. Pewnie mi pan nie uwierzy, ale łamie mi się serce, kiedy o tym pomyślę.

Zupełnie zaskoczył mnie tym wyznaniem skruchy. Do tej pory uważałem, że nawet jeśli młody pan Billings i Brązowy Jenkin nie są ze sobą spokrewnieni — jako ojciec i zdeformowany syn — to w każdym razie uczestniczą w tym samym spisku.

— Po co zabieracie te dzieci? — zapytałem. — Przypuszczam, że nie tylko po to, żeby je po prostu zamordować.

— Oczywiście, że nie — odparł młody pan Billings. — Ale to wcale nie tak łatwo wyjaśnić. To dotyczy spraw, których większość ludzi nie potrafi zrozumieć... spraw takich jak czas i rzeczywistość. A także moralność. I tego, czy jedno ludzkie życie jest warte więcej od drugiego.

Spojrzałem niepewnie w stronę ciemnej bryły Fortyfoot House.

— Na pewno nie znajdzie nas tutaj Brązowy Jenkin?

— Dlaczego? Tak się go pan boi?

— Jeśli powiem, że robię na jego widok pod siebie, to i tak będzie za mało.

— Cóż — odparł z uśmiechem młody pan Billings — może nas znajdzie, a może nie znajdzie. A może będę musiał na niego zagwizdać.

— Czym on jest? — zapytałem.

— Brązowy Jenkin? Tym wszystkim, czym się wydaje. Złośliwym małym szkodnikiem, zbrodniczym gryzoniem, potwornym chłopcem. Jest tym, co pan sobie o nim pomyśli.

— Skąd przybył? Ktoś mi powiedział, że to pański syn.

— Mój syn? Brązowy Jenkin? Gdyby to nie było takie śmieszne, poczułbym się urażony. Nie, mój panie.

Choć jest w jakimś sensie potomkiem Kezi, z czasów kiedy wróciła, żeby zobaczyć się z tym... z tym Mazurewiczem. — Wymówiwszy to nazwisko splunął i wytarł usta wierzchem dłoni.

— Co, u diabła, dzieje się w Fortyfoot House? — zapytałem. — Od czasu kiedy tu przybyłem, bez przerwy widzę światła i słyszę hałasy, jęki i kręcącego się po domu Brązowego Jenkina. Zginęło już troje niewinnych ludzi.

Młody pan Billings zastanawiał się przez moment. Otworzył usta, ale potem je zamknął.

— Nie — stwierdził. — I tak nic pan z tego nie zrozumie.

— Niech pan mnie wypróbuj.

Znowu zaczął chodzić w kółko.

— Wypróbować pana? Bardzo dobrze, zrobię to. — Zatrzymał się nagle, wyjął kieszonkowy zegarek i przybliżył go do lewej źrenicy, żeby odczytać w półmroku godzinę. Przez mgnienie oka od tarczy zegarka odbiło się światło i zobaczyłem wyryty na niej kształt, który przypominał ośmiornicę ze zwisającymi w dół mackami. — Jest późno, bardzo późno. Na wypadek gdyby nam przerwano, udzielę panu najpierw ostrzeżenia.

— Ostrzeżenia? W związku z czym?

— W związku z Liz, oczywiście. Tą pańską przyjaciółką... dziewczyną, która była pańską przyjaciółką.

— Niech pan mówi — ponagliłem go. — Co jest z nią nie w porządku?

— Jeśli nie będzie pan uważał, drogi panie, pańska Liz urodzi panu trzech synów. Syna spłodzonego z krwi, syna spłodzonego z nasienia i syna spłodzonego ze śliny.

— Co takiego? — zapytałem z niedowierzaniem. — O czym pan mówi? Nie planujemy żadnych dzieci.

Poza tym ona bierze tabletki. Wie pan, do czego służą tabletki?

Młody pan Billings kiwnął głową.

— Wiem bardzo dużo o pańskiej epoce.

— Mam przynajmniej nadzieję, że bierze tabletki — powiedziałem, marszcząc brwi. — Widziałem, jak je łykała.

— To nie ma znaczenia — stwierdził. — Żadna tabletką na ziemi nie zapobiegnie poczęciu tych trzech synów, przyjacielu. Ponieważ mają oni stanowić trójkę w jedność, odwróconą przeklętą Trójkę; a kiedy dorosną, zrodzą wspólnie Wielką Bestię. Wtedy nareszcie otworzą się drzwi do Świata, Który Był i tutaj, na ziemi, spełni się wszystko, co kiedykolwiek wyobrażali sobie ludzie na temat piekła. Spełni się w naszych własnych miastach i w naszych własnych morzach.

Stojąc pod rozgwieżdżonym niebem trzymał się kurczowo biegnącej przy ścieżce balustrady i zacząłem się zastanawiać, czy nie jest szalony. Ale mówił cicho i spokojnie, bez śladu hysterii w głosie, a ja obejrzawszy już w Fortyfoot House tyle rzeczy, które nie mieściły się w głowie, byłem gotów uwierzyć, że w tym, co mówi, może tkwić jakieś ziarno prawdy. Jeśli rozmawiałem z dziećmi, które nie żyły od stu lat... jeśli natknąłem się na szczura, który chodził i mówił jak człowiek... jeśli

widziałem zjawę, która wcieliła się w ciało śpiącej kobiety... w takim razie mogłem przynajmniej wysłuchać tego, co miał do powiedzenia młody pan Billings.

— Co pan wie o kobietach nazywanych czarownicami? — zapytał.

— O czarownicach? — powtórzyłem, potrząsając głową. — Niewiele... tyle, co wyczytałem w bajkach.

Przypominam sobie teraz, że oglądałem chyba niedawno program o czarownicach na drugim programie BBC. Są również białe czarownice, czyli wróżki; te, które leczą kurzajki i powodują, że rośnie ciasto. Ale na tym koniec. Nie potrafią fruwać na miotłach.

— Pozwoli pan, że powiem coś, w co może pan nie uwierzyć — oświadczył młody pan Billings. — Kezia Mason to ktoś, kogo nazwałby pan czarownicą.

— Cóż... wydaje mi się, że można w to uwierzyć. Widziałem, jak zamykała, nawet ich nie dotykając, drzwi do salonu. Widziałem, jak oślepiła wielebnego Pickeringa.

— To tylko niewielka część tego, czego potrafi dokonać — powiedział młody pan Billings. — Rozumie pan... ona nie jest żywą osobą w tym sensie, w jakim my nimi jesteśmy. Nawet nie człowiekiem. Jak wszystkie czarownice to istota z czasów, które poprzedzały nastanie człowieka na ziemi, z czasów, kiedy panowała tu zupełnie inna cywilizacja. Jest duchem z tamtych czasów, jeśli w ten sposób łatwiej to będzie panu zrozumieć.

— Jest duchem?

— Nie, nie. Nie duchem. Nie w tym sensie, w jakim wy to rozumiecie. Raczej duszą.

— Ale ja ją widziałem, czułem. Ona jest z krwi i kości.

— Oczywiście. Ale to ciało i krew nie należy do niej. Nie należy do niej nawet nazwisko Kezi Mason.

Ona żyje wewnątrz Kezi, ale nie jest niczym więcej jak kukułczym jajem złożonym w ciepłym przytulnym gnieździe ludzkiego ciała. Wszystko to, czym była kiedyś Kezia — jej wspomnienia, jej myśli, jej dawna osobowość — zostało wyrzucone niczym bezbronne pisklęta. Kiedy Kezia Mason umrze albo okaże się dla niej za stara, czarownica zabije ją i znajdzie sobie kogoś innego. Jeśli to panu odpowiada, jest kimś w rodzaju pasożyta.

— Chce pan wiedzieć, co myślę? — powiedziałem, potrząsając głową. — Któremuś z nas pomieszło się w głowie.

Młody pan Billings nie wydawał się w najmniejszym stopniu urażony.

— Dlaczego pan tak myśli? — zdziwił się. — Pan nie jest szalony, a ja nie mogę być szalony, bo mówię prawdę; muszę mówić prawdę, w przeciwnym razie nie znałbym ani pana, ani pańskiego syna. Mamy rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty, panie Williams. Ani pan, ani pański syn

jeszcze się nie urodziliście i upłynie prawie całe stulecie, zanim to się stanie.

— W porządku — zgodziłem się. — Mówi pan prawdę. Ale czy nie może mi pan po prostu wyjaśnić, co się tutaj dzieje?

— Proszę bardzo — odparł młody pań Billings. — Żeby maksymalnie skrócić długą i dziwną historię, powiem, że wszystkiemu winien był mój ojciec. Spędził długie lata w slumsach londyńskiego East Endu, pomagając żyjącym w nędzy dzieciom. Dokonał wielu wspaniałych rzeczy, niech pan mi wierzy, muszę jednak ze wstydem przyznać, że nie kierował się wyłącznie filantropią.

— Czy był rozbieraczem? — zapytałem. Młody pan Billings rzucił mi ostre spojrzenie.

— Z kim pan rozmawiał? Z Charity?

— To nie ma teraz znaczenia. Niech pan mówi dalej.

— Cóż... nie myli pan się tak bardzo. Ojciec miał słabość do bardzo młodych dziewcząt. Po raz pierwszy zobaczył Kezię Mason w domu doktora Barnardo. Rzuciła na niego urok. Zupełnie na jej punkcie oszalał. Chciał od razu wziąć ją pod swoją opiekę, ale doktor Barnardo zachowywał dużą ostrożność w stosunku do ludzi takich jak on... a oprócz tego podejrzewał chyba, że Kezia Mason nie jest dokładnie tym, na kogo wygląda. Z tego, co wiedział, była ona oddana ciałem i duszą osobnikowi o nazwisku Mazurewicz, który żył pośród szczurów w podziemiach jednego z najbardziej zrujnowanych londyńskich nabrzeży.

Ryzykując poważnie własne życie doktor Barnardo kilkakrotnie odbierał Kezię Mason Mazurewiczowi, ale ona zawsze uciekała i wracała do niego. Doktor Barnardo twierdził, że bardziej niesamowitego związku nie zdarzyło mu się oglądać: osobnik, który żył i wyglądał jak król szczurów i jedna z najładniejszych znanych mu dziewczyn z przedmieścia.

Dałbym wszystko, żeby jak najprędzej wrócić do Fortyfoot House i do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, gdzie Danny i Charity wciąż bawili się w ogrodzie, czekając na śniadanie — ale czułem się jednocześnie jak weselny gość z „Pieśni o starym żeglarzu”, ktoś, kto musi zostać, bo nie ma innego wyboru. Młody pan Billings obudził się, wstał z łóżka i podążył w ślad za mną na plażę, żeby o wszystkim mi opowiedzieć. Musiałem go po prostu wysłuchać. Zakaszał, a potem wyjął chusteczkę i otarł nią usta.

— Czego doktor Barnardo nie mógł oczywiście wiedzieć... i o czym nigdy nie dowiedział się mój biedny ojciec, to tego, że Kezia Mason tylko z zewnątrz przypominała ładną dziewczynę z przedmieścia.

Wewnętrznie była istotą dziesięć tysięcy razy groźniejszą i niebezpieczniejszą od Mazurewicza. Dużo później, o wiele za późno, odkryłem, że to właśnie Mazurewicz był jej niewolnikiem, a nie odwrotnie.

I zawsze kiedy do niego wracała, robiła to w bardzo określonym celu...

Historia Mazurewicza jest bardzo niejasna i powikłana. Ale słyszałem od mego ojca, że przybył

do Londynu około roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego z portowych slumsów Gdańska. Był podobno synem pięknej polskiej baletnicy, która zdradzała bardzo dziwne upodobania seksualne. Z kim albo z czym spółkowała, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Bez względu na to jednak, co twierdzą naukowcy i teologowie, zdarzają się przypadki krzyżowania ludzi i zwierząt. Kobiety rodziły owczarki alzackie, świnie, a nawet kucyki. Istnieje co najmniej kilkadziesiąt udokumentowanych przypadków i prawdopodobnie tysiące, których nikt nigdy nie odnotował, ponieważ miały miejsce w izolowanych wiejskich społecznościach, gdzie wszelkie potworki zabija się przy urodzeniu.

— Co było dalej? — zapytałem. — Pański ojciec sprowadził Kezię Mason do Fortyfoot House?

— Tak. Całkiem niespodziewanie się zgodziła. Mój ojciec był w siódmym niebie. Kupił jej nowe stroje, nauczył ją czytać i traktował jak księżniczkę. Namówił ją, żeby pozowała mu do rysunku i fotografii... chociaż kiedy spojrzy się na to z perspektywy, to ona prawdopodobnie podsunęła mu tę myśl. W zamian za pozowanie zmusiła mego biednego ojca, żeby kupował jej biżuterię, futra, brandy i morfinę... wszystko, co chciała. Nie ośmielił się oczywiście jej sprzeciwić. I wciąż ją ubóstwiał. Boże wszechmogący, nie miał najmniejszego pojęcia, czym była.

— Jak pan to odkrył? — zapytałem podejrzliwie.

— Ja? Ha, cóż! Zaskoczyłem ją któregoś dnia w bibliotece mego ojca, kiedy poruszała ludźmi na jego starych olejnych obrazach. Przemieszczała sunące po niebie chmury, obracała skrzydłami wiatraka. Wtedy właśnie nabrałem pewności, że to czarownica albo ktoś, kogo mieszkańcy Hampshire nazywają cudotwórczynią.

— I co pan zrobił? — zapytałem.

— Dokładnie to samo, co zrobił pan, kiedy próbował odkryć tajemnicę Fortyfoot House: poszedłem do biblioteki. W tamtych czasach wyglądało to inaczej, biblioteka była prywatna i bardzo mała, ale stary pan Bacon mógł odnaleźć wszystko, czego człowiek potrzebował. Przeczytałem więc prawdziwą historię czarownic i może mi pan wierzyć, wywarło to na mnie potężne wrażenie. Nigdy nie wierzyłem, że mogą się one pojawiać w jakiegokolwiek formie i kształcie w rzeczywistości. To znaczy, każdy z nas zna tę czy inną staruchę, jakąś biedną starą babinę, którą wini się o to, że nie niosą się kury albo że skwaśniało mleko.

Ale to było o wiedźmach! Samo słowo ma bardzo długą historię. Wymówione zostało po raz pierwszy ponad trzy i pół tysiąca lat przed Chrystusem. Skandynawskie wicca pochodzi z cygańskiego wycjka, a to bierze początek z sumeryjskiego słowa willa, oznaczającego wiedźmę...

Starożytni Egipcjanie budowali swoje piramidy, opierając się na skomplikowanych regułach wyższej matematyki; regułach, które zwalniały bieg czasu i sprawiały, że ciała ich świętych faraonów nigdy nie ulegały rozkładowi. Właściwości piramid są dobrze znane; wielu cieszących się szacunkiem właścicieli winnic przechowuje wina w skrzyniach, które przypominają je kształtem. Dzięki temu wydłuża się proces ich dojrzewania.

Sumerowie skorzystali z tych samych wzorów, żeby dokonać rzeczy, na którą nigdy nie poważyli się Egipcjanie: zbudowali zigguraty, które pozwoliły cofać im się w czasie do epoki, kiedy na ziemi

nie było człowieka... kiedy świat zamieszkiwały stworzenia nazywane przez nich Praistotami, a także słudzy Praistot.

W tamtej epoce na Środkowym Wschodzie istniały wielkie tajemnicze miasta. Jest mnóstwo dowodów świadczących, że tak było... wystarczy tylko przejść się po British Museum. Wszystko wskazuje na to, że miastami tymi rządziły trzy rodzaje istot: obdarzone dziwacznymi zwisającymi w dół mackami bestie o twarzach jak dym; twory przypominające wyglądem pianę; oraz nieopisane złośliwe organizmy, które wyglądały jak kule oślepiającego światła. Te właśnie istoty powstały z pierwotnego mroku... z tej samej materii, z której stworzony jest cały wszechświat. Były dziwniejsze i bardziej przerażające niż cokolwiek, co może pan sobie wyobrazić.

— Sugeruje pan, że Kezia Mason może być jedną z nich? — zapytałem.

Młody pan Billings pokiwał głową.

— Nikt nie wie, ile jest na świecie czarownic. Ich liczba może iść w tysiące, a może nie przekraczać dwustu lub trzystu. Kiedy kobieta, w którą się wcieliły, umiera, względnie ginie na stosie lub szubienicy, istota kryje się po prostu uśpiona w miejscu, w którym to nastąpiło, i czeka na następną okazję. W ten sposób odradzają się wielokrotnie, życie po życiu, te same czarownice.

Przypomniałem sobie nagle migoczącą zjawę zakonnicy, którą widziałem w mojej sypialni; i niczym sącząca się po dywanie lodowata woda mój umysł zalała mroczna fala podejrzeń i obaw.

— Z tego, co wiem — ciągnął dalej młody pan Billings — istoty te uciekły z ery plejstocenijskiej, kiedy odwiedzili je sumeryjscy kapłani. Kapłani cofnęli się w czasie do Sarnath, jednego z największych miast, rządzonego przez Praistoty. Istnieje sześć albo siedem oddzielnych relacji, jak udało im się tego dokonać, każda na innej tabliczce klinowej. Był to niewiarygodny triumf myśli matematycznej, nie wspominając już o czystej odwadze. Ale kapłani popełnili podstawowy i straszliwy błąd. Kiedy dotarli do Sarnath, doszli do wniosku, że oglądają cywilizację, która znajduje się w stadium rozkwitu. Przypuszczam, że można to łatwo zrozumieć, ich własne miasta były bowiem w porównaniu z miastami Praistot bardzo prymitywne.

W rzeczywistości jednak Praistoty znajdowały się na skraju zagłady. Nie udało im się zaadaptować do zmian, które następowały w ziemskim klimacie, zatraciły też wiele pierwotnych zdolności, które zapewniały im przetrwanie: na przykład, jak przeżyć wiele setek lat prawie bez żadnego pożywienia.

W dodatku prowadziły ze sobą długie wojny i nie miały do siebie zaufania koniecznego do wzięcia udziału w Akcie Odrodzenia, podczas którego wszystkie trzy gatunki Praistot musiały być co jakiś czas poczęte w organizmie stworzenia, które było rdzennym mieszkańcem Ziemi.

— Nie rozumiem — powiedziałem.

— Cóż... prawdę mówiąc, ja też tego nie pojmuję — przyznał młody pan Billings. — Nigdy nie udało mi się skłonić Kezi, żeby mi to jasno wytłumaczyła. Wygląda jednak na to, że Praistoty nie pochodziły w ogóle z tego świata... i musiały się stopniowo adaptować do panujących na Ziemi

warunków przez powtarzane regularnie Akty Odrodzenia. Wybierano miejscową samicę, którą zapładniali przedstawiciele wszystkich trzech gatunków... istota z mackami, istota przypominająca pianę i istota, która wyglądała niczym kula świecącej protoplazmy. Na przestrzeni dziejów wielokrotnie odnajdywano potwornie porozrywane ciała kobiet i samic, których obrażenia sugerowały jednoznacznie, że jakaś rzecz albo rzeczy wyskoczyły z ich łona. W roku tysiąc osiemset pierwszym grupa leśników odkryła na Syberii zamrożone, rozdarte ciało samicy mastodonta. Nie było cienia wątpliwości, że została z furią zaatakowana od środka.

Leśnicy twierdzili, że wyglądała tak, jakby połknęła laskę dynamitu. W roku tysiąc osiemset dwudziestym trzecim na terenie winnicy niedaleko Eperney znaleziono martwą francuską chłopkę. Jej ciało zostało rozdarte na strzępy i porozrzucane na przestrzeni jednego hektara. Mały chłopiec, który był świadkiem jej śmierci, mówił o tubalnych głosach i jaskrawych światłach, a kiedy poproszono go, żeby opisał, co widział, zakrył twarz rękoma i nie mówiąc ani słowa łypał oczyma przez palce. Kolejny przypadek: w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym w Nightmute na Alasce pewien mężczyzna odnalazł w chacie swą młodą siedemnastoletnią żonę, wyglądającą tak, jakby dosłownie eksplodowała. Wybuch był tak potężny, że cała chata przesunęła się o sześć metrów od miejsca, gdzie znajdowały się jej fundamenty.

Mazurewicz pokazywał mi opisy tych zdarzeń w swoich książkach. Widziałem tam również ilustracje, sporządzone przez naocznych świadków, i może mi pan wierzyć, mój panie, całymi tygodniami dręczyły mnie po nich koszmary.

— Chce pan powiedzieć, że to samo przydarzy się Liz? — zapytałem przerażony.

— Tak. Obawiam się, że tak — odparł młody pan Billings.

— Zostanie rozerwana na strzępy?!

— Przykro mi. Nie mogę zrobić nic, żeby temu zapobiec.

— Ale dlaczego?

Młody pan Billings przyjrzał mi się smutnym wzrokiem.

— Z żalem muszę panu zakomunikować, drogi panie, że pańska Liz została już opętana przez czarownicę.

O Boże! Zakonnica!

— Widziałem ją — powiedziałem. — Przynajmniej tak mi się wydaje. Rozświetlona od wewnątrz, migocząca postać podobna do zakonnicy.

— Tak — pokiwał głową. — Duch albo jeśli pan woli, dusza tej starożytnej istoty, która przybyła do Fortyfoot House w przebraniu Kezi Mason. Widzi pan: Kezia Mason zginie w tym domu. Wiem to na pewno, bo oglądałem na własne oczy jej śmierć i ukryłem jej doczesne szczątki w pokoju, który w przyszłości stanowić będzie pańską sypialnię. To dlatego trzeba było zamurować okno, a pański pokój ma tak dziwnie opadający sufit... Przybył tu pan, a dusza czarownicy czekała

ukryta w ścianach pańskiej własnej sypialni... tak, uśpiona, ale zdolna przebudzić się, kiedy tylko zbliży się odpowiednia kobieta. Zaczęła od wywierania wpływu na pańską Liz... to chyba mamy już za sobą. Zauważył pan pewnie wyraźne zmiany w jej usposobieniu: skłonność do irracjonalnych sprzeczek, humory, tego rodzaju rzeczy.

— Tak — odparłem odrętwiały.

— Kiedy dusza czarownicy przekona się, że pańska Liz stanowi dla niej odpowiednią siedzibę — kontynuował młody pan Billings — wynurzy się ze ściany i zadomowi w jej ciele i umyśle. Z tego, co pan mówi, chyba już to zrobiła.

— Co się stanie potem?

— Potem najważniejszą dla niej sprawą będzie, by zapłodnił ją jakiś człowiek. Jeśli dopisze jej szczęście, może nawet pan. Zapłodni ją pan trzy razy: oralnie nasieniem; waginalnie śliną; i analnie krwią. Te trzy akty sprawią, że w jej ciele rozwiną się embriony trzech różnych gatunków Praistot. W pańskiej epoce dwa z tych trzech aktów doszły już do skutku... nie został spełniony tylko trzeci.

— Ile trwa ciąża? — zapytałem. — To znaczy, ile czasu upłynie, zanim te embriony wydostaną się na zewnątrz?

— Sześć albo siedem miesięcy. Ale w ciągu tego czasu pańska Liz zmieni się prawie nie do poznania.

Zmieni się fizycznie i nabierze apetytu na wiele dziwnych rzeczy. Ze względu na pańskie własne dobro i na dobro pańskiego syna, powinien pan trzymać się od niej wtedy jak najdalej. Kezia stała się... ale nie mam ochoty myśleć o tym, w jaki sposób zmieniła się Kezia. Albo raczej, w jaki sposób się zmieni.

— Więc Kezia tak właśnie zginęła? Rodząc te istoty?

— Niestety, tak. To było makabryczne.

Przez chwilę intensywnie się zastanawiałem.

— Niech mi pan powie, czy w Liz zostało coś z niej samej? — zapytałem. — Czy też ta czarownica zupełnie wymazała to, czym kiedyś była?

— Naprawdę nie wiem — odparł młody pan Billings. — Czasami, kiedy rozmawiam z Kezia, dostrzegam ślady tej młodej, słodkiej dziewczyny, którą kiedyś musiała być. Ale czy można sprawić, by stała się z powrotem tą młodą, słodką dziewczyną... tego nie potrafię po prostu powiedzieć.

— Myślę o Liz — powiedziałem. — Jeśli w jakiejś części jest wciąż sobą, wtedy warto chyba spróbować przepędzić z niej tę czarownicę.

— Nie uda się to panu. Ja przynajmniej nie znam żadnego sposobu, w jaki można by to zrobić.

— A jeśli już się z nią nie będę kochał? Jeśli nie dojdzie do zapłodnienia trzeciego syna?

— Rozwiną się pozostałe dwa... chociaż o wiele wolniej niż wszystkie trzy. A kiedy nadejdzie czas rozwiązania, będą miały dosyć siły, żeby zabić ją bez pomocy trzeciego brata.

— Nie pomogą żadne egzorcyzmy?

Młody pan Billings potrząsnął głową.

— Nie jest pan w stanie nic zrobić, drogi panie. Absolutnie nic. Nie mamy tutaj do czynienia z diabłem.

Mamy do czynienia z prawdziwymi istotami... prawdziwymi stworzeniami, które posiadają własną substancję, kształt i wysoce rozwiniętą inteligencję. Te istoty zbudowały całe miasta w Azji Mniejszej i Antarktyce i przez miliony lat panowały na tej planecie. Pozostawiły na niej ślad, którego nikt nie zdoła zatrzeć.

— I z tego powodu mam pozwolić, żeby Liz została rozerwana na strzępy?

— Obawiam się, że nie jest to kwestia pozwalania. Po prostu nie może pan temu zapobiec.

Przygryzłem wargę. Nie byłem w stanie nic wymyślić. Być może młody pan Billings mnie okłamywał.

Równie dobrze jednak mógł mówić prawdę. Jego opowieść z całą pewnością pasowała do wszystkich faktów, przekonały mnie zwłaszcza uwagi na temat sumeryjskich zigguratów. Widziałem przecież na własne oczy, że dach Fortyfoot House, „niemożliwy” dach, zaprojektowany przez sierotę z East Endu, dokładnie odpowiadał kształtom, którymi posługiwali się Sumerowie, żeby podróżować w czasie.

— A co się stanie, kiedy te trzy istoty w końcu się urodzą? — zapytałem głuchym głosem.

— Połączą się... dowiedziałem się tego zresztą od Kezi... i utworzą razem wielką Przeklętą Trójkę... wszechmocną, podobną do królowej mrówek hermafrodytę, która zrodzi z kolei setki tysięcy nowych istnień, należących do wszystkich trzech gatunków Praistot i będzie nad nimi panować przez całe tysiąclecia.

— Ale powiedział pan przecież, że mogą nie przetrwać.

— Sytuacja jest krytyczna. Nawet w pańskiej epoce warunki klimatyczne nie są jeszcze dla nich zupełnie odpowiednie. Praistoty potrzebują atmosfery, która przesycona jest siarką, potrzebują nieba bez ptaków i owadów, potrzebują oceanu bez ryb, koralowców i planktonu. Potrzebują świata takiego, jakim był on przed nastaniem człowieka... zatrutego i jałowego, pozbawionego życia zwierzęcego i roślin. Przez cały czas, odkąd wyginęły Praistoty, nieliczne ocalałe czarownice próbują bez przerwy odrodzić ich rasę... mając za każdym razem nadzieję, że świat jest już w wystarczającym stopniu zatruty, żeby sprostać ich wymaganiom. Ogromne zanieczyszczenie atmosfery i mórz w pańskiej epoce stanowi dla nich prawdziwą zachętę. Kezia bez przerwy powtarza mi, że

najmilszym dla niej zapachem jest piekielny odór.

— Czyli te istoty, które Liz będzie nosić w swoim łonie, zabiją ją, a same i tak nie przetrwają?

Młody pan Billings potrząsnął głową.

— Będą istnieć bardzo krótko... prawdopodobnie przez kilka minut, a potem rozplyną się w powietrzu.

Ale dwadzieścia lub trzydzieści lat później... cóż, wtedy świat może być zupełnie inny. Powietrze dla ludzi prawie nie do oddychania, dla Praistot będzie stanowić prawdziwy nektar.

Miałem właśnie zapytać młodego pana Billingsa, czy nie można by zabrać Liz do kliniki ginekologicznej na zabieg, kiedy usłyszałem cichy szelest w zaroślach. Pan Billings usłyszał go także i uniósł w górę rękę. Przez długi, bardzo długi moment obaj nasłuchiwałem. Serce pana Billingsa biło chyba tak samo szybko jak moje.

— Nic — powiedział w końcu. — W każdym razie nie Brązowy Jenkin.

— Czym jest właściwie Brązowy Jenkin? — zapytałem go ponownie.

— Totumfackim Kezi — odparł młody pan Billings. — Czarownice mają jeden słaby punkt. Ponieważ i tak są już przemieszczone w czasie, nie mogą korzystać z sumeryjskich przejść, żeby podróżować z jednej epoki do drugiej, tak jak to potrafią ludzie: tak jak potrafimy to ja i pan. Jeśli wejdą w sumeryjskie przejście, znajdą się po prostu z powrotem w czasach przed nastaniem człowieka, tam, gdzie jest ich prawdziwe miejsce. Z tego powodu zawsze rodzą jakieś stworzenie, które załatwia ich zlecenia i podróżuje w czasie. Niekiedy jest to kot, najczęściej pies albo karzeł. W przypadku Kezi jest to Brązowy Jenkin. To bardzo perwersyjna czarownica i bardzo potężna. Zdradziła mi kiedyś swoje prawdziwe imię, ale brzmiało tak dziwnie, że nie potrafiłem go zapamiętać. Coś jak Sothoth.

Przypomniałem sobie starego pana Billingsa, który wirował sypiąc iskrami wokół zegara. N' gaaa nngggg sothoth n' ggggaaAA. Przeszedł mnie nagły dreszcz.

— Brązowy Jenkin przenosił się już w przyszłość — ciągnął dalej młody pan Billings — żeby przygotować następny Akt Odrodzenia, kiedy to Praistoty powrócą triumfalnie na Ziemię i zapanują nad nią, tak jak w to zawsze wierzyły. Nawet sumeryjskie przejście nie zdoła pana przenieść poza ten moment...

Ma to być punkt zwrotny w ewolucji świata, granica czasu, jeśli pan woli. Mierzony pańskimi kryteriami świat wyda się wtedy panu bardzo ponury. Powietrze stanie się żółte, morze czarne, a co najważniejsze, wszyscy ludzie bezpłodni z powodu radiacji i szybko rozprzestrzeniających się nowotworów. Nie będzie dzieci — dodał dramatycznym tonem.

Zmierzyłem go baczny spojrzeniem.

— To okropne — stwierdziłem. — Ale dlaczego mówi pan z takim naciskiem akurat: „Nie

będzie dzieci”.

— Nie pamięta pan bajek braci Grimm? — zapytał młody pan Billings. — Bez dzieci nie obejdzie się żadna bajka. Nie przeżyje bez nich żadna czarownica, ponieważ stanowią podstawowy punkt ich jadłospisu.

— Niech pan mi to wyjaśni — zażądałem. — Twierdzi pan, że Brązowy Jenkin podróżuje bez przerwy w odległą przyszłość i porywa dzieci, żeby je tam przenieść i uzupełnić zapasy pożywienia?

Młody pan Billings pozostał spokojny, wytrzeszczył tylko trochę oczy.

— Bez żywych dzieci — powiedział cichym, opanowanym głosem — istota, która przebywa wewnątrz Kezi Mason nie ma szans na przetrwanie. Wygląda jak dziewczyna, ale niech pan nie zapomina, że w rzeczywistości jest przerażającym, niemożliwym do opisania potworem, który nie przypomina żadnej ziemskiej istoty. Dopiero po udanym Akcie Odrodzenia Praistoty zaczną odżywiać się gazami i minerałami.

W tej fazie są mięsożerne.

— Wszystko to opowiedziała panu Kezia?

— Musiała. Potrzebowała mojej pomocy. Brązowy Jenkin odkrył, że w epoce, w której nastąpi wielki Akt Odrodzenia, ona pozostanie jedyną żyjącą czarownicą. Pozostałe umrą z głodu albo zapadną na nowe choroby. Jej przyszłym wcieleniem jest miejscowa kobieta o nazwisku Vanessa Charles: zaszła ona już w ciążę i czeka na rozwiązanie. Ale musi się bez przerwy obficie odżywiać. Mówiąc brutalnie, musi jeść za czterech... Mój ojciec nie pozwolił Kezi zabrać ani jednego dziecka z Fortyfoot House i dlatego, jak to później odkryłem, zabiła go. Przez długi czas po jego śmierci, zanim poznałem prawdę, znajdowałem się tak samo jak on pod jej urokiem. Jak pan wie, wzięliśmy nawet ślub. Fizycznie nie było w niej nic, absolutnie nic, co zdradzałoby, czym naprawdę jest w środku. Kochała się ze mną jak żadna inna kobieta, którą znałem. Uczyniła mnie człowiekiem bogatym, człowiekiem sukcesu; dawała mi poczucie takiej euforii!

A potem któregoś dnia zaginęło jedno z naszych dzieci: młody Robert Philips. Miał dopiero sześć lat, niech mi Bóg wybaczy. Odnalazłem jego szczątki między Bonchurch i Old Shanklin Village. Pozbawione członków, spalone, na pół zjedzone szczątki. Nigdy nie zapomnę widoku jego kości udowej z resztkami czerwonych mięśni, na których widać było ślady ludzkich zębów. Nigdy! Nazajutrz znalazłem mosiężny gwizdek Roberta w jednej z szuflad Kezi, razem z zakrwawioną chusteczką. Zdałem sobie sprawę, że poślubiłem coś bardzo złego.

Młody pan Billings umilkł i przez niepokojąco długi moment nie odzywał się ani słowem.

— Obiecała mi pieniądze, jeśli nie pisnę nikomu ani słowa — rzekł w końcu. — Zagroziła, że mnie okaleczy i zabije. A potem wszystko mi opowiedziała. Chodziło jej o to, żeby sierociniec działał tak długo, jak to tylko możliwe... żeby dzieci zachowały się w świeżym stanie aż do momentu, kiedy będą potrzebne... a oczywiście gdyby zaszło najmniejsze nawet podejrzenie, że w Fortyfoot House są prześladowani lub zabijani wychowankowie, dom zostałby natychmiast zamknięty, a dzieci

przeniesione gdzie indziej.

Mówiąc bez ogródek, mój drogi panie, Fortyfoot House jest niczym innym jak spiżarnią przeznaczoną dla jednej z najbardziej przerażających i ohydnych istot, jakie kiedykolwiek oglądała ta planeta. Spiżarnią załadowaną żywymi dziećmi.

ROZDZIAŁ XVI

Ząb i pazur

Popatrzyłem młodemu panu Billingsowi prosto w oczy. Przez chwilę wytrzymał mój wzrok, ale w końcu wstyd okazał się silniejszy i uciekł w bok spojrzeniem.

— Muszę już iść — powiedziałem. — Nie wiem, czy mam panu dziękować, czy przeklinać za to, co usłyszałem.

— Ma pan szansę uratować przynajmniej Charity — odparł. — Niech pan zabierze ją jak najdalej od Fortyfoot House i sam też stąd wyjedzie. Brązowy Jenkin może pana ścigać bardzo daleko.

— A co będzie z innymi dziećmi? Spotkałem kilkoro z nich na piętrze.

— Ach, tak. To one właśnie obudziły mnie swoimi szeptami i bieganiem. Sądzę, że nie powinien pan ich ze sobą zabierać. Jeśli pan to zrobi, Brązowy Jenkin wścieknie się i zabije dwa razy tyle innych dzieciaków.

Jest zupełnie nieobliczalny, zupełnie irracjonalny.

— Ale przecież te dzieci i tak zginą. Widziałem ich groby.

— Przeznaczenie, jak pan miał okazję się niedawno przekonać, nie jest niezmiennie. Co by było, gdyby zostawił pan swego wielbego przyjaciela pod deskami podłogi? Co by było, gdybyście w ogóle nie ośmielili się cofnąć w czasie? Nasz los zawsze spoczywa w naszych rękach, drogi panie. Jedynym paradoksem jest to, że nie staramy się zmienić naszego życia wtedy, kiedy jeszcze możemy.

Złapał moją dłoń i mocno ją uściśnął. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie: oto stałem tutaj, ściskając rękę mężczyzny, który nie żył od przeszło stu lat. Czułem się tak, jakbym siedział w wagoniku diabelskiej kolejki, który za chwilę ma runąć w nicość. Zrozumiałem nagle, jak zaczyna się szaleństwo.

— Zgodziłem się, żeby Brązowy Jenkin zabrał sześcioro dzieci — powiedział. — Jeśli nie przyjechałyby tutaj, do Fortyfoot House, tłumaczyłem sam sobie, z pewnością zmarłyby w Londynie: z głodu, z zimna, zgwałcone przez zboczeńców. Potem, kiedy Kezia przycisnęła mnie do muru, zgodziłem się na następną szóstkę, ale coraz trudniej było mi znaleźć usprawiedliwienie przed samym sobą. Teraz żąda kolejnych sześciu i wiem, czym się to skończy, jeśli nie podejmę jakichś drastycznych kroków.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytałem.

— Przenieść się w przyszłość — odparł młody pan Billings. — Przenieść się aż do samej granicy czasu i powstrzymać to wszystko, zanim dojdzie do Aktu Odrodzenia. Zanim świat zostanie na zawsze skazany.

Pomyślałem, że jestem tu już pewnie z pół godziny i Danny i Charity na pewno się martwią, gdzie się podziałem.

— Lepiej już pójdę — powiedziałem. — Nie jestem pewien, czy wszystko to zrozumiałem. Wciąż nie bardzo pojmuję, dlaczego Brązowy Jenkin nie może wrócić z przyszłości i ostrzec Kezi przed tym, co pan szykuje.

— Ponieważ moim prawdziwym czasem jest czas, w którym się teraz znajdujemy: listopad roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego. Może pan przejść przez ten właz, ale jeśli powróci pan jutro, ja wciąż będę tutaj, w listopadzie roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego i tyle samo godzin i minut upłynie w moim, co i w pańskim świecie.

— Mam w głowie jeszcze większy zamęt niż przedtem.

— Niech mi pan wierzy — zapewnił mnie młody pan Billings — jeśli tylko spróbujemy, możemy uratować te dzieci. Jestem tego pewien. Jeśli to się nie uda, wtedy zasługuję na to, co trzyma dla mnie w zanadrzu Bóg.

— Chce pan wiedzieć? — zapytałem.

Potrząsnął głową.

— Mogę to sobie wyobrazić. Podejrzewam, że czeka mnie szaleństwo i śmierć. Czuję powiew jednego i drugiego. Ale wolę nie dowiadywać się tego od kogoś, kto wie na pewno.

Otworzyłem furtkę i wszedłem w mrok zagajnika. Fortyfoot House stał czarny na tle nieba — dziwnie nieangielski i tajemniczy w ciemności, tak jakby był turecką fortecą albo klifem jakiegoś odległego świata. Wspiąłem się w górę ścieżką, przeszedłem mostek, który spinał brzegi strumienia, a potem przeciąłem trawnik, kierując się w stronę domu. Staw rybny przypominał w ciemności srebrne okno — okno, przez które można było zajrzeć prosto w straszliwą, bezdenną otchłań. Wypadając przez to okno, runęłoby się prosto w dół, ku niebu.

Mijałem właśnie zegar słoneczny, kiedy usłyszałem ostre brzęczenie. Zobaczyłem, że wskazówkę i metalową tarczę obiega, oświetlając rzymskie cyfry, cienki snop jaskrawobłękitnych iskier. Rozejrzałem się dookoła, śledząc cienie w ogrodzie — niektóre pochylone, inne potwornie powykręcane, ale wszystkie przerażające. Jeśli z zegara sypały się iskry, gdzieś niedaleko musiała być Kezia Mason — a jeśli niedaleko znajdowała się Kezia, to samo można było powiedzieć o Brązowym Jenkinie. Puściłem się biegiem, ale kiedy dotarłem do skraju trawnika, przy wskazówce mignęła podobna do strzały błyskawica i uderzyła mnie w lewy bark. W ramieniu zazgrzytały mi wszystkie nerwy, a mięśnie poraził tak mocny skurcz, że mimowolnie podskoczyła mi do góry lewa pięść. Potem poczułem dotkliwy ból po oparzeniu, a z rękawa mojej koszulki polo uniósł się błękitny dym.

Schodami patio szła w moją stronę Kezia Mason. Tuż za nią skradał się, utykając, drapiąc się i chichocząc, Brązowy Jenkin. Kezia nosiła ekscentryczny, pseudoarabski strój, składający się z podartych, poplamionych prześcieradeł, które spletała licznymi węzłami na ramionach i spiętrzyła w

monstrualnym burnusie na głowie, tak że widziałem spoza nich tylko jej oczy. Od piersi aż do kolan była naga, jeśli nie liczyć uplecionej ze sznurka, zawieszanej wokół talii sakwy, w której dostrzegłem suche liście dębu, brunatne płatki róż, gałązki jemioli i nawet na pół zasuszoną jaskółkę. Łydki również owinięte miała podartymi prześcieradłami, a stopy bose, chociaż każdy palec obwiązany był kawałkiem sznurka.

Prześcieradła wyglądały, jakby pochlapano je krwią i uryną i chociaż dzieliło mnie od Kezi prawie sześć metrów, czułem dobiegający od niej odór śmierci. Nic dziwnego: ta kobieta była przecież uosobieniem śmierci — a Jenkin jej groteskowym kompanem.

— Bonsoir, bękarcie, comment ca va? — zachichotał Jenkin, skacząc bezustannie z miejsca na miejsce, tak że nie wiedziałem, gdzie jest jego cień, a gdzie on sam. — Byliśmy tacy traurig, bękarcie, bękarcie.

Ale teraz jesteśmy tacy szczęśliwi, das wir twoje flaki riechen konnen! Wywlokę twój derriere ring avec meinen Klauen, ja!

Przez cały czas, kiedy Brązowy Jenkin szwargotał, tańcząc w ciemności, Kezia Mason krążyła wokół mnie, blada, śmierdząca i bardzo dziwna. Spowijające ją prześcieradła cicho szeleściły; torba ze sznurka objęła się lekko o jej nagie łono.

— Co sprowadziło pana z powrotem, panie Cykor? — zapytała. — Znudziło się panu życie? I co takiego zrobiłeś pan z naszym napalonym klechą? Rzuciłeś go rybom na pożarcie?

— Cha! cha! Tekeli-li! Tekeli-li! — zaskrzeczał Brązowy Jenkin. Kezia Mason łypnęła spod swego cuchnącego, prowizorycznego kwefu, piorunując go wzrokiem.

— Zamknij się, Jenkin. Zachowujesz się, jakby diabeł nasrał ci na głowę — rzuciła, wyciągając w jego stronę wskazujący palec.

Z palca strzeliła iskra i w tej samej chwili w szczurzym nozdrzu Jenkina pękła jedna z żyłek, zalewając krwią jego wąsy i podniesiony kołnierz. Jenkin złapał się za nos i głośno piszcząc zaczął krążyć po trawniku.

— No więc czego tutaj szukasz, fagasie? — odezwała się Kezia, podchodząc bliżej. Ledwo mogłem wytrzymać jej słodkawokwaśny odór i czułem, jak żółć podchodzi mi do gardła. — Masz ochotę na nasze szlajki? Przyszedłeś po jakąś, którą trzeba tarachnąć? Czy szukasz po prostu smarowania? Czy może jedno i drugie?

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co mam jej odpowiedzieć. Nie rozumiałem prawie słowa z tego, co mówiła, a przez ściśniętą ze strachu i odrazy krtani i tak nie zdołałbym z siebie nic wykrztusić. Rozejrzałem się szybko na boki, żeby się upewnić, czy nie zachodzi mnie od tyłu Jenkin, i w tej samej chwili Kezia podniosła rękę i złapała mnie rozcapierzoną dłonią za twarz. Mały palec wbiła mi głęboko w policzek, serdeczny w usta, środkowy w nozdrze, a wskazującym i kciukiem uszczypnęła tak mocno w drugi policzek, że wydałem z siebie stłumiony okrzyk.

— Chi, chi, bękaracie, bękaracie! — zarżał Brązowy Jenkin. — Je mange tes fries, sodomito z rozepchanym tyłkiem!

Palec Kezi miał odrażający smak stęchłej krwi. Żołądek podszedł mi do gardła i nie mogłem powstrzymać torsji.

— Chcesz, żebym ci oporządziła facjatę? — zapytała. — Mogę to zrobić, wiesz o tym! Trach, trach i po wszystkim. Wcale od tego nie kipniesz, nie bój się. Nie pójdziesz do piachu. Ale pomyśl, jak ci się będzie żyło bez warg, bez nosa i z podziurawioną gębą. Każdy, kto spojrzy na twoje lipo, posra się z wrażenia.

A skoro o tym mowa, ty też wyglądasz, jakbyś się zesrał.

— Pozwól mi go ciachnąć! — syknął Brązowy Jenkin. Poczułem sunące po moich nogawkach pazury, ale Kezia trzymała mi twarz w tak mocnym uścisku, że zadygotałem tylko ze strachu. Mogłem pewnie ją kopnąć albo spróbować odtrącić jej rękę, ale było w niej coś takiego, co wysysało ze mnie wszystkie siły.

W tym momencie nie zdołałbym nawet zabić muchy, nie mówiąc już o wyrwaniu się z najbardziej obscenicznego i potwornego uścisku, w jakim kiedykolwiek tkwiłem.

Pazury Brązowego Jenkina dotknęły mojego uda i przez chwilę czułem ich ukłucie między nogami.

— Ach oui, oui, możemy ci je trachnąć — zachichotał. — Dwa sznycelki na kolację, oui? Nicht vergessen Abendessen!

Kezia pochyliła do przodu swoją owiniętą prześcieradłami głowę i owionął mnie jej nieświeży gorący oddech.

— No więc jak? Rozerwać ci twojego zasmarkanego nochala, fagasie? — szepnęła.

— Utnij mu parowe! — wrzasnął Brązowy Jenkin.

— Zaczekaj! Kezia, zaczekaj! — usłyszałem w tej samej chwili krzyk młodego pana Billingsa.

— Na co mam czekać? — odparła zniecierpliwiona. — Na święty nigdy?

Młody pan Billings przeszedł przez pogrążony w cieniu trawnik i zatrzymał się obok nas. Kątem oka zauważyłem, że zachowuje jednak dość znaczną odległość. Może nie chciał, by krew i wnętrzności zachłapały mu płaszcz.

— On musi ci jeszcze dać syna zrodzonego z krwi, Keziu — powiedział.

Kezia zareagowała na tę informację zaciskając jeszcze mocniej uchwyt, w którym trzymała moją twarz. Czułem, jak pęka mi dolna warga i krew spływa po podbródku.

— To fakt, Keziu. Tym razem nie możesz zrobić mu żadnej krzywdy. Nie możesz mu nic zrobić, dopóki nie wypełni tego, czego domaga się Przeznaczenie.

— Znowu cyganisz — odparła Kezia, chociaż po tonie jej głosu poznałem, że nie była tego taka pewna.

— Myśl sobie, co chcesz — wzruszył ramionami młody pan Billings — ale jeśli pragniesz, żeby Akt Odrodzenia nastąpił jak najprędzej, powinnaś pozwolić temu facetowi odejść.

— On porwał Charity — przypomniała mu Kezia. — To zboczeniec, jeśli nie coś gorszego.

— Może i porwał Charity — odparł pojednawczym tonem młody pan Billings. — Ale Jenkin może ją przecież sprowadzić z powrotem, prawda? Nie powinno mu to sprawić większej trudności. Daj spokój, Keziu, to jest ojciec... dał ci już dwóch synów. Ale bez tego trzeciego to tyle co nic.

Brązowy Jenkin wydał z siebie okropny cichy chichot i wsadził rękę pod pachę, żeby się podrapać.

Chociaż nie widziałem wiele w ciemnościach, mogłem wyobrazić sobie deszcz szarych wszy, które posypały się na ziemię z jego sierści.

— Ale mogę zachować go na deser? — zapytała Kezia, nie rozluźniając uścisku, w którym trzymała moją twarz.

— Zgadza się, Keziu, możesz zachować go na deser.

— Skrobnij go teraz! — nalegał Brązowy Jenkin. — Rozedrzyj sa tete i tirer ses Leber durch seine Kehle!

— Z jego ochrypłego szwargotu domyśliłem się, że chce zedrzeć mi skórę z twarzy i wyciągnąć wątrobę przez szyję. Gdybym nie był naocznym świadkiem tego, co spotkało Dennisa Pickeringa, pomyślałbym, że przesadza, by mnie przestraszyć. Ale okrucieństwo Jenkina nie znało żadnych granic. Przybywał prosto z piekła; nie sposób było powiedzieć nic więcej.

Kezia puściła w końcu moją twarz, nadal stała jednak w bliskiej odległości, wpatrując się we mnie z mieszaniną ciekawości, pogardy i czegoś jeszcze. Czegoś, co mogło uchodzić za pożądanie.

Przez krótką chwilę nie wiedziałem, czy naprawdę pozwoli mi odejść. Ale potem skinęła głową i odwróciła się. Przez sekundę mignęły mi przed oczyma jej blade nagie pośladki, a potem spuściła w dół prześcieradła i odeszła w stronę domu niczym wielki, źle okutany duch. Brązowy Jenkin podskakiwał jeszcze przez chwilę wokół nas, a potem podążył za swoją panią, wciąż drapiąc się i mamrocząc sam do siebie.

— Przypuszczam, że powinienem panu podziękować — powiedziałem, zwracając się do młodego pana Billingsa.

— Nie ma pan za co dziękować — zapewnił mnie. — Pańska Liz będzie oczekiwać trzeciego i

ostatniego zapłodnienia, a Brązowy Jenkin będzie się starał odzyskać Charity. Na pana miejscu pilnowałbym też dobrze tego pańskiego chłopca. Rozpęta się tu prawdziwe piekło.

Przeszliśmy ramię przy ramieniu przez patio i wspięliśmy się po schodkach. Podeszwy naszych butów chrzęściły miękko po ceglach.

— Czy mogę pana o coś zapytać? — powiedziałem, kiedy młody pan Billings otworzył przede mną drzwi.

— Nie mogę zagwarantować, że panu odpowiem.

— W holu wisi pańska fotografia. Zaobserwowałem, że czasami się pan na niej porusza. Widziałem na niej również Brązowego Jenkina.

Wewnątrz domu Brązowy Jenkin zapalił już dwie albo trzy lampy i zapalał kolejne, wskakując na oparcia foteli, żeby dosięgnąć knotów. W łapie zaciskał świecę z wosku, a gorące krople skapywały na jego mankiet i spływały po przegubie. W pokoju unosił się mdły zapach spalonej sierści.

Brązowy Jenkin spojrzał na mnie z tak lubieżnym błyskiem w oku, że przez plecy przeszedł mi zimny dreszcz — tak jakbym przez cały dzień siedział na chłodnym metalowym krześle. Nie musiał się odzywać, jego zaropiałe oczy mówiły wszystko: Któregoś dnia będę miał twoją wątrobę, przyjacielu... wyrwę ją purpurową i zakrwawioną przez kikut twojej szyi, zobaczysz, że to zrobię.

Nie zwracając na niego uwagi młody pan Billings poprowadził mnie korytarzem w stronę schodów.

— Wiem, o jakiej fotografii pan mówi. To jeden z żartów Kezi. Mimo tego, co kryje się w jej duszy, jest czasami w dziecinny sposób figlarna. Potrafi ożywiać wszystkie rodzaje ilustracji. Dotyka na przykład obrazu przedstawiającego letni dzień nad morzem i zmienia go w nocny pejzaż z wysokimi falami i szalejącym sztormem. Jak zrozumiałem, istoty należące do jej cywilizacji posługiwały się ruchomymi obrazami, żeby się ze sobą komunikować.

Opowiadając o tym wszystkim wydawał się bardzo spokojny, niemal jowialny. Wyczuwałem jednak coś bardzo podejrzanego w człowieku, który przemawiał niczym dyrektor, oprowadzający gościa po swojej fabryce dywanów, podczas gdy w rzeczywistości był zaszczutym i wynędzniałym fiksatem, podróżującym w czasie i mieszkającym pod jednym dachem z półnągą czarownicą, zawszonym szczurem i kilkudziesięcioma dziećmi, które miały zostać porwane, zabite i rzucone na żer istotom nie z tego świata.

Zbliżyliśmy się do sypialni dzieci. Kiedy ją mijaliśmy, drzwi uchyliły się tylko na centymetr i zobaczyłem obserwujących nas z wyrazem rozczarowania na twarzy Molly i dwójkę jej przyjaciół.

— Wracajcie do łóżek, wszyscy troje — warknął mój towarzysz i nie byłem w stanie im w żaden sposób pomóc. Wiedziałem, że Brązowy Jenkin rozszarpie na sztuki jeszcze więcej ofiar, jeśli dam mu do tego najmniejszy pretekst, a nie mogłem po prostu znieść myśli o tych żalonych chudych

dzieciakach, zarzynanych na śmierć niczym króliki.

Weszliśmy do mojej sypialni i młody pan Billings pomógł mi wejść na fotel.

— Niech pan nie próbuje wracać tu ponownie — ostrzegł mnie. — Następnym razem nie uda mi się uchronić pana przed Kezią. Uwielbia ściągać skórę z twarzy.

— W porządku — zgodziłem się. — Nie mogę panu jednak dać żadnych gwarancji na temat tego, co zamierzam zrobić po powrocie do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego.

— Niech pan ma na oku Liz, dobrze panu radzę. I niech pan pamięta, co powiedziałem. Jeśli naprawdę pan chce, może pan zmienić swoje przeznaczenie. Może pan zmienić wszystko. Czas nie jest niczym innym jak zbiorem minut.

— Zobaczymy — odparłem.

Wspiąłem się ponownie na strych. Widziałem dobiegającą z dołu, od strony schodów, smugę dziennego światła. W oddali słyszałem słabe wołanie Danny'ego.

— Tato? Tato? Gdzie jesteś? Tato!

Młody pan Billings podniósł wzrok i jego twarz wykrzywił niewyraźny, smętny uśmiech; ale teraz dzieliło nas przeszło sto lat, należeliśmy do dwóch różnych światów. Uniósł rękę w geście pożegnania.

— Niech pan mi powie — zapytałem, szykując się do zaniknięcia kłapy. — Za co pan sprzedał swoją duszę?

Nie odrywał ode mnie wzroku. Przez moment myślałem, że nie odpowie.

— A za co pan sprzedałby swoją? — zapytał wreszcie.

— Nie wiem. Chyba za wieczną młodość. Albo za dziesięć milionów funtów. Nie będę odkładał porządnego śniadania, żeby powiedzieć panu prawdę.

Młody pan Billings bardzo wolno potrząsnął głową.

— Sprzedałem swoją duszę za coś zupełnie innego, mój drogi panie. Jeśli kiedykolwiek spotkamy się ponownie, powiem panu za co. Nie było to trzydzieści srebrników, ale coś podobnego. Tymczasem niech pan pamięta o moim ostrzeżeniu. Proszę pilnować swojej Liz i zabrać te dzieci jak najdalej od Fortyfoot House.

— Czy mogę panu ufać? — zapytałem.

— Nie — odparł, wciąż potrząsając głową. — Nie może pan.

ROZDZIAŁ XVII

Syn krwi

Danny i Charity siedzieli przy stole, kiwając w powietrzu nogami i zajadając jajka na miękko i grzanki; ja stałem przy zlewie, wyglądając przez okno i popijając filiżankę mocnej czarnej kawy. Świeciło jasne słońce, ciepła bryza niosła ze sobą zapach morza. Prawie nie mogłem uwierzyć, że zaledwie przed półgodziną brnąłem przez lodowaty listopadowy ocean, powierzając falom okaleczone ciało wielebnego Dennisa Pickeringa.

Wsadziłem rękę pod koszulkę polo i podrapałem się. Miałem nadzieję, że nie złapałem żadnej wszy od Brązowego Jenkina.

— Danny — powiedziałem, odstawiając filiżankę. — Przykro mi, ale będziemy musieli wyjechać.

— Powtarzasz ciągle, że będziemy musieli wyjechać, a wciąż tu siedzimy.

— Tym razem naprawdę musimy.

— Ale dlaczego? Co się stało?

— Chodzi o ten dom. Jest jakby zaczarowany, tyle tylko, że te czary mogą być niebezpieczne. Boję się, że tobie lub Charity mogłaby się stać jakaś krzywda.

— A Liz?

— Tak, oczywiście... o nią też się martwię.

— Kiedy będziemy musieli wyjechać?

Spojrzałem na zegarek.

— Jak tylko skończycie śniadanie. Nie potrzebujemy zabierać więcej niż jednej walizki. Po resztę rzeczy wrócimy później.

— A co będzie ze mną? — zapytała Charity.

— Ty też z nami pojedziesz. Chyba chcesz jechać, prawda?

Charity kiwnęła głową. Zaczynałem ją bardzo lubić. Może chodziło o jej wiktoriańską kindersztubę, a może o sposób, w jaki oferowała we wszystkim swoją pomoc: podczas przyrządzania śniadania, siania łóżka, sprzątania. O dzieciach takich jak Charity można tylko marzyć — przynajmniej w naszych czasach, kiedy człowiek cieszy się, mogąc odstawić je od telewizora do stołu i z powrotem, żeby po prostu nie umarły z głodu.

Poszedłem na górę do sypialni, wyjąłem spod łóżka naszą starą niebieską walizkę z British Home Stores i otworzyłem zardzewiałe zatrzaski. Składając koszule i spodnie i umieszczając je, jak mogłem najrówniej, na dnie walizki, spojrzałem na leżącą na łóżku zieloną koszulkę Liz i jej nylonowe majtki. Nie byłem wcale pewien, jak mam z nią postąpić. Widziałem na własne oczy migoczącą zjawę, która najwyraźniej się w nią wcieliła. Ale czy młody pan Billings na pewno mówił prawdę? Czy to na pewno była starożytna istota o imieniu Sothoth, czy też raczej zwyczajne złudzenie, wywołane zbyt dużą ilością wypitego wina, ciągłym zamartwianiem się o pieniądze i ciężko strawnym jedzeniem?

Z drugiej strony, nie mogłem wykluczyć, że pan Billings mówił prawdę, a Liz jest opętana przez tę samą istotę, która zagnieździła się wewnątrz Kezi Mason. Nie mogłem wykluczyć, że nosi w łonie zarodki stworzeń, które przy porodzie wyskoczą na zewnątrz, rozrywając ją na strzępy. Czy mam jej o tym powiedzieć?

Czy raczej zachować milczenie — zwłaszcza po tym jak młody pan Billings zapewnił mnie, że nie istnieje żaden sposób, w jaki można by dokonać aborcji? Czy powinienem zabrać ją do szpitala? Czy też uciec i zapomnieć o niej — zamknąć oczy i uszy i udawać, że jestem kimś innym i nigdy nie słyszałem o Fortyfoot House?

Istniał poza tym jeszcze jeden problem, który naprawdę nie dawał mi spokoju... dlaczego mianowicie młody pan Billings zadał sobie tyle trudu, żeby ostrzec mnie przed niebezpieczeństwami grozącymi nam, jeśli pozostaniemy w tym domu. Mógł po prostu rzucić nas na żer Brązowemu Jenkinowi. Mógł pozwolić, by Kezia Mason zdarła mi skórę z twarzy.

Miałem wrażenie, że ten człowiek z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny po prostu mnie potrzebuje.

Miałem wrażenie, że w jakiś sposób wplątał mnie bez mojej wiedzy w coś w rodzaju tajnego spisku.

Wspomniał przecież o uniwersalnym symbolu zdrady wszechczasów... o trzydziestu srebrnikach. Być może ta uwaga była bardziej znacząca, niż mi się z początku wydawało.

Ale nie miałem czasu, żeby się tym dłużej przejmować. Musiałem myśleć o Danny'm i musiałem myśleć o Charity. Każda spędzona tutaj minuta powiększała ryzyko konfrontacji z Brązowym Jenkinem, a nie miałem żadnych złudzeń, jaki los czeka dzieci, jeśli uda mu się je porwać.

...drzwi otwierają się na oścież... i wpada do środka...

Spakowałem piżamę Danny'ego, a potem przeszedłem do łazienki, żeby zabrać nasze szczoteczki do zębów. Przyjrzałem się sobie w lustrze osadzonym w drzwiczkach szafki na leki. Wyczerpany nie było odpowiednim słowem; wyglądałem po prostu okropnie. Zmyłem krew z podbródka, ale wargi wciąż miałem paskudnie popękane, a nos i usta otaczały czerwone zadrapania i szramy.

Zszedłszy na dół stwierdziłem ku swemu zaskoczeniu, że Liz wróciła już z pracy i siedzi przy

kuchennym stole, mieszając łyżeczką świeżo zrobioną rozpuszczalną kawę. Dzieci bawiły się na patio, kopiąc napompowaną do połowy plażową piłkę. Liz uśmiechnęła się do mnie dziwnie, kiedy przeszedłem przez kuchnię i postawiłem walizkę przy otwartych drzwiach.

— Spakowałeś się — stwierdziła, nie okazując większego zdziwienia.

— Chciałem... to znaczy, tak. Spakowałem się. Postanowiłem wyjechać. Chyba mam już dosyć.

— O — powiedziała. — Miałeś zamiar wyjechać, nic mi o tym nie mówiąc?

— Oczywiście, że nie. Miałem zamiar zajechać do parku...

— Ale nie zamierzałeś zapytać mnie, czy chcę jechać razem z tobą?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Nie wiedziałem nawet, czy rozmawiam nadal z Liz, czy też z jakąś chłodną, bezkształtną istotą, która tylko wygląda, mówi i drażni się ze mną jak Liz.

— Nie przyszło mi po prostu do głowy, że mogłabyś chcieć ze mną pojechać — skłamałem. — Na pewno nie interesuje cię związek ze starszym mężczyzną bez pieniędzy, perspektyw i samochodu.

I z dwojgiem dzieci na głowie.

— Może lepiej byłoby jednak, gdybyś pozwolił mi zdecydować o tym samej — orzekła.

Rzuciłem okiem na zaśmiewających się na słońcu Danny'ego i Charity i pomyślałem o dzieciach zamkniętych przed laty w Fortyfoot House; bezbronnych i na pół zagłodzonych sierotach, których czekały okaleczenie i śmierć.

— Co się stało, że tak wcześnie wróciłaś? — zapytałem. — Jest dopiero jedenasta.

Jej łyżeczka zadzwoniła głośno o filiżankę.

— Źle się poczułam. Dostałam dziwnego bólu brzucha.

— Rozumiem — odparłem, kiwając głową.

— Jeden z kasjerów odwiózł mnie do domu. Nawet sympatyczny. Ma na imię Brian.

— To chłopak w twoim wieku?

— Nie jesteś chyba zazdrosny?

Wydało mi się, że znowu widzę ten czerwony błysk w jej oczach. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że przez oczy Liz obserwuje mnie bacznie ktoś inny, ktoś, kto spogląda przez nie niczym przez dziury wycięte w portrecie.

— Wiesz, co to może być? — zapytałem.

Potrząsnęła lekko głową, dając mi do zrozumienia, że nie wie, o co pytam.

— Mam na myśli te dolegliwości — wyjaśniłem. — Wiesz, od czego rozbolał cię brzuch?

Miałem nadzieję, że zdołam może dostrzec jakąś wskazówkę na jej twarzy — jakiś ślad, świadczący o tym, że nie jest tym, na kogo wygląda. Ale ona wzruszyła po prostu ramionami i wydeła wargi.

— To może być wcześniejszy okres. Może się niewłaściwie odżywiałam. Zawsze boli mnie brzuch, kiedy się niewłaściwie odżywiam.

— Może ci coś na to dać?

Uśmiechnęła się lubieżnie.

— Na pewno pomogłoby mi specjalne lekarstwo doktora Williamsa.

— Ja wyjeżdżam — stwierdziłem oschle. Czuję się niczym postać ze sztuki Noela Cowarda. — Zabieram dzieci do Brighton. A potem... potem muszę po prostu zobaczyć, co się wydarzy.

— Nie możesz mnie zabrać ze sobą?

Usiadłem obok niej przy stole.

— Przed chwilą stamtąd wróciłem — powiedziałem.

Zapadło bardzo długie milczenie. A potem Liz położyła łyżeczkę na blacie.

— Wróciłeś tam? — zapytała.

— Musiałem. Przyjechała tu policja. Szukają Dennisa Pickeringa. Brązowy Jenkin ukrył jego ciało pod podłogą i ono wciąż tam było. Po wszystkich tych latach przypominało zasuszoną mumię. Dlatego właśnie musiałem tam wrócić dziś rano, kiedy poszłaś do pracy. Wróciłem do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego, żeby go pochować. To znaczy... właściwie nie pochować. Zawlokłem go do morza. No wiesz: powierzyłem jego ciało falom.

— Co chcesz mi powiedzieć, Davidzie? Stało się coś złego, prawda? Coś naprawdę złego?

— Nie wiem. Nie jestem zupełnie pewien. Spotkałem po drodze młodego pana Billingsa, a on opowiedział mi wszystko o swoim ojcu, o Kezi Mason i o Fortyfoot House.

Boże wszechmogący, jak miałem jej powiedzieć, że w jej łonie kryją się dwa obce zarodki? Po prostu nie byłem w stanie tego zrobić! Ale co się stanie, jeśli zachowam milczenie, a ona zginie, nie wiedząc nawet, co się z nią dzieje?

— Wszystko to opowiedział ci młody pan Billings?

— Tak. Spotkałem go przy furtce do ogrodu. Spotkałem także Kezię Mason i Brązowego Jenkina.

Położyła dłoń na mojej dłoni.

— Czy nie przyszło ci do głowy, Davidzie, że to, co mówisz, nie brzmi zbyt rozsądnie?

— Co masz na myśli? Byłem tam... rozmawiałem z nim. Byłem tam, w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Młody pan Billings powiedział, że Kezia Mason nie jest żadną sierotą. W jej ciele zagnieździła się starożytna istota, nie będąca w ogóle człowiekiem. Powiedział, że tym właśnie są czarownice... normalnymi kobietami, w których wnętrzu zagnieździły się istoty pochodzące z czasów przed nastaniem człowieka. Powiedział... — zacząłem i nagle przerwałem. Liz przypatrywała mi się z najdziwniejszą miną, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Na jej twarzy malowały się rozbawienie i czułość, a w tęczęwkach wciąż migotały twarde czerwone błyski, choć może było to w końcu całkiem naturalne zjawisko.

— Mów dalej — poprosiła. — Co jeszcze ci powiedział?

Powoli, zacinając się, opowiedziałem jej o sumeryjskich zigguratach i bramach czasu. Opowiedziałem jej o Mazurewiczu, Brązowym Jenkinie i doktorze Barnardo, a na samym końcu o Praistotach i o trzech synach, którzy połączywszy się stworzą Przeklętą Trójkę i zapanują nad światem.

Kiedy skończyłem, przez dłuższą chwilę wpatrywała się we mnie bez słowa. A potem wyciągnęła rękę i dotknęła mego policzka.

— Zdajesz sobie sprawę, co się z tobą dzieje? — zapytała najdelikatniej, jak mogła.

— Wiem, co stanie się z tobą. Wiem, co stanie się z tymi dziećmi.

— Davidzie... odkąd tu przyjechałeś, wyobrażasz sobie coraz bardziej niesamowite rzeczy. Jesteś w stresie, rozpadło się twoje małżeństwo, zupełnie straciłeś nad sobą panowanie. Nie myślisz chyba, że naprawdę cofnąłeś się w czasie? Ludzie nie mogą się cofać w czasie!

Zupełnie osłupiałem.

— Co mi próbujesz wmówić? Chcesz powiedzieć, że wszystko to sobie uroiłem? „Obudził się i wszystko to było snem”? Daj spokój, Liz. Sama przecież widziałaś młodego pana Billingsa, Słodką Emmeline i Brązowego Jenkina. Jezu Chryste... przecież sobie tego nie wymyśliłem!

Zaczęła mnie gładzić po palcach, kolistym, uporczywym ruchem, takim samym, jakim poprzednio mieszała kawę.

— W tym domu słyhać najróżniejsze hałasy, Davidzie. Dochodzi do wyładowań elektrycznych i podobnych zjawisk. Panuje tu specyficzna atmosfera, wcale temu nie przeczę. Ale dom nie jest nawiedzany przez duchy, w rzeczywistości wcale nie jest nawiedzany. Wszystkie te historie o młodym panu Billingsie i Brązowym Jenkinie, które mi opowiedziałeś, świadczą, że zupełnie

straciłeś głowę.

— Na litość boską, Liz! Spójrz na moje buty, spójrz na moje spodnie! Brodziłem przecież w tym cholernym morzu!

— I co z tego? Brodziłeś w cholernym morzu. O czym to ma świadczyć? Ja też, jeśli zechcę, mogę pójść i brodzić w tym cholernym morzu.

— W porządku, w porządku — odparłem z wściekłością. — Jeśli wszystko to dzieje się tylko w mojej głowie, kim w takim razie jest ona?

Wstałem, podszedłem do kuchennych drzwi i pokazałem ręką patio na którym samotny Danny kopał napompowaną do połowy plażową piłkę.

Spojrzałem w lewo, spojrzałem w prawo. Osłoniłem oczy przed słońcem i wyjrzałem przez okno na trawnik. Zobaczyłem tam tylko wiewiórkę, skaczącą po trawie niczym żywa obręcz do krykieta.

— Danny! Gdzie jest Charity?

Danny udawał, że jest Gazzą, strzelającym gole Włochom. Piłka uderzyła ospale o ścianę kuchni.

— Kto? — zapytał mnie.

— Charity, ta mała dziewczynka.

Przestał się bawić i gapił się na mnie, zwiesiwszy ręce wzdłuż boków.

— Jaka mała dziewczynka?

— Mała dziewczynka, z którą grałeś w piłkę. Mała dziewczynka, z którą jadłeś śniadanie. Mała dziewczynka, która spędziła tutaj ostatnią noc i z którą opowiadaliście sobie przez całą noc kawały. Ta właśnie mała dziewczynka!

Kiedy Danny zrobił głupią minę, stało się dla mnie jasne, że mówi prawdę. Rzeczywiście nie miał pojęcia, o co pytam. A to oznaczało, że albo brakuje mi piątej klepki, albo opętana przez czarownicę Liz wyprawia jakieś niewiarygodnie sprytne sztuczki. Wiedziałem, która możliwość jest bardziej prawdopodobna.

— W porządku, udowodnię ci — powiedziałem, cofając się w głąb kuchni. — Oboje zjedli pod dwa jajka. Skorupki są w...

Otworzyłem pedalem kosz na śmiecie. W środku były tylko dwie skorupki.

Spojrzałem do zlewu. Dwa kieliszki do jajek, jeden talerzyk, jedna łyżeczka. Kieliszki, w których podałem jajka Charity, stały z tyłu kredensu — czyste, błyszczące, chłodne i suche. Liz

siedziała z rękoma złożonymi na kolanach, obserwując mnie. Przyjrzałem się jej uważnie, ale nie dostrzegłem w wyrazie jej twarzy niczego, co wskazywałoby, że mnie oszukuje. Wydawała się spokojna, współczująca i cierpliwa.

Zamknąłem drzwiczki kredensu z przesadną ostrożnością. Klik.

— Coś się tutaj dzieje — powiedziałem.

— Davidzie... nic się tutaj nie dzieje. Wszystko to ma miejsce w twojej głowie.

— Niemożliwe. Poszedłem tam... cofnąłem się w rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty nie dalej jak dziś rano. Rozmawiałem z młodym panem Billingsem przez prawie dziesięć minut. Stał tak blisko mnie jak ty. I zobacz, co zrobiła Kezia Mason z moją twarzą.

— Musiałeś się po prostu podrapać.

Podszedłem do małego, oprawionego w sosnową ramę lustro, które wisiało obok kuchennych drzwi, i wlepiłem w nie oczy.

— Albo zaczynam tracić zmysły, albo ktoś mnie robi w konia.

— Nie tracisz wcale zmysłów, Davidzie. Znajdujesz się w stanie silnego stresu, to wszystko. Nasłuchałeś się dużo rzeczy o Brązowym Jenkinie i panu Billingsie i zacząłeś wymyślać ciąg dalszy. To coś w rodzaju ucieczki. Bardzo częsty objaw stresu.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

— To musi być detektyw sierżant Miller — powiedziałem. — Zobaczmy, czy rzeczywiście wszystko to sobie uroiłem.

Podszedłem do frontowych drzwi i otworzyłem je. Ale to nie był detektyw sierżant Miller. W promieniach słońca stał, uśmiechając się łagodnie, wielebny Dennis Pickering. Żywy, nawet nie drażnięty, prawdziwy jak ja sam. Słońce przeświecało przez włoski wystające z jego uszu, a wełniana zielona kamizelka upstrzona była plamami po owsiance.

— Dzień dobry, Davidzie — odezwał się pogodnym tonem. — Przyszedłem, żeby przeprosić za ostatni wieczór.

Otworzyłem usta i z powrotem je zamknąłem. Poczułem się tak, jakbym dostał wysokiej gorączki.

Wstrząsnął mną nagły dreszcz.

— Moje panie urządziły taką awanturę w sprawie dekoracji kościoła, że nie mogłem się po prostu wyrwać.

A potem, kiedy zjadłem w końcu kolację, poczułem się zbyt zmęczony, żeby wyprawiać się na

polowanie na duchy. Ale jeśli chcesz, mogę przyjść dziś wieczorem.

Właściwie oczekiwałem, że rozplynie się na moich oczach. Ale on nie przestawał mówić i uśmiechać się. I był prawdziwy. Widziałem, jak został oślepiiony. Widziałem jego rozplątany brzuch. Widziałem to, na miłość boską. Zaciągnąłem go do morza i pchnąłem jego unoszące się na falach ciało w ciemność. Słyszałem, jak jego otwartą jamę brzuszną wypełnia bulgocząca morska woda. A mimo to stał teraz na moim progu, uśmiechając się i gadając.

— Wydaje mi się, że wszystko, czego tutaj doświadczyłeś, uda się jakoś naturalnie wytłumaczyć — powiedział. — Ludzie to takie przesądne istoty, nie uważasz? Zawsze wolimy uwierzyć raczej w nadprzyrodzone niż naukowe wyjaśnienie. A jednak, na swój własny sposób, fenomeny natury nie są wcale mniej cudowne. Wszystkie stanowią dzieło Pana Boga, nieprawdaż?

— Tak — odparłem. — Przypuszczam, że tak.

— No to świetnie — ucieszył się, zacierając ręce. — Nie będę zatrzymywał cię dłużej. Masz tutaj z pewnością pełne ręce roboty. Malowanie, odnawianie... Fortyfoot House wymaga małego faceliftingu.

Podszedł do swego renault i wsiadł do środka. Zobaczyłem, jak przechyla się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, szukając kluczyków. Po krótkiej chwili otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

— Coś się stało? — zapytałem.

— Tak... wygląda na to, że zgubiłem gdzieś kluczyki.

Rozejrzałem się po wysypanym żwirze podjeździe.

— Nigdzie ich nie widzę. Ale gdzieś muszą tu być. Może upuściłeś je w samochodzie?

Zajrzałem przez szybę do środka.

— Nie... nigdzie ich tu nie ma. Muszę chyba wrócić na plebanię i przynieść zapasowe.

Podszedłem do samochodu.

— Może wpadły pod siedzenie — powiedziałem. Otworzyłem drzwi i zajrzałem pod oba przednie fotele, ale kluczyki jakby zapadły się pod ziemię.

— Nie ma zmartwienia — orzekł. — Nic się nie stanie, jak się trochę przespaceruję.

— Chciałbym cię podwieźć, ale... — wskazałem na moje poobijane audi i Dennis Pickering pokiwał ze współczuciem głową. Patrzyłem, jak odchodzi podjazdem, a potem zatrzymuje się przy krzaku wawrzynu i macha na pożegnanie ręką.

To mogło być złudzenie optyczne — miraż spowodowany unoszącym się nad żwirem nagrzanym

letnim powietrzem — ale przez ułamek sekundy wydawało mi się, że Dennis Pickering wygląda jak ktoś zupełnie inny: jak ktoś mniejszy, ciemniejszy i bardziej zgarbiony. Ale zanim nabrałem pewności, zniknął mi z oczu, chowając się za żywopłotem.

Podbiegłem w górę i spojrzałem na drogę. Mój gość wciąż przypominał Dennisa Pickeringa — rzednące włosy, szare flanelowe spodnie, zielona kamizelka. Jednak w ciągu bardzo krótkiej chwili pokonał niezwykle długi odcinek drogi — znajdował się już prawie na wysokości sklepu.

Coś było nie w porządku. Coś tu nie pasowało. Nie mogłem uwierzyć, że nasza wyprawa na strych w ogóle się nie wydarzyła, że po prostu wymyśliłem ją pod wpływem stresu. Ktoś mnie oszukiwał: mogła to być Liz albo istota, która w niej żyła; mógł to być młody pan Billings albo Kezia Mason; mógł to być w końcu Dennis Pickering, względnie Brązowy Jenkin. Być może oszukiwali mnie wszyscy razem.

Podszedłem z powrotem do samochodu Dennisa Pickeringa i jeszcze raz go dokładnie obszukałem, zaglądnąwszy między innymi pod siedzenia. W jaki sposób pastor mógł zgubić kluczyki, jeśli przyjechał tutaj dziś rano i przeszedł zaledwie kilka kroków po podjeździe? Oparłem rękę na masce, pochylając się, żeby zajrzeć pod samochód — i mimo że metal nagrzał się na słońcu, nie czułem zapachu gorącego silnika.

Otworzyłem maskę i dotknąłem głowicy silnika. Była zupełnie zimna. Ten samochód nie jeździł dziś rano — stał tutaj od czasu, kiedy Dennis Pickering zaparkował go ubiegłej nocy.

W tej samej chwili w drzwiach domu ukazała się Liz.

— Telefon — powiedziała.

Odebrałem go w salonie. Za oknem widziałem Danny'ego, który wciąż kopał piłkę, kiwając wymaglinowanymi przeciwników.

— Mówi detektyw sierżant Miller — przedstawił się detektyw sierżant Miller. — Miałem właśnie telefon od pani Pickering, małżonki naszego pastora.

— Niech pan nie mówi, że się odnalazł.

— Zgadza się, skąd pan wie?

— Tu także się zjawił. Przynajmniej ktoś, kto przypominał go z wyglądu.

Zapadła krótka cisza.

— Nie jestem całkiem pewien, czy za panem nadążam.

— Niech pan się nie przejmuj. Wygląda na to, że na mocy ogólnego consensusu zostałem uznany za pomyłonego.

— Rozumiem.

— Nie, nie wydaje mi się, żeby pan rozumiał. Widziałem Dennisa Pickeringa dosłownie przed chwilą, ale nie jestem wcale przekonany, że to był Dennis Pickering.

— Dlaczego miałby nim nie być?

— Ponieważ Dennis Pickering zaginął.

— Ależ nie. Właśnie zadzwoniła jego żona, żeby powiedzieć, że wrócił do domu.

— Jest pewna, że to on?

— Jeśli nie potrafi go zidentyfikować własna żona, to nie wiem, kto mógłby to zrobić.

— Martwię się o nią — powiedziałem.

— A to dlaczego? — zapytał detektyw sierżant Miller.

— Jeżeli ta osoba nie jest Dennisem Pickeringiem... a nie sądzę, żeby nią była... wtedy jest zupełnie kimś innym.

Nastąpiła kolejna krótka przerwa. A potem przypominające serię z karabinu maszynowego odchrząknięcie.

— Muszę przyznać, że nie można odmówić temu spostrzeżeniu pewnej pokrętnej logiki. Kim zatem jest, jeśli miałby być kimś innym?

— Wydaje mi się, że może Brązowym Jenkinem.

— Wydaje się panu, że Brązowym Jenkinem — powtórzył bezbarwnym głosem detektyw sierżant Miller. — Ma pan na myśli, że w rzeczywistości jest olbrzymim szczurem, ubranym w koloratkę?

— Nie wierzy mi pan.

— Tego nie powiedziałem. Chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób pani Pickering mogła pomylić swego męża ze szczurem. Jest mnóstwo kobiet, które mogłyby wziąć swoich mężów za szczurów, ale z całą pewnością nie należą do nich pani Pickering.

— Widział pan rano jego samochód przed Fortyfoot House, prawda?

— Tak, widziałem.

— Więc musiał tu przyjechać wczoraj wieczorem?

— Taki nasuwa się wniosek. Chyba że ktoś zabrał bez jego wiedzy samochód i zaparkował go w tym miejscu.

— Nic o tym nie wspominał. To znaczy wcale nie ucieszył się na jego widok i nie zawołał „patrzcie, patrzcie, to tu stoi moje auto, wszędzie go szukałem”. Powiedział za to, że nie było go u mnie wczoraj.

— Dlaczego pana zdaniem tak powiedział?

— Żeby upewnić mnie, że miałem halucynacje, oto dlaczego. Ale ja nie cierpię na halucynacje, bo silnik był zimny. Ten samochód nigdzie nie jeździł od wczoraj wieczór. Więc pastor musiał tu być. Co więcej dzisiaj rano nie miał przy sobie nawet kluczyków. Udawał, że je zgubił. Ale w jaki sposób można zgubić kluczyki, przechodząc raptem sześć metrów po żwirze?

— To wszystko brzmi szalenie interesująco, panie Williams, ale nie dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że wielebny Pickering jest w rzeczywistości olbrzymim szczurem. A poza tym dlaczego miałby wmawiać panu, że cierpi pan na halucynacje?

— To nie on chce mi to wmówić.

— W takim razie kto?

Nagle zdałem sobie sprawę, jak absurdalnie i histerycznie brzmiało to, co mówię. Bardzo chciałem, żeby detektyw sierżant uwierzył mi i pomógł. W końcu teraz, po zniknięciu Dennisa Pickeringa, był on jedyną poważną osobą skłoną uwierzyć w realne istnienie Brązowego Jenkina. Wywnioskowałem jednak z jego tonu, że wystawiłem jego wiarę na zbyt ciężką próbę. Zaczynał wyraźnie dochodzić do przekonania, że jednak cierpię na halucynacje — a kłopot polegał na tym, że ja sam również prawie zaczynałem w to wierzyć.

Wszystko, co przydarzyło mi się od przyjazdu do Fortyfoot House, nie wydawało się bardziej realne niż horror, który mogłem oglądać na wideo.

— W porządku — powiedział detektyw sierżant Miller. — Teraz, kiedy wielebny Pickering powrócił do domu... albo przynajmniej powróciło do domu coś, co wygląda jak wielebny Pickering, nie ma potrzeby, żebym zrywał u pana podłogę. Sprawę uznajemy za zamkniętą, nieprawdaż?

— Przykro mi — odparłem. W gruncie rzeczy nie wiedziałem, czy jest mi przykro, czy nie. Odłożyłem słuchawkę, wypuściłem z siebie długie westchnienie i wlepiłem oczy w rysunek, który Danny przypiął do ściany. Przedstawiał Słodką Emmeline oraz wysokiego mężczyznę w cylindrze. We włosach Emmeline wiły się czerwone włochate robaki. Miałem wrażenie, że znalazłem się na skraju szaleństwa.

Przeszedłem do kuchni. Liz obierała cebule i miała oczy mokre od łez.

— Co robisz? — zapytałem, stając w drzwiach.

Otarła oczy przegubem, rozsmarowując przy tym tusz do rzęs.

— Casserolę z kurczaka. Dlaczego pytasz?

— Zupełnie niepotrzebnie, chyba że chcesz ją całą zjeść. Wyjeżdżamy. Przynajmniej ja i Danny.

— Davidzie... — zaczęła. — Najgorsza rzecz, jaką możesz teraz zrobić, to uciec. Uciekając nigdy nie będziesz mógł stawić czoła temu, co jest źródłem twojego stresu. Musisz odpocząć i porozmawiać o tym wszystkim. Musisz to sobie przemyśleć.

— Słuchajcie, co mówi wielki psychiatra amator.

Odłożyła nóż.

— Davidzie, proszę cię... Uczyniłeś z Fortyfoot House coś w rodzaju alegorii swoich stosunków z Janie.

Nie możesz tego zrozumieć? A kiedy zobaczyłeś, jak zginął Harry Martin, a potem odnalazłeś ciało Doris Kemble, uznałeś to za dowód, że wszystkie twoje koszmary na temat Fortyfoot House są prawdziwe. Obserwowałam cię, Davidzie. Tak dziwnie się zachowujesz i mówisz takie dziwne rzeczy. Myślałam, że ci to przejdzie, ale wygląda na to, że twój stan się pogarsza. Jeśli teraz wyjedziesz z powodu tego, co dzieje się w twojej głowie, uwierzysz tylko jeszcze mocniej w swoje koszmary.

— Hm... — mruknąłem, chodząc naokoło stołu. — Ciekawa teoria. Jestem pełen uznania. Ale przypuśćmy, że pójde teraz i zajrzę na strych, co wtedy?

Wzruszyła ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? To ty wciąż chodzisz na strych.

Spojrzałem na zegarek.

— W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym zbliża się świt.

— Davidzie... — powtórzyła błagalnym głosem. — Czy ty słyszysz, co opowiadasz? To brzmi tak nedorzecznie.

Za chwilę oznajmisz mi, że jesteś Napoleonem.

— Potrzebuję dowodu, to wszystko — powiedziałem. Mój Boże, miałem nadzieję, że nie zacznę się znowu trząść. Piłka Danny'ego uderzała klap-klap-klap o ścianę kuchni. Pikująca skośnie mewa wydała z siebie długą serię podobnych do kwilenia dziecka okrzyków.

— Co powiesz na filiżankę kawy? — zapytała mnie Liz z prawdziwą troską w głosie.

Czy nieludzka istota z zarania dziejów zapytałaby mnie, czy chcę filiżankę kawy? Może i tak. Może potrafiła oszukiwać w najbardziej wyszukany i subtelny sposób. Ale popełniała czasem błędy. Taki jak ten z samochodem Dennisa Pickeringa. Użyła odbitego w pamięci Liz obrazu Dennisa, żeby stworzyć jego iluzję; ale dziewczyna taka jak Liz (która nie prowadzi samochodu) nie pomyślała po prostu o stworzeniu iluzji ciepła, które unosi się z silnika.

A co z jego kluczami? Zapomniała przecież o nich, prawda? Z drugiej strony — jeśli ponowne pojawienie się Dennisa było iluzją — z pewnością pomyślałaby o zaopatrzeniu go w kluczyki. A może iluzja nie potrafi prowadzić? Czy istota z zarania dziejów potrafi prowadzić samochód?

Spojrzałem na nią. Wydawała się taka ładna, niewinna i zatroskana, że poczułem w głowie jeszcze większy zamęt. Czułem niemal, jak mózg zamienia mi się w bezkształtną miazgę: niczym słoik marmolady, którą ktoś upuścił na wyłożoną kaflami podłogę.

— Nie, dziękuję, nie chcę ka... kawy — wyjąkałem.

Oparła rękę na moim ramieniu i pocałowała mnie w czoło.

— Wyglądasz okropnie, Davidzie. Może byś się na chwilę położył?

Wzięłem głęboki oddech. Spokojnie, Davidzie. Spokojnie. Nie oszalałeś jeszcze do reszty. Wiesz o tym.

Więc gdzie się podziała Charity? I dlaczego Danny nie może sobie jej przypomnieć, co?

— Najpierw chcę zajrzeć na strych.

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

— Nie wiem. Może to bardzo zły pomysł. To może być niebezpieczne. Przypuszczam jednak, że zupełnie nie pamiętasz dlaczego. Przypuszczam, że nie przypominasz sobie, jak wciągałaś Charity przez właz, ratując ją przed rozszarpaniem na strzępy przez Brązowego Jenkinsa?

Liz nie odpowiedziała ani słowem, ścisnęła mnie tylko krzepiąco za ramię i przysunęła się bliżej, tak że poczułem na twarzy jej ciepły oddech.

— To jest... po prostu coś, co muszę zrobić — oświadczyłem.

Wstałem i przysunąłem krzesło do stołu.

— Chcesz, żebym poszła razem z tobą? — zapytała.

— Nie, nie, gotuj dalej. Kto wie, może tam rzeczywiście nic nie ma. Wtedy będziemy mogli zostać na obiad.

ROZDZIAŁ XVIII

Iluzja

Otworzyłem drzwi na strych i znowu owionął mnie ów stęchły przeciąg. Obejrzałem się na Liz, która stała w połowie schodów.

— No dalej — zachęciła mnie, kiwając głową. — Idź. Musisz się sam przekonać.

Zapaliłem latarkę i oświetliłem schody. Na górze panowała ciemność — zupełna ciemność — ani śladu świtu. Ale w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym był teraz listopad, a nie lipiec i zaczynał się bardzo wczesny ranek — wydawało się zatem całkiem możliwe, że Fortyfoot House wciąż pogrążony jest w mroku.

— Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebował, Davidzie — zaproponowała Liz.

— Czy kiedykolwiek mówiłem, że cię nie potrzebuję? — odparłem.

— Nie chcę po prostu, żeby stało ci się coś złego — dodała.

Nie wiedząc, co na to powiedzieć, wspiałem się na górę i rozejrzałem po strychu. W świetle latarki ukazały się te same stare graty: koń na biegunach, szkolny kufer, meble przykryte zbutwiałymi ze starości prześcieradłami. Stałem bardzo długo przy poręczy, wstrzymując oddech i nasłuchując, ale nie doszło mnie żadne szuranie ani chrobot — wyłącznie świszczący niczym w butelce odgłos wiatru i nawoływania głodnych mew.

I wypęłzają z nich i wpęłzają karły o brodach jak mech...

Nie. To wszystko jest tylko dziełem twojej wyobraźni. Wychowałeś się na opowieściach o karłach i o Człowieku-Nożyce z długimi czerwonymi nogami; na opowieściach o Harriet, co bawiła się zapalkami, i o Auguście, który nie chciał zjeść zupy. Och, zabierzcie tę wstrętną zupę precz! Nie będę dzisiaj żadnej zupy jadł!

Przypomniałem sobie matkę, która czytała mi do poduszki w zimowe wieczory, siedząc przy węglowym kominku w mojej sypialni w Sussex. Słyszałem jej głos tak wyraźnie, jakby działo się to teraz. Widziałem moją wzorzystą zieloną kołdrę i piżamę w zielone paski. Widziałem stojący na kominku, niezbyt równo sklejonny i poplamiony klejem model samolotu.

Widziałem zakutaną w poplamione krwią prześcieradła Kezię Mason. Widziałem przecinającego trawnik młodego pana Billingsa, podobnego kubek w kubek do Człowieka-Nożyce, poirytowanego i złego; i biegnącego za nim niczym drapieżny cień Brązowego Jenkina.

Uprzytomniłem sobie, że zaciskam palce na balustradzie, tak jakbym miał zamiar wyrwać ją ze ściany, i że serce wali mi w piersi jak szalone. Stres, znowu ten stres. Za dużo adrenaliny. Pogrążam się w szaleństwie.

Nie potrafię już odróżnić tego, co prawdziwe, od tego, co wyimaginowane. Tak to właśnie wygląda, kiedy człowiek znajdzie się na skraju, kiedy traci zmysły. Tak właśnie wygląda rozbuchana, panoramiczna paranoja w technikolorze.

Dałem do przodu jeden, a potem drugi krok, kierując snop światła najpierw w lewo, potem w prawo, najpierw w górę, potem w dół. Podeszedłem pod świetlik i spojrzałem w górę. Żadnego nieba, żadnych gwiazd. Wszystko zamknięte, tak jak przedtem, kiedy Harry Martin, niech Bóg ma go w swojej opiece, otworzył okienko i wystawił przez nie głowę. Podeszedłem do miejsca, gdzie znajdowała się kłapa, i uniosłem w górę dywanik. Żadnego włazu. Przesunąłem ręką po surowych deskach; nie było cienia wątpliwości.

„Sumeryjska brama” młodego pana Billingsa, przez którą można się było dostać do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego, po prostu nie istniała. Wymyśliłem ją sobie — tak jak całą resztę. Połączyłem razem ostrzegawcze bajeczki z dzieciństwa, miejscowe plotki o Fortyfoot House oraz przeczytany w „National Geographic” artykuł o sumeryjskich zigguratach, tworząc w rezultacie wyimaginowaną rzeczywistość pozaziemskich istot, czarownic i podróży w czasie.

Odkrycie, że wszystko to nieprawda, przyniosło mi w pewnym sensie niemal ulgę. Stałem w ciemności z oczyma pełnymi łez, czując się tak, jakby ktoś uwolnił mnie od jakiejś straszliwej odpowiedzialności.

Boże! — gdyby nie interwencja Liz, gdyby nie to, że pokazała mi, w jakiej paranoi się pogrążam — mógłbym wylądować w końcu w szpitalu dla wariatów, gdzie trzęsąc głową opowiadałbym bez końca uprzejmym siostram, że dybie na mnie straszliwa istota o imieniu Sothoth. Przypomniałem sobie nawet, skąd przyplątało się to imię: wziąłem je z czytanej w szkole niesamowitej noweli H.P. Lovecra.a...ohydny Yog-Sothoth, ów złożony u zarania dziejów skrzek; ów obdarzony mackami amorficzny potwór o masce przypominającej morskie węgorze albo świecące kule — Yog-Sothoth, który niczym pierwotny szlam pieni się w nuklearnym chaosie, sięgając poza najdalsze forpocząty czasu i przestrzeni.

Przeszedłem, wciąż płacząc, z jednego końca strychu na drugi. Czulem się prawie jak nowo narodzony — a przynajmniej tak, jakby wybaczone mi wszystko, co kiedykolwiek złego pomyślałem i zrobiłem.

Tupnąłem kilka razy w podłogę tam, gdzie był kiedyś właz — albo raczej tam, gdzie go nie było — a potem zszedłem na dół, zgasilem latarkę i zamknąłem za sobą drzwi.

Liz wciąż stała w połowie schodów prowadzących na piętro.

— No i co? — zapytała z uśmiechem.

— Nie wiem, dlaczego się uśmiechasz. Odkryłem właśnie, że postradałem zmysły.

— Och, Davidzie, na litość boską! Nie jesteś wcale szalony. Walczyłeś ze stresem.. próbowałeś ratować to, co zostało z twego życia. Posłuchaj... może byśmy tak pojechali autobusem do St Lawrence, do Buddle Inn i zjedli tam lunch? Uwielbiam Buddle Inn.

Danny również czekał na mnie u podnóża schodów. Bardzo dorosłym, troskliwym gestem wziął mnie za rękę i wyprowadził na patio.

— Dobrze się czujesz, tato?

— Oczywiście, że tak. Oczywiście, że się dobrze czuję.

Stał obok mnie ze splecionymi z tyłu jak u księcia Walii rękoma, spoglądając na ogród, stare dęby i zrujnowaną kaplicę, tak jakby wszystko to, niech Bóg go błogosławi, należało do nas.

— Myślisz, że będziemy mieli kiedyś taki dom? — zapytał.

— Nie wiem. Może i tak, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

— Chciałbym, żeby była tutaj mama.

— Wcale się nie dziwię.

— Ty tego nie chcesz?

— Nie wydaje mi się — odparłem, potrząsając głową. — To chyba już skończone. Mama jest najwyraźniej szczęśliwsza z Raymondem. Być może ja powinienem poszukać szczęścia z Liz.

— Lubię Liz — oznajmił Danny i sprawiło mi to radość. — Co to jest? Ma dwie nogi i pierze? — zapytał po chwili.

— Nie wiem. Ma dwie nogi i pierze?

— Praczka.

Nie mogłem opanować śmiechu. Nie dlatego, żeby zagadka Danny'ego była szczególnie śmieszna, czułem po prostu, jak ogarnia mnie ulga i lekkość. Miałem wrażenie, jakby zdjęto mi z barków ciężar całego świata.

— Liz jest fajna — dodał Danny.

— Naprawdę?

— Kazała zatańczyć mojemu rysunkowi.

Spojrzałem na niego, czując, jak z powrotem przechodzi mnie znajome stare mrowienie leku.

— Co to znaczy „kazała zatańczyć twojemu rysunkowi”?

— Słodkiej Emmeline i temu panu w wysokim kapeluszu. Liz kazała im tańczyć i zatańczyli.

— Jak to zrobiła?

Danny potrząsnął głową.

— Nie wiem.

Miałem właśnie zapytać go, co to znaczy, że „zatańczyli”, kiedy na patio wyszła Liz — z zaczesanymi do góry włosami, w niesamowicie obcisłych spodniach z denimu i w czerwonej koszulce, która nie pozostawiała cienia wątpliwości, że pod spodem nie nosi stanika.

— Jesteś gotów? — zapytała, podchodząc i całując mnie w zdrowy policzek.

Nie wiedziałem, jaką zrobiłem minę, ale na pewno pokrętną i zatroskaną, ponieważ Liz pchnęła mnie lekko ramieniem i ponownie pocałowała.

— Na litość boską, Davidzie. Jedziemy tylko na lunch. Pośpiesz się, bo ucieknie nam autobus.

Lunch składający się ze smażonego świeżego dorsza, frytek i dużego kufła ruddlesa zjedliśmy na dworze, na słońcu. Patrzyłem, jak Danny zanurza swoje frytki w keczupie i wszystko wydawało mi się takie normalne, takie typowo angielskie — prawie jakbyśmy byli starą rodziną.

Po lunchu wróciliśmy do Bonchurch autobusem. Niebo zasnuły czarne burzowe chmury, a nad Godshill i Whiteley Bank migotały węzowe języki błyskawic. Kiedy wygramoliliśmy się w Bonchurch z autobusu, w powietrzu unosił się już silny zapach ozonu, a na drogę padały krople deszczu wielkości dziesięciopensówek.

Ja i Liz szliśmy pod rękę, Danny pobiegł przodem. Jej ciężka i ciepła pierś uderzała rytmicznie o moje ramię. Wciąż trudno mi było uwierzyć, że moje wycieczki w rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty stanowiły wyłącznie dzieło bujnej wyobraźni. Najbardziej jednak niezwykły wydawał się fakt, jak łatwo przyszło mi uwierzyć, że nic takiego nie miało miejsca. Łatwiej było myśleć o tym wszystkim jak o koszmarze: o tym, jak zawlokłem ciało Dennisa Pickeringa daleko w morze; jak rozmawiałem w cieniu drzew z młodym panem Billingssem; jak Kezia Mason podrapała i pokaleczyła mi twarz i jak ten zasmarkany zawszony Brązowy Jenkin trzymał w swoich pazurach moje krocze.

Bo i jakim cudem to wszystko mogło być prawdą? Jak mogły naprawdę istnieć Praistoty? Jak Liz mogła zostać zapłodniona nasieniem, śliną i krwią i dać życie trzem różnym organizmom pozbawionym ludzkiego kształtu? Czułem ją tuż obok siebie: czułem jej piersi i szczupłe dziewczęce miękkie ciało, pachnące domowymi ciastkami i piżmowymi perfumami Body Shop. Miała rację. To wszystko było jakąś paranoją.

Potężna błyskawica rozdarła na pół niebo, oświetlając niczym w horrorze Hammera szczyty dachu i kominy Fortyfoot House. Nagle rozszalała się silna ulewa, szumiąc i bębniąc kroplami o liście wawrzynu, i pobiegliśmy, jak mogliśmy najszybciej, w stronę ganku. Czekał tam już na nas, przestępując z nogi na nogę i podskakując, śpieszący się do toalety Danny.

— Szybciej, tato!

Otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka. W domu panowały mrok i wilgoć: w powietrzu czuć

było woń zaniedbania. Powiesiłem na wieszaku mokrą kurtkę, przeszedłem do kuchni i otworzyłem lodówkę.

— Co powiesz na kieliszek wina? — zapytałem Liz. — Zostało jeszcze trochę tego bułgarskiego.

— Czemu nie?

Podeszła i objęła mnie za szyję. Kosmyki mokrych włosów przylepiły jej się do czoła. Pocałowałem ją i po raz kolejny doszedłem do wniosku, że bardzo ją lubię.

— Powinienem wziąć się do roboty — powiedziałem.

— Więc postanowiłeś zostać?

— Chyba tak... przynajmniej przez kilka następnych dni. Mam wrażenie, że Fortyfoot House nie chce, żebym wyjeżdżał.

— Nie wydaje mi się, że to takie złe miejsce — stwierdziła Liz. — Właściwie całkiem je polubiłam.

Do kuchni wszedł, zapinając rozpiorek w szortach, Danny.

— Czy mogę iść na plażę? — zapytał.

— Pada deszcz.

— Nieważne. Założę kąpielówki.

Wyjrzałem przez okno. Na dworze było dość ciepło, a nad Kanalem niebo zaczynało się przejaśniać.

— W porządku — powiedziałem. — Ale baw się tylko na piasku i na skałach. Nie wchodź do morza.

Niedługo do ciebie dołączymy.

Danny przebrał się w swoje jaskrawe niebiesko-żółte hawajskie kąpielówki, zabrał wiaderko i łopatkę i wyszedł na deszcz.

— Jest chyba tak samo szalony jak ty — stwierdziła z uśmiechem Liz.

— Na zdrowie — powiedziałem, wręczając jej kieliszek wina. — Za szaleństwo, obojętnie, w jakiej przejawia się formie.

Trąciliśmy się kieliszkami, a potem Liz pocałowała mnie.

— Może pójdziemy na górę? — zapytała. — Wino zawsze znacznie lepiej smakuje w łóżku.

Przyjrzałem się jej nad skrajem kieliszka. Deszcz bębnił cicho o szyby i padał przez otwarte drzwi do środka kuchni, na linoleum. Gdzieś daleko zamruczał niezdecydowanie piorun. Trzech synów. Jednego zrodzonego z nasienia, drugiego ze śliny, trzeciego z krwi. Czy to powiedział młody pan Billings? A może tylko mi się to przyśniło albo sobie wyobraziłem?

Liz ruszyła pierwsza po schodach. Po drodze obróciła się dwa albo trzy razy, uśmiechając i sprawdzając, czy za nią idę. Kiedy doszliśmy do sypialni, słońce wyszło zza chmur i cały pokój zalało jaskrawe światło. Liz postawiła swój kieliszek przy nie posłanym łóżku i natychmiast rozpięła pasek spodni. Ściągnęła dżinsy i uklękła na łóżku, wyciągając do mnie ramiona. Przez cienki nylon jej białych majteczek widziałem ciemny, podobny do wachlarza zarys włosów łonowych.

Ściągnąłem koszulę i spodnie i ukląknęłam obok niej na pomarszczonym prześcieradle. Klęczeliśmy naprzeciwko siebie, niczym kochankowie na okładce „Radości seksu”, całując się i odkrywając wzajemnie smak swoich ust. Liz smakowała winem i nieokreśloną, ale bardzo podniecającą słodyczą, która przypominała mi jakiś odległy, niemożliwy do umiejscowienia smak z przeszłości.

Uniosła ramiona, a ja ściągnąłem przez nie koszulkę. Jej piersi zakołysały się ciężko w moich dłoniach, a brodawki zmarszczyły, lśniąc w słońcu niczym mandarynkowe dropsy. Pocałowałem ją w piersi i dotknąłem zębami brodawek. Liz zmierzwiła mi palcami włosy.

— Kocham cię, Davidzie, kocham cię, Davidzie — mruzczała bez przerwy najbardziej zmysłowym szeptem, jaki kiedykolwiek słyszałem. To było prawie jak śpiew albo rytualna pieśń.

Niezgrabnie ściągnąłem jej majtki do połowy ud, a potem przewróciłem delikatnie na plecy, żeby zdjąć majtki do końca. Jej włosy łonowe lśniły w popołudniowym słońcu niczym pozłacane druciki.

Błyszczały wargi sromowe. Liz sięgnęła obiema rękoma w dół i otworzyła się dla mnie, rozstawiając szeroko nogi.

...drzwi otwierają się na oścież... — ktoś szepnął. To mogłem być ja.

Pośpiesznie zdarłem z siebie szorty. Czubek mojego wyprostowanego członka miał kolor szkarłatu.

Liz ujęła go jedną ręką, masując powoli w górę i w dół, gładząc opuszką kciuka zagłębienie pod nabrzmią żołądka.

— Jesteś wspaniały, Davidzie, kocham cię, Davidzie.

Próbowałem przesunąć się w dół, żeby się w nią wślizgnąć, ale ona opierała się, zaciskając jeszcze mocniej palce na moim członku. Czulem, jak jej paznokcie wbijają mi się w skórę.

— Chcę ciebie — wydyszałem.

Uśmiechnęła się szyderczo.

— Może i chcesz. Ale ja nie zdecydowałam jeszcze, czy ci się oddam.

Opadłem na nią, czując, jak ogarnia mnie coraz większa frustracja. Ścisnęła mój członek tak mocno, że jego czubek zrobił się czerwonopurpurowy od stłoczonej krwi.

— Liz! To boli!

— Nie lubisz bólu? — zapytała kpiąco. — Myślałam, że należysz do tych mężczyzn, którzy uwielbiają, jak się ich kaleczy.

Przez chwilę się wahałem, a potem ponownie spróbowałem w nią wejść. Tym razem poczułem dotkliwe ukłucie z tyłu członka. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak po palcach Liz spływa cienka strużka krwi. Zawisała przez chwilę na skraju jej dłoni, a potem utworzyła ciężką, lepłą kroplę, która spadła w szparę pomiędzy jej puciołowatymi pośladkami.

Zmierzyłem ją wzrokiem. Nie odwróciła oczu, wyzywając mnie, żebym coś powiedział.

Jednego zrodzonego z nasienia, drugiego zrodzonego ze śliny, trzeciego zrodzonego z krwi. Trzy gatunki Praistot, czekających na wielkie Odrodzenie.

— O co chodzi? — zapytała Liz. Mój członek zaczął kurczyć się i opadać.

— Chcę, żebyś powiedziała mi, kim jesteś — zażądałem.

— Wiesz przecież, kim jestem.

— Nie jestem już tego taki pewien. Masz teraz wszystkie te trzy rzeczy: spermę, ślinę i krew. Możesz być jedną z istot, o których opowiadał młody pan Billings. Chyba nią jesteś.

— Widzę, że naprawdę dostałeś świra.

— Rzeczywiście? Więc po co było to całe drapanie?

— Lubię drapać partnera, kiedy się kocham, to wszystko. W głębi duszy jestem trochę zwierzęciem.

— Zwierzęciem? Czy tą rzeczą?

Liz usiadła i objęła mnie ramieniem.

— To szaleństwo, Davidzie. Przepraszam, że cię zadrapałam. To tylko takie figle. Nie ma żadnej „rzeczy”, nie ma „młodego pana Billingsa”, nie ma „Brązowego Jenkinsa” i nie ma „Kezi Mason”. Istnieją tylko w twojej głowie. Nie są niczym więcej niż fantazjami... wytworami twojej własnej wyobraźni.

— To niemożliwe — upierałem się. — Jeśli są wytworami mojej wyobraźni, dlaczego pamiętam je tak dokładnie? Mogę nawet opisać rysunek wygrawerowany na tarczy zegarka młodego pana Billingsa. Przypominał ośmiornicę. Byłem tam, przенiosłem się tam, jestem tego pewien.

Liz objęła mnie drugim ramieniem i przytuliła się mocno, przyciskając policzek do mojego ramienia.

— Davidzie — powiedziała kojąco. — Wiem, uważasz, że się tam znalazłeś. Wiem, że naprawdę w to wierzysz. Ale to się po prostu nie wydarzyło. Nigdzie się nie przenieśliś.

— Nie wiem — odparłem. — Nie wiem, do diabła, co mam o tym myśleć.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Liz położyła się na plecach i obserwowała mnie.

Niebo było teraz jasne. Burza przeszła i została po niej tylko blada tęcza nad ruinami kaplicy. Po zegwniku nie spacerowali żadni mężczyźni w czarnych cylindrach. Za krzakami nie kręciły się żadne strząsające z siebie deszcz insektów, zaopatrzone w olbrzymie pazury, zgarbione, zakapturzone gryzonie. Z olbrzymim poczuciem ulgi zacząłem sobie uświadamiać, że w Fortyfoot House stworzyłem swój własny wymyślony świat — świat, w którym próbowałem rozwiązać trapiące mnie problemy, nadając im własne twarze, kształty i imiona.

Liz podeszła do mnie z tyłu i objęła w pasie. Poczulem, jak jej brodawki muskają moje nagie plecy.

— Pamiętasz, co powiedziałam ci przedtem? — zapytała. — Możesz zapomnieć o Janie. Możesz nauczyć się być sobą. To twoje życie, Davidzie. Musisz wziąć je w swoje własne ręce.

Obróciłem głowę i pocałowałem ją. W promieniach słońca jej oczy zaśniły czerwienią. Dałeś jej syna zrodzonego z krwi. Za oknem krzyczały mewy, popołudnie pulsowało ciepłem i słońcem — prawdziwy dar natury; a może dany nam przez Boga.

— Spójrz, jak pięknie — powiedziałem. — W takich chwilach człowiek cieszy się, że żyje.

Ale potem zobaczyłem wynurzającego się zza drzew Danny'ego, który szedł powoli w stronę domu.

W jednej ręce trzymał swoje wiaderko z łopatką, a w drugiej coś, co bez przerwy podrzucał i łapał, podrzucał i łapał.

ROZDZIAŁ XIX

Śmierć w środku lata

Wciąż zapinając koszulę spotkałem go w kuchennych drzwiach.

— Cześć. Zmęczyły cię wyścigi krabów?

Potarł czoło, jakby bolała go głowa.

— Nie lubię już krabów. Nie po tym, co zrobiły pani Kemble.

— One nie wiedziały, co robią. Kraby nie wiedzą, jaka jest różnica między rybą a człowiekiem.

— Są okropne.

— No dobrze — zgodziłem się. — Chyba są. Chcesz lemoniady?

Podrzucił w górę jakiś ciemny metalowy przedmiot i złapał go z powrotem.

— Co to jest? — zapytałem, otwierając butelkę lemoniady i nalewając ją do szklanki.

— Klucze — odparł. — Znalazłem je na plaży. Muszą mieć ze sto lat.

— Klucze? — zdziwiłem się. — Pokaż.

— Są całe zardzewiałe. Poprzyczepiały się do nich ostrygi.

Wręczył mi mały pęk kluczy na kółku. Położyłem go na dłoni i dokładnie się im przyjrzałem. Miał rację.

Musiały mieć co najmniej sto lat. Stalowe klucze rdza zżarła tak gruntownie, że zostały z nich tylko cienkie pręciki; miedziane były czarne od soli i inkrustowane małymi mięczakami.

Do kluczy dołączony był metalowy breloczek, na którym widniał jakiś trójkątny znak. Wokół trójkąta zostało kilka śladów błękitnej farby; pod spodem zdołałem odczytać parę skorodowanych liter: „Re...lt”.

— Myślisz, że są warte dużo pieniędzy? — zapytał Danny. — To mogą być klucze piratów, prawda?

Powoli potrząsałem głową.

— Nie, to są kluczyki do samochodu.

— Ale wyglądają na bardzo stare.

— Są stare. Ale spójrz na te litery pod trójkątem. „R”, „e”, coś, czego nie można odczytać, a potem „l” i „t”. Renault. To są kluczyki wielebnego Pickeringa. Nie mógł ich znaleźć dziś rano.

— Jak mogą być takie stare, skoro zgubił je dopiero dziś rano? — zapytał, marszcząc brwi, Danny.

Zawlokłem jego okaleczone ciało do morza i fale zabrały go na głębinę... ale kluczyki musiały się w jakiś sposób wyslizgnąć z kieszeni i opadły na kamienne dno. Miały ponad sto lat, ale Danny odnalazł je prawie w tym samym miejscu, w którym upadły. Miały ponad sto lat, ale nie było ich tam aż do dzisiejszego ranka.

Usiadłem, wlepiając oczy w kluczyki Dennisa Pickeringa, podczas gdy Danny nie spuszczał ze mnie zdumionego wzroku. Te kluczyki w wyrazisty sposób ilustrowały paradoks Fortyfoot House. W Fortyfoot House można było zmieniać zarówno przeszłość, jak i przyszłość. Można było sprawić, że w przeszłości zdarzy się coś, co nigdy nie miało miejsca. A co jeszcze bardziej niepokojące, można było sprawić, że nie zdarzy się coś, co w rzeczywistości miało kiedyś miejsce.

Ciało Dennisa Pickeringa leżało pod deskami podłogi w salonie od czasu, kiedy Brązowy Jenkin zamordował go w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym. Widziałem je tam. Ale teraz wcale już go tam nie było... teraz, kiedy zmieniłem przeszłość. Nagle zrozumiałem, że czas nie jest linearny, ale paralelny.

Nasza świadomość przesuwana się od jednego wydarzenia do drugiego niczym karty w automacie do gry w „Co widział lokaj?” Ale my możemy przecież zawsze zatrzymać karty albo wrócić do początku. Możemy zawsze wyjąć karty z maszyny i zastąpić je innymi. Wydarzenia są tam zawsze od czasów prehistorycznych aż do końca czasu. Wciąż jest tam królowa Wiktoria, wciąż jest tam Henryk VIII, wciąż jest tam Cezar. Jestem ja, jako chłopiec. Jest Janie. Całkiem możliwe, że mogłem cofnąć się w czasie i sprawić, żeby nigdy nie spotkała Raymonda Brodatego.

Nic dziwnego, że Praistoty tak chętnie skorzystały z szansy, jaką dawała im podróż w czasie. Nic dziwnego, że zagnieździły się w ciałach sumeryjskich kapłanów, którzy ośmielili się złożyć im wizytę. Nic dziwnego, że wcieliły się w Kezię Mason i wszystkie jej poprzedniczki i następczynie. Były nieskończenie przebiegłe i żywotnie zainteresowane własnym przetrwaniem. Natychmiast zrozumiały — tak jak rozumiałem to teraz ja — że czas może być zmieniany, zawieszany i na nowo aranżowany. Niczym politycy uświadomiły sobie z bezlitosną jasnością, że panowanie nad czasem stanowi klucz do panowania nad wszystkim i wszystkimi; do panowania nad światem, w którym nie istnieje już żadna moralność, światem, w którym najwyższym prawem jest nieograniczona niczym wola.

Wolałem nie myśleć, kiedy i w jaki sposób tak prosty i zwyczajny pisarz jak H.P. Lovecraft usłyszał to imię. Ale wiek Yog-Sothoth zbliżał się. Yog-Sothoth, który niczym pierwotny szlam pieni się w nuklearnym chaosie, sięgając poza najdalsze forpoczty czasu i przestrzeni.

Podnosząc w górę kółko z zardzewiałymi kluczami, miałem wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Stanowiły niepodważalny dowód, że podróżowałem w czasie i przeniosłem się w rok tysiąc osiemset osiemdziesiąt szósty. Stanowiły niepodważalny dowód, że Dennis Pickering został

zamordowany przez Brązowego Jenkina; że zawlokłem jego ciało do morza, że odmówiłem nad nim skromną modlitwę i pozwoliłem, aby odpłynęło. A to oznaczało, że „Dennis Pickering”, który odwiedził mnie dziś rano, nie był wcale Dennisem Pickeringiem.

Najprawdopodobniej nie myliły mnie oczy, kiedy ujrzałem go przy krzaku wawrzynu: mój gość był w istocie Brązowym Jenkinem, który przybrał postać Dennisa Pickeringa dzięki rzucanym przez Kezię Mason czarom. Potrafiła zamienić kłamkę w ludzką dłoń; nie widziałem powodu, dla którego nie mogłaby zamienić zawszonego Jenkina w wiejskiego pastora.

Wyszedłem do holu i zadzwoniłem do detektywa sierżanta Millera. Jadł właśnie spóźniony lunch w swoim biurze i odebrał telefon z pełnymi ustami.

— Sierżant Miller? Mówi David Williams z Fortyfoot House.

— A tak. Coś nie tak, panie Williams?

— Powinien pan wysłać kogoś na plebanię Świętego Michała.

— Może mi pan podać jakiś konkretny powód?

— Po prostu, żeby sprawdzić, czy nic nie grozi pani Pickering.

Detektyw sierżant Miller przełknął kęs kanapki.

— Że nic jej nie grozi? — zapytał ostrożnie. — Ma pan jakieś powody, by sądzić, że coś jej grozi?

— Niech pan posłucha — powiedziałem. — Oprócz mieszkańców Bonchurch jest pan chyba jedyną spotkaną przeze mnie osobą, która wierzy, że dzieje się tutaj coś potencjalnie groźnego.

— Nawet jeśli tak jest, to co z tego? — W jego głosie wciąż brzmiało niedowierzenie.

— Cóż... nie mogę tego teraz dokładnie wyjaśnić... ale nie wydaje mi się, żeby pastor był tym, za kogo się podaje. Wydaje mi się, że wielebny Dennis Pickering, który wrócił dziś rano do domu, nie jest wcale prawdziwym Dennisem Pickeringiem.

— Jasne jak dzień po zachodzie słońca — stwierdził detektyw sierżant Miller. — Jeśli nie jest sobą, to kim? Poza tym jego żona powinna chyba natychmiast zauważyć oszustwo.

— On jest nie do odróżnienia. Stanowi coś w rodzaju iluzji.

Usłyszałem bardzo rozmaite odgłosy połykania i zucia, a potem odgłos przypominający mlaśnięcie wyciąganego z bagna buta, który się rozległ, kiedy detektyw sierżant przełykał bardzo gorącą herbatę.

— Nie wydaje się panu, że wystawia pan moją wyobraźnię na zbyt ciężką próbę, panie Williams?

— Nie wydaje się panu, że zawsze lepiej się upewnić, niż potem żałować? — zapytałem w odpowiedzi.

— Chyba ma pan rację. Niech pan posłucha: powiem panu, co mam zamiar zrobić. I tak muszę przejechać obok pana, żeby porozmawiać z właścicielem sklepu, panem Divallem. Zabiorę pana i możemy razem pojechać na plebanię. Wyjaśnimy całą rzecz raz na zawsze.

— To uczciwa propozycja.

Odłożyłem słuchawkę. Na górze Liz śpiewała „The Windmills of My Mind”. Uświadomiłem sobie, że odnalezienie przez Danny’ego kluczyków Dennisa Pickeringa stanowi niepodważalny dowód czegoś jeszcze: Liz kłamała mówiąc, że nigdy nie przeniosłem się w rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty szósty i nie zabrałem ze sobą Charity. A jeśli kłamała w tej sprawie, w takim razie nie mówiła również prawdy twierdząc, że nic nie wie o młodym panu Billingsie, o sumeryjskich bramach czasu i o Praistotach, które przetrwały przez prawie pięć i pół tysiąca lat w ciałach i duszach niewinnych ofiar, czekając na dzień, kiedy ta planeta zanieczyszczona będzie w dostatecznym stopniu, by mogły się na niej ponownie pojawić w swej pierwotnej formie.

Uświadomiłem sobie również, że jeśli młody pan Billings mówił prawdę, upiorna postać zakonnicy, którą widziałem nad Liz, jest tą samą istotą, która zagnieździła się w Kezi Mason, a przedtem w niezliczonej liczbie innych dziewcząt.

A ja dałem jej to, czego potrzebowała — zapładniając ją po raz trzeci i ostatni własną krwią.

Stałem w holu, czując się tak, jakby za chwilę miała eksplodować mi głowa. Wbrew temu, co podpowiadały mi logika i doświadczenie, nie byłem po prostu w stanie uwierzyć, by Liz mogła być „opętana”, by mogła być czarownicą. Wciąż się tak samo odzywała; wciąż opowiadała te same dowcipy; wciąż tak samo wyglądała. Ukazała się, nadal śpiewając, na górze schodów, ubrana wyłącznie w jedną z moich koszul i zbiegła na dół z rozwianymi włosami i podskakującymi piersiami.

— Co się stało? — zapytała, całując mnie w czubek nosa. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Potrząsałem głową.

— Wszystko w porządku. Nie ma się czym przejmować. Detektyw sierżant Miller chce, żebym przejechał się z nim do Shanklin i odpowiedział na kilka pytań.

— Nie sądzi chyba, że masz coś wspólnego ze śmiercią Harry’ego Martina albo Doris Kemble?

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu sprawdza jeszcze raz zebrane dowody, to wszystko. W przyszłym tygodniu zamykają śledztwo w sprawie Harry’ego Martina... chce się po prostu upewnić, czy niczego nie pominął.

— To nawet dobrze się składa — stwierdziła Liz. — Danny i ja możemy się wybrać na spacer.

Poczułem nagłe ukłucie niepokoju. Czy mogłem zostawić z nią Danny'ego, jeżeli naprawdę zagnieździła się w niej ta istota? Czy młody pan Billings nie zapewnił mnie, że wszystkie bajki mówią prawdę i że podstawowym daniem czarownic są małe dzieci? Przed oczyma stanął mi zaskakująco wyraźny sztych z książki z bajkami, które czytałem w dzieciństwie. Przedstawiał wiedźmę z zakrzywionym nosem, wsuwającą do wnętrza pieca na łopacie szóstkę albo siódemkę przerażonych dzieci.

— Myślałem... myślałem, że zabiorę Danny'ego ze sobą. Sierżant Miller obiecał, że pokaże mi policyjny samochód.

Liz, która weszła przede mną do kuchni, obróciła głowę i zmarszczyła pogardliwie nos.

— Nudy na pudy. Danny na pewno nie będzie chciał spędzić całego popołudnia z jakimiś gliniarzami.

— Tak się składa, że bardzo mu na tym zależy.

W tej samej chwili do kuchni wszedł Danny. Wciąż podrzucał w górę i łapał kluczyki Dennisa Pickeringa.

Rzut w górę, brzdęk, chwyt. Rzut w górę, brzdęk, chwyt.

— Twój stary musi pojechać na posterunek — powiedziała Liz, kładąc mu rękę na plecach. — Może byśmy tak przeszli się do Ventnor i kupili trochę słodyczy? Potem moglibyśmy zbudować zamek z piasku, usiąść na plaży i napchać się tonami ciastek, tak żeby odechciało nam się kolacji.

— Miałem nadzieję, że pojedziesz ze mną. Sierżant Miller obiecał, że pokaże ci prawdziwy policyjny samochód.

— A potem co? — zapytał Danny Podejrzliwy.

— Potem... potem muszę złożyć pewne zeznanie. To nie zajmie dużo czasu.

Żałowałem, że nie udało mi się wymyślić bardziej atrakcyjnego kłamstwa, ale teraz już złapałem się na własny haczyk. Wiedziałem dokładnie, nad czym zastanawia się w tej chwili Danny: czy ma spędzić długie nudne popołudnie, czekając w jakimś gorącym dusznym biurze na ojca, czy też raczej woli bawić się na plaży, zajadając słodycze i pluskając się w morzu?

Liz przechyliła lekko głowę na bok.

— Nie musisz się martwić, Davidzie — powiedziała. — Potrafię się nim zaopiekować.

— Nie bądź wiśnia, tato — ponaglił mnie Danny. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak wzruszając ramionami wyrazić zgodę.

Jednocześnie jednak rzuciłem szybkie spojrzenie Liz, chcąc się upewnić, czy nie zobaczę w jej oczach najmniejszego śladu złośliwości, przewrotnego zadowolenia, czy — nie daj Boże! —

żarłoczności. Ale była po prostu tą samą Liz i poczułem prawie wyrzuty sumienia, że jej nie ufam.

Tylko klucze mówiły co innego. Rzut, brzdęk, chwyt.

Do frontowych drzwi zapukał detektyw sierżant Miller. Miał czerwoną twarz i sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. Upał był teraz prawie nieznośny; nad wysypanym żwirem podjazdem powietrze falowało niczym pomarszczona woda w krystalicznie czystym górskim potoku.

— Jest pan gotów? — zapytał, spoglądając na zegarek z nierdzewnej stali, tak jakbym wypowiadał pod jego adresem jakąś impertynencję.

— Tak, oczywiście, dziękuję, że pan po mnie przyjechał. Wiem, że to wszystko brzmi zupełnie niewiarygodnie.

Obszedł dookoła swój samochód i otworzył drzwi.

— Niewiarygodnie nie jest właściwym słowem. To czyste szaleństwo, panie Williams. Pozwala pan, żeby ten dom rzucił się panu na umysł. Obawiam się, że kiedy zadzwoni pan do mnie następnym razem, dowiem się, że widział pan samego Szatana.

— Nie sędzę — odparłem, starając się sprawiać wrażenie trzeźwo myślącego.

Detektyw sierżant wrzucił tylny bieg i wykręcił obok samochodu Dennisa Pickeringa.

— Wielebny Pickering nie wrócił jeszcze po swój wóz? — zapytał.

— Zgubił kluczyki. Powiedział, że pójdzie do domu po zapasowy komplet. Od tego czasu go nie widziałem.

— Dziwne — stwierdził detektyw sierżant. — Samochód jest mu potrzebny, żeby odwiedzać parafian.

— Może pożyczył wóz od żony?

— Jej samochód stoi w warsztacie. W zeszłym tygodniu miała wypadek na parkingu w Ventnor.

— Ktoś był poszkodowany?

Detektyw sierżant potrząsnął głową.

— O mało nie została poszkodowana pani Pickering. Wpadła na wózek na zakupy i zmiażdżyła czyjeś tygodniowe zapasy.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę Fortyfoot House, obróciłem się na siedzeniu. Liz i Danny stali na ganku, mrużąc oczy przed odbitym światłem słońca i machając na pożegnanie.

Machał jeszcze ktoś inny. W umieszczonym wysoko oknie mansardy bieląca twarz Charity. Na

jej ściągniętych w podkówkę ustach malował się wyraz przerażenia i rozpacz — nie machała na pożegnanie, ale wzywała pomocy: na litość boską, pomóżcie!

— Niech pan zatrzyma samochód! — wrzasnąłem.

— Dlaczego? — zapytał detektyw sierżant Miller. Samochód zakołysał się na drodze.

— Niech pan zatrzyma samochód. Proszę. A teraz niech pan trochę cofnie, żebym mógł rzucić okiem na dom.

Detektyw sierżant spełnił ze zniecierpliwieniem moją prośbę. Siedziałem przez dłuższy czas bez ruchu, wpatrując się w okno, w którym pojawiła się Charity, ale teraz zniknął po niej wszelki ślad. Okno było puste i czarne jak kapelusz młodego pana Billingsa.

— W porządku — powiedziałem po kilku chwilach, kiedy Charity nie ukazała się z powrotem. — Być może ma pan rzeczywiście rację. Być może pozwalam, żeby ten dom rzucił mi się na umysł.

— Właściwie mnie to nie dziwi — stwierdził detektyw sierżant Miller.

Nosił na serdecznym palcu duży sygnet z podobizną głowy rzymskiego cesarza Augusta. O Auguście wiedziałem tylko tyle, że rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną Skribonią, aby poślubić o wiele ładniejszą niewiastę o imieniu Liwia. Cóż, im szybciej zmienia się świat, tym bardziej wszystko pozostaje po staremu.

— Jakie sprawiała wrażenie pani Pickering, kiedy do pana zadzwoniła? — zapytałem.

— Chyba całkiem normalne — odparł detektyw sierżant Miller. — Szczerze mówiąc nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

— Powiedziała panu, co jej mąż robił przez całą noc?

Detektyw sierżant zwolnił przed skrzyżowaniem z główną drogą.

— Kiedy mąż nie wraca na noc... a zwłaszcza kiedy to jest pastor, nie zadajemy zwykle zbyt wielu pytań.

Nie nasz interes.

Wjechaliśmy na główną drogę.

— Zdaje pan sobie sprawę, że możemy zrobić z siebie kompletnych głupków? — zapytał.

— Nie wydaje mi się — odparłem. — Wciąż staram się przekonać samego siebie, że cierpię na halucynacje, że Dennis Pickering nie wyglądał jak Jenkin, ale tak było. Przez ułamek sekundy. Zęby, włosy, wszystko. Nie może być mowy o pomyłce.

Detektyw sierżant Miller wdepnął z całej siły hamulec i zjechał na bok. Jadąca za nami

ciężarówka wściekle zatrąbiła i mój towarzysz uchylił szybę.

— Pocałuj się w dupę — zawołał, ile miał sił w płucach. Potem obrócił się do mnie. — Naprawdę pan wierzy, że to nie wielebny Dennis Pickering?

Kiwnąłem głową. Nagle zaschło mi w ustach. Być może wbrew moim nadziejom detektyw sierżant Miller nie był wcale moim sojusznikiem.

— Tak jak mówiłem. Tylko przez ułamek sekundy. Gdybym w tamtej chwili mrugnął, nic bym nie zobaczył.

— A co będzie, jeśli otworzy drzwi i będzie wyglądał zupełnie normalnie?

— Wtedy nie wiem. Pojedźmy po prostu i sprawdźmy, czy pani Pickering jest zdrowa i cała.

Detektyw sierżant Miller przez chwilę się zastanawiał, a potem bez słowa zapalił z powrotem silnik.

Nie włączając kierunkowskazu włączył się z powrotem w ruch, co spowodowało kolejne ogłuszające trąbienie ciężarówek.

— Gdzieś zgubił swoją białą laskę, koleś? — zawołał ktoś.

Dojechaliśmy do plebanii i detektyw sierżant zaparkował na podjeździe. Nie stały tu żadne inne samochody, tylko stary, oparty o ganek rower, na którego siodełku wygrzewał się, niczym zbyt duży futrzany pokrowiec, należący do Pickeringów kot.

Kocur przyglądał się nam, mrużąc oczy, kiedy weszliśmy na ganek i zadzwoniliśmy do frontowych drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi, więc zadzwoniłem ponownie. Słyszałem odbijający się echem w holu odgłos dzwonka.

— Mogła oczywiście pójść po zakupy — stwierdził detektyw sierżant Miller, kiedy przebieraliśmy niecierpliwie nogami, stojąc na zniszczonych biało-czerwonych płytkach. — A sam wielebny pastor może być dosłownie wszędzie. Odwiedza często szpitale... wpada tam, żeby pogadać z pacjentami w podeszłym wieku.

Pomyślałem, że gdybym był w podeszłym wieku, ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, byłaby wizyta Brązowego Jenkina. W chwilę później detektyw sierżant pochylił się, uchylił zakrywającą otwór na listy mosiężną klapkę i zajrzał do środka.

— Halo! Pani Pickering! — zawołał. — Czy jest ktoś w domu?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Detektyw sierżant nadal zezował przez otwór na listy.

— Halo — powtórzył nagle zupełnie cicho sam do siebie, a potem wyprostował się i wyciągnął z kieszeni mały skórzany czarny portfel. Otworzył go i wyjął ze środka wytrych. — To nie jest wcale takie łatwe jak w telewizji — oznajmił. — Być może będziemy musieli wyważyć drzwi.

— O co chodzi? — zapytałem. — Nie ma nikogo w domu, prawda?

— Jeszcze nie wiem — odparł ponurym tonem. — Ale niech pan sam zajrzy przez otwór na listy.

Niech pan powie, co pan widzi... Tam, po lewej stronie, blisko otwartych drzwi... Na podłodze, na litość boską!

Natężyłem wzrok. Wyfroterowany parkiet wyglądał tak, jakby ktoś narysował na nim jakiś wzór albo wylał ciemny lśniący lakier. Za nic w świecie nie mogłem się domyślić, co to może być. Wyprostowałem się i wzruszyłem ramionami.

— Nie? — zapytał detektyw sierżant Miller. — Nie wie pan, co to jest? Może pan się tego dosyć nie napatrzył. To krew.

— O Jezu — jęknąłem cicho.

— Dokładnie tak. O Jezu. I wzięwszy pod uwagę pański niesamowity talent do odnajdywania nieboszczyków, powinien pan się postarać o jakieś przekonujące wyjaśnienie, przyjacielu. To się staje za bardzo podobne do kolejnej zagadki Poirota. Cholera jasna, tego zamka nie otworzyłby chyba sam Houdini!

Ale po kilku ostrożniejszych obrotach rozległ się satysfakcjonujący cichy trzask i drzwi się otworzyły.

Od razu poczułem dziwną charakterystyczną woń, tak jakby ktoś przycisnął mi do nozdrzy przejrzałą brzoskwinię. Woń słodczy i rozkładu. W tym domu znajdował się trup.

— Jeśli pan chce, może pan poczekać na zewnątrz — zaproponował detektyw sierżant Miller, nie odwracając się w moją stronę. — Oczywiście jeżeli da mi pan słowo, że nie będzie próbował uciec.

— Nie, pójdę razem z panem — powiedziałem. — Chcę zobaczyć, co tu się, do diabła, stało. Muszę.

Ruszyliśmy ostrożnie korytarzem, zbliżając się powoli do plamy, którą początkowo brałem za cień albo lakier. Z bliska nie było wątpliwości, że to krew. Szeroka, szkarłatna kałuża o doskonale błyszczącej powierzchni, na której unosiły się drobiny kurzu i spacerowały w tę i z powrotem muchy.

— Kogoś tu wypatroszono, porządnie i na dobre wypatroszono — stwierdził cienkim bezbarwnym głosem detektyw sierżant Miller. Stąpając niczym balerina na palcach, żeby nie zabrudzić sobie butów, wszedł do bawialni. Tam zatrzymał się i stał przez dłuższą chwilę obrócony do mnie lewym profilem, obrysowany światłem; zachowywał milczenie i nie ruszał się z miejsca tak długo, że zacząłem się poważnie zastanawiać, czy nie zapomniał, co robi, albo czy nie zasnął na stojąco.

— Sierzancie? — zapytałem. Usłyszałem za sobą ciche mlaskanie i przestraszony odwróciłem

się szybko do tyłu. Ku swemu obrzydzeniu zobaczyłem, że to kot, który wślizgnął się za nami do domu. Przycupnął przy skraju kałuży i zamknawszy ślepią chleptał z rozkoszą krew. Kopnąłem go, a on zamiauczał głośno i fuknął na mnie. Dopiero po drugim kopnięciu wybiegł z domu, na zalany słońcem podjazd.

Hałas obudził detektywa sierżanta z odrętwienia. Podniósł lewą rękę i prawie niedostrzegalnie wykonał nią zapraszający gest.

— Niech pan lepiej wejdzie i rzuci na to okiem — powiedział. — W końcu z tego, co wiem, to pan właśnie mógł być sprawcą. Chciałbym zobaczyć, jak pan zareaguje.

— Czy to pani Pickering? — zapytałem stłumionym głosem, który brzmiał tak, jakby nie należał do mnie.

Kiwnął głową.

— Niech pan to sam obejrzy.

Chwiejąc się dałem dwa kroki do środka. Zalany promieniami popołudniowego słońca pokój był bardzo duży; obok marmurowego kominka stały potężne wygodne fotele z lat trzydziestych, na które narzucono luźne perkalowe pokrowce. Polerowany, stojący na giętych nóżkach barek z Benares służył jako stolik do kawy. W stojaku na prasę tkwiły ściśnięte ciasno egzemplarze „The Daily Telegraph Magazine”, „Church Timesa” i „Puncha”. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie. Typowy salon typowej południowoangielskiej plebanii w upalne letnie popołudnie.

Właśnie ta zwyczajność sprawiała, że horror, który ukazał się moim oczom, był dziesięć razy bardziej szokujący, niż gdybym natknął się nań powiedzmy w londyńskich lochach, mijając karambol na autostradzie M25 czy na oddziale intensywnej terapii jednego z większych szpitali.

Widziałem krew i byłem przygotowany, że zobaczę trupa. Ale nic na świecie nie mogło mnie przygotować na to, w jaki sposób zadano jej śmierć. Stałem obok detektywa sierżanta Millera i dosłownie osunąłem się na kolana — składając tym mimowolny, przepełniony przerażeniem hołd zmarłej.

W jednym z perkalowych foteli siedział pozbawiony głowy trup pani Pickering. Miała na sobie jedwabną brzoskwiniową bluzkę i spódnicę, która kiedyś była biała. I jedna, i druga zostały podarte na trudno rozpoznawalne strzępy. Jej ciało rozplątano z taką siłą, że na poręczach fotela leżały pasma skóry i tłuszczu.

...w wesołym rozgardiaszu leżały tam... szkarłatne wstążki, szkarłatne wstążki...

Zakrwawiony kikut szyi wystawał z zakrwawionego kołnierzyka bluzki, a wyrwane z tułowia organy wewnętrzne — płuca, wątroba i żołądek — leżały lepkie i śliskie na ramionach, udrapowane w groteskowej parodii ściennego malowidła z kaplicy, tego samego, które przedstawiało Kezię Mason, trzymającą na ramionach Brązowego Jenkina.

Przez poszarpane ciało widziałem jej żebra i miednicę — połyskujące białe, z przylegającymi

nielicznymi szkarłatnymi pasemkami mięśni, które upodobiały je do obgryzionych psich kości. Jej gorset i podwiązki pocięte były na strzępy białego elastiku — w akcie agresji, który zwłaszcza wobec żony pastora wydawał się jeszcze bardziej plugawy niż oderwanie głowy. Między nogami wisiała ociekająca krwią płatanina wnętrzości.

Krew widziało się wszędzie. Krew zachlapała ściany i wsiąkła w dywan. Krew spryskała lustro i zabarwiła na czerwono stojące na stole herbaciane róże — w okrutnej parodii malowanych róż z „Alicji w krainie czarów”. Co takiego powiedziała wtedy Królowa Kier? Ściąć jej głowę! I to właśnie spotkało biedną, żalostną panią Pickering.

Z początku nie zauważyłem nigdzie jej głowy. Obróciłem się osłupiały w stronę detektywa sierżanta Millera.

— Gdzie jest jej głowa? — zapytałem.

Wskazał ręką róg pokoju. Jego twarz była koloru szarej wołowiny. Spojrzałem tam, gdzie pokazywał, ale mój umysł nie chciał po prostu przyjąć do wiadomości tego, co widziały oczy.

— Na litość boską, sierżancie — wrzasnąłem. — Gdzie jest jej głowa?

Ponownie wskazał ręką róg pokoju — ale ja widziałem tylko brązowy polerowany kredens z pochłapanym krwią białym bieżnikiem i stojące na nim kuliste akwarium.

Jezus Maria, akwarium.

Woda wewnątrz słoja zabarwiona była na różowo. Dwie małe złote rybki wciąż próbowały pływać w swoim zatłoczonym domu, ale jedna z nich łapała kurczowo pyszczkiem tlen, a druga miała przetrącony ogon.

Przez mrok i liście wodorostów wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma pani Pickering — jej usta były do połowy wypełnione kolorowymi kamykami, a twarz znacznie powiększona przez zakrzywione szkło.

Detektyw sierżant zbliżył się do kredensu. Szedł na sztywnych nogach niczym robot, nie odrywając wzroku od akwarium. Posiwiłe czarne włosy pani Pickering unosiły się na powierzchni wody niczym gęste, mokre wodorosty.

— Nie może pan jej wyjąć? — zapytałem ochryplym głosem. Kiedy podszedłem bliżej, głowa pani Pickering przechyliła się i obróciła, i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że śledzi mnie wzrokiem.

Detektyw sierżant Miller potrząsnął głową.

— To niemożliwe, chyba że rozbiję akwarium.

— Co to znaczy? — zapytałem. — Jeśli nie można wydobyć głowy, nie tłukąc szkła, jak wsadził ją do środka?

Detektyw sierżant rozejrzał się po pokoju.

— Przez cały czas miał pan rację — powiedział bezbarwnym głosem. — Fortyfoot House jest nawiedzany przez duchy, opanowany przez złe moce czy jak pan jeszcze to nazwie. A Brązowy Jenkin istnieje naprawdę, niezależnie od tego, co myślą na ten temat w komendzie.

Podszedł do otwartego okna, z którego widać było pachnący, gęsty różany ogród. Nic nie mogło bardziej kontrastować z ohydą sceny w salonie.

— Niech pan spojrzy — powiedział, pokazując krwawe ślady na parapecie i na samej szybie.

To były ślady pazurów: odciski szczurzych łap, które tylko olbrzymim rozmiarem różniły się od tych zostawianych przez pospolitego szczura, *rattus rattus*.

Wszystko to zatem działo się naprawdę. Brązowy Jenkin istniał naprawdę. Kezia Mason istniała naprawdę — podobnie jak Yog-Sothoth. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: Danny.

— Dokąd pan się wybiera? — warknął detektyw sierżant Miller, kiedy przeskakując kałużę krwi wypadłem na korytarz.

— Do domu. Liz ma Danny'ego! I założę się o wszystko, co pan chce, że jest tam także Brązowy Jenkin!

— O czym pan, do diabła, mówi? Nie możemy tak po prostu... — Rozejrzał się desperacko po przerażającym wnętrzu pokoju.

— Sierżancie — odezwałem się błagalnym tonem. — Proszę.

ROZDZIAŁ XX

Jutrzejszy ogród

Wiedziałem, że dzieje się coś złego, kiedy tylko skręciliśmy do Bonchurch i ruszyliśmy wąską drogą, która wiodła do Fortyfoot House. Chociaż było ciepłe jasne popołudnie, niebo nad dachem dziwnie pociemniało, tak jakby filmowano je przez skierowaną prosto w słońce kamerę wideo.

Czułem również wyraźne wibracje. Otaczające nas powietrze gięło się i drżało, a kiedy w polu widzenia pojawił się dom, dostrzegłem podobne do mirażu zniekształcenia. Drzewa jakby pochyliły się i wykrzywiły, a sam Fortyfoot House wyglądał, jakby zawieszony był kilka niewidocznych centymetrów nad ziemią.

Detektyw sierżant Miller zatoczył łuk na podjeździe, wyskoczył z samochodu i zatrzasnął drzwiczki.

— Niech pan na siebie uważa — warknął do mnie. — Technicznie rzecz biorąc, ścigamy podejrzanego o popełnienie morderstwa i nie mam prawa narażać na niebezpieczeństwo osób trzecich.

Fortyfoot House cały zadygotał i stęknął, tak jakby nie był wcale martwym budynkiem, ale olbrzymią, zranioną do głębi duszy bestią. W oknach na górze zamigotały jaskrawe biało-niebieskie światła.

— Gówno mnie obchodzi, co robimy technicznie — odpaliłem. — Tam jest mój syn.

Złapałem za klamkę frontowych drzwi, ale były zamknięte na głucho, a raczej zrośnięte: tak jakby drzwi i framugę wycięto z tego samego litego kawałka drewna. W zamku z grubego mosiądzu brakowało dziurki od klucza. W nadprzyrodzony sposób odmówiono nam wstępu do środka.

Detektyw sierżant Miller złapał za architraw i dwa albo trzy razy kopnął ze złością w drzwi. Nawet nie drgnęły.

— To nie ma sensu — powiedziałem. — Są zamknięte na głucho.

— Sprawdźmy drzwi od kuchni — rzucił detektyw sierżant, zerkając na zegarek. — W każdej chwili mogą przybyć posiłki.

Obiegnęliśmy dom dookoła. Cały ogród spowijał dziwaczny jasny mrok. Dęby kołysały się w porywach wiatru, którego prawie nie czułem, a krzaki i kwiaty gięły się do samej ziemi, tak jakby uderzał je nagły podmuch. Za drzewami lśniło matowe niczym ołów morze.

Przecieliśmy patio i próbowaliśmy otworzyć kuchenne drzwi. Tak samo jak frontowe wydawały się przyrośnięte do framugi.

Detektyw sierżant wyjął z kieszeni przenośny telefon.

— George? — zapytał. — Gdzie się podziewacie, do jasnej cholery? Potrzebuję dwóch wozów przy Fortyfoot House. Tak szybko, jak tylko można.

Usłyszałem cienki, podenerwowany głos, który głądził coś o robotach drogowych w Luccombe Village.

Detektyw sierżant Miller pozostawił to bez odpowiedzi, ale wyraz jego poczerwieniałej twarzy mógł starczyć za każde przekleństwo.

— Co się stało? — zapytałem. — Przyjeżdżają czy nie?

— Jadą — odparł bezradnie. — Może są jeszcze jakieś drzwi z boku? Albo do spiżarni? Musi być przecież jakieś wejście.

Przez Fortyfoot House przeszło kolejne potężne drzenie, które wstrząsnęło nim aż do fundamentów.

Jakaś część mojej podświadomości odbierała powolne bełkotliwe inkantacje, które słyszałem już wcześniej.

N'ggaaa-n'ggaaa-sothoth-n'ggaAAA. Rozległ się głośny trzask i cegły, którymi wyłożone było patio, zaczęły się wybrzuszać zupełnie tak, jakby pod ziemią sunęła olbrzymia dżdżownica. Słyszałem jak szyby dzwonią w oknach, a po chwili z dachu spadło kilka dachówek i roztrzaskało się na ścieżce.

— Danny! — wrzasnąłem. — Danny, jesteś tam? Danny!

Powolne inkantacje trwały dalej; cały budynek dosłownie trząsł się w posadach. W dół posypała się kolejna lawina dachówek. Jedna z nich uderzyła mnie w ramię.

— Danny może tutaj być?! — zawołał detektyw sierżant Miller.

— Nie wiem, gdzie jest. Liz miała go zabrać na spacer. Ale teraz wiem, że Liz to nie Liz...

— Liz to nie Liz? Co to ma znaczyć?

— Jest tą rzeczą. Czymś w rodzaju dawnego ducha. Nie wiem, nie sposób tego sensownie wyjaśnić. Ale te duchy pochodzą z czasów prehistorycznych... i wcielają się w kolejne kobiety, stulecie po stuleciu, czekając na moment, kiedy będą mogły się odrodzić.

Detektyw sierżant Miller popatrzył wpierw na mnie, a potem na sypiący się dach Fortyfoot House.

W dół runął kolejny grad dachówek, a w ślad za nim kamienny fragment okiennego parapetu. Gdyby sierżant nie widział na własne oczy, że dom trzęsie się, trzeszczy i rozsypuje na części, z pewnością zażądałby ode mnie zaprzysiężonego zeznania. Ale w tej sytuacji nie było wątpliwości, że budynkiem wstrząsa jakaś potężna i desperacka siła — i nie było również wątpliwości, że

wyrządzane przez nią zło przekracza możliwości ludzkiego pojmowania. Jeśli posłaniec tej mocy zabijał z tak dzikim zacięciem — do jakich przerażających rzeczy mogła być zdolna ona sama?

Brązowy Jenkin popełniał bezsensowne i sadystyczne mordy — zabijał dla zabawy. Traktował ludzkie życie tak samo lekko, jak okrutny chłopiec, który wyrwa nóżki owadowi. A był w końcu tylko posłańcem Kezi Mason, która z kolei nie była niczym więcej, jak kukułczym gniazdem, w którym czekał na dzień swego Odrodzenia Yog-Sothoth.

Wszystko to nosiło cechy absurdalnej Apokalipsy. Koniec świata takiego, jaki znamy. Zmiana naturalnego porządku dominacji: nad człowiekiem miał zapanować teraz inny gatunek. Ale kiedy pomyślałem, jak bardzo świat zmienił się choćby od początku tego stulecia — kiedy pomyślałem o zatrutych morzach i zanieczyszczonym powietrzu, zacząłem wierzyć, że Praistoty rzeczywiście mogą się ponownie pojawić i że może się odrodzić potężna zimmokrwista cywilizacja z prehistorycznych czasów.

One same przecież dostosowały się do długich stuleci supremacji człowieka, ukryte w ciałach czarownic i czarowników, w ścianach budynków, a nawet w samej Ziemi. Nauczyły się ukrywać i czekać, ukrywać i czekać. A teraz my wszyscy niszczyliśmy dokładnie to, co zmusiło ich do zejścia w podziemie. Ścinaliśmy lasy, które wzbogacały naszą atmosferę o tlen — tlen, którego Praistoty, stworzenia z odległego kosmosu, z całego serca nienawidziły. Zabudowywaliśmy hektary naszych upraw i łąk; ściągaliśmy wodę podskórną spod bagien. Topiliśmy w naszych morzach rtęć i radioaktywne odpady. Zanieczyszczaliśmy powietrze siarką i ołowiem. Niezależnie od tego, czy robiliśmy to z własnej inicjatywy, czy też w tajemny sposób nakłonieni do tego przez Praistoty, zmienialiśmy stopniowo świat, by stał się takim, jakim był — takim, jakim chciały go mieć One. Światem martwych oceanów i mrocznego nieba — światem metali ciężkich i antarktycznego zimna.

— Nie pomyślał pan o tym — powiedziałem, odwracając się do detektywa sierżanta Millera.

— O czym? — zapytał.

Przebiegłem przez patio i uniosłem w górę jedną ze stojących na murku kamiennych donic, w których kiedyś rosły pelargonie. Ważyła tyle, że ledwie mogłem ją unieść i w połowie drogi do domu musiałem postawić ją na ziemi. Detektyw sierżant Miller domyślił się, co chcę zrobić, i podbiegł, żeby mi pomóc.

— Rzeczywiście nie pomyślałem — przyznał.

Razem przytaszczyliśmy donicę pod kuchnię, rozhuściliśmy ją, a potem cisnęliśmy w okno. Z głośnym brzękiem wybiła pół szyby i wpadła do zlewu. Usunąłem kopniakiem dwa podobne do szabli kawałki szkła, które zostały w ramie, a potem wgramoliłem się przez okno do kuchni. Detektyw sierżant Miller szedł tuż za mną.

— Będę u ciebie za pięć minut, Dusty — zaskrzeczał cienki głos w jego radiotelefonie.

— Przyjąłem — odpowiedział i wyłączył aparat.

Chrzęszcząc podszewkami po stłuczonym szkle przeszliśmy przez kuchnię. Wewnątrz domu słyhać było przeciągłe huczenie, tak jakbyśmy znajdowali się na stacji transformatorowej. Za każdym razem, kiedy zbliżałem się do którejś ze ścian, czułem, jak jeżą mi się na głowie naładowane prądem włosy, a kiedy wyciągnąłem dłoń, żeby otworzyć drzwi, snop kłujących iskier przeskoczył między koniuszkami moich palców a klamką.

Otworzyłem drzwi, nałożywszy kuchenną rękawicę, żeby osłabić wstrząs.

Znalazłszy się w holu, przystanęliśmy i przez chwilę nasłuchiwaliliśmy. Inkantacje trwały dalej, ale były tak niskie, że nie wiedziałem, czy je słyszę, czy czuję. Mmm'ngggaaa, nn'ggaaa, sothoth, yashoggua...

Detektyw sierżant nerwowo odchrząknął.

— Myśli pan, że Danny rzeczywiście tu jest? — zapytał. — Nikogo nie słyszę, a pan?

— Danny! — zawołałem, a potem podszedłem do schodów i złożyłem dłonie wokół ust. — Danny! — zawołałem ponownie. — To tato! Jesteś tam?

Czekałem chwilę, oparłszy dłoń na słupku poręczy. Myślę, że był to z mojej strony akt dużej odwagi.

Wydawało się, że cały Fortyfoot House pełza — ściany, podłogi, poręcze. Oddałbym wszystko, gdybym mógł wbiec z powrotem do kuchni, wygramolić się przez okno na dwór i uciec stąd tak daleko, jak daleko powiózłby mnie najbliższy autobus.

W tej samej chwili — bardzo słabo — usłyszałem wysoki kwilący odgłos, bardziej podobny do miauczenia kota niż krzyku dziecka. Ale człowiek zawsze rozpozna głos własnego dziecka — niezależnie od tego, jak bardzo jest zniekształcony, zrozpaczony i odległy.

— Co to było? — zawołał detektyw sierżant Miller, ale ja znajdowałem się już w połowie schodów, sadząc po kilka stopni w górę.

— Danny! Trzymaj się! — krzyczałem. — Danny, to tato!

Drzwi na strych były otwarte i walił z nich gęsty cuchnący dym, przesycony tym samym odorem spalenizny, który czułem poprzednio — intensywnym, gryzącym i metalicznym. Przypominał mi smród gazu łzawiącego albo palących się opon.

Wyciągnąłem z kieszeni zmiętą chusteczkę i przycisnąłem ją do nosa i ust.

— Na litość boską, Davidzie! — krzyknął za mną detektyw sierżant Miller. — Uważaj! W samochodzie będą chyba mieli jakieś maski przeciwgazowe.

Ale ja znowu usłyszałem to stłumione kwilenie. Wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że to Danny.

W masce czy bez maski nie mogłem zostawić go samego na łasce Brązowego Jenkina.

Wbiegłem po schodach i rozejrzałem się dookoła. Cały strych wypełniał szczypiący w oczy dym i matowe, szare, penetrujące światło. Pod otwartym świetlikiem stała składana drabina. W połowie schodków siedział zgarbiony i niebezpiecznie przechylony w bok Brązowy Jenkin — a na samej górze stał Danny, z wystawioną już na zewnątrz głową i ramionami. Na jednym z niższych stopni zobaczyłem bladą i jakby zszokowaną Liz, trzymającą dłonie na ramionach Charity — dziecka, które jak przysięgała jeszcze przed kilkoma godzinami, miało być wytworem mojej zestresowanej wyobraźni.

— Jenkin! — ryknąłem. — Ty cholerny szczurze!

Brązowy Jenkin odwrócił głowę i w jego oczach zalśniły żółte punkciki zaschniętej ropy. Miał na sobie niezwykłą parodię stroju duchownego — brudną koloratkę, zakurzoną czarną marynarkę i poplamioną zupą czarną kamizelkę. Podniósł jedną łapę w górę i popychał nią stojącego pod świetlikiem Danny'ego.

Drugą trzymał się drabiny.

— Puszczaj go, Jenkin! — wrzasnąłem. Ale kiedy ruszyłem w stronę drabiny, Liz wyprostowała rękę i wymierzyła ją prosto we mnie. Poczułem wewnątrz klatki piersiowej przejmujący, rozrywający ból, tak jakby ktoś przycisnął moje serce do rozgrzanej fajerki. Zatrzymałem się i złapałem za pierś. Miałem wrażenie, że ten gęsty, gryzący dym wydobywa się z moich własnych ust. Byłem w agonii, ale brakowało mi oddechu, żeby krzyknąć z bólu. Zanosząc się kaszlem padłem na kolana. Serce żarzyło mi się w piersi i choć wiedziałem, że to nie może być prawda, że to tylko czary rzucone na mnie przez Liz, po to żebym nie mógł dopaść Brązowego Jenkina — czułem się tak, jakbym miał zaraz skonać.

Brązowy Jenkin złapał Danny'ego za obie nogi i cisnął go w górę przez świetlik. Mały zniknął z krzykiem z pola widzenia, a Jenkin wdrapał się za nim na dach, rozsiewając wszędzie setki wszy.

— Jenkin! — zacharczałem, ale brakowało mi oddechu i sił, żeby wstać i rzucić się w ślad za nim. Totumfacki Kezi wyjrzał, rechocząc i charcząc, przez świetlik — miał triumfalnie zwężone oczy i wyszczerzone żółte kły. Między wargami mignął przez chwilę czarny język.

— Idioto, kutasie du kannst mich niemals fangen! Adieu, bastardzie, cet fois na zawsze! Merci pour ton fils! Was fur ein Schmachha., Knabenicht warh, kutasie?

— Zabiję cię, Jenkin! — jęknąłem, z gardłem tak zaciśniętym, że nie sądziłem, aby mnie usłyszał.

— Teraz ty, Charity, szybko na górę! — powiedziała Liz, popychając ją po schodkach.

Brązowy Jenkin wystawił w dół rękę z rozcapierzonymi długimi pazurami i na jego ustach pojawił się najbardziej złośliwy uśmiech, jaki mogłem sobie wyobrazić. Charity zerknęła w górę szeroko otwartymi oczyma.

Usłyszałem dochodzący od strony schodów kaszel. Wciąż klęcząc i zaciskając ręce na piersi odwróciłem się do tyłu i zobaczyłem detektywa sierżanta Millera, który próbował odsunąć dłonią kłęby dymu.

— Hej ty! — krzyknął do Liz. — Zostaw tę dziewczynkę tam, gdzie stoi.

— Sierzancie... nie mogę... — wychrypiałem, wskazując ręką świetlik.

Detektyw sierżant podniósł wzrok i zobaczył Brązowego Jenkina. Opadła mu szczęka. Słyszał o Brązowym Jenkinie, wiedział, do czego Brązowy Jenkin jest zdolny. Ale widok tego potwornego, przerośniętego szczura zaskoczył go do tego stopnia, że najwyraźniej nie był w stanie się poruszyć.

Rozrywający moją pierś ból zaczął słabnąć. Z wysiłkiem uniosłem się na jedno kolano, a potem wstałem.

Liz trzymała Charity w ramionach, tak żeby Brązowy Jenkin mógł się wychylić i wciągnąć ją na dach przez świetlik. Charity szarpała się i wierzgała nogami.

— Puszczaj! Puszczaj! — krzyczała.

Liz wydawała się jednak obdarzona nadprzyrodzoną siłą; unosiła dziewczynkę coraz wyżej i wyżej, zupełnie nie przejmując się jej oporem.

— Ach, ma chere petite — skrzeczał, śliniąc się lubieżnie, Brązowy Jenkin. — Podam cię mit Kartoffeln und Sauerkraut, oui?

— Policja! — krzyknął wysokim zduszonym głosem detektyw sierżant Miller. — Jesteście aresztowani! Zostawcie tę dziewczynkę!

Brązowy Jenkin zaniósł się tak głośnym skrzekiem, że o mało się nie porzygał. Z ust kapał mu gęsty strumień śliny, w której tkwiły nie przetrawione kawałki jedzenia.

— Aresztowani, w dupę! Was sagst du, bastardzie? C'est drole, n'est-ce pas?

Rozcapierzył jeszcze bardziej pazury, żeby złapać dziecko, ale w tej samej chwili stało się coś niezwykłego.

Charity przestała się szarpać i wierzgać nogami i nagle zeszywniała. Pozostawała teraz zupełnie wyprostowana i bezwładna. Jej twarz przybrała surowy wyraz — i chociaż mogło to być złudzenie wywołane wypełniającym strych dymem i światłem — najwyraźniej zaczęła świecić. Jej włosy się rozwinęły, otaczając głowę miękką falującą aureolą i mogłem przysiąc, że promieniowała cała jasnym białym światłem.

Mroczna niczym kurczący się cień Liz puściła ją. Ale Charity pozostała tam, gdzie była, sztywna i wyprostowana, zawieszona w powietrzu pomiędzy podłogą i pochyłym stropem, dokładnie w tym miejscu, w którym puściła ją Liz.

To było po prostu niemożliwe, ale widziałem to na własne oczy: pod nogami Charity, które zwisały metr nad deskami podłogi, nie było niczego. Żadnych linek, żadnych drutów. Nic.

Brązowy Jenkin powoli, ale wyraźnie cofnął pazury. W jego oczkach pojawiła się podejrzliwość, pysk wykrzywił się w grymasie niedowierzania.

— Co to jest? — Usłyszałem, jak syczy. — Co to jest?

Charity, wciąż z szeroko otwartymi oczyma, obróciła się w powietrzu w stronę Liz. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał cicho, nienaturalnie cicho, tak jakby tysiąc dłoni gładziło jednocześnie tysiąc atłasowych zasłon. Uniosła obie ręce, rozprostowała palce, a potem postawiła oczy w słup, tak że widać było tylko ich białka.

— TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA, WIEDŹMO — powtórzyła kilka razy tak niewyraźnie, że prawie jej nie rozumiałem.

Przez krótką chwilę trwało trudne do zniesienia napięcie. A potem nagle wszystko wydarzyło się równocześnie.

Liz wydała z siebie piskliwy jęk i przewróciła się. Brązowy Jenkin zatrzasnął świetlik i zniknął.

Charity opadła w dół i wylądowała na sztywno wyprostowanych stopach na podłodze. Dym zawirował, światła zamigotały, a detektyw sierżant Miller obudził się z szoku, niczym pasażer pociągu, który zdał sobie sprawę, że przespał swoją stację.

Nie tracąc ani chwili wspiałem się po drabinie i otworzyłem świetlik.

— Jenkin! — wrzasnąłem. — Oddaj mi syna, Jenkin!

Wystawiłem głowę na zewnątrz i uderzyło mnie to, co zobaczyłem. Żółte, zatrute wyziewami siarki niebo; rząd bezlistnych, nagich drzew. W ogrodzie nie było trawy, krzewów ani kwiatów — nic oprócz mokrych bladych chwastów. Nie widziałem żadnych barw oprócz żółtej i szarej. W powietrzu nie krzyczała ani jedna mewa; nie bzyczał ani jeden owad; nic. Od strony plaży dochodził niespokojny szum morza — ale jego powierzchnia była czarna od ropy, a piana na szczytach fal żółta i fluoryzująca; i wystarczyło tylko na nie spojrzeć, żeby się domyślić, że nie pływają w nim żadne ryby; żadne normalne ryby.

Wokół zegara słonecznego, tam gdzie kiedyś znajdował się równo przystrzyżony trawnik, ciągnął się pas zdewastowanej nagiej ziemi. Pod żółtosiarczanym niebem zobaczyłem Brązowego Jenkina, który biegł w stronę potoku, ciągnąc za rękę Danny'ego: dwie małe figurki ze snu. Musieli zejść z dachu po drabinie przeciwpożarowej.

— Danny! — krzyknąłem i Danny odwrócił się. Przez krótką chwilę ujrzałem całkiem wyraźnie jego zrozpaczoną twarz, ale potem Brązowy Jenkin, pohukując, pociągnął go w dół, w stronę potoku i w stronę kaplicy.

Próbowałem wdrapać się na górę, ale kiedy tylko oparłem się łokciami o dach, złapał mnie

okropny atak kaszlu i musiałem z powrotem opaść na szczyt drabiny. Poczułem, jak ktoś delikatnie ciągnie mnie za nogawkę, i zobaczyłem, że Charity również wdrapała się po stopniach i uśmiecha do mnie, zadzierając w górę głowę. Liz cofnęła się w kąt strychu, gdzie otoczyły ją tak gęste kłęby dymu, że prawie zniknęła nam z oczu.

— Jeśli za nim pójdziesz, Davidzie — ostrzegła Charity — możecie obaj nie wrócić.

— To mój syn.

— Wiem o tym — odparła z uśmiechem. — Podobnie jak ja byłem córką mego ojca i jak wszystkie dzieci z Fortyfoot House były czyimiś synami i córkami.

— Kim jesteś? — zapytałem.

Zamknęła i leniwie jak kot otworzyła z powrotem oczy.

— Chcesz zapytać mnie, kim jestem.

— Nie wiem — przyznałem. — Czy o to właśnie chcę cię zapytać?

Podszedł do nas, wycierając oczy chusteczką, detektyw sierżant Miller.

— Posłuchaj — zaczął. — Na dole muszą już być moi ludzie. Każę im przeszukać teren. Tej... rzeczy nie uda się daleko porwać twego syna.

Miałem zamiar poinformować go, że przeszukiwanie ogrodu w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim będzie czystą stratą, gdyż Brązowy Jenkin zabrał Danny'ego w odległą przyszłość; ale Charity podniosła lekko dłoń, nakazując mi milczenie.

— Pozwól, żeby się czymś zajął — zaproponowała. — Nie może ci w niczym pomóc.

— Puść mnie — warknęła Liz. — Słyszysz, co mówię, ty żalosny bachorze? Puść mnie!

Charity obróciła się w jej stronę, skinęła głową i Liz pogрузzyła się jeszcze głębiej w mroku.

— Co, do licha, jej zrobiłaś? — chciałem wiedzieć. — Co tu się dzieje?

— Wiesz chyba, że została odmieniona — powiedziała po prostu Charity.

— Odmieniona?

— Opanowana... opętana... odmieniona.

Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę rozmawiam z Charity. Ale kiwnąłem potakująco głową.

— Widziałem, jak to się stało. Młody pan Billings wytłumaczył mi, o co w tym wszystkim chodzi.

— Ach, on — uśmiechnęła się Charity. — Biedaczek. Biedny pan Billings. Chciał wszystkiego. Chciał być świętym i grzesznikiem, wygranym i przegranym. Pod warunkiem, że otrzyma swoją wielką nagrodę.

— Kim jesteś? — zapytałem ponownie. — Czym jesteś?

Dotknęła mojej dłoni. Była prawdziwa, czułem dotyk jej palców. Miała poobgryzane paznokcie i cóż mogło mnie bardziej przekonać niż to?

— Powiem ci tylko tyle — powiedziała dziecinnym konspiracyjnym szeptem. — Przybyłam do ciebie jako mała dziewczynka. Ale jestem czymś więcej. Praistoty przeżyły, mieszkając w ludziach, takich jak Kezia Mason, jak twoja Liz i jak Vanessa Charles, która pewnego dnia wyda na świat odrodzone Praistoty.

Próbowały się dobrze ukryć, ale czasami coś je zdradzało, dlatego właśnie, widzisz, odkrywano czarownice i palono je na stosach. Lecz śmierć czarownicy nigdy nie zabijała tkwiącej w niej Praistoty... Każda czarownica starała się dać życie trzem synom, którzy mieli się połączyć w jedność... w Przekłętą Trójkę. Syna zrodzonego z nasienia, syna zrodzonego ze śliny i syna zrodzonego z krwi. Ale niektóre z nich, w swoim ludzkim przebraniu — w tym miejscu wykonała rękoma uroczy gest, wskazując samą siebie — dały życie dzieciom, które były bardziej ludźmi niż nieлюдźmi... choć nie do końca ludźmi.

— Masz na myśli istoty takie jak ty? — pytałem czując, jak zasycha mi w gardle.

— Tak — potwierdziła — takie jak ja. Stałyśmy się istotami, które wszyscy nazywają wrózkami... kobietami, które potrafią uzdrawiać, sprowadzać urodzaj i przepowiadać przyszłość... ponieważ oczywiście — zatrzepotała powiekami — potrafimy podróżować w czasie i oglądamy na własne oczy, co się wydarzy.

— Ale ty przecież jesteś dzieckiem — zauważyłem. — Dziewczynką, nie kobietą.

Rozszerzyła oczy.

— Nie powinieneś nigdy oceniać wieku na podstawie wyglądu. W najmłodszych twarzach kryją się najstarsze oczy.

— Jednak nie rozumiem. Co robiłaś w Fortyfoot House? Masz całą tę moc... a jesteś przecież sierotą.

— Zgadza się, sierotą — uśmiechnęła się. — Ale bardzo szczególną. Byłam sierotą, ponieważ moja matka zmarła podczas porodu. Byłam sierotą, ponieważ moją matkę rozerwało na strzępy, kiedy rodziła moich trzech braci. Moich trzech braci, rozumiesz? Moja matka została opętana przez obcą istotę, ale najpierw urodziła mnie. Wydarzyło się to cztery lata przedtem, zanim dała życie moim braciom: synom zrodzonym z krwi, nasienia i śliny. Cały dom wypełniały wtedy straszne krzyki, straszne zapachy i migoczące światła. I oczywiście zmarli; wszyscy moi bracia zmarli. Powietrze było zbyt bogate, a woda obfitowała w rzeczy, których nie mogli przełknąć. Rozpłynęli się i nie

pozostał po nich żaden ślad. Ale — dodała Charity, robiąc znak krzyża — istota, która mieszkała w mojej matce, przetrwała w kredensie.

— W kredensie? — zapytałem. Nie mogłem przestać myśleć o Dannym — o DANNYM — ale wiedziałem, że to, co opowiada mi Charity, jest bardzo ważne. Wiedziałem, że może mi pomóc go uratować.

Cierpliwości — powtarzałem sobie — cierpliwości.

Kiwnęła głową.

— Pod schodami stał kredens i za każdym razem, kiedy go otwierałam, widziałam błękitne światło.

— Wytrzeszczyła oczy i ściągnęła palcami w dół dolną wargę, tak że jej twarz upodobniła się do trupiej czaszki. — To była moja matka; to była ta istota. A potem, któregoś dnia, do naszego domu przyszedł, szukając sierot, doktor Barnardo. Wśród towarzyszących mu dzieci znalazła się również Kezia Mason. Kiedy doktor Barnardo rozmawiał ze starym panem Billingssem, pokazałam Kezi Mason kredens. Jego drzwi otworzyły się, ta istota wydostała się na zewnątrz, objęła Kezię i weszła w nią.

— A więc istota, która opętała twoją matkę, jest tą samą, która wcieliła się w Kezię Mason i Liz?

Kiwnęła głową.

— Skoro Kezia Mason jest praktycznie twoją krewną, jak mogła pozwolić, żeby zabrał cię Brązowy Jenkin?

— Czarownica nie zna żadnych ludzkich uczuć. Pozbawiona jest serca. Jest bezduszną istotą, tak jak ośmiornica, krab albo pająk.

— Dlaczego nie starałaś się pokonać Kezi w ten sam sposób, w jaki pokonałaś Liz?

— Nie mogłam. Była o wiele za silna. Ale Liz jest wciąż słaba. Wciąż przeważają w niej pierwiastki ludzkie. Zanim istota spenetruje ciało i duszę kobiety i kompletnie nad nią zapanuje, upływa dużo czasu.

Ale Kezia... ostatnim razem kiedy ją widziałam, Kezia prawie całkiem zatraciła ludzkie cechy.

— Widziałaś kiedyś swoich braci? — pytałem dalej. — Wiesz, jak wyglądali?

— Nie, byłam wtedy bardzo mała — odparła z prostotą Charity — a pokój mojej matki pozostawał stale zamknięty. Przestałam ją widywać na wiele tygodni przed porodem. Słyszałam okropne krzyki i wrzaski i widziałam jaskrawe światła. A potem jedyną rzeczą, którą zobaczyłam przez szparę w drzwiach, była krew.

— Czy naprawdę nie ma żadnej nadziei, kiedy istota wcieli się w jakąś kobietę? — dopytywałem się.

Trudno to wytłumaczyć nawet dzisiaj, ale sądzę, że zależało mi na tym, by Charity usprawiedliwiła w jakiś sposób konieczność pozbawienia Liz życia.

— Żadnej nadziei — odparła Charity, robiąc dziwny znak palcami, tak jakby odganiała złego ducha.

— Oprócz zmiany czasu; ale kiedy zmienia się czas, nigdy nie wiadomo, czy nie popsuje się wszystkiego jeszcze gorzej.

— Potrafisz zmieniać czas?

Potrząsnęła głową.

— Nie bardziej niż każdy zwykły śmiertelnik. Nie jestem opętana przez Praistoty. Nie jestem nawet porządną czarownicą. Moimi rodzicami byli ludzka matka i ludzki ojciec. Jediną wyróżniającą mnie rzeczą jest fakt, że nosząc mnie w łonie moja matka została opętana przez jedną z Praistot. Jestem białą czarodziejką... wróżką o dziwnych myślach i dziwnych snach... ale zarazem zwykłą kobietą. Zdziwiasz cię, że jako mała dziewczynka mówię w ten sposób?

— Posłuchaj — powiedziałem. — Brązowy Jenkin miał zabrać cię na jeden ze swoich pikników. A wielebny Dennis Pickering zginął, próbując cię ratować.

— Tak, to jedno z ich kłamstw — odparła Charity. — Twierdzili, że potrzebują tylko dwanaściorga dzieci, żeby nakarmić czarownicę podczas ostatecznego Aktu Odrodzenia... ale w rzeczywistości potrzebowali oczywiście o wiele więcej. W końcu Kezia oddała i mnie. Właściwie nawet nie Kezia. Nie była nią, odkąd moja matka wyszła z kredensu, uścisnęła ją i weszła w jej ciało. Stała się jedną z nich... jedną z Praistot.

Była moją matką i nie była moją matką.

— Co będzie z Dannym? — zapytałem. Robiłem się coraz bardziej niecierpliwy. Brązowy Jenkin zawlókł mojego syna do kaplicy i jakiegokolwiek oczekiwały mnie potworności, jakimkolwiek czarom musiałem stawić czoło, miałem zamiar iść tam i starać się go uratować.

— Tak, możesz go ocalić, Davidzie. Ale nie teraz — odparła w wymijający sposób Charity.

— Co masz na myśli, mówiąc „nie teraz”? — zapytałem.

Była takim dzieckiem; dlaczego czułem się przy niej taki młody?

— Rzucają go na pożarcie czarownicy — powiedziała. — Nie możesz ich powstrzymać... nie tutaj i nie teraz. Nie masz na to czasu ani środków. Ale możesz cofnąć się w czasie i uśmiercić czarownicę, zanim zdoła się w kogoś wcielić. Wtedy Danny nie zostanie pożarty, bo nie będzie nikogo, kto mógłby go pożreć.

— Co to znaczy? Co masz na myśli?

Charity uciszyła mnie gestem ręki. Była taka blada... taka blada i taka dziwna.

— Wielkie Odrodzenie, Davidzie, ma miejsce właśnie w tej chwili, ale dla ciebie jest to przyszłość.

Mamy teraz rok dwa tysiące czterdziesty dziewiąty i Ziemia jest tak zatruta, że Praistoty mogą nareszcie oddychać i wyjść ze swego ukrycia. Ale jeżeli się cofniesz... cofniesz do czasu, kiedy Liz urodzi swoich trzech synów... swoją Przeklętą Trójkę, która nie przetrwa, ponieważ wciąż będzie na Ziemi zbyt dużo tlenu, zbyt dużo roślin, zwierząt i ryb... jeżeli cofniesz się w czas, kiedy Liz wyda na świat potomstwo... wtedy możesz złapać i uśmiercić istotę, zanim wcieli się w następną kobietę.

Posłała mi szczere spojrzenie.

— Uwierz mi. Zaufaj mi.

— Nie wiem, czy potrafię.

— Widziałeś, jak unosiłam się w powietrzu. Widziałeś, jak fruwałam.

— Dobrze, ale...

Zachichotała. Przez cały czas przemawiała do mnie jak ktoś dorosły, ale była przecież przede wszystkim dzieckiem.

— Czarownice potrafią fruwać. Wiesz o tym z bajek. I wcale nie potrzebują kijów od mioteł.

— Więc jesteś czarownicą — wyjąkałem. Ledwie mogłem uwierzyć, że to w ogóle mówię. Ledwie mogłem uwierzyć, że w to wierzę. Ale czasami nie ma się wyboru. Czasami trzeba po prostu zaakceptować to, co się widzi na własne oczy. Jeśli kiedykolwiek uczestniczyliście w wypadku drogowym, wiecie, co mam na myśli. Jest w nim coś z potwornej, niewiarygodnej nieuchronności. Człowiek myśli: NIE! NIE!

Ale wie, że to się i tak wydarzy, i to się wydarza. Łup, bang, nic nie można było poradzić.

Tak samo czułem się, rozmawiając z Charity. Nie mogłem jej uwierzyć, ale po prostu musiałem; ponieważ stała tam przede mną, prawdziwa jak wypadek na drodze.

Przez cały czas naszej rozmowy Liz krążyła dookoła w chmurze dymu. Teraz zbliżyła się, unosząc wysoko ręce. Jej oczy były całe czerwone, a źrenice wypełnione krwią.

Charity odwróciła się z wielkim spokojem i godnością, wyjęła z włosów różową stokrotkę i wyciągnęła ją w jej stronę.

— Nie masz jeszcze dosyć siły, żeby mnie skrzywdzić, wiédźmo — powiedziała. — Cofnij się.

Liz zatrzęsała się ze złości, ale najwyraźniej nie mogła podejść ani trochę bliżej. Ściągnęła wargi, wyszczerzyła zęby w dzikim grymasie i potrząsnęła wściekle głową, ale Charity pozostała całkowicie spokojna, wciąż trzymając w wyprostowanej ręce kwiatek.

— Widzisz teraz, dlaczego dzieci plotą wianki ze stokrotek — oznajmiła. — Robią to, żeby bronić się przed czarownicami. Dzieci znajdują się o wiele bliżej sił natury niż dorośli. Słyszą i rozumieją tyle różnych rzeczy.

— Muszę uratować Danny'ego — zdecydowałem. — Nie pozwolę, żeby go skrzywdzili, nawet jeśli mógłbym potem cofnąć się w czasie i sprawić, że to się nigdy nie wydarzy. Nie mogę do tego dopuścić nawet teraz.

— Lepiej będzie, jeśli zostanę tutaj, żeby pilnować twojej Liz — oświadczyła poważnym głosem Charity.

— Nie potrafię przeciwstawić się czarownicy, która wyda na świat Praistoty... nie potrafię przeciwstawić się Vanessie Charles. Jest tak samo silna, jak silna była Kezia. Zabije mnie samym spojrzeniem.

— W takim razie pójdę sam.

Charity pociągnęła mnie za rękaw.

— Zmierzysz się z samymi Praistotami, Davidzie. Nie mają sumienia, nie mają żadnych skrupułów. Ich umysłowość nie różni się od krokodylej.

Już miałem ponownie wdrapać się na dach, kiedy coś kazało mi obrócić się i uważnie jej przyjrzeć.

Coś w jej twarzy przypominało mi wyraźnie kogoś, kogo znałem. Musiała domyślić się, o co mi chodzi, bo powoli na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Kiedy zobaczysz jaskrawe światło, uciekaj gdzie pieprz rośnie — powiedziała cichym, o wiele starzej brzmiącym głosem.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

— Doris Kemble — wyszeptałem. — Jesteś Doris Kemble.

— Któregoś dnia będę Doris Kemble.

— Więc Doris Kemble też była białą czarownicą?

Charity kiwnęła głową.

— Doris Kemble to moja wnuczka. Nie będzie miała tyle mocy co ja... zostanie jej prawie w całości pozbawiona, nie będzie mnie też pamiętać. Ale młody pan Billings zobaczy ją, jak rozmawia

z tobą, i obawiając się, że wciąż stanowi zagrożenie, wysłał Brązowego Jenkina, żeby ją zgładził.

— Więc to Brązowy Jenkin ją zabił?

— Tak — odparła Charity. — Podobnie jak Harry'ego Martina.

Na zewnątrz, w ogrodzie, usłyszałem wysoki, przenikliwy krzyk dziecka.

— Muszę już iść — powiedziałem.

— Masz moje błogosławieństwo. — Uniosła się w górę, tak że jej twarz znalazła się na chwilę naprzeciwko mojej. Pocałowała mnie w czoło, po czym opadła z powrotem na podłogę.

Byłem tak zaskoczony, że prawie zapomniałem o tym, iż powinienem wdrapać się na dach.

Podciągnąłem się i kalecząc udo o framugę świetlika wspiałem się na górę. Dachówki pokryte były cienką warstwą szlamu, który wyglądał jak mieszanina gnijącego mchu i metali ciężkich. Poczulem na twarzy i dłoniach palące krople mżawki. Kwaśny deszcz... stężony prawie tak samo jak płyn do akumulatorów.

Balansując rękoma ruszyłem skrajem dachu, starając się nie patrzeć w dół na leżące siedemdziesiąt stóp niżej mokre, lepkie patio. Udało mi się w końcu dotrzeć do zejścia przeciwpożarowego i złapać za jego przerdzewiałą poręcz. W niektórych miejscach drabinka skorodowana była na wylot, a w dwóch trzecich długości brakowało sześciu albo siedmiu szczebli. Ale skoro zdołali po niej zejść Brązowy Jenkin i Danny, byłem pewien, że mnie też nie powinie się noga.

Przesłoniłem dłonią oczy. Nad zrujnowaną kaplicą migotały jaskrawe, niesamowite światła. Słyszałem głębokie monotonne zawodzenie Praistot. Dochodziło mnie również inne zawodzenie, lokujące się po całkiem przeciwnej stronie skali dźwięku: wysoki, prawie niesłyszalny lament, przypominający odgłos świszczącego w cienkiej szczelinie wiatru.

Widziałem, jak Brązowy Jenkin ciągnie Danny'ego przez blade jak popiół, rosnące na cmentarzu zielsko, a potem przez na pół zwalone drzwi. Danny próbował się wyrwać: nie miał czasu obrócić się i zobaczyć, że idę mu na pomoc.

— Miej mnie w swojej opiece, Boże w niebiosach — wyszeptałem, choć wcale nie byłem pewien, czy w roku dwa tysiące czterdziestym dziewiątym istniał jeszcze Bóg; i czy istniał w ogóle.

Ostrożnie obróciłem się i zacząłem schodzić w dół, opierając stopy na wąskich zardzewiałych szczeblach.

Raz czy drugi spojrzałem w dół, żeby sprawdzić, czy mam na czym oprzeć stopę, ale ogród wciąż wydawał się zawrotnie daleko.

Byłem prawie w połowie drogi, kiedy usłyszałem, jak ktoś woła mnie po imieniu.

— Davidzie! Davidzie! Zaczekaj!

Spojrzałem w górę, mrużąc oczy przed mżawką. Przez krawędź dachu wychylał się, machając do mnie ręką, detektyw sierżant Miller — z przyklepionymi do głowy mokrymi blond włosami, zaparowanymi okularami i twarzą jeszcze bardziej różową niż zwykle. Jego zarumienione policzki stanowiły jedyny żywy akcent w całym tym żółtawoszarym pejzażu.

— Zabrali Danny'ego do kaplicy — odkrzyknąłem.

Obrócił się i zaczął schodzić w ślad za mną po drabince.

— Przeszukaliśmy ogród — zawołał zdyszany. — Oczywiście nic nie znaleźliśmy! Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, na czym polega tajemnica Fortyfoot House. Różne czasy! Różne ogrody! Nie mogłem oczywiście powiedzieć tym zakutym łbom, dokąd idę... nie uwierzyliby ani jednemu memu słowu.

— Nie tak szybko — ostrzegłem.

Schodził po drabince z takim entuzjazmem, że cała się trzęsła i kilka mocujących ją uchwytów zaczęło się ryzykownie wysuwać ze ściany. Nie chodziło tylko o to, żeby bezpiecznie zejść na dół — musieliśmy również wdrapać się z powrotem.

Postawiłem w końcu stopę na ostatnim szczeblu i zeskoczyłem ciężko na patio. Detektyw sierżant wylądował na ziemi prawie zaraz po mnie, balansując rękoma. Wytarł z palców szary szlam i podejrzliwie je obwąchał.

— Cóż to takiego, do diabła? — powiedział. — Pokrywa wszystko. Wygląda jak mieszanina jakiegoś grzyba i rozkładających się ludzkich szczątków.

— I tym właśnie prawdopodobnie jest — odparłem.

Ruszyliśmy szybkim krokiem w dół, w stronę potoku. Ze słonecznego zegara pozostał tylko przypominający resztki zgnitego zęba, osypujący się kikut. Podeszwy naszych butów ślizgały się po lepkiej martwej roślinności, a wisząca w powietrzu siarka drażniła gardła i płuca do tego stopnia, że zanim doszliśmy do potoku, rzęziliśmy niczym dwa ochwaczone konie.

Strumyk wciąż szemrał w wąskim wąwozie, ale teraz miał barwę gęstego brązu i unosił się z niego cuchnący odór. Kiedy próbowaliśmy go przeskoczyć, detektyw sierżant Miller poślizgnął się na drugim brzegu i do wody wpadła mu cała stopa aż do kostki.

— Cholerne gówno — zaklął, potrząsając nogą.

— Masz prawdopodobnie rację — stwierdziłem.

Wspięliśmy się na wzgórze, wzdłuż którego biegł cmentarny mur. Ziemia drżała pod naszymi stopami, tak jakby bez przerwy przejeżdżały pod nią pociągi metra. Za ścianami kaplicy błysnęło nagle oślepiające białe światło. Usłyszałem desperackie krzyki i okropne jęki, a potem jeszcze coś

innego, co sprawiło, że po grzbiecie przeszły mi elektryczne ciarki — wyraźny głos młodego pana Billingsa, recytującego jakąś przerażającą inwokację w języku, którego słów nigdy nie potrafiłbym wymówić, nie mówiąc już o zrozumieniu. Nie przypominał jakiegokolwiek znanej mi ludzkiej mowy. Podobny był raczej do kaleczącego gardło ćwierkania wielkich owadów zmieszanego z turkotem łodzi podwodnej i piskiem delfinów.

— Tekeli-li! Tekeli-li!

Ślizgając się po zgniłym zielsku detektyw sierżant Miller i ja przebiegliśmy pochyleni między poprzekrzywianymi, połamanymi i zniszczonymi przez długie lata kwaśnych deszczów nagrobkami. Na wielu z nich zatarły się nawet nazwiska. Kamienny anioł stał z nieszczęsnymi kikutami zamiast skrzydeł i głową, która ulegając erozji upodobniła się w niepokojący sposób do głowy małpoluda.

Dotarliśmy do drzwi kaplicy. Były teraz łatwiejsze do sforsowania, niż gdybyśmy próbowali się do nich dostać w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim — w wielu miejscach drewno zupełnie zbutwiało.

— Jaki mamy plan? — zapytał detektyw sierżant Miller.

— Co masz na myśli?

— Co masz zamiar zrobić, kiedy tam wpadniesz?

— Skąd mam wiedzieć? Złapię po prostu Danny'ego i będę wiał, ile sił w nogach. Co mogę innego zrobić?

— Musimy posłużyć się jakimś podstępem. Inaczej nie uda ci się przebiec nawet paru kroków.

Przez chwilę się zastanawiałem.

— Chyba masz rację — powiedziałem. — Co proponujesz?

— Najpierw przeprowadzimy rekonesans. Mogą tam być tylko trzy osoby, ale równie dobrze może ich być ze trzysta. — Zerknął do tyłu w stronę okna, z którego po raz pierwszy zobaczyłem krocącego po trawniku młodego pana Billingsa. — Chodź — powiedział i ruszył pierwszy w tamtym kierunku.

Z wnętrza kaplicy błysnęły przy akompaniamencie huku jeszcze bardziej jaskrawe światła — tak jasne, że musiałem zasłonić dłonią oczy, żeby mnie nie oślepiły. Zawodzenie młodego pana Billingsa stawało się coraz głośniejsze i coraz bardziej skomplikowane, aż w końcu przeszło w bezustanny przeciągły krzyk. Wspiąłem się w górę i wystawiłem głowę ponad mszczący się kamienny parapet. Kątem oka dostrzegłem, że detektyw sierżant zrobił to samo.

Przez chwilę bez słowa wpatrywaliśmy się we wnętrze kaplicy. Nie rozumiejący w gruncie rzeczy tego, co widzi, detektyw sierżant Miller stał z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, tak jakby nie wierzył własnym zmysłom.

Pokrywający niegdyś lewą wewnętrzną ścianę bluszcz wysechł i odpadł, odsłaniając nie tylko podobiznę Kezi Mason, ale dziesiątki innych przedstawiających młode kobiety malowideł. Sądząc po historycznym zróżnicowaniu ich strojów były to kobiety, w które wcielała się pokolenie po pokoleniu ta sama Praistota — od dynastii Stuartów i czasów elżbietańskich aż po panowanie Henryka I — od Średniowiecza aż po rzymską okupację Brytanii i jeszcze dalej w przeszłość. Każda z nich miała ten sam szyderczy, triumfalny wyraz twarzy i każdej towarzyszył domownik: stojący obok niej, spoczywający niczym Brązowy Jenkin na jej ramionach albo trzymany na rękach. Wśród domowników widziałem wielkie cętkowane kocury i jaszczurki, a także knury i stworzenia, które mogły być tylko skrzyżowaniem psa i ropuchy.

Tam, gdzie kiedyś znajdowała się główna nawa, stały trzy wielkie kosze, w których palił się węgiel i suche drewno. Sporządzono je chyba z odnalezionych na plaży, podziurawionych byle jak beczek po chemikaliach.

Na ich szczycie umieszczono żelazne ruszty, na których piekło się dziesięć albo jedenaście wielkich kawałów mięsa. W pierwszej chwili myślałem, że to prosiaki, ale potem wiatr odwiał dym znad jednego z palenisk i zobaczyłem popękaną z gorąca, osmaloną ludzką twarz.

To nie były wcale prosiaki. To były dzieci. Zaginione, zamordowane sieroty z Fortyfoot House. Niektóre miały oderżnięte ręce i nogi; dwoje innych ucięte głowy. Inne zostały przywiązane drutem do rusztów — prawdopodobnie dlatego, że zaczęto je piec, kiedy jeszcze żyły.

Leżące między koszami a ołtarzem potrzaskane dachówki, lśniące od ludzkiego tłuszczu, zasypały kości dzieci. Im bliżej ołtarza, tym wyżej rosły ich stosy — a sam ołtarz dosłownie tonął w kościach, w tysiącach kości, z których część była świeżo wyrwana z ciała, część czysta, a część tak stara, że rozsypywała się w proch. Żebra, miednice, obojczyki i łopatki — i więcej małych czaszek, niż zdołałbym kiedykolwiek zliczyć.

Na samym szczycie tej olbrzymiej góry spoczywała najbardziej groteskowa istota, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Jej widok sprawił, że o mało nie postradałem zmysłów. Poczulem, jak szczęki zaciskają mi się z przerażenia, a ciało pokrywa gęsią skórą.

Powiedz, że to nieprawda — powtarzał mój umysł. — Powiedz, że to nieprawda!

Ale to była prawda. Na stosie szmat, poplamionych materaców i porozdzieranych poduszek leżała potwornie spuchnięta naga kobieta. Jej brzuch wydał się do olbrzymich rozmiarów; a co jeszcze bardziej przerażające, skóra na nim bez przerwy poruszała się i zmieniała kształt, tak jakby jej łono skrywało jakąś dużą, szukającą dróg ucieczki istotę. Olbrzymie były również piersi — z pewnością nie zdołałbym unieść nawet jednej z nich na mojej taczce. A szyja nabrzmiała do tego stopnia, że malutka twarz przypominała maskę marionetki.

Tuż obok, z twarzą zamaskowaną brudnymi gałganami, klęczał na stosie kości osobnik, z którym Kezia Mason spółdziła ponoć Brązowego Jenkina — król podziemnych doków, Mazurewicz. Oblepionymi brudem, obnażonymi rękoma karmił potwornie wzdętą kobietę kawałami przypalonego mięsa, włóknistych błon i ciepłego tłuszczu, a ona brała to wszystko do drobnych ust i nie przeżuwał, nieprzerwanie i chciwie połykała. I im więcej pochłaniała pokarmu, tym wścieklej

poruszał się jej brzuch.

Niedaleko niej stał młody pan Billings — odziany nie w czarny frak, ale w proste białe prześcieradło, tak że w bezsensowny sposób przypominał Marka Antoniusza w „Juliuszu Cezarze”. Nie przyszedłem chwalić Cezara, ale go pogrzebać. Miał zamknięte oczy i podniesione w górę ramiona, i wciąż zawodził, bez końca powtarzając tę samą okropną frazę.

— Tekeli-li! Tekeli-li!

— Kurwa mać — stwierdził detektyw sierżant Miller. — Przepraszam za moją łacinę — dodał po chwili.

— Gdzie jest Danny? — zapytałem. — Widzisz gdzieś Danny’ego?

Uniósł głowę nieco wyżej nad parapet.

— Tam — powiedział. — Na dole, w rogu, blisko ściany. Wydaje się, że na razie jest zdrów i cały. Trzyma go Brązowy Jenkin.

— Może czekają, aż wpierw upieką się te wszystkie nieszczęsne dzieciaki — stwierdziłem. To, co zobaczyłem, do tego stopnia wytrąciło mnie z równowagi, że musiałem się pochylić i przycisnąć dłoń do czoła.

Nie wiedziałem, czy jestem przerażony, załamany czy pełen nadziei. Nie wiedziałem, czy w ogóle jeszcze coś odczuwam.

Detektyw sierżant Miller odsunął się od okna i zbliżył do mnie.

— Posłuchaj — powiedział. — Im szybciej będziemy działać, tym lepiej. Zastosujemy taktykę brygady antynarkotycznej. Wpadniemy tam razem, obaj wrzeszcząc jak oparzeni. Naprawdę musimy się wydzierać, to powinno zbić ich z tropu. Ja skoczę na prawo, tak jakbym miał zamiar złapać tego faceta w białej nocnej koszuli. Ty szoruj na lewo, łap Danny’ego i cofaj się do drzwi. Ja postaram się wyskoczyć przez okno. Potem wiej, jakby ci się palił tyłek.

— A co z Brązowym Jenkinem? — zapytałem.

— Kopnij kutasa prosto w jaja. Oczywiście jeżeli w ogóle jakieś ma. Nie wahaj się. Nie przestawaj się wydzierać. I nie czekaj na mnie, bo ja nie będę czekał na ciebie.

— Dobrze — powiedziałem i przełknąłem ślinę. Przez okno i szpary w drzwiach błysnęły kolejne światła i nagle zatrzęsała się gwałtownie ziemia. Usłyszałem potworny głuchy odgłos poruszonych wstrząsami pustych czaszek, które potoczyły się w dół po stosie kości.

Stanęliśmy ramię przy ramieniu przed drzwiami kaplicy. Czułem takie przerażenie, że brakowało mi tchu. W dodatku powietrze było tak zanieczyszczone, że bez przerwy chciało mi się kaszleć. Chcąc pozbyć się drażniącego drapania w gardle musiałem co parę sekund chrząkać.

— Gotów? — zapytał detektyw sierżant Miller.

Obróciłem się i zmierzyłem go wzrokiem. Uświadomiłem sobie nagle, że przez cały czas nie miałem najmniejszego pojęcia, kim jest naprawdę ten człowiek — a teraz znaleźliśmy się tutaj razem w jakiejś trudnej do wyobrażenia przyszłości, ryzykując życie, żeby stawić czoło najbardziej ohydnej istocie, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek widzieć.

— Tak, jestem gotów — powiedziałem — i dziękuję.

Pociągnął nosem i wytarł go palcem.

— Drobiazg — odparł. — To należy do moich obowiązków.

Rycząc jak opętani pchnęliśmy obaj drzwi kaplicy. W tej samej chwili ogłuszający piorun wstrząsnął murami i oślepiła nas błyskawica, która trafiła w podłogę kaplicy. Leżące na niej dachówki i kości wzbily się w powietrze, fruując jak szrapnele.

Zatrzymałem się na chwilę skonsternowany, ale potem wrzasnąłem znowu i sadząc długimi skokami po dachówkach pomknąłem w stronę Danny'ego i Brązowego Jenkina. Ten ostatni ściągnął już z chłopca koszulkę i poprawiał długim prętem węgle w najbliższym koszu. Widziałem lśniące na policzkach Danny'ego łzy.

— Ładny ogień, oui? Podoba ci się ładny ogień?

Nie sądzę, żeby Brązowy Jenkin zauważył, że nadchodzę, ale na pewno dostrzegł mnie Danny. Wyrwał się gwałtownie z uścisku Jenkina i podczas gdy ten bezsensownie wyciągnął rękę, żeby go złapać, pomknął ku mnie, tak jakby biegł w ostatniej zmianie sztafety podczas niedzielnych zawodów.

— Ahhhhhhhh! — zaskrzeczał Jenkin i rzucił się za nim w pogoń, powiewając połami płaszcza i skrobiąc pazurami po dachówkach.

Danny dosłownie wpadł w moje ramiona. Złapałem go mocno i puściłem się biegiem do drzwi, omijając palące się kosze, przecinając gęstą smugę dymu, którą wydzielaly przypiekane dzieci, i miażdżąc butami kości, dachówki i ludzkie resztki. Zapomniałem krzyżeć, ale ponieważ dźwigałem Danny'ego, i tak zabrakłoby mi oddechu.

— Bastardzie, bastardzie, wyrwę ci wszystkie flaki! — wył biegnący za mną zakosami Jenkin. Zatrzymałem się na sekundę, postawiłem Danny'ego na ziemi i przewróciłem kopnięciem ostatni z koszy. Na Brązowego Jenkina posypał się grad rozpalonych węgli, tłącego się drewna i na pół upieczonych szczątków niewinnych ofiar. Jego płaszcz zajął się ogniem i Jenkin zaczął walić połami o ziemię, klnąc, plując i szczerząc zęby.

Byłem teraz w miarę bezpieczny. Znajdowałem się w połowie drogi do drzwi i nikt nie miał szansy mnie złapać. Trzymałem mocno Danny'ego i skacząc po dachówkach słyszałem, jak ciężko dyszę. Ale dobiegając do drzwi, obejrzałem się tuż przed przestąpieniem progu za siebie i zobaczyłem, że detektyw sierżant nie miał tyle szczęścia. Mazurewicz zsunął się ze stosu kości i złapał go. Trzymał teraz detektywa sierżanta za włosy i przyciskał swój długi rzeźnicki nóż do jego

gardła.

— Uciekaj! — krzyknął detektyw sierżant Miller. — Na miłość boską, Davidzie, uciekaj!

Powoli postawiłem Danny'ego na podłogę.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Musisz teraz pobiec z powrotem do domu. Nie oglądaj się na nikogo.

Wdrap się po drabince przeciwpożarowej i wróć przez świetlik na strych. Zbiegnij na dół, znajdź Charity i trzymaj się blisko niej. Pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z Liz. Liz jest zła. To nie jej wina, ale tak już jest. Trzymaj się blisko Charity.

— Słyszysz mnie, Davidzie? — zawołał detektyw sierżant Miller. — Uciekaj!

— Chyba tutaj nie zostajesz? — zapytał przerażony Danny.

— Nie na długo. Tylko na kilka minut. Biegnij!

Danny cmoknął mnie najszybciej, jak mógł, w policzek i puścił się szaleńczym sprintem przez cmentarz.

W tej samej chwili przy drzwiach pojawił się we wciąż dymiącym płaszczu Brązowy Jenkin. Wymachiwał na wszystkie strony pazurami i histerycznie skrzeczał.

— Merde, kutasie, rozszarpie cię na strzępy!

Uskoczyłem na bok, uchyliłem się, a potem zatoczyłem łuk nogą i kopnąłem go najsilniej, jak mogłem.

Zaskrzeczał i posypały się z niego wszy. Kopnąłem go jeszcze raz. To było straszne: przypominało kopanie owiniętego w koc zdechłego kurczaka. Brązowy Jenkin zaskrzeczał ponownie, ale tym razem udało mu się zadrapać mnie w nogę. Rozdarł pazurem nogawkę i zostawił długą na piętnaście centymetrów rysę na mojej łydce.

Straciłem równowagę i skacząc do tyłu naprawdę uwierzyłem, że zaraz mnie zabije. Przypomniałem sobie nagle Dennisa Pickeringa i opuściła mnie raptem cała odwaga. Nie wiedziałem, czy mam go uderzyć, czy kopnąć, czy zrobić jeszcze coś innego. Cały mój system nerwowy wydawał się sparaliżowany strachem.

— Bueno, bueno, teraz wyrwę ci flaczki, ja? — zachrypiał Brązowy Jenkin i zaczął podchodzić bliżej, zwężając swoje żółte ślepia i potrząsając pazurami, które dzwoniły niczym upiorne kastaniety.

ROZDZIAŁ XXI

Rytualne narodziny, rytualna śmierć

Nagle ponad hukiem gromów i łoskotem kości, ponad syczeniem piekącego się mięsa i skrzekiem Mazurewicza rozległ się potężny, władczy głos.

— Zostaw go, Jenkin! Przyrowadź go do mnie!

Jenkin wyszczerzył zęby i ciachnął mnie jeszcze raz z czystej złości. Ale nie miał najwyraźniej innego wyboru: musiał zaprowadzić mnie w stronę ołtarza, gdzie stał w długim białym prześcieradle młody pan Billings.

Pan Billings bardzo się zmienił od naszego ostatniego spotkania. Jego włosy całkiem pobieleły, a twarz żłobiły czarne szramy, będące świadectwem wyczerpania i moralnej degradacji. Wyglądał jak człowiek, który zaprzedał się całą duszą i ciałem.

Uśmiechnął się w dziwny, niezdecydowany sposób i wyciągnął rękę, tak jakby spodziewał się, że ją uścisknę.

— Nie posłuchał pan więc mojej rady i nie uciekł — stwierdził. Jego głos był o wiele bardziej chrapliwy niż kiedyś, ale nie stracił ani trochę swojej mocy. — Wiedziałem, że pan nie wyjedzie, choćby się waliło i paliło. A teraz zjawił się pan tutaj, dokładnie tak jak tego chciałem! — Poklepał się po czole. — Psychologia... jak zawsze moja mocna strona. Chciałem, żeby pan tu był, i oto pan jest...

— Skąd pan, do diabła, wiedział, że zostanę?

— Cóż... to oczywiste — stwierdził. — Był pan zakochany w Liz, a zakochani zawsze robią dokładnie na odwrót, niż im się radzi. Tak czy owak, jest pan tutaj. Musiał pan zostać. Po to choćby, żeby po raz trzeci zapłodnić Liz, tym samym spełniając jej najgorętsze pragnienie. Jej potomstwo niestety nie przetrwało.

Zbyt przyjemny panował wtedy jeszcze rok, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi! Wciąż można było swobodnie oddychać, nie zanosząc się atakami kaszlu. Ale Praistota opuściła ją w chwili śmierci, ukryła się w murach Fortyfoot House i znalazła w końcu następną kobietę: czarującą agentkę z biura nieruchomości.

I tak to trwało aż do dzisiaj, kiedy jesteśmy nareszcie gotowi do wielkiego Odrodzenia!

Mimo że starałem się cofnąć, wziął mnie za rękę i zaprowadził w stronę materaców, na których leżała rozdęta do olbrzymich rozmiarów kobieta. Spojrzała na mnie pustym wzrokiem. Policzki miała umazane tłuszczem, który spływał w dół po jej olbrzymich piersiach.

— Pozwoli pan, że przedstawię mu Vanessę Charles — powiedział z uśmiechem młody pan Billings.

— Starą pannę z Ventnor... i pierwszą w ludzkiej historii kobietę, która zrodzi zdrowe Praistoty. Dlatego właśnie potrzebuje tyle dzieci, rozumie pan! Potrzebuje młodego mięsa, żeby wzmocnić swe potomstwo.

Ale oczywiście w roku dwa tysiące czterdziestym dziewiątym nikt nie może mieć dzieci. Nie ma żadnych dzieci. Dlatego właśnie musieliśmy cofnąć się w czasie do Fortyfoot House... dlatego właśnie musieliśmy dostarczyć je z przeszłości.

Drobne usta kobiety otworzyły się i zamknęły.

— Cześć, fagasio — wychrypiała. — Wiedziałam, że cię w końcu dorwę.

— Kezia — wyszeptalem.

— Zgadza się, zasańcu. A także Liz. I wszystkie inne. A teraz urocza Vanessa. Co powiesz na ostatni pocałunek, zasańcu? — Wydała z siebie cienki, syczący odgłos, który miał być śmiechem. A potem nagle przerwała — jej olbrzymi brzuch zafalował dwa razy, a wewnątrz kaplicy rozjaśniła błyskawica.

— Zbliża się rozwiązanie! — zakrzyknął radośnie młody pan Billings. Ale potem rzucił mi podejrzliwe spojrzenie i zmarszczył brwi. — Rozumie pan chyba, że nie miałem wyboru?

— O co panu chodzi? — zapytałem machinalnie. Nie mogłem oderwać wzroku od jej falującego brzucha.

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co powoduje te gwałtowne ruchy. Wiedziałem, że oddałbym wszystko, żeby nie znajdować się tutaj, kiedy ta rzecz wydostanie się na zewnątrz.

— O co mi chodzi? O co mi chodzi? Myśli pan, że naprawdę chciałem zamordować te wszystkie dzieci?

Poprosili mnie o dwanaścioro, mówiąc, że na tym koniec, więc dałem im dwanaścioro. Mówiłem już panu dlaczego. Mówiłem, że nie chciałem im dać ani jednego więcej. Miałem straszne wyrzuty sumienia!

Próbowałem ich powstrzymać, próbowałem! Dlatego właśnie prosiłem pana, żeby wyjechał pan z Fortyfoot House: dzięki temu Liz nigdy nie zostałaby zapłodniona do końca i istota umarłaby razem z nią.

Wszystkie trzy rodzaje zapłodnienia muszą pochodzić z tego samego męskiego źródła, w przeciwnym razie embriony po prostu ulegają atrofii i umierają, a potem umiera również Praistota. Dlatego właśnie obecna tutaj Vanessa pozostała jedyną czarownicą.

— Gdybym o tym wiedział... — zacząłem.

— Tak, tak, chyba powinienem wtedy dać to panu jaśniej do zrozumienia. Ale próbowałem, mój drogi panie. Naprawdę próbowałem. A pan i tak zrobił, co chciał.

Ziemia zatrząsała się i ze stosu kości potoczyły się w dół kolejne czaszki.

— Muszę dać jej więcej mięsa. Za chwilę zacznie się poród — szepnął spod swych bandaży Mazurewicz.

Młody pan Billings cofnął się z powrotem w stronę ołtarza.

— Pan Mazurewicz jest moim akuszerem, prawda, panie Mazurewicz? On jest zawsze akuszerem, zawsze, kiedy czarownica ma wydać na świat potomstwo. Ci, którzy nie wiedzą nic o Praistotach i o mocy, którą one dysponują, boją się pana Mazurewicza. Nie wiedzą, czego naprawdę powinni się obawiać!

Położył dłoń na ramieniu Mazurewicza i uściskał go czule, ale z szacunkiem.

— Pan Nicolas Mazurewicz jest tym, kogo ludzie nazywają Księciem Ciemności, względnie biesem albo czartem. Czasami nazywają go też Szatanem.

— Już czas, Billings! — stwierdził z naciskiem Mazurewicz. — Trzeba ją nakarmić!

— Więc idź do niej — odparł młody pan Billings i złapał detektywa sierżanta Millera za kark.

Nie wiedziałem, jaki nerw nacisnął, ale detektyw sierżant wydał krótkie stłumione westchnienie, wytrzeszczył bezradnie oczy i nie był w stanie ani się poruszyć, ani odezwać. Mazurewicz powrócił do wzdętej Vanessy, odciął wielki kawał dymiącej na ruszcie wątroby i natychmiast wetknął go między jej tłuste wargi.

— Tak, powinienem wtedy wyrazić się jaśniej — ciągnął dalej młody pan Billings. — Tyle jest rzeczy, które powinienem zrobić, a których nie zrobiłem. I wszystkie te dzieci zginęły. Co za straszliwa tragedia, mój panie! Potworna tragedia! Płaczę po nich rzewnymi łzami!

Stojący za mną Brązowy Jenkin zaskrzeczał i zachichotał.

— Cicho, Jenkin! — skarcił go młody pan Billings. Jakby od niechcienia wypuścił z uścisku detektywa sierżanta Millera i ponownie podniósł w górę ręce. — Kłopot polegał na tym.. — stwierdził, zniżając swój chrapliwy głos do konspiracyjnego szeptu. — Kłopot polegał na tym, że w zamian za wszystkie moje usługi, zaoferowali mi coś bardzo szczególnego. W nagrodę za to, że dałem im wszystkie dzieci, jakie były im potrzebne do wielkiego Odrodzenia, mają mnie uczynić jednym z nich. Ja też będę panować nad światem! I nie tylko nad światem, ale również nad czasem i przestrzenią! Będę żył wiecznie. Będę mógł spełniać swoje najdziksze, możliwe do wyobrażenia zachcianki i wiele innych, których dziś nie sposób sobie wyobrazić. Będę podróżował poza granice nieskończoności! Tylko jeden człowiek może się do nich przyłączyć: tylko jeden! Miał na to oczywiście ochotę mój ojciec, ale nie chciał im oddać dzieci! Tylko jeden człowiek na całym świecie, człowiek, który przekaże im wiedzę potrzebną do panowania nad całym gatunkiem! Panowania przez te kilka ostatnich nędznych lat, które pozostały wam, ludziom, dopóki nie wytracimy was, nie pożremy i nie użyjemy do wszelkich innych rozrywek, które mogą sprawić nam przyjemność.

— Kopnięty facet — stwierdził, cofając się o krok i masując kark, detektyw sierżant Miller.

Młody pan Billings machnął na niego lekceważąco ręką, po czym przysunął się do mnie bliżej, tak blisko, że poczułem jego cuchnący kwaśnym mlekiem oddech.

— To ciebie właśnie potrzebuję, Davidzie. Kogoś, kto wie coś niecoś na temat Praistot. Gauleitera, jeśli chcesz tak to nazwać... adiutanta. Człowieka, który żył w związku z czarownicą. Po to, żebyś reprezentował mnie wobec ludzi, kiedy ja będę przebywał razem z Praistotami. Ja będę Bogiem, a ty moim Jezusem, rozumiesz?

Nie byłem w stanie się odezwać. Nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem słaby i naiwny; ale również ludzki.

— Podoba ci się ten pomysł, prawda? — zapytał młody pan Billings. — Uciekaj, powiedziałem ci. Ale ty nie uciekłeś. Nie ty! Zbyt jesteś ciekawy. Zbyt wiele odczuwasz pokus. Teraz nie oddalaj się, poczekaj, aż zobaczysz, co się wydarzy. Jenkin, pilnuj ich i nie waż się stąd wypuścić!

— Ach, merde! — zaklął Brązowy Jenkin. Złapał mnie pazurami za kołnierz i odciągnął na bok.

— Tekeli-li! Tekeli-li! — zaczął znowu zawodzić młody pan Billings. Ziemia zatrzęsała się tak gwałtownie, że ściany kaplicy zaczęły się kruszyć i wielkie kawały muru roztrzaskały się na dachówkach. — Tekeli- li! Tekeli-li!

Nawet Brązowy Jenkin się cofnął, kiedy Mazurewicz podniósł do góry rękę i zawołał donośnie:

— Zaczyna się! W końcu się zaczyna! Odrodzenie, Billings! Odrodzenie!

Nad naszymi głowami przetoczył się grzmot. To Odrodzenie wyzwalało siły, które mogły doprowadzić do prawdziwego kataklizmu. Ale trudno się było temu dziwić, jeśli wzięło się pod uwagę, że spuchnięta jak balon Vanessa Charles miała za chwilę wydać na świat istoty, które rządziły kiedyś czasem i przestrzenią.

Mazurewicz, tańcząc niczym jakiś okropny, obandażowany strach na wróble, podniósł nóż, którym krajał mięso. Kręcił nim przez chwilę w powietrzu, a potem wbił głęboko w miękki błyszczący brzuch Vanessy.

Oczy wyszły jej z orbit w agonii, a jedno z tłustych ramion uniosło się w bezradnym geście protestu.

Ale musiała przecież wiedzieć od początku, że umrze. Mazurewicz pociągnął powoli nóż w górę, dokonując groteskowej parodii cesarskiego cięcia. W tej samej chwili poczęte w jej łonie istoty zaczęły wyłaniać się na zewnątrz.

— O Chryste — jęknął detektyw sierżant Miller.

Kaplica zatrzęsała się w posadach, a niebo przecięła błyskawica. Brzuch Vanessy pękł, a w ziejącej w nim dziurze ukazały się wijące macki, podobne do błyszczących szarych macek kałamarnicy. Wydobywało się ich coraz więcej, aż w końcu cały brzuch pokryły ruchliwe odnóża.

— Syn zrodzony ze śliny — zakrzyknął młody pan Billings. — Syn zrodzony ze śliny. Ia! Ia!

Ogarnięty przerażeniem wpatrywałem się w twarz Vanessy. Wciąż żyła, wciąż wszystko czuła — i Bóg jeden wie, jaki cierpiała ból. Ale potem nastąpił moment niezwykłego napięcia, usłyszałem, jak pękają jej żebra, i na zewnątrz wydostała się olbrzymia obdarzona mackami bestia.

Oczy Vanessy rozszerzyły się i błysnęło z nich od środka jaskrawe światło. A potem otworzyła szeroko usta i z nich również padł snop silnego światła. Czaszka Vanessy eksplodowała i w mrok wypłynęła podobna do gazowej meduzy drżąca kula błyszczącej protoplazmy, a za nią trzy albo cztery następne.

— Syn zrodzony z nasienia! — wrzasnął młody pan Billings.

Rozległ się kolejny stłumiony odgłos wybuchu. Ciało Vanessy rozpadło się na krwawe strzępy i kawałki strzaskanych kości. Ze szczątków uniósł się czarny amorficzny cień, z którego promieniowała aura intensywnego chłodu i nieskończonego zła.

— Syn zrodzony z krwi! Tekeli-li! Tekeli-li!

Zawieszeni w przestrzeni trzech potworni synowie Praistot unosili się nad ponurym ołtarzem zasłanym szczątkami Vanessy Charles. Po tysiącach lat spędzonych w ukryciu powrócili w końcu, aby przywrócić swoje panowanie nad jałowym i zatrutym globem. Nie wiedziałem dokładnie, kim są i skąd przybyli; ale nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że uważają tę Ziemię za należącą raczej do nich niż do nas i że okażą nam bardzo niewiele litości, kiedy o nią poprosimy. Mazurewicz otarł nóż o płaszcz i odszedł na bok z pochyloną głową. Młody pan Billings zbliżył się z wyciągniętymi rękoma do trzech unoszących się w powietrzu istot i pokłonił im się, jakby były bogami.

— Sprowadziłem was z powrotem! — krzyknął. — Sprowadziłem was z powrotem! Syna zrodzonego z nasienia, syna zrodzonego ze śliny i syna zrodzonego z krwi. Teraz możecie się zespolic! A ja stanę się jednym z was!

Wyczułem jakieś poruszenie między trzema istotami. Podobna do kałamarnicy bestia zwinęła w górę macki, a świecące globule zaczęły się zlewać w jedną. Zimny czarny cień wisiał nad nimi na tle żółtego nieba, niczym płaszcz czarnoksiężnika, który przygotowuje się do seansu magii.

I przypuszczam, że była w tym jakaś magia — pierwotna, prehistoryczna magia, której przez długie wieki zawdzięczaliśmy istnienie znachorów, mediów i czarownic.

Nie okazując ani cienia strachu młody pan Billings stanął w samym środku szczątków Vanessy Charles, stawiając jedną stopę na jej potrzaskanym kręgosłupie, i odrzucił do tyłu głowę.

— Teraz możecie się zespolic! — krzyknął. — A ja mogę stać się jednym z was!

Uświadomiłem sobie, że jestem świadkiem wydarzenia tak samo przełomowego jak to, kiedy połączyły się dwie pierwsze pojedyncze komórki; albo kiedy pierwsze, podobne do ryb stworzenia wypełzły z pierwotnego bagna; albo kiedy podobna do małpy istota wykrztusiła z siebie z trudem pierwsze urywane słowa. Przyszłość całej planety zależała od tego jednego kataklizmu: nie tylko

przyszłość, ale i przeszłość.

Dotarliśmy aż tutaj, powodowani wyrachowaniem, nieostrożnością, względnie jednym i drugim.

Czy mieliśmy jeszcze dość czasu, żeby powiedzieć — NIE!

Opatrzona mackami bestia uniosła się wysoko i skryła w czarnym cieniu, a za nią podążyły kule światła.

Pozostała tylko wielka wirująca czarna chmura, zimniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek widziałem — tak zimna, że dosłownie promieniowała lodowatym chłodem. Yog-Sothoth, trójca w jedności, Przekłęta Trójca, z której stworzone zostały Praistoty. Piekło na Ziemi. A Mazurewicz, który był diabłem, przyłożył rękę do jego powstania.

Nigdy przedtem nie zastanawiałem się specjalnie nad światem. Tkwiliśmy tutaj wszyscy, osadzeni na wirującej w przestrzeni planecie i nikt chyba nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

Ale teraz, kiedy stałem w gorzko-chłodnym cieniu Yog-Sothoth, wydawało mi się, że znam odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące tajemnic ludzkiego życia, przesądów i religii.

Fundamentalną rzeczą, określającą naszą egzystencję na tej planecie, stanowił fakt, że nie byliśmy pierwsi. Zbiorowa pamięć przechowała opowieści o duchach, halucynacje, mity i niezwykle przesady... czas snu, nazwali to Aborygeni. Czas, który był przedtem. Czas, który był przed nami — kiedy Praistoty rządziły Ziemią.

Moje uszy bombardował głęboki dudniący odgłos. Czarna chmura stopniowo obniżała się nad młodym panem Billingsem. Ze wszystkich stron otaczały go rozgałęzione błyskawice, ze zjeżonych włosów sypały się iskry. Chmura osuwała się z przejmującym dudnieniem coraz niżej, a on krzyczał w ekstazie — i nagle z jego otwartych ust posypał się niczym z acetylenowego palnika snop iskier.

— Będę rządził wami wszystkimi! — wołał. — Będę żył wiecznie i będę rządził wami wszystkimi!

Detektyw sierżant ocknął się nagle z odrętwienia. Nie mówiąc ani słowa — nie spoglądając nawet w moją stronę — puścił się pędem w stronę ołtarza. Brązowy Jenkin skoczył za nim i przeciął powietrze pazurami; ale nie miał odwagi podejść bliżej.

— Sierzancie! — krzyknąłem za nim. — Sierzancie!

Ale detektyw sierżant wspinał się już najszybciej, jak mógł, po stosie kości; i nagle zrozumiałem, co ma zamiar zrobić. Jeden człowiek, przechwalał się młody pan Billings. Jeden jedyne człowiek, zanim nie wytracimy was wszystkich i nie pożremy! Ale jeżeli tym człowiekiem nie będzie wcale młody pan Billings? Jeżeli będzie nim kto inny...?

Detektyw sierżant Miller rzucił się na młodego pana Billingsa, zbijając go klasycznym pchnięciem rugby z nóg. Młody pan Billings leżał pośrodku krwawych szczątków, które były kiedyś

Vanessą Charles.

Zdjęty strachem i przerażeniem wrzasnął głośno, ale detektyw sierżant Miller kopnął go raz i drugi, a potem kopał go tak długo, aż młody pan Billings zsunął się po stosie osypujących się, połamanych dziecinnych kości i legł na dole, opierając się plecami o ścianę kaplicy i podnosząc w górę jedną nogę.

Detektyw sierżant stanął na opuszczonym miejscu. Na jego twarzy pojawił się wyraz, którego nie potrafiłem pojąć. Wyglądał jak święty — albo jak męczennik — ale w jego oczach malowało się również najwyższe szczęście, tak jakby nareszcie przyszło mu sprawować służbę publiczną, której był naprawdę godzien. Nic dziwnego, że od samego początku uwierzył w Brązowego Jenkina. Był wcielonym świętym.

Niczym opadająca teatralna kurtyna czarna zimna chmura osunęła się z ogłuszającym rykiem na detektywa sierżanta Millera. Jakie znaczenie miało dla Yog-Sothoth, którego człowieka powołała do swego grona? Przez krótką chwilę zobaczyłem detektywa sierżanta — z płonącymi oczyma, zjeżonymi włosami i całym ciałem odmienionym przez sypiące się snopy iskier. A potem wielka czarna chmura uniosła się z hukiem w górę, w stronę zatrutego żółtego nieba i rozległ się dźwięk tak intensywny, że bardziej go poczułem, niż usłyszałem — przez chwilę myślałem, że pękną mi bębni, a potem ból minął, a razem z nim ten dźwięk.

Ośłupiały pan Billings wczołgał się na kolanach po stosie kości i stanął na pokrwawionym pustym szczycie.

— A ja? — krzyknął, spoglądając w niebo. — A ja? Mieliście przecież zabrać mnie!

— Et maintenant pourquoi? — zakrzyknął jeszcze bardziej rozwścieczony Brązowy Jenkin. — Tyle mi obiecywałeś, ty kutasie! Et maintenant c'est tout disparu w tej chmurze!

Młody pan Billings opadł na kolana, jęcząc, płacząc i waląc się w pierś. Brązowy Jenkin wdrapał się na stos i zaczął na niego pluć. Pluł mu w twarz i we włosy pecynami śliny, które ciekły młodemu panu Billingsowi po policzkach, po uszach i po powiekach.

— Pourquoi cierpiałem i walczyłem przez wszystkie te lata, bastardzie, bastardzie? Pourquoi?

Młody pan Billings klęczał z zaciśniętymi pięściami, szlochając i zawodząc, tak jakby oplakiwał kogoś bliskiego. Brązowy Jenkin przyglądał mu się przez chwilę z nieopisaną wzdrganą, a potem szybkim precyzyjnym ruchem wbił mu pazury w gardło i wyrwał krtań. Młody pan Billings zalał się krwią i upadł, trzęsąc jedną nogą w agonii. Brązowy Jenkin stał nad nim, trzymając w pazurach wyrwaną krtań i po raz pierwszy, odkąd go poznałem, jego górna warga wykrzywiła się w czymś w rodzaju uśmiechu.

Zastanawiałem się tylko krótką chwilę, a potem rzuciłem do ucieczki. Mazurewicz widział, że zmykam, ale nie starał się mnie wcale zatrzymać. Być może miał bardziej filozoficzne podejście do ludzkich dylematów, niż zwykliśmy mu to przypisywać. Być może nie miał po prostu ochoty mnie gonić. Czart w pogoni za nędzną płótką? Przebiegłem przez cmentarz, przeskoczyłem potok i z trudem

wspiąłem się na śliskie strome wzgórze. Wysoko nade mną niebo przybrało złowrogi ciemny odcień, a morze wydawało odgłos, którego nie słyszałem nigdy przedtem: leniwy oleisty bulgot. Być może Mazurewicz nie przejmował się mną, bo jego zadanie i tak zostało wypełnione. Doprowadził do narodzin Yog-Sothoth, Przeklętej Trójcy, i Bóg już nigdy nie miał odzyskać panowania nad tą planetą.

Spocony i zadyszany, a mimo to zziębnięty do szpiku kości, wspiąłem się po drabince prowadzącej na dach. W połowie drogi jeden z zardzewiałych szczebli ustąpił pod moją dłoń i spadł na patio. Słyszałem, jak zabrzęczał głucho o cegły. Trzęsąc się przywarłem do poręczy na całe dwadzieścia sekund, a potem ruszyłem dalej, nie przestając się modlić.

Balansując rękoma, łapiąc ustami powietrze i starając się nie patrzeć w dół, przeszedłem po śliskim dachu. W oddali, nad kanałem La Manche zamigotała błyskawica. Nad ziemią przetoczył się huk gromu.

Dotarłem w końcu do świetlika i otworzyłem go na oścież. Po raz ostatni rozejrzałem się dookoła. Nie sądziłem nigdy, że dożyję roku dwa tysiące czterdziestego dziewiątego... ale teraz oto znalazłem się w nim, z jego gnijącą roślinnością, zatrutym powietrzem i morzami lepкими od ropy. Zimna czarna chmura Yog-Sothoth składała już gdzieś swą ikrę. Być może Praistoty zasłużyły na planetę, którą odziedziczyły. My z całą pewnością zasłużyliśmy, żeby ją stracić.

Spuściłem się na dół przez świetlik i zaniknąłem go, słysząc ostatnie, dźwięczące o szybę krople kwaśnego deszczu.

ROZDZIAŁ XXII

Czas kłopotów

Odnalazłem Danny'ego na dole w salonie. Towarzyszyła mu Charity, detektyw konstabl Jones, a także dwóch pracowników wydziału dochodzeniowego i kłębiący się tłum zakłopotanych funkcjonariuszy w mundurach.

— Gdzie jest detektyw sierżant Miller? — zapytał detektyw konstabl Jones. — Myślałem, że jest razem z panem.

— Ze mną...? Nie — odparłem. — Nie widziałem go.

— Co się panu stało w nogę? — zapytał detektyw konstabl. — Wygląda na to, że będzie pan potrzebował paru szwów.

Spojrzałem w dół i dostrzegłem, że moja prawa nogawka pokryta jest zakrzepłą krwią. Pazur Brązowego Jenkina wbił się głęboko w mięsień, ale od chwili ucieczki z kaplicy po prostu nic nie czułem.

— Skaleczyłem się — wyjąkałem. — Z walizki wystawał ostry kawałek blachy.

— Wygląda na to, że będzie pan potrzebował paru szwów — powtórzył detektyw konstabl Jones.

— I zastrzyku przeciwko tężcowi.

— Skoro tak, to gdzie się, do diabła, podział Dusty? — zapytał jeden z oficerów dochodzeniowych, po czym wyjął z kieszeni papierosa i zapalił go, używając jednej ręki. — Na plebanii mamy panią Pickering, wyglądającą jak stoisko z mięsem na jarmarku w Sainsbury; mamy cały ten pieprznik tutaj, a teraz zginął gdzieś detektyw sierżant Miller.

— Myślałem, że jest razem z panem — powtórzył detektyw konstabl Jones, mierząc mnie nieufnym wzrokiem.

— Przykro mi, ale nie wiem, gdzie jest — odparłem, potrząsając głową. I była to w pewnym sensie najszczerza prawda. Nie wiedziałem, gdzie jest ani co się z nim stało. Mogłem się tylko modlić, żeby zbytnio nie cierpiał.

— Niech pan pojedzie z tą nogą do szpitala — stwierdził detektyw konstabl. — Wrócimy tu później.

Mam do pana kilka pytań.

— W porządku — odparłem. Zrobiło mi się nagle bardzo zimno. Zacząłem trząść się z szoku i wyczerpania, a także z bólu, który promieniował z zadanej mi przez Brązowego Jenkina rany.

Usiadłem w jednym z foteli i schowałem twarz w dłoniach.

Podszedł do mnie Danny, a za nim Charity.

— Dobrze się czujesz, tato? — zapytał poważnym głosem Danny. Wzięłem go za rękę i uścisnąłem ją.

— Nic mi nie jest. Zadrapał mnie Brązowy Jenkin, to wszystko. Ten policjant ma rację, może trzeba będzie założyć parę szwów. A co z tobą? Dobrze się czujesz?

Danny kiwnął głową.

— Ten drugi mężczyzna... — zapytała Charity. — Co się z nim stało? Spojrzałem w stronę frontowych drzwi, które wyglądały, jakby wyrwano je z futryny. Wychodził przez nie ostatni z policjantów.

— Zostawić otwarte czy zamknięte? — zawołał.

— Co?

— Drzwi. Chce pan, żeby zostawić je otwarte czy zamknięte?

— Chyba otwarte.

— To się wydarzyło, prawda? — zapytała Charity. — Przeklęta Trójca połączyła się?

— Tak — odparłem. — Młody pan Billings chciał zostać... w jakiś sposób chciał się do niej przyłączyć.

Ale detektyw sierżant Miller odepchnął go w ostatniej chwili na bok i zajął jego miejsce.

Charity się zamyśliła.

— W takim przypadku pański detektyw sierżant Miller odbędzie wiele dziwnych podróży. Odwiedzi miejsca, których nie oglądał żaden człowiek. Być może powinien mu pan zazdrościć.

— Dobrze mi tu, gdzie jestem, dziękuję. Gdzie Liz?

— Zamknęła się w swoim pokoju. Teraz nie stanowi dla nas większego zagrożenia. Ale wkrótce jej moc znacznie się zwiększy i zaczną dojrzewać w jej łonie trzej synowie, a wtedy nie będę w stanie nad nią zapanować. Teraz również mało co mogę zrobić.

— Proponowałaś przedtem... żebyśmy zaczekali, aż wyda na świat potomstwo, a potem zniszczyli istotę, która z niej wyjdzie... czy musimy to zrobić?

— To jedyny sposób, żeby nie dopuścić do wcielenia się Praistoty w następną kobietę, a potem jeszcze w następną i w końcu w Vanessę Charles. To jedyny sposób, żeby zmienić przyszłość, którą

oglądałeś.

— Naprawdę nie ma innego wyjścia?

— Żadnego takiego, które zagwarantowałyby, że to się nigdy nie wydarzy.

Przez chwilę milczałem, zastanawiając się.

— Dlaczego pytasz? — zapytała Charity. — Czyżbyś miał jakieś skrupuły?

— Skrupuły? — Wciąż trudno mi było przyzwycząić się do jej dorosłego słownictwa. — Tak, prawdę mówiąc, mam pewne skrupuły. Widziałem, co przytrafiło się Vanessie Charles: była tłusta i spuchnięta i wszystkie te rzeczy poruszały się w jej brzuchu... a potem rozerwało ją dosłownie na strzępy.

— Naprawdę? — odezwała się Charity. Jej oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu.

— Cóż... moje skrupuły polegają na tym, że nie chcę, żeby Liz przez to wszystko przeszła. Nie chcę, żeby Liz została rozerwana na strzępy.

Charity przez dłuższą chwilę milczała.

— Wiesz, jakie ryzyko podejmujesz, jeśli nie zniszczysz raz na zawsze gnieźdzącej się w niej czarownicy? — zapytała w końcu. — Wiesz, że jeżeli przetrwa choć jedna z nich, Praistoty zawsze będą się mogły odrodzić?

— Widziałem to na własne oczy, tak. Yog-Sothoth. Ale jeśli świat ma się stać taki zły... jeśli powietrze ma dusić nas przy każdym oddechu, a morze ma być gęste od chemikaliów... wtedy być może sami na to zasłużyliśmy.

— Obchodzi cię zatem to, co stanie się z Liz? — zapytała Charity.

— Oczywiście, że mnie obchodzi. W końcu ją lubiłem. Myślę, że mogłem ją nawet pokochać.

— Cóż, w takim razie jest jeszcze inny sposób — stwierdziła Charity. — Możesz cofnąć się w czasie do momentu, kiedy pojawiłeś się tutaj po raz pierwszy, i sprawić, że wszystko potoczy się inaczej.

— Co to znaczy inaczej?

— Tak jak zechcesz. Wybór należy do ciebie. Jeśli Liz tutaj nie zostanie... jeśli nie wcieli się w nią czarownica, która opętała Kezię, a ty nie zapłodnisz jej, tak aby odrodziła się Przekłeta Trójca Yog-Sothoth... wtedy nie stanie się jej nic złego, nawet jeśli ocaleje Praistota.

— Czy nie możemy spalić do fundamentów domu? Jeśli istota kryje się w jego ścianach, a my go spalimy...?

— Ona przetrwa w popiołach i w ziemi. Jedynym momentem, kiedy można ją zniszczyć, jest ten, gdy rodzą się trzej synowie. Wtedy oddaje całą swoją moc dzieciom. Wtedy jest słaba.

— A w jaki sposób ją się niszczy? — zapytałem. — Co się konkretnie robi... rzuca jakieś zaklęcie?

Charity uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie... Ten, kto chce to zrobić, pozwala po prostu, żeby się w niego wcieliła... pozwala, żeby wniknęła w każdy zakamarek jego duszy... a potem — w tym miejscu przeciągnęła palcem po szyi — potem umiera i zabiera ze sobą czarownicę.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

— Miałaś zamiar to zrobić? Miałaś zamiar się zabić?

— To jedyny sposób.

— W takim razie zapomnij o tym. Nie zamierzam oglądać, jak Liz pęka na kawałki, a potem jak ty podrzynasz sobie gardło. W żadnym wypadku. Zapomnij o tym.

— Jestem na to przygotowana — zapewniła mnie.

— Może ty tak, ale ja nie.

— Jesteś pewien?

— Tak — odparłem. — Całkowicie.

— W takim razie — powiedziała — musimy spróbować zrobić to w inny sposób.

Zaprowadziła mnie i Danny'ego w stronę kaplicy. Minęliśmy ogród, trawnik i potok, a potem przeszliśmy przez mur i znaleźliśmy się na cmentarzu. GERALD WILLIAMS, ZASNAŁ W PANU 7 LISTOPADA 1886, PRZEŻYŁ 7 LAT. Ledwo mogłem na to patrzeć. Gerald Williams został zawleczony w przyszłość, zaszlachtowany i upieczony — niewinna ofiara złożona złemu bogu. SUSANNA GOSLING, NIECHAJ SPOCZYWA W POKOJU.

Sforsowaliśmy drzwi kaplicy. Pod naszymi stopami zachrzęściły potrzaskane dachówki. Rozejrzałem się dookoła. Kezia Mason nadal uśmiechała się do nas złowrogo ze swego malowidła, ale nic nie zapowiadało jeszcze mającej nastąpić okropnej rzezi.

— Spójrz — powiedziała Charity, podchodząc do parapetu i wskazując ręką ogród.

Wdrapałem się po stosie dachówek i wyjrzałem na zewnątrz. Trawa była świeżo skoszona, na okrągłych grządkach kwitły jasne pelargonie. Groby zniknęły. Nie widziałem ani jednego.

— Jest ranek — powiedziałem zdumiony. Danny wdrapał się obok mnie.

— Spójrz, tato — powiedział, pokazując morze. — Znowu ta rybacka łódź.

W tej samej chwili zobaczyłem, jak jakiś mężczyzna wychodzi przez kuchenne drzwi Fortyfoot House i przecina pewnym spokojnym krokiem zalane słońcem patio. Miał na sobie czarny frak i czarny wysoki cylinder. Idąc trzymał się za klapy i rozglądał na lewo i prawo, tak jakby przeprowadzał inspekcję.

Znalazłszy się na środku trawnika zatrzymał się i założył ręce do tyłu, najwyraźniej rozkoszując się morską bryzą.

— Hej, proszę pana! — wrzasnąłem. — Tak, do pana mówię!

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał z ponurym, niezadowolonym wyrazem twarzy w stronę kaplicy.

Przez chwilę się wahał, tak jakby się zastanawiał, czy wyjść nam na spotkanie. Ale potem odwrócił się z powrotem i ruszył szybkim krokiem w stronę domu.

— Hej! — zawołałem. — Hej, niech pan poczeka!

Ale mężczyzna nie zwracał już uwagi na moje krzyki i stawiając długie kroki zmierzał w stronę kuchennych drzwi.

Drzwi otwierają się na oścież i wbiega do środka — wielki Człowiek-Nożyce z długimi czerwonymi nogami!

— Chodź, Danny! — powiedziałem. — Musimy go dogonić.

Zbiegliśmy na dół i prześlizgnęliśmy się przez uchylone drzwi kaplicy. Puściliśmy się pędem po trawiastym zbocz, balansując rękoma przeszliśmy strumień i ciężko dysząc wdrapaliśmy się na wzgórze.

Stąpając po wyłożonym ceglami patio zobaczyłem, że drzwi do kuchni są lekko uchylone. Wiedziałem z całą pewnością, że wychodząc z domu zamknąłem je za sobą.

Dałem znak Danny'emu, żeby trzymał się za mną z tyłu, i jak tylko mogłem najostrożniej i najciszej, podszedłem do drzwi. Uchyliłem je trochę szerzej, a potem pchnąłem mocno do środka. Walnęły o ścianę, zadrżały i znieruchomiały.

— Kto tam? — zawołałem.

Żadnej odpowiedzi. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem.

— Wiem, że pan tu jest — krzyknąłem ponownie. — Chcę, żeby pan stąd wyszedł.

Naprawdę chcesz, żeby wyszedł? Ten ponury mężczyzna w wysokim cylindrze?

Przez dłuższy czas trwała cisza, a potem usłyszałem szybkie szuranie stóp w holu i odgłos otwieranych frontowych drzwi. Bez chwili wahania przebiegłem przez kuchnię i otworzyłem drzwi do holu, w sam raz żeby zobaczyć ciemny zarys postaci, która wyskoczyła z domu i pognąła jak szalona stromym zwirowanym podjazdem.

Rzuciłem się za nią w pogoń, ale już po chwili zdałem sobie sprawę, że wcale nie ścigam mężczyzny z bokobrodami i w wysokim cylindrze. Wybiegając na drogę, która prowadziła do Bonchurch, zobaczyłem, że ucieka przede mną ubrana w czarną bluzę i płócienne szorty niska blondynka, z zawieszoną na ramieniu, objającą się o plecy, brezentową wypchaną torbą.

Liz. To jest ten moment, to moja szansa. To jest chwila, kiedy mogę ją uchronić przed Fortyfoot Mouse i przed potwornym losem Vanessy Charles. To jest chwila, kiedy mogę ją uchronić przed samym sobą.

Mogą z tego wyniknąć inne konsekwencje — konsekwencje tak samo straszliwe. Ale przynajmniej Liz będzie bezpieczna.

Zatrzymałem się, a ona pobiegła dalej. Słyszałem, jak jej sandały stukają po rozgrzanym asfalcie.

A potem zasłoniły ją krzaki wawrzynu i już jej nie było. Stałem bardzo długo na drodze, patrząc w miejsce, gdzie zniknęła — mając wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce.

Danny wyszedł na podjazd i stanął obok mnie.

— Kto to był? — zapytał.

— Nie wiem — odparłem. — Jakaś dziewczyna, ale czegokolwiek chciała, nie zatrzymała się, żeby mi powiedzieć.

Wróciliśmy z powrotem do domu.

— Masz ochotę się czegoś napić? — zapytałem. — Przy plaży jest mała kafejka.

— Mam ochotę na dżin z tonikiem — odparł poważnym tonem.

Trzymając się za ręce przecięliśmy trawnik. Ranek był ciepły i bardzo spokojny. Spojrzałem w stronę kaplicy i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że coś zmieniło się w jej otoczeniu, coś, czego nie mogłem umiejscowić. A potem uzmysłowiłem sobie co to takiego. Zniknęły wszystkie groby, pozostał tylko zachwaszczony ogród, w którym rosła wysoka trawa i karłowate jabłonie.

Jedno było pewne: pozwalając Liz odejść, odmieniłem los mieszkających w Fortyfoot House sierot.

Wszystkie oczywiście o dawna nie żyły; ale nie zostały zamęczone na śmierć.

— Gdzie jest...? — zapytał nagle, oglądając się do tyłu, Danny.

— Gdzie jest kto?

— Nie wiem — odparł. — Wydawało mi się, że ktoś z nami powinien być. Ale go nie ma.

Zeszliśmy opadającą w dół ścieżką w stronę promenady, a potem skręciliśmy ku Beach Cafe. Usiedliśmy w ogródku, przy murze, żeby Danny mógł przyglądać się jednemu z miejscowych rybaków, który wyciągał sieć. Podeszła do nas, wycierając ręce o fartuch, starsza kobieta, która przypominała babcię z „Waltonów”. Doris Kemble, cała, zdrowa i z uśmiechem na ustach.

— Co mam podać? — zapytała. Danny przyjrzał się jej uważnie.

— Coca-colę — wyszeptał.

— Nie dzin z tonikiem? — zakpiłem.

Nie spuszczać oczu z Doris Kemble, potrząsnął głową. Wyglądał tak, jakby zobaczył ducha.

— Na plaży jest mnóstwo krabów — rzekła Doris Kemble. — Możesz urządzać im wyścig.

Później, kiedy Danny bawił się na skałach, Doris Kemble podeszła i usiadła obok mnie. Pociągałem z rozkoszą zimne jasne piwo, zasłaniając dłonią oczy przed porannym światłem.

— Nie będzie nic pamiętał — powiedziała po chwili. — Ty będziesz, ale takiego dokonałeś wyboru: zmienić wszystko, od początku. I cała odpowiedzialność za to, co się stanie, spada teraz na ciebie.

— Wciąż żyjesz — stwierdziłem. — A co się stało z Pickeringami, z detektywem sierżantem Millerem i Harrym Martinem?

— Wszyscy są cali i zdrowi. Żaden z nich nawet o tobie nie słyszał.

— Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło? — zapytałem.

Kiwnęła głową.

— Tak, to wszystko się wydarzyło. Gdzieś w innym czasie to wszystko wciąż się wydarza.

— A Praistoty?

— Mogłeś na zawsze zamknąć przed nimi drogę powrotu. Ale postanowiłeś inaczej. Jeśli chodzi o Praistoty, możesz się tylko modlić... i robić wszystko, co w twojej mocy, żeby odsunąć jak najdalej w przeszłość dzień, kiedy zanieczyszczenie Ziemi stanie się tak wielkie, że będą mogły powrócić.

— A młody pan Billings? A Mazurewicz?

— Nie ma ich tutaj. Nie ma ich teraz. Ale wciąż gdzieś istnieją.

— A Brązowy Jenkin?

Doris Kemble położyła swoją dłoń na mojej.

— Dam ci dobrą radę, Davidzie. Nigdy nie przestawaj na niego uważać.

Opuściliśmy Fortyfoot House nazajutrz. Powiedziałem agentom z biura nieruchomości, że otrzymałem właśnie z Brighton wyniki badań lekarskich. Okazało się, że mam szmery w sercu i nie wolno mi wykonywać żadnej ciężkiej pracy. Obiecałem, że spłacę otrzymaną zaliczkę, i wciąż to robię, w wysokości pięciu funtów miesięcznie.

Danny i ja wróciliśmy do Brighton i mieszkamy aktualnie u mojego starego kumpla, Johna Smarta, na Clinton Terrace. Podoba mi się tutaj. Mamy dużo słońca, świeżego powietrza i zaledwie parę kroków na plażę (choć cholernie ciężko wdrapać się z powrotem).

Z Fortyfoot House zatrzymałem tylko jedną pamiątkę i jest nią czarno-biała fotografia stojącego na trawniku młodego pana Billingsa w Fortyfoot House, z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego.

Nie zabrałem jej dlatego, że mi się spodobała. Zrobiłem to, ponieważ Kezia Mason odprawiała nad nią swoje czary i poruszała postaciami. Jest niczym barometr, niczym chorągiewka na dachu. Jeśli kiedykolwiek młody pan Billings wyruszy na poszukiwanie Brązowego Jenkina, będę o tym wiedział, zanim się to zdarzy.

Każdego ranka parząc kawę, przyglądam się uważnie fotografii. Uczyniłem z tego coś w rodzaju rytuału.

Zdjęcie wisi tuż obok mojego plakatu Greenpeace.

Dziś rano, piętnastego października, zdawało mi się, że widzę niewielką trójkątną smugę za skrajem porośniętego trawą pagórka. Wziąłem fotografię do okna, żeby przyjrzeć się jej w lepszym świetle. Na dole, na podwórku, zobaczyłem między krzakami bzu jasną główkę Danny'ego. Włosy miał prześwietlone słońcem i bawił się swoimi ciężarówkami Dinky. Wyglądało na to, że buduje miejskie centrum rozrywki.

Zbadałem uważnie smugę. Możliwe, że była tutaj zawsze, a ja jej po prostu wcześniej nie zauważyłem.

Plamka, kropka, cokolwiek.

Ale to mógł być również kapelusz.

To mogło być spiczaste ucho albo podniesiony pazur.

To mogła być ta zmora, która prześladowuje mnie co noc, kiedy zamknę oczy, zmora z długimi pazurami, zaropiałymi oczyma i żółtymi zębami, zmora, która chrobcze i skrzczy za ścianą mojego zdrowego rozsądku.

To może być coś zgarbionego i nieskończenie złego, coś, co nieubłaganie podąża w naszą stronę przez labirynt czasu.